

## I. Tajemnice mistrza van Huysa

Bóg graczem rzadzi, ten figure trzyma.

Jaki bóg spoza Boga spisek rozpoczyna?

Jorge Luis Borges, Szachy,

(przel. Krystyna Rodowska)

Zamknięta koperta stanowi zagadkę kryjąca wewnątrz kolejne zagadki. Ta koperta była spora, z ryżowego papieru, a w jej dolnym lewym rogu widniała pieczęć laboratorium. Julia wazyła ją w dłoni, szukając równocześnie nożyka do papieru na stole zawałonym pedzłami oraz słojkami pełnymi farb i lakierów. Nawet nie przypuszczała, do jakiego stopnia zmieni się jej życie po otwarciu przesyłki.

Właściwie znalazła już jej zawartość. A ściślej mówiąc, tak jej się wydawało, o czym przekonała się chwilę później. Dlatego może nie poczuła niczego szczególnego, gdy wyciągała z koperty odbitki fotograficzne i rozkładała je na stole. Rzuciła na nie roztargnionym nieco wzrokiem i nagle wstrzymała oddech. Pojęła, że "Partia szachów" stanowczo wykracza poza zwykłą rutyniarską robotę. Zdarzało jej się co i raz natrafiać na niespodziewane detale na obrazach, meblach czy oprawach starych ksiąg. Pracując od szesciu lat, miała już na koncie rekonstrukcje i uzupełnienia dokonywane na oryginałach, retusze i poprawki Nawet drobne falsyfikacje. Ale jeszcze nigdy dotąd nie spotkała się z napisem ukrytym pod warstwą farby: z trzema słowami, które wyszły na jaw dzięki promieniom Roentgena.

Nie odrywając oczu od zdjęć, zapaliła wyciągniętego ze zmietoszonej paczki papierosa bez filtra. Nie można było mieć najmniejszych wątpliwości, odbitki radiologiczne o wymiarach 30x40 cm mówiły same za siebie. Wyraźnie było widać oryginalną kompozycję piętnastowiecznego flamandzkiego obrazu na drewnie, jego realistyczne szczegóły uwypuklone dzięki zastosowaniu techniki *verdaccio*, słoje na trzech deskach tworzących całość dzieła, ich spojenia, wreszcie kolejne kreski, pociągnięcia pedzłem i warstwy, które wyszły spod ręki malarza. A w dolnej części obrazu to ukryte zdanie, które aparatura radiologiczna wydobyła po pięciuset latach, białe gotyckie litery tak dobrze widoczne na czarnym tle:

QUIS NECAVIT EQUITEM.

Julia znalazła łacine na tyle, że nie musiała sięgać do słownika. Quis, zaimek pytajny: kto. Necavit pochodziło od *neco*: zabić. Equitem zaś to biernik liczby pojedynczej od *eques*: rycerz. Kto zabił rycerza. Zaimek *quis* narzucał jeszcze znak zapytania, przez co całe zdanie nabierało pewnej tajemniczości:

KTO ZABIL RYCERZA?

Było to co najmniej zastanawiające. Zaciągnęła się papierosem trzymany w prawej dłoni, lewa tymczasem poprzesuwała zdjęcia na blacie. Ktos, może sam malarz, umieścił na obrazie coś w rodzaju

lamigłówek, która następnie zakrył warstwą farby. Ewentualnie zrobił to później ktoś inny. Margines błędu wynosił z grubsza pięćset lat. Już ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Julii. Podobna niewiadoma potrafiła znaleźć bez specjalnych trudności. Ostatecznie na tym polegał jej zawód.

Pozbierała odbitki i wstała. Szarawe światło wnikające przez szeroką lukarnę w suficie padało wprost na obraz oparty na sztalugach. "Partia szachów", olej na drewnie, z 1471 roku, autorstwa Pietera van Huysa... Zatrzymała się przed nim i wpatrywała dłuższą chwilę. Oto scena domowa, przedstawiona z takim typowym dla piętnastowiecznego malarstwa realizmem, jedna z tych, którymi wielcy mistrzowie flamandzcy przygotowali grunt pod sztukę nowoczesną, wykorzystując ostatni krzyk techniki, jakim wówczas były farby olejne. Główny motyw obrazu stanowi partia szachów, która rozgrywała dwóch mężczyzn w średnim wieku, o szlachetnych obliczach. Na drugim planie po prawej, przy zwieńczonym ostrym łukiem oknie, za którym rozposcierał się krajobraz, siedziała dama w czerni i czytała książkę trzymaną na podolku. Całości dopełniały detale namalowane z typową flamandzką pieczołowitością, rzetelnie, niemal po maniacku: meble i zdobienia, białoczarne posadzki, rysunek na kobiercu, tu i ówdzie wręcz drobna rysa w murze czy cienka bretna białego w belce powalony. Z podobną precyzją przedstawiono szachownice, figury i pionki, a także twarze, dłonie i stroje postaci. Uderzał zresztą nie tylko realizm, ale i barwy, wciąż bardzo żywe, choć wskutek upływu czasu i utlenienia werniksu cały obraz nieco szerniał.

Kto zabił rycerza. Julia spoglądała to na odbitkę, to na obraz, nie dostrzegając na nim najmniejszego śladu ukrytego napisu. Badanie z bliska siedmiokrotnie powiększająca dwusoczewkowa lupa też nie posunęło sprawy naprzód. Opuszcza więc załóżkę i w ciemności podciągnęła ku sztalugom lampę Wooda, emitująca tak zwane czarne światło. W jego promieniach ultrafioletowych wszystkie materiały, farby i werniksy użyte przez pierwotnego twórcę fluoryzowały, wszelkie zaś poprawki i retusze dokonane później, a więc po powstaniu obrazu, pozostawały ciemne bądź czarne. Jednak w świetle lampy Wooda cały obraz pokryty był jednostajnie fluoryzującą warstwą, także w części kryjącej tajemniczy napis. A to oznaczało, że zdanie zostało zamalowane albo przez samego artystę w trakcie pracy, albo wkrótce po ukończeniu dzieła.

Zgasła lampę i odsłoniła lukarnę. Szare światło jesiennego poranka ponownie zaalała sztalugi z obrazem i całą pracownię, pekającą w szwach od książek, od regałów z farbami, pedzłami, werniksami, rozpuszczalnikami i narzędziami stolarskimi, od ram i precyzyjnych przyrządów, od starych rzeźb z drewna i brązu, od zastawek i opartych płótnem o ściany obrazów, stojących na prawdziwym perskim dywanie poplamionym farbami. W kacie, na komodzie w stylu Ludwika XV, stał sprzęt hi-fi, koło którego piętrzyły się płyty: Don Cherry, Mozart, Miles Davis, Satie, Lester Bowie, Michael Hedges, Vivaldi... Lustro weneckie w złoczonej oprawie posłało Julii ze ściany jej własne, nieco przycmione odbicie: włosy przycięte na wysokości ramion, lekkie ślady niewyspania pod dużymi, ciemnymi, jeszcze nie umalowanymi oczyma. Atrakcyjna jak modelka Leonarda - mawiał Cesar, gdy widział jej twarz otoczona złotem tak jak teraz - atrakcyjna, ma piu bella\* [przyp.: Ma piu bella (wl.) - ale piękniejsza]. I aczkolwiek Cesara należało zaliczyć do znawców raczej efebów niż madonn, Julia wiedziała, że jego ocena jest najzupełniej trafna. Sama lubiła oglądać się w tej złoczonej oprawie, bo miała wówczas wrażenie, że znalazła się po drugiej stronie zaczarowanych drzwi, skąd na przekór odległości w czasie i przestrzeni powracała niczym ucielesnienie renesansowej urody włoskiej.

Od dzieciństwa każda myśl o Cesarze wywoływała na jej twarzy uśmiech - delikatny, może nieco porozumiewawczy. Odłożyła odbitki na stół, zdusiła niedopalek w ciężkiej popielniczce z brązu sygnowanej przez Beniliurego i zasiadła przy maszynie do pisania:

"Partia szachów".

Olej na drewnie. Szkoła, flamandzka. Datowany na 1471 rok.

Autor: Pieter van Huys (1415-1481).

Podobrazie: trzy nieruchome deski debowe, polaczone falszywymi spojeniami.

Wymiary: 60x87 cm (trzy identyczne deski po 20x87 cm). Grubosc desek: 4 cm.

Stan zachowania podobrazia:

Rekonstrukcja nie jest konieczna. Nie widac sladow dzialalnosci kornikowatych.

Stan zachowania warstwy malarskiej:

Dobre przyleganie farb do podobrazia i do siebie nawzajem. Brak odbarwien. Mozna zaobserwowac pekniecia, jednak bez ubytkow czy odpryskow.

Stan zachowania warstwy zewnetrznej:

Brak sladow szkod wyrzadzonych przez sole i plam wilgoci. Werniks mocno sciemnial z powodu utlenienia - te warstwy nalezy zastapic nowa.

Z kuchni dobiegal gwizd maszynki do kawy. Julia poszla nalac sobie wielka filizanke, bez mleka i cukru. Po chwili wrócila, wycierajac dlon w wyciagniety meski sweter, który narzucila na pizame. Jeden ruch palca wystarczył, by szare swiatlo poranka wypelnily nuty "Koncertu na lutnie i viole d'amore" Vivaldiego. Upila spory, gorzki lyk, parzac sobie przy tym czubek jezyka, i stapajac bosymi stopami po dywanie, zasiadla znów do raportu:

Badanie ultrafioletowe i radiologiczne:

Brak istotnych późniejszych zmian, poprawek czy retuszy. Promienie rentgenowskie pozwolily ujawnic współczesny malarzowi ukryty napis wykonany pismem gotyckim (p. zalaczone fotografie). Slów tych nie sposób dostrzec przy badaniu konwencjonalnym. Mozna je odkryc bez szkody dla calosci kompozycji poprzez zdjecie przykrywajacej je warstwy farby.

Wyciagnela kartke z walka maszyny, wsunela do koperty razem z odbitkami, dopila wciaz goraca kawe i siegnela po kolejnego papierosa. Oto przed nia dwóch mezczyzn, siedzacych kolo damy zajetej ksiazka, toczylo od pieciuset lat rozgrywke na szachownicy. Dzieki kunsztowi Pietera van Huysa

zdawało się, że szachy stoja poza obrazem, że są właściwie namacalne, podobnie zresztą jak i pozostałe przedstawione tu przedmioty. Realność "Partii szachów" pozwalała uzyskać typowy dla szkoły flamandzkiej efekt wciągnięcia widza w obręb scenarii. Odnosiło się wrażenie, że miejsce, z którego obserwuje się obraz, pokrywa się z przestrzenią samego dzieła - jak gdyby rzeczywistość była fragmentem obrazu lub też obraz był fragmentem rzeczywistości. Złudzenie potęgowały namalowane po prawej stronie okno, wychodzące na dalszy krajobraz, oraz okrągłe, wypukłe lustro na ścianie po stronie lewej, w którym odbijały się ukosnie sylwetki graczy i szachownica, zniekształcone perspektywą samego widza stojącego bliżej. W ten zdumiewający sposób okno, izba i zwierciadło tworzyły nierozdzielna jedność. Widz - pomyślała Julia - mógłby się poczuć uczestnikiem sceny, stojącym wśród postaci.

Wstała, skrzyżowała ramiona i wróciła z papierosem do sztalug. Mimo gryzącego dymu nie mogła oderwać oczu od obrazu. Gracz z lewej strony wyglądał na jakieś trzydziści pięć lat. Miał kasztanowe włosy, na średniowieczną modłę przystryżone na wysokości uszu, nos orli, silny, a na twarzy wyraz bezwzględnej skupienia. Ubrany był w tunikę z długimi rękawami, której cynamonowa czerwień zdołała wyjść zwycięsko z walki z czasem i utleniającym się werniksem. Z szyi zwieszało mu się Złote Runo, spięte na prawym ramieniu ozdobną broszą, odmalowaną rzetelnie do najmniejszego szczegółu, włącznie z drobnym refleksem światła w kamieniach szlachetnych. Mezczyzna opierał się o stół lewym łokciem i prawą ręką. W dłoni trzymał jedną z figur: białego konika. Przy jego głowie widniała malowana gotykiem inskrypcja: FERDINANDUS OST. D.

Drugi gracz, znacznie szczuplejszy, dobiegał czterdziestki. Wśród jego niemal czarnych włosów okalających wysokie czoło można było dostrzec na skroniach cieniutkie białe nitki. Tej początkowej siwiznie, a także jego postawie i minie należało przypisać wrażenie przedwczesnej dojrzałości. Oblicze miał pogodne i dostojne, nosił się nie po dworsku, jak jego rywal, ale zwyczajnie: miał na sobie skórzany napiersnik i wypolerowany stalowy naszyjnik od przyłbicy. Był bez wątpienia żołnierzem. Siedział ze skrzyżowanymi ramionami, bardziej pochylony nad stołem niż przeciwnik, najwidoczniej uważnie studiował sytuację na szachownicy, nie zwracając uwagi na otoczenie. Pionowe zmarszczki na czole świadczyły, że myśli bardzo intensywnie. Wpatrywał się w figury, jakby stanął właśnie wobec zadania najtrudniejszego z możliwych. Napis obok niego brzmiał: RUTGIER AR. PREUX.

Dama znajdująca się przy oknie, w pewnej odległości od obydwu graczy, dzięki perspektywie liniowej zdawała się siedzieć nieco wyżej od nich. A jednak jej suknia z czarnego aksamitu, wyraźnie pofaldowana dzięki zmyslnemu dodaniu bieli i szarości, jakby wysuwała się na pierwszy plan. Wymienite przedstawienie tkaniny rywalizowało z realizmem wzorzystego kobierca, dopieszczanego co do supełka, ze spojeniami i sekami w drewnianych belkach powały, z kamiennymi płytami posadzki. Chcąc lepiej docenić technikę, Julia pochyliliła się ku obrazowi i poczuła dreszcz zawodowego podziwu. Tylko mistrz pokroju van Huysa potrafił równie doskonale wykorzystać czern materii, uzyskać kolor niejako poprzez jego brak, kolor, który mało kto osmielał się wówczas spenetrować tak dogłębnie. A przy tym miała wrażenie, że niemalże słyszy szelest aksamitu ocierającego się o leżące na podnóżku poduszeczki z wytłaczanej skóry.

Spojrzała na twarz kobiety. Piękna i bardzo blada, zgodnie z ówczesnym upodobaniem, miała na głowie kornet z białej gazy skrywający widoczne tylko na skroniach bujne rude włosy. Z szerokich rękawów z jasnoszarego adamaszku wylaniały się długie, smukłe dłonie, w których dama trzymała brewiarz. W promieniach dobiegającego z okna światła pobłyskiwała otwarta klamra księgi, a także złota obrączka, jedyna ozdoba na dłoni kobiety. Spuszczone oczy, w których można było dostrzec blekit, wyrażały skromną, cnotliwą łagodność, tak częsta na dawnych portretach niewiesticich. Światło padało na nią z dwóch źródeł - z okna i ze zwierciadła - otaczając ją tym samym nimbem, którym spowici byli gracze. Jednakże dzięki nieco ukosnej perspektywie i gestycznym cieniom dama pozostawała dyskretnie w głębi. Malarz przyporządkował jej napis BEATRIX BURG. OST. D.

Julia cofnęła się kilka kroków i jeszcze raz przyjrzała całej kompozycji. Bez wątplenia miała przed sobą arcydzieło, potwierdzone autoryzowanymi opiniami znawców, a to oznaczało wysoką wycenę na styczniowej aukcji u Claymore'a. Kto wie, może ukryty napis, wsparty odpowiednią dokumentacją historyczną, jeszcze podniesie wartość obrazu... Dziesięć procent dla domu Claymore, pięć dla Menchu\* [przyj.: Menchu (hiszp.) - zdrobnienie od imienia Carmen.] Roch, reszta dla dotychczasowego właściciela. Oczywiście odliczywszy jeden procent na ubezpieczenie i na honoraria za odrestaurowanie i oczyszczenie dzieła.

Rozebrała się i weszła pod prysznic, nie zamykając drzwi, żeby mimo szumu wody słyszeć Vivaldiego. Restauracja "Partii szachów" mogła bardzo korzystnie podnieść jej własną pozycję na rynku. Wkrótce po zrobieniu licencji Julii udało się wśród muzealników i antykwariuszy zaskarżyć sobie opinię całkiem dobrego konserwatora. Obdarzona pewnym talentem malarskim, który wykorzystywała w wolnych chwilach, w pracy była metodyczna i zdyscyplinowana. Mówiono, że do każdego zadania podchodzi z wyraznym szacunkiem dla oryginału, czym różniła się od większości swoich mniej etycznych kolegów po fachu. W tej surowej walce, jaka toczy się o konserwację z wola renowacji, między restauratorem a jego dziełem powstawała skomplikowana, czasem wręcz krepująca więź duchowa. Dziewczyna potrafiła jednakże nie tracić z oczu prawdy zasadniczej: dzieła sztuki nie sposób przywrócić stanu pierwotnego bez wyrządzenia istotnych szkód. Zdaniem Julii świadectwa zesterzenia się dzieła, patyna, nawet pewne zniekształcenia koloru i werniksu, niedoskonałości, poprawki czy retusze - z czasem wrały w obraz, stając się jego nierozdzielalną częścią. I może dlatego gdy taki obraz trafiał w jej ręce, to nie opuszczał ich odstrojony w niby oryginalne, krzykliwe kolory i światła (Cesar określał takie przypadki mianem "wysztafirowanych kurtyzan"), ale raczej poddany delikatnemu cieniowaniu. Dzięki temu znaki upływu czasu wtapiały się doskonale w całość kompozycji.

Wyszła z łazienki owinięta w płaszcz kąpielowy, zachlapaną wodą z mokrych włosów, zapaliła piątego w tym dniu papierosa i, stojąc przed obrazem, zaczęła się ubierać: ciemnobrazowa plisowana spódnica, buty na płaskim obcasie, skórzana kurtka myśliwska. Wreszcie zerknęła z zadowoleniem na swoje odbicie w weneckim lustrze, jeszcze raz odwróciła się ku obydwu graczom, mrugnęła do nich łobuzersko, choć nie zrobiło to na nich żadnego wrażenia - dalej siedzieli z marsowymi minami. "Kto zabił rycerza". To zdanie wciąż tłukło jej się po głowie, kiedy wsuwała do torebki raport o obrazie i odbitki, kiedy włączała alarm i przekreślała na dwa razy solidny zamek w drzwiach. Quis necavit equitem. Tak czy inaczej to na pewno ma jakieś znaczenie. Zbiegła po schodach sunąc dłońmi po poręczach z mosiężnymi zdobieniami i powtarzając te trzy słowa. I obraz, i ukryty napis bardzo ją intrygowały, ale było coś jeszcze: do jej serca wkradł się jakiś lek. Podobny do tego, jaki odczuwała będąc małą dziewczynką, kiedy to stojąc u szczytu schodów, zbierała się w sobie, żeby w końcu wsunąć głowę do wnętrza ciemnego strychu.

- Przyznaj, że to cacko. Czyste quattrocento.

Menchu Roch nie miała na myśli żadnego z licznych obrazów, które wisiały na ścianach jej własnej galerii. Jasnymi, przesadnie umalowanymi oczami popatrywała na szerokie ramiona Maxa, pogrążonego w pogawedkę ze znajomym przy barze kafejki. Max, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, o plecach jak u pływaka, opiętych dobrze skrojona marynarka, swoje długie włosy nosił związane ciemną jedwabną wstążką w krótki kucyk. Ruchy miał powolne i gibkie. Menchu zmierzyła go taksującym spojrzeniem, po czym umoczyła usta w oszronionym kieliszku martini. Na jej twarzy malowała się duma posiadaczki. Max był jej najnowszym kochankiem.

- Czyste quattrocento - powtórzyła, smakując równocześnie słowa i drinka. - Nie kojarzy ci się z cudownymi brazami włoskimi?

Julia przytaknęła niechętnie. Były starymi przyjaciółkami, ale nie przestawało jej dziwić, jak łatwo Menchu wprowadza rozmaite dwuznaczności w świat pojęć artystycznych.

- Którykolwiek z tych brązów, myśle o oryginałach, wyniósłby cie taniej.

Menchu zaśmiała się cynicznie.

- Taniej niż Max...? Co do tego nie ma wątpliwości - westchnęła z emfazą i rozgryzła oliwkę z martini. - W każdym razie Michał Aniol rzeźbił ich w stroju Adama. Nie musiał ich ubierać karta American Express.

- Nikt cie nie zmusza, żebyś podpisywała jego rachunki.

- Ot i cała kabala, kotek - właścicielka galerii zatrzepotała powiekami z teatralną lubością. - Właśnie, nikt mnie nie zmusza.

I dopiła swojego drinka, podnosząc przy tym z minoderią mały palec, co było z jej strony umyślną prowokacją. Zbliżała się już do pięćdziesiątki i była zdania, że każdy zakątek świata kipi seksem, nawet najsubtelniejsze detale dzieł sztuki. Może dlatego w stosunku do mężczyzn nieodmiennie manifestowała te same wyrachowaną, zaborczą naturę, co podczas wyceniania wartości malarskiego dzieła. O właścicielce galerii Roch znajomi powiadali, że nie przepuściła żadnej okazji, by zawładnąć interesującym ją obrazem, mężczyzną lub działką kokainy. Ciągle mogła uchodzić za kobietę atrakcyjną, aczkolwiek nie potrafiła ukryć tego, co w kontekście jej wieku Cesar określał zjadliwie jako "anachronizm estetyczny". Menchu opierała się starości między innymi dlatego, że ta jej się wcale nie podobała. I jakby na przekór samej sobie epatowała wyrachowaną wulgarnością, również w doborze makijażu, strojów i kochanków. Co więcej, chcąc utwierdzić się w przekonaniu, że każdy marszand czy antykwariusz to po prostu wykwalifikowany lajdak, czasami aż klula w oczy nieokrzesaniem, rozmyślnie wprawiała w zakłopotanie swoich rozmówców i publicznie szydziła z całego, bądź co bądź zamkniętego, środowiska zawodowego, w jakim się obracała. Chętnie się tym ze swobodą równą tej, z jaką utrzymywała, że najbliższy orgazm w życiu przeżyła kiedyś uprawiając masturbację przed skatalogowaną i numerowaną reprodukcją "Dawida" Donatella. O powyższym epizodzie Cesar z niemal kobiecym okrucieństwem mawiał, że było to jedyne świadectwo naprawdę dobrego gustu, jakim Menchu Roch mogła się w życiu pochwalić.

- Co robimy z van Huyssem? - spytała Julia.

Menchu raz jeszcze przyjrzała się odbitkom leżącym na stole pomiędzy jej kieliszkiem a kawą przyjaciółki. Z umalowanymi na niebiesko oczami Menchu korespondowała również niebieska przykrótka sukienka. Bez jakiegokolwiek podtekstu Julii przyszło do głowy, że ze dwadzieścia lat temu Menchu musiała być naprawdę ładna. Przynajmniej w niebieskim.

- Nie wiem jeszcze - odparła właścicielka galerii. - U Claymore'a są skłonni wystawić go w obecnym stanie... Trzeba by sprawdzić, czy ten napis nie podniesie jego wartości.

- Masz pojęcie?

- Cudowna sprawa. Przypadkiem trafiło ci się jak ślepej kurze ziarno.

- Pogadaj z właścicielem.

Menchu wsunęła zdjęcia do koperty i skrzyżowała nogi. Dwaj młodzieńcy, popijający aperitif przy sąsiednim stoliku, oczami znawców zlustrowali ukradkiem jej opalone uda. Julia aż wzdygnęła się pełną oburzenia. Zabawne było patrzeć, jak Menchu z rozmysłem dozuje swoje efekty specjalne przeznaczone dla meskiej publiczności, ale chwilami te jej manewry ocierały się o przesadę. Zdecydowanie - tu Julia zerknęła na kwadratową omegę, która nosiła po wewnętrznej stronie lewej ręki - nie była to pora na eksponowanie bielizny.

- Właściciel nie jest problemem - przekonywała Menchu. - To uroczy staruszek na wózku. Jak się dowie, że odkrywając napis podniosliśmy wartość obrazu, z pewnością wpadnie w zachwyt... Ma natomiast bratanice z mężem, i to są pijawki.

Max dalej rozmawiał przy barze, ale świadom swoich obowiązków co chwila odwracał się i posyłał im wspaniałe uśmiechy. Kto tu mówi o pijawkach - pomyślała Julia, ale zachowała komentarz dla siebie. Wprawdzie dla Menchu nie miało to istotnego znaczenia, w sprawach meskich zawsze wykazywała się przecież niespotykanym cynizmem, lecz Julia dobrze pojmowała siłę konwenansu i nie śmiała się posunąć za daleko.

- Do aukcji zostały dwa miesiące - rzekła, nie zwracając uwagi na Maxa. - To naprawdę ostatni moment, żebyś zdążyła zdjąć werniks, odsłonić napis i nałożyć werniks na nowo... - tu zamysliła się na chwilę. - Dalej, trzeba zgromadzić dokumentację na temat samego obrazu i jego postaci, napisać raport, to też swoje potrwa. Zgoda właściciela muszę mieć natychmiast.

Menchu skinęła głową. Wiedziała, że są obszary, gdzie frywolność trzeba odstawić na bok, w sprawach zawodowych była przebiegła jak lis. W tej transakcji pełniła rolę pośrednika, bo właściciel van Huysa nie miał zielonego pojęcia o mechanizmach rynku. To ona pertraktowała z madrycką filią domu aukcyjnego Claymore.

- Zadzwoń do niego jeszcze dziś. Nazywa się don Manuel, ma siedemdziesiąt lat i uwielbia, jak powiedział, rozmawiać z ładną dziewczyną, która tak się zna na interesach.

Julia zauważyła, że chodzi o coś jeszcze. Jeżeli odsłonięty napis łączył się jakos z historią przedstawionych na obrazie postaci, Claymore to wykorzysta i podniesie cenę wywoławcza. Może Menchu mogłaby zdobyć dodatkową dokumentację.

- Raczej nie - właścicielka galerii wysiliła pamięć, krzywiąc przy tym usta. - Wszystko dam ci razem z obrazem, więc sama kombinuj, kobieto. Możesz się wykazać.

Julia otworzyła torebkę i dłużej niż zwykle szperała w poszukiwaniu paczki papierosów. Wreszcie powoli wydobyla jednego i popatrzyła na przyjaciółkę.

- Mogłybyśmy zwrócić się do Alvara.

Menchu aż uniosła brwi ze zdumienia. Właściwie mogła powiedzieć, że skamieniała jak żona Noego czy Lota, czy jakżeż się nazywał ten kretyn, któremu sprzykrzyło się w Sodomie... A może zamieniła się w słup soli. Jak tam było, tak tam było, nieważne.

- Tus mnie zabiła, kolezanko - aż zachrypla nieco z ekscytacji. Zwiędziała niezłe emocje. - Bo Alvaro i ty...

Zawiesiła głos z wyrazem nagłego, wystudiowanego zaniepokojenia na twarzy. Zawsze przybierała taką minę, gdy w grę wchodziły przesadnie, jej zdaniem, zawikłane problemy sercowe innych osób. Julia meźnie wytrzymała jej spojrzenie.

- Nie znamy lepszego historyka sztuki - powiedziała tylko. - Tu nie chodzi o mnie, ale o obraz.

Po chwili widocznego głębokiego namysłu Menchu skinęła głową. Jasne, to sprawa Julii. Sprawa jak najbardziej intymna, "kochany pamiętniku", te rzeczy. Ale na jej miejscu nie łądowałaby się w to. Jak mawia ta stara ciocia Cesar, in dubio pro reo\* [przyp.: In dubio pro reo (łac.) - w razie wątpliwości rozstrzygnąć na korzyść oskarżonego.]. Czy może in pluvio\* [przyp.: In pluvio (łac.) - w razie deszczu.]?

- Możesz być pewna, że wyleczyłam się z Alvara.

- Z niektórych cierpień, słonko, nie sposób się wyleczyć. Dopiero rok minal, zapomnij. Znam ten ból.

Julia usmiechnęła się kpiąco do samej siebie, na próżno usiłując to ukryć. Rzeczywiście mijał rok, od kiedy Alvaro i ona zerwali długotrwały związek. Menchu była wprowadzona w szczegóły, sama zresztą przy jakiejś okazji wygłosiła (nie pytana) własną prognozę, nazywając rzeczy po imieniu. Powiedziała wtedy chyba, że w ostatecznym rozrachunku, kobieto, zony mężczyzna zawsze zostanie przy swojej ślubnej. Bo po latach na przemian prania gaci i rodzenia kolejnych bachorów każda postanawia walczyć. "A oni już tacy są - perorowała Menchu z nosem zanurzonym w kreskę koki, pociągając raz po raz - w głębi duszy potwornie lojalni. (Snif.) Skurwiele".

Julia wypuściła z ust spory kłęb dymu i zajęła się resztką swojej kawy. Piła powoli, uważając, żeby ani kropla nie skapnęła z filiżanki. To było bardzo nieprzyjemne zerwanie, gorzkie słowa, trzask drzwiami. Ból powracał przy byle wspomnieniu. A także za każdym razem, kiedy - trzy, może cztery razy - przypadkowo spotkała Alvara na jakimś wykładzie czy w muzeum. Zdobywali się wówczas na szczyt elegancji - "Ladnie wyglądasz, uważaj na siebie" i tym podobne. Zasadniczo obydwójce uważali się za ludzi cywilizowanych, których - wyjąwszy pewien epizod z przeszłości - łączył obiektywny przedmiot pracy, czyli sztuka. Słowem, ludzie światowi. Dorosli.

Zauważyła, że Menchu obserwuje ją z niezdrowym zainteresowaniem i zapewne aż oblizuje się na samą myśl o kolejnych miłosnych intrygach, w których będzie mogła maczać palce jako doradczynie w sprawach taktyki. Właścicielka galerii nie mogła darować przyjaciółce, że ta po zerwaniu z Alvarem przeżyła zaledwie kilka sporadycznych, nie wartych plotki przygód: "Popadasz w asceze, kotek - wkładala jej do głowy. - Z nudów można umrzeć. Musi cię znowu porwać namietność, otchlan namietności"... Z tego punktu widzenia zatem ledwie wzmianka o Alvarze rysowała na horyzoncie interesujące możliwości rozwoju sytuacji.

Julia była tego świadoma, ale nie miała za złe przyjaciółce. Menchu to Menchu, od zarania taka jest. Przyjaciół się nie wybiera, to oni wybierają ciebie i albo ich odrzucisz, albo przyjmiesz z dobrodziejstwem inwentarza. Tego też nauczył ją Cesar.

Z papierosa został tylko niedopalek, więc zdusiła go w popielniczce i zwróciła się do Menchu z wymuszonym uśmiechem.

- Alvaro nie jest istotny. Tak naprawdę cwieka zabił mi van Huys - zawahała się chwilę, szukając odpowiednich słów, żeby wyrazić niezbyt jeszcze jasne myśli. - Coś w tym obrazie wykracza poza normę.



Menchu wzruszyła obojętnie ramionami, jakby dumala nad czymś innym.

- Wyluzuj się, malenka. Obraz to tylko płótno czy drewno, farba i werniks... Liczy się to, co zostanie w portfelu z chwila, gdy ten obraz zmieni właściciela - zerknęła na szerokie ramiona Maxa i zatrzepotała powiekami z zadowoleniem. - A cała reszta to anegdoki.

Przez cały spędzony wspólnie okres Julia uważała, że Alvaro odpowiada najściślej stereotypowi historyka sztuki. Swoim wyglądem i strojem jeszcze utwierdzał ją w tym przekonaniu: o miłym wejrzeniu, pod czterdziestkę, angielskie marynarki w pepitkę, trykotowe krawaty. Na domiar palił fajkę, co było szczytem szczytów. Do tego stopnia, że kiedy ujrzała go wtedy pierwszy raz w auli - wykład miał tytuł "Sztuka a człowiek" - dobry kwadrans minal, nim zdołała skupić się na wygłaszanych przez niego słowach, bo nie mogła pogodzić się z tym, że ktoś o wyglądzie tak młodziutkiego profesora może być właśnie profesorem. I później, kiedy pożegnał się do następnego tygodnia i wszyscy wyszli na korytarz, podeszła do niego jak gdyby nigdy nic, w pełni świadoma tego, co nastąpi: powtórka z odwiecznego, niezbyt oryginalnego schematu, typowy układ profesor-studentka, wszystko z góry wiadomo, jeszcze zanim Alvaro obrócił się na piecie od drzwi i pierwszy raz uśmiechnął do Julii. W całej tej historii - tak to przynajmniej postrzegala, kiedy rozważała wszystkie za i przeciw - była jakaś nieuchronność, cudownie klasyczny fatalizm rozpisany przez Los. Ten punkt widzenia pociągał ją szczególnie od czasów szkolnych, kiedy to przelożyła z greckiego rodzinne intrygi genialnego Sofoklesa. Gdy później postanowiła poruszyć ów temat z Cesarem, antykwariuszem, który od lat był jej konfidentem w sprawach sercowych - pierwszy raz wystąpił w tej roli, gdy Julia nosiła jeszcze warkoczyki i podkolanówki - wzruszył jedynie ramionami i umyślnie niedbałym tonem zjechał te wyswiechtane historie, przerobiona już, kochanie, w trzystu drewnianych powieściach i tyluż filmach, zwłaszcza (pogardliwy grymas) francuskich i amerykańskich: "Przyznasz, księżniczko, że w tym świetle temat nabiera cech wręcz szkaradnych"... Tylko tyle, nic więcej. Ze strony Cesara nie usłyszała ani ostrych wymówek, ani ojcowskich rad, które zresztą, o czym doskonale oboje wiedzieli, na nic by się nie zdały. Cesar nie miał dzieci i zanosilo się, że tak będzie zawsze, ale posiadał dar przydatny w podobnych sytuacjach. W którymś momencie swojego życia antykwariusz nabrał pewności, że nikt nie potrafi uczyć się na cudzych błędach i że w konsekwencji jedynie, co może zrobić szanujący się opiekun - w obecnym przypadku on sam - to usiąść obok swojej podopiecznej, wziąć ją za rękę i życzliwie wysłuchać historii o kolejnych uniesieniach i cierpieniach, a madra natura niech tymczasem prowadzi swą nieuchronną gre.

- W kwestiach sercowych, księżniczko - mawiał Cesar - nie wolno dawać rad ani podsuwać rozwiązań... Co najwyżej czysta chusteczka w stosownym momencie.

I tak właśnie postąpił, kiedy nadszedł koniec, kiedy przybiegła do niego noca, z mokrymi włosami, błędnym wzrokiem lunatyka, i usnęła mu na kolanach. Jednak do tamtego pierwszego spotkania na korytarzu wydziału doszło znacznie, znacznie wcześniej. Nie było istotniejszych odstępstw od z góry wiadomego scenariusza. Rytuał dokonał się wedle z dawna ustalonych, przewidywalnych reguł, aczkolwiek przyniósł nadszperkujące efekty. Julia miała już za sobą kilka przygód, ale któregoś wieczoru, kiedy pierwszy raz znalazła się z Alvarem w szerokim łóżku hotelowym, również pierwszy raz w życiu poczuła potrzebę wypowiedzenia tych bolesnych, bezwstydných słów "kocham cię". Słuchała siebie w zdumieniu i szczęściu, słuchała tych słów, których dotąd nigdy nie miała zamiaru wygłaszać, a teraz dobiegały z jej ust przybrane w nieznaną, jęklivy albo placzliwy ton. Rano, gdy przebudziła się z nosem wtulonym w pierś Alvara, ukradkiem odgarnęła włosy z twarzy i przyjrzała się jego spiacemu profilowi, wyczuwając jednocześnie policzkiem puls jego serca. A kiedy wreszcie otworzył oczy, napotkał wzrokiem jej spojrzenie i uśmiechnął się, Julia z absolutną pewnością zrozumiała, że go kocha. Zrozumiała też, że kiedyś będzie miała innych kochanków, ale z żadnym nie doświadczy

tego, co czuła w tym momencie. W końcu dwadzieścia osiem miesięcy później, przeżytych intensywnie co do dnia, przyszła chwila gorzkiego przebudzenia z tej miłości i Julia prosiła Cesara, żeby wyjął z kieszeni swoją słynną chusteczkę. "Te straszliwa chusteczka - powtórzył z właściwą sobie teatralną emfazą antykwariusz, na polu zartobliwie, ale i złowieszczo jak Kasandra - chusteczkę, która potrzasałaby, żeby pozebrać się na zawsze..." W skrócie tak wyglądała cała historia.

Rok wystarczył, by zaleczyć rany, ale wspomnienia zostały. Prawde mówiąc, Julia nie zamierzała się ich wyzbywać. Wczesnie dorosła, nabierając przy tym przekonania - które bez kompleksów wpoila sobie dzięki naukom Cesara - że życie jest jak droga restauracja, gdzie zawsze na koniec podsuwają ci rachunek, co wcale nie oznacza konieczności zapomnienia o delikcjach, których się wcześniej kosztowało. Teraz znów o tym myślała, obserwując, jak Alvaro rozkłada książki na stole i robi notatki na kwadratowych fiszkach z białego brystolu. Fizycznie prawie się nie zmienił, choć tu i ówdzie pojawiły się ślady siwizny. Oczy wciąż miał spokojne i inteligentne. Niegdyś kochała te oczy i te smukłe długie dłonie zakończone okrągłymi gładkimi paznokciami. Patrzyła, jak przesuwając palcami stronice, jak trzyma wieczne pióro, i nieoczekiwanie odezwała się w niej melancholia. Po krótkiej analizie Julia uznała ten odruch za całkowicie zrozumiały. Dawne uczucia wprawdzie wygasły na zawsze, ale przecież, te dłonie pieściły kiedyś jej ciało. Na jej skórze pozostawił swój ślad każdy, najmniejszy nawet gest Alvara, jego dotyk i ciepło. Kolejne romanse nie były w stanie ich zatrzeć.

Zdołała opanować wzruszenie. Za nic w świecie nie chciałaby teraz dać się omotać nostalgii. Ta kwestia zresztą nie miała zasadniczego znaczenia - przecież nie przyszła tu grzebac się we wspomnieniach - dlatego skupiła uwagę na słowach swojego eks-narzeczonego, nie zaś na nim samym. Pierwsze pięć minut musiało być kłopotliwe. Alvaro spoglądał na nią zamysłony, usiłując odgadnąć, jak wielkiej wagi rzecz przywiodła ją do niego po tylu miesiącach. Po chwili, odprezony i uprzejmy, już uśmiechał się zyczliwie jak stary przyjaciel albo kolega po fachu, gotów przyjść jej z pomocą. Tak dobrze знаła jego profesjonalny spokój, milczenie przerywane co chwila wypowiedzianymi po cichu rzeczowymi uwagami. Tylko raz (wyjawszy moment zdziwienia tuż na początku) dostrzegła w jego oczach cien niepewności, kiedy wyluszczała mu problem z obrazem. Przemilczała jedynie kwestię ukrytego napisu, jako że obydwie z Menchu postanowiły na razie trzymać ten fakt w tajemnicy. Alvaro potwierdził, że zna dobrze malarza, obraz i epokę, w której powstał, nie miał tylko pojęcia, że dzieło będzie wystawione na sprzedaż i że Julii powierzono jego odrestaurowanie. Zapewnił, że nie musi się podpierać kolorowymi zdjęciami, które przyniosła Julia, ma wiedzę o tamtych czasach i przedstawionych na obrazie osobistościach. Mówiąc to, sunął palcem wskazującym po kartkach starej historii średniowiecza w poszukiwaniu daty, skupiony i pozornie obojętny wobec łączącej ich niegdysz zżyłości, która Julia niemal wyczuwała w powietrzu, jakby to był całun jakiejś zjawy. Może on ma identyczne wrażenie - pomyślała. - Kto wie, może ona sama wydaje mu się już zbyt odległa, obojętna?

- Spójrz, tu go masz - odezwał się nagle i Julia uczepliła się zmysłami tego głosu, jak tonący chwytając się kawałka deski, konstatając z ulgą, że nie jest w stanie robić dwóch rzeczy naraz: wspominać dawnego Alvara i słuchać go w tej chwili. Bez trudu przegnała przez nostalgię, a ukojenie na jej twarzy musiało być rzeczywiście ogromne, skoro Alvaro aż uniósł brwi ze zdumienia. Zaraz jednak powrócił do trzymanej w ręku książki. Julia zerknęła na tytuł: "Szwajcaria, Burgundia i Niderlandy w XIV i XV stuleciu."

- Patrz - Alvaro wskazał jakieś nazwisko w tekście, po czym przesunął palec na zdjęcie obrazu, które Julia położyła obok na stole. - FERDINANDUS OST. D. to rodzaj wizytówki tego gracza w czerwonym, po lewej stronie. Van Huys namalował "Partie szachów" w 1471 roku, więc nie możemy mieć żadnych wątpliwości. To Ferdynand Altenhoffen, książę Ostenburga, Ostenhurgensis Dux, urodzony w 1435 roku, a zmarły w... Tak, w 1474. Kiedy pozował do obrazu, miał ze trzydzieści pięć

lat.

Julia wzięła fiszke ze stołu i zanotowała te dane.

- Gdzie leżał Ostenburg?... W Niemczech?

Alvaro potrząsnął głową i otworzył atlas historyczny.

- Ostenburg był księstwem, które pokrywało się mniej więcej z Rodowingia Karola Wielkiego... Leżał tu, na pograniczu francusko-niemieckim, między Luksemburgiem a Flandrią. Przez cały piętnasty i szesnasty wiek książęta ostenburgscy usiłowali zachować niezależność, ale najpierw ich domena wchłonęła Burgundia, a później Austria cesarza Maksymiliana. Dynastia Altenhoffenów wygasła właśnie wraz z tym Ferdynandem, ostatnim księciem Ostenburga, który na obrazie gra w szachy... Jak chcesz, mogę zrobić ci odbitki.

- Będzie wdzięczna.

- Nie ma sprawy. - Alvaro usiadł wygodnie w fotelu, z szuflady biurka wyjął puszkę z tytoniem i przystąpił do nabijania fajki. - Rzecz jasna, dama koło okna, podpisana BEATRIX BURG. OST. D., to nie kto inny, jak Beatrycze Burgundzka, księżna małżonka. Widzisz?... Beatrycze wyszła za Ferdynanda Altenhoffena w 1464 roku, gdy miała dwadzieścia trzy lata.

- Z miłości? - Julia uśmiechnęła się zagadkowo, patrząc na fotografię. Na twarzy Alvara też pojawił się nieco wymuszony uśmiech.

- Niewiele ślubów w tym środowisku zawierano z miłości... Tym małżeństwem wuj Beatrycze, książę Burgundii Filip Dobry, chciał zawiązać z Ostenburgiem sojusz wymierzony przeciwko Francji, która miała apetyt na obydwa księstwa - przyjrzał się zdjęciom i wsunął fajkę w zęby. - Ferdynand Ostenburgski miał szczęście, bo Beatrycze była akurat bardzo piękna. Tak przynajmniej podają "Roczniki burgundzkie" Nicolasa Flavina, najważniejszego kronikarza tamtej epoki. Twój van Huys chyba podziela te opinie. O ile mi wiadomo, malowano ją już wcześniej, bo Pijoan wspomina dokument, z którego wynika, że van Huys był czas jakiś nadwornym malarzem Ostenburga... Ferdynand Altenhoffen przyznaje mu w 1463 roku pensję roczną w wysokości stu funtów, z czego połowę dostawał na świętego Jana, a druga na Boże Narodzenie. W tym samym dokumencie pojawia się zlecenie namalowania portretu Beatrycze, która wówczas była dopiero zaręczona z księciem, bien au vif\* [przyp.: Bien au vif (fr.) - [malowanego] z natury].

- Jest jeszcze jakas wzmianka?

- I to niejedna. Van Huys osiągnął bardzo ważną pozycję - Alvaro wyciągnął teczkę z kartoteki. - Jean Lemaire, w swojej "Couronne Margaritique", napisanej na cześć gubernatorowej Niderlandów Małgorzaty Austriackiej, wspomina Pierre'a z Brugii (czyli van Huysa), Hughesa z Gandawy (van der Goesa) i Dietrica z Leuven (Dietrica Bouts), których wymienia jednym tchem obok króla malarzy flamandzkich Johanna (czyli van Eycka). W poemacie czytamy dosłownie: Pierre de Brugge, qui tant eut les traits utez, "co miał tak czystą kreskę"... Te słowa napisano dwadzieścia pięć lat po śmierci van Huysa - przejrzał uważnie dokumentację. - Ale masz i wzmianki starsze. Na przykład w inwentarzu Królestwa Walencji stoi, że Alfons V Szczęśliwy posiadał dzieła van Huysa, van Eycka i innych zachodnich mistrzów, wszystkie zresztą zaginione... W 1454 roku Bartolomeo Fazio, bliski krewny Alfonsa V, w księdze De viribus illustris, pisze o nim Pietrus Husyus, insignis pictor\* [przyp.: Insignis pictor (lac.) - znakomity malarz.]. Inni autorzy, głównie Włosi, nazywają go Magistro Piero van Huspictori in Brugia. Dalej, Guido Rasofalco w 1470 roku o jego obrazie, który też nie zachował się do

naszych czasów, mianowicie o "Ukrzyżowaniu", wspomina, słowami Opera buona di mano di un chiamato Piero di Juys, pictor famoso in Fiandra\* [przyp.: Opera buona... (wl.) - Przednie dzieło pędzla niejakiego Pietera van Huysa, sławnego malarza z Flandrii.]. Z kolei inny włoski autor, tym razem anonimowy, o zachowanym do dziś obrazie van Huysa "Rycerz i diabeł" pisze: A magistro Pietrus Juisus magno et famoso flandesco fuit depictum\* [przyp.: A magistro... (wl.) - Został namalowany przez mistrza Pietera van Huysa, wielkiego i sławnego Flamanda.]... Dodajmy do tego, że w wieku szesnastym wspominają o nim Guicciardini i van Mander, a w dziewiętnastym James Weale w swoich książkach o wielkich mistrzach flamandzkich - zebrał fiszki, wsunął ostrożnie do teczki i odstawił ją do kartoteki. Następnie zaglebił się w fotelu i popatrzył z uśmiechem na Julie. - Zadowolona?

- I to jak - dziewczyna przeglądała świeżo porobione notatki. Po chwili podniosła głowę, odgarnęła włosy z oczu i popatrzyła zaciekawiona na Alvara. - Można by pomyśleć, że się wcześniej przygotował do wykładu... Jestem normalnie porażona.

Przez twarz profesora przemknął uśmiech. Nie śmiać spojrzeć Julii w oczy, Alvaro wbił wzrok w jedną z leżących na stole fiszek.

- Na tym polega moja praca - odrzekł ni to w zamysleniu, ni to wymijająco. Nie wiedząc za bardzo dlaczego, Julia poczuła się skrepowana.

- Czyli że ciągle jesteś w tej swojej pracy świetny... - spoglądała na niego przez parę sekund z ciekawością, po czym wróciła do notatek. - Mamy sporo wzmianek o autorze i dwóch postaciach... - pochyliła się nad reprodukcją obrazu i położyła palec na drugim graczu.

- Pozostaje ten.

Alvaro, zajęty nabijaniem fajki, przez chwilę nie odpowiadał, marszczył tylko czoło.

- Trudno go precyzyjnie zidentyfikować - powiedział wreszcie, wypuszczając z ust kłęb dymu. - Napis nie jest szczególnie klarowny, aczkolwiek można tu wysunąć pewną hipotezę: RUTGIER AR. PREUX... - zamilkł i zapatrzył się w cybuch fajki, jakby tam spodziewał się znaleźć potwierdzenie własnych słów. - Rutgier może oznaczać Roger, Rogelio albo Rugiero, to imię miało w owym czasie z dziesięć wariantów... Jeżeli Preux to nazwisko albo zawołanie rodowe, wówczas stoimy w ślepiym zaułku, ponieważ kroniki nie wspominają o jakimkolwiek człowieku nazwiskiem Preux, który by się zapisał w dziejach czymś istotnym. Ale słowa preux używano w późnym średniowieczu także jako przymiotnika czy wręcz rzeczownika na oznaczenie kogoś odważnego, rycerskiego. Weźmy chociażby dwa znane przykłady; tak właśnie określano Lancelota i Rolanda... We Francji i w Anglii podczas pasowania na rycerza przypominano formule: soyez preux, czyli: bądź wierny, śmiały. Tym zaszczytnym tytułem mógł się mienić sam kwiat rycerstwa.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Alvaro popadł w ton dobitny, wręcz mentorski, jak zwykle, gdy rozmowa toczyła się wokół zagadnień związanych z jego specjalizacją. Dla Julii była to dość kłopotliwa świadomość, bo budziła w niej wspomnienia, odegnane kiedyś skrupuły w związku z uczuciem, które zagasiło dawno temu w jej prywatnym czasie, w jej przestrzeni, odcisnęło się trwale na jej charakterze. Okruchy innego życia, innej namietności, starannie podminowanej i zniszczonej, odesłanej precz jak książka na najwyższą półkę, żeby tam pokrył ją kurz. Namietności, która jednak ciągle się odzywała.

Śa sposoby, była pewna, żeby się przed tym obronić. Skupić myśli wyłącznie na sprawach bieżących. Mówić, domagać się szczegółów, choćby i niepotrzebnych. Nachylać się nad stołem, niby po to, żeby porobić nowe notatki. Uwierzyć, że obok stoi zupełnie inny Alvaro, co w pewnym sensie było prawdą. Wmówić sobie, że tamto wydarzyło się w odległej epoce, dawno temu i gdzie indziej. Zachowywać się,

czuć, jakby wspomnienia dotyczyły nie ich obydwojga, a innych osób, o których kiedyś się usłyszało, ale których los był im całkowicie obojętny.

Wyjściem z sytuacji mogło być zapalenie papierosa, czego Julia nie omieszkała zrobić. Tytoniowy dym w płucach przywrócił jej wewnętrzną równowagę, pozwolił nieco zobojętnieć. Powolny, mechaniczny rytuał palenia przyniósł jej wyraźne odprężenie. Wreszcie zwróciła się do Alvara gotowa do dalszej rozmowy.

- Zatem jaka to hipoteza? - głos zabrzmiał przekonująco, co znacznie ją uspokoiło. - Z tego, co widzę, jeśli Preux nie jest nazwiskiem, może klucza musimy szukać w skrócie AR.

Alvaro skinął głową. Spowity fajkowym dymem przewracał kartki innej książki, aż trafił na właściwe miejsce.

- Spójrz tu. Roger d'Arras, urodzony w 1431, w tym samym roku, kiedy Anglicy spalili Joannę d'Arc w Rouen. Jego rodzina jest spokrewniona z panującymi we Francji Walezjuszami, sam przyszedł na świat na zamku Bellesang, położonym bardzo blisko księstwa Ostenburg.

- Czyli to może chodzić o drugiego gracza?

- Może. AR. byłoby oczywistym skrótem od Arras. A Roger d'Arras, rzecz potwierdzona we wszystkich kronikach z epoki, walczył w wojnie stuletniej u boku króla Francji Karola VII. Widzisz...? Uczestniczył w odbiciu z rąk Anglików Normandii i Gujenny, w 1450 bierze udział w bitwie pod Formigny, a trzy lata później pod Castillon. Spójrz na rycinę. Może to któryś z nich, na przykład ten żołnierz w opuszczonej przyłbicy, który w ogniu potyczki podaje swojego konia królowi francuskiemu, pozbawionemu właśnie wierzchowca, a sam dalej walczy pieszo...

- Zaskakujesz mnie, profesorze - patrzyła, nie kryjąc zdziwienia. - Cóż za malownicza wizja wojaka w bitwie... Zawsze mówiłeś, że wyobraznia to nowotwór na zdrowej tkance prawdy historycznej.

Alvaro wybuchł szczerym śmiechem.

- Umówmy się, że to moja licentia academica specjalnie dla ciebie. Trudno zapomnieć, że uwielbiasz wychodzić poza suche fakty. Pamiętam, że kiedy obydwoje...

Zamilkł, skonsternowany. Na dźwięk jego słów Julia spochmurniała. Wspomnienia były tym razem zdecydowanie nie na miejscu. Alvaro widząc to, zaczął się wycofywać.

- Przepraszam - szepnął.

- Nie szkodzi. - Julia zdusiła papierosa w popielniczce, parząc sobie przy tym opuszki palców. - W gruncie rzeczy to moja wina - popatrzyła na niego pogodniejszym wzrokiem. - I co z naszym wojakiem?

Z widoczną ulgą Alvaro zapuścił się na ten teren. Roger d'Arras, wyjaśniał, to nie był wojak, miał dużo więcej przymiotów. Był na przykład zwierciadłem cnót rycerskich. Wzorcem średniowiecznego szlachcica. W wolnych chwilach poeta i muzykiem. Bardzo cenionym na dworze swych kuzynów Walezjuszy. Tak więc Preux pasowałoby tu jak ulał.

- A jakieś związki z szachami?

- Źródła milczą na ten temat.

Podniecona opowieścią Julia robiła kolejne notatki. Nagle przerwała i spojrzała na Alyara.

- Jednego nie rozumiem - rzekła, przygryzając koniec długopisu - co w takim razie robi Roger d'Arras na obrazie van Huysa, w dodatku grając w szachy z księciem Ostenburga?

Wyraznie zakłopotany Alvaro poruszył się w fotelu, jakby targnięty nagłą wątpliwością. Ssał fajkę, wpatrywał się w ściany za plecami Julii i najwidoczniej toczył jakąś walkę wewnętrzną. W końcu rozchylił usta w niesmiałym uśmiechu.

- Nie mam pojęcia, co on tam robi poza tym, że gra w szachy. - Uniósł dłonie, dając do zrozumienia, że tu jego wiedza się kończy, Julia jednak była pewna, że patrzy na nią, jakby chciał ją o czymś uprzedzić, tyle że wciąż nie umie ubrać w słowa jakiegoś tłukącego mu się po głowie pomysłu. - Wiem natomiast - odezwał się wreszcie - a wiem to, ponieważ przeczytałem w książkach, otóż wiem, że Roger d'Arras nie zmarł we Francji, a w Ostenburgu. - Po chwilowym wahaniu wskazał palcem zdjęcie obrazu. - Zwróciłaś uwagę na datę powstania dzieła?

- Tysiąc czterysta siedemdziesiąty pierwszy - odparła zaintrygowana. - Dlaczego?

Alvaro wypuścił z ust dym i jakiś suchy dźwięk, przypominający urwany śmiech. Teraz wpatrywał się w Julię, jak gdyby chciał w jej oczach wyczytać odpowiedź na pytanie, którego nie osmielał się zadać. W końcu przemówił.

- Jedna rzecz się nie zgadza. Albo data jest błędna, albo ówczesne kroniki kłamia, albo ten rycerz to nie jest Rutgier Ar. Preux z obrazu... - Wziął do ręki ostatnią księgę, anastatyczny reprint "Kroniki księcia Ostenburga", kartkował chwilę i położył przed Julią. - Napisał to pod koniec piętnastego wieku Guichard d'Hainaut, Francuz żyjący w opisywanych przez siebie czasach, przy czym opierał się na relacjach z pierwszej ręki... Otóż według niego nasz bohater zmarł w święto Trzech Królów 1469 roku, dwa lata przed namalowaniem "Partii szachów" przez Pietera van Huysa. Pojmujesz, Julio...? Roger d'Arras nie mógł pozować do obrazu, bo kiedy ten powstawał, on już dawno nie żył.

Odprowadził ją aż na parking przed wydziałem i wręczył teczkę z odbitkami. Powiedział, że wszystko jest w środku. Historyczne punkty odniesienia, zaktualizowana lista skatalogowanych dzieł van Huysa, bibliografia... Obiecał też, że w miarę wolnego czasu wyśle jej jeszcze chronologię wydarzeń i dalsze dokumenty. Wreszcie zamilkł, stanął z fajką w zębach i dłońmi w kieszeniach kurtki, jakby chciał coś dodać, ale wiedział, że nie powinien. Po krótkim wahaniu dorzucił, że jeszcze kiedyś ma nadzieję się przydać.

Julia przytaknęła z zakłopotaniem. Od usłyszenia dopiero co historii aż kreciło jej się w głowie. Ale nie tylko od tego.

- Zdziwiłeś mnie, profesorze... W niecałą godzinę odtworzyłeś życie postaci z obrazu, którego nigdy przedtem nie badałeś.

Alvaro odwrócił się na moment i zaczął bładzić wzrokiem po miasteczku uniwersyteckim. Skrzywił się.

- Obraz nie był mi tak zupełnie nieznanym. - W jego głosie wyczuła nutkę wątpliwości, co lekko ją zaniepokoiło, choć nie wiedziała dlaczego. Słuchała uważnie, co ma jej do powiedzenia. - Między innymi jest zdjęcie w katalogu muzeum Prado z 1917 roku... "Partia szachów" była tam wystawiona jako depozyt przez jakieś dwadzieścia lat. Od początków wieku do 1923, kiedy to zapomnieli się o niej spadkobiercy.

- Nie wiedziałam.

- No to już wiesz. - Zajął się fajką, która chyba gasła. Julia patrzyła nań z ukosa. Zbyt dobrze go знаła, choć było to w innej epoce, by nie zauważyć, że coś ważnego uwierało go w środku. Coś, czego nie śmiała wypowiedzieć na głos.

- Czego mi nie opowiedziałeś, Alvaro?

Trwał bez ruchu, gryzł fajkę i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. W końcu obrócił się powoli ku Julii.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Chodzi mi o to, że wszystko, co wiąże się z tym obrazem, jest dla mnie ważne. - Spoglądała na niego z powagą. - Gra idzie o wysoką stawkę.

Widziała, jak gryzie ustnik fajki, a na twarzy niepewność ustępuje jej dość dwuznacznej.

- Stawiasz mnie w trudnym położeniu. Twój van Huys jest chyba ostatnio modny.

- Modny? - To słowo obudziło w niej czujność, jakby ziemia miała zaraz zdrzeć pod stopami. - Chcesz mi powiedzieć, że ktoś ci o nim mówił przede mną?

Alvaro uśmiechał się niepewnie. Może żałował tego, co przed chwilą wyznał.

- Niewykluczone.

- Kto?

- Tu leży pies pogrzebany. Nie jestem upoważniony, żeby ci to zdradzić.

- Nie gadaj bzdur.

- To nie są bzdury, ale prawda. - W jego oczach czaiło się błaganie o wyrozumiałość.

Julia westchnęła głęboko usiłując zwalczyć pustkę w żołądku. Gdzieś w środku odezwał się sygnał ostrzegawczy. Alvaro jednak znów zaczął mówić, skupiła się więc, żeby wyciągnąć jakąś wskazówkę. Chciałaby zobaczyć obraz, jeśli Julia nie ma nic przeciwko. Ja sama zresztą też.

- Wszystko ci wyjaśnię - dodał. - W swoim czasie.

W grę może wchodzić podstęp - pomyślała. - Przecież jest w stanie odegrać cały ten teatr tylko pod pretekstem, żeby jeszcze raz się z nią umówić. Spłoszona przygryzła dolną wargę. W jej wnętrzu obraz toczył teraz walkę z emocjami i wspomnieniami, które nijak miały się do celu jej dzisiejszej wizyty.

- Jak tam panska zona? - spytala od niechcenia, tknieta przez zle лихо, i uniosla nieco wzrok, stwierdzajac zlosliwie, ze Alvaro caly zeszywnial.

- Dobrze - odparl oschle. Z namaszcczeniem wpatrywal sie w trzymana w dloni fajke, jakby jej wcale nie rozpoznawal. - Przygotowuje wystawe w Nowym Jorku.

W pamieci Julii odbil sie ulotny refleks: atrakcyjna blondynka w ciemnobrazowym kostiumie, wysiadajaca z samochodu. Niewyraźny, trwajacy ledwie kilkanascie sekund obrazek, z trudem zapamietany, który mimo to zdolal, niby skalpel, jednym zdecydowanym ciecieniem naznaczyc granice miedzy jej mlodoscia a reszta zycia. O ile pamietala, jego zona pracowala dla jakiejś rządowej instytucji, zwiazanej z departamentem kultury, z wystawami i podrózkami. Dzieki temu przez jakis czas bylo im latwiej. Alvaro nigdy o niej nie wspominal, Julia tez nie, obydwójce wyczuwali jednak, ze jest miedzy nimi obecna niczym widmo. I to widmo wlasnie, owe kilkanascie sekund spostrzezone przez przypadek, ostatecznie wygralo mecz.

- Mam nadzieje, ze dobrze sie wam uklada.

- Niezle. To znaczy naprawde niezle.

- Mhm.

Uszli kilka kroków, nie odzywajac sie i nie patrzac na siebie. Wreszcie Julia cmoknela jezykiem i pochytila glowe, usmiechajac sie do siebie.

- Zreszta to juz nie ma znaczenia... - Stanela przed nim, wziela sie pod boki i popatrzyla na niego figlarnie. - Jak mnie teraz znajdujesz?

Niepewny, zmierzyl ja zmrużonymi oczyma od góry do dolu. Zastanowil sie.

- Wygladasz swietnie... Naprawde.

- I jak sie z tym czujesz?

- Mam lekkiego krecka... - Usmiechnal sie smetnie i ze skrucha. - Zadaje sobie pytanie, czy rok temu powziales slusna decyzje.

- I nigdy sie tego nie dowiesz.

- Nie wiadomo.

Wciaz jest atrakcyjny - pomyslala z niepokojem i zloscia, od której az ja skrecilo w srodku. Patrzyla na jego dlonie i oczy, wiedzac, ze balansuje w tej chwili miedzy odraza a ochota.

- Obraz jest u mnie w domu - odparla ostroźnie i niezobowiazujaco, usilujac zebrac mysli. Chciala zachowac osiagnieta z takim bólem zimna krew, aczkolwiek przeczuwala jednoczesnie zwiazane z tym ryzyko, wiedziala, ze bedzie sie musiala miec na baczności przed emocjami i wspomnieniami. Przeciez ponad wszystko wazny byl van Huys.

Dzieki temu rozumowaniu zdolala przynajmniej uporządkowac mysli. Uscisnela wiec dlone, która wyciagnal do niej niezdarnie jak ktos, kto porusza sie po grzaskim gruncie. To dodalo jej otuchy i



napelnilo zlosliwa, skryta radoscia. Z pelnym wyrachowaniem i wyczuciem chwili cmoknela go szybko w usta - ot, zaliczka z martwego funduszu - po czym otworzyła drzwiczki i wsiadła do malego bialego fiata.

- Jak chcesz zobaczyc obraz, przyjdz do mnie - powiedziala, jak gdyby od niechcenia, przekreczajac kluczyk stacyjki. - Jutro po poludniu. I wielkie dzieki.

Jesli chodzi o niego, to w zupelnosci wystarczylo. Widziala w lusterku, jak maleje, machajac w zamysleniu dlonia. Za nim wznosil sie ceglany budynek wydzialu, dalej w tle rozposcieralo sie miasteczko uniwersyteckie. Usmiechnela sie do siebie, gdy przejezdzała skrzyzowanie na czerwonym swietle. Polkniesz haczyk, profesorku - pomyslala. - Nie wiem dlaczego, ale ktos gdzies usiluje zagranc nieczysto. A ty powiesz mi, kto to, albo nie nazywam sie Julia.

Popielniczka na stoliku tuz obok ledwie miescila niedopalki. Julia, rozciagnieta na sofie, czytala przy malej lampce do późna. Z wolna cala historia obrazu, malarza i przedstawionych postaci zaczynala jej sie ukladac w glowie w spójna calosc. Czytala zachlannie kierowana zadza wiedzy, cala w napieciu, zwracala uwage na najdrobniejsze szczegóły w nadziei odnalezienia klucza do tej tajemniczej partii szachów, która w półmroku nadal rozgrywano na sztalugach ustawionych przed sofa.

...Gdy w 1453 roku ustala ich wiez lenna w stosunku do Francji, ksiazeta Ostenburga usilowali lawirowac miedzy Francja, Niemcami i Burgundia. Polityka ostenburska wzbudzila obawy Karola VII francuskiego, ze ksiestwo zostanie wchlonieta przez coraz potezniejsza Burgundie, która próbowala wybic sie na niezalezne królestwo. W zamecie intryg palacowych, kolejnych sojuszy i tajnych ukladow niepokój Francji wzbudzilo szczególnie malzenstwo (1464) Ferdynanda, syna i nastepcy ksiecia Wilhelma Ostenburskiego, z Beatrycze Burgundzka, bratanica Filipa Dobrego i kuzynka przyszlego ksiecia Burgundii Karola Zuchwalego.

W ten sposob, w owych latach decydujacych o przyszlosci Europy, na dworze ostenburskim starly sie dwie tendencje nie do pogodzenia; obóz burgundzki, dazacy do wlaczenia Ostenburga w sklad sasiedniego ksiestwa, oraz obóz francuski, który spiskowal na rzecz unii z Francja. Ciagly konflikt pomiedzy tymi dwiema silami nadal ton burzliwemu okresowi rzadów Ferdynanda Ostenburskiego az do jego smierci w 1474 roku...

Odlozyla teczke na podloge, usiadla na sofie, podciagajac kolana pod brode i objela nogi ramionami. Bylo idealnie cicho. Chwile tak trwala bez ruchu, po czym wstala i podeszla do obrazu. QUIS NECAVIT EQUITEM. Wyciagnela palec, niemal dotykajac miejsca, gdzie znajdowal sie napis, ukryty pod kolejnymi warstwami zielonego barwnika, którego van Huys uzyl do namalowania sukna przykrywajacego stól. "Kto zabil rycerza". W swietle danych dostarczonych przez Alvara to zdanie z obrazu, ledwie oswietlonego przez mala lampke, nabieralo zlowrogiej wymowy. Pochyliwszy sie tuz nad RUTGIER AR. PREUX, czyli byc moze Rogerem d'Arras, Julia nabrala pewnosci, ze chodzi wlasnie o niego. Tu niewatpliwie kryla sie jakas zagadka. Gubila sie tylko w domyslach, jaka role w tym wszystkim odgrywaly szachy. Odgrywaly. Moze wlasnie na tym rzecz polega - na grze.

Zaczynalo ja to nieznosnie draznic, jak wówczas, kiedy musiala siegac po lancet, zeby zdjac nieposluszny werniks. Skrzyzowala rece na karku i zamknela oczy. Gdy je po chwili otworzyła, znów ujrzala przed soba profil nieznanego rycerza zajetego rozgrywka, wyraznie skupionego, o czym

swiadczyl mars na czole. Mial mila powierzchownosc, niewatpliwie musial byc czlowiekiem pociagajacym. Wygladal szlachetnie, otoczony nimbem dostojenstwa, zrecznie podkreślonym przez malarza znakomitym doborem tła. Poza tym głowa Rutgiera znajdowała się w miejscu doskonale odpowiadającym przecięciu linii znanych w malarstwie jako tzw. złote ciecie. Była to reguła kompozycji malarskiej pozwalająca uzyskać równowagę między poszczególnymi postaciami. Stosowali ją jako wzorzec malarze klasycy od czasów Witruwiusza...

I to odkrycie nie wstrzasnęło. Zgodnie z zasadami, gdyby van Huys chciał podczas malowania wyeksponować postać Ferdynanda z Ostenburga - któremu bez wątplenia przynależał ów zaszczyt - usytuowałby go w punkcie złotego ciecica, a nie po lewej stronie kompozycji. To samo dotyczy Beatrycze Burgundzkiej, która nie dość, że siedziała po prawej stronie, to jeszcze na drugim planie, pod oknem. Zatem logicznie rzecz biorąc, główna postać tajemniczej partii szachów był nie książę czy księżna, ale RUTGIER AR. PREUX, zapewne Roger d'Arras. Ale Roger d'Arras nie żył.

Podeszła do regału pełnego książek, nie odrywając przy tym wzroku od obrazu, patrząc nawet przez ramię, jakby się obawiała, że ktoś się tam zaraz poruszy.

- Przeklęty Pieter van Huys - powiedziała prawie na głos - stawia zagadki, które jeszcze pięćset lat później spędzają komus sen z powiek.

Wzięła tom Historii sztuki Amparo Ibanez poświęcony malarstwu flamandzkiemu i zasiadła z powrotem na sofie, kładąc sobie książkę na kolanach. Van Huys, Pieter. Brugia 1415-Gandawa 1481... Zapaliła entego papierosa.

...Nie gardząc strojami, trzosem i marmurami, jakimi otaczano malarza nadwornego, van Huys jest przy tym na wskroś mieszczański, co zdradza codzienny świat malowanych przezeń scen i baczne spojrzenie, przed którym nic nie umknie. Pozostawał pod wpływem Jana van Eycka, a przede wszystkim swojego mistrza Roberta Campina, przy czym udatnie wymieszał te inspiracje, dodając do nich swój typowo flamandzki, spokojny ogląd rzeczywistości. Ponieważ jednak ma skłonności do symbolizmu, w jego dziełach przeto można się doszukać zwielokrotnionych znaczeń (zamknięta szklana butelka i drzwi w murze jako symbole dziewictwa Maryi w Madonnie w kaplicy, gra cieni zlewających się w palenisku w Rodzinie Lucasa Bremera itp.). Van Huys ujawnia swoje mistrzostwo zarówno w ostrych konturach, jakimi zakresła granice postaci i przedmiotów, jak i śmiało podejmując najpoważniejsze wyzwania malarskie epoki - plastyczna organizacja powierzchni obrazu, płynny kontrast między domowym półmrokiem a jasnością dnia, zmienna faktura cienia w zależności od materii, na której się kładła.

Zachowane dzieła: "Portret złotnika" Wilhelma Walhuusa (1448), Metropolitan Museum, Nowy Jork; "Rodzina Lucasa Bremera" (1452), Galeria Uffizi, Florencja; "Madonna w kaplicy" (ok. 1455), muzeum Prado, Madryt; "Wekslarz z Leuven" (1457), kolekcja prywatna. Nowy Jork; "Portret kupca Mathiasa Conzinięgo i jego żony" (1458), kolekcja prywatna, Zurych; "Ołtarz w Antwerpii" (ok. 1461), Wiener Pinakothek; "Rycerz i diabeł" (1462), Rijksmuseum, Amsterdam; "Partia szachów" (1471), kolekcja prywatna, Madryt; "Zstąpienie w Gandawie" (ok. 1478), Katedra św. Bawona, Gandawa.

O czwartej nad ranem Julia skończyła lekturę. W ustach czuła niesmak od wypitej kawy i wypalonych papierosów. Historia malarza, obrazu i trójki postaci wreszcie zaczynała mieć ręce i nogi. To już nie były

zwyczajne wizerunki na debowej desce, ale żywe istoty, które żyły i umarły w konkretnym czasie i w konkretnym miejscu. Malarz Pieter van Huys. Ferdynand Altenhoffen i jego żona Beatrycze Burgundzka. I Roger d'Arras. Julia dokopala się do niezbitego dowodu, że rycerzem z obrazu, owym graczem, który w takim skupionym milczeniu analizował układ na szachownicy, jakby od tego zależało jego życie, był w istocie Roger d'Arras, urodzony w 1431 roku, a zmarły w 1469 w Ostenburgu. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości, jak również co do faktu, że ogniwem łączącym go z pozostałymi dwiema postaciami i z malarzem był w samej rzeczy obraz, sporządzony dwa lata po jego śmierci. Śmierci, której szczegółowy opis miała teraz na kolanach, na fotokopii strony z Kroniki Guicharda d'Hainaut:

...Owo w dniu Poklonu Trzech Królów Roku Panskiego tysiąc czterysta sześćdziesiątego i dziewiątego, skoro z zapadnięciem zmroku nieszczęsny Ruggier d'Arras przechadzał się, jako miał we zwyczaju, według fosy zwanej fosa Wrót Wschodnich, umyślnie wystawiony kusznik strzelał pierś mu skroszył. Ostawszy na miejscu pan d'Arras głosem donosnym spowiednika wołał, nim że jeno nadbiegli mu w sukurs, już ducha wyzionął był przez wielki otwór przez grot uczyniony. Tako zginął zdrzał rycerstwa i szlachcic wyborny, śmierć zaś jego mocno wzruszyła partia francuska w Ostenburgu działająca, której pono nieszczęsnik ów sprzyjał. Po żalonym tym zdarzeniu głosy się podniosły, o zbrodnię te stronników Burgundii obwiniające. Drudzy znowu śmierć tę niesławna przypisywali zachodom miłosnym, których nie szczenił sobie niefortunny pan d'Arras. Owo powiadano i to, że sam książę Ferdynand mógł być utajonym sprawcą śmierci, za trzecią osobą stojącym, a to z powodu, iż nieszczęsny Ruggier zuchwale zapędy ku księżnej Beatrycze miał być poczynić. Hanby takiego podejrzenia książę do samej swojej śmierci zmyć ze siebie nie zdołał. Tako i skończyła się owa smutna historia cała, zabójców przecież nie odnaleziono, po korytarzach ino i po katach powiadano, jakoby czmychneli potężna tarcza czyjas chronieni. Sprawiedliwość zaś pozostawiono ręce Bożej. A nieszczęsny ów Ruggier urodziwy był na ciele i obliczu, mimo wojny toczony w służbie korony Francji, nim do Ostenburga się zwrócił, pod rozkazy księcia Ferdynanda się oddając, z którym pacholeciem jeszcze będąc razem się chował. I bez liku białogłów łzami go zegnało. A miał on trzydziści i osiem wiosen i wszystkie wigor swój, kiedy żywot postradał....

Julia zgasła lampę i siadła w ciemności z głową opartą o sofę, wpatrując się w rozżarzony koniec papierosa, który trzymała w dłoni. Nie mogła stąd dostrzec obrazu, ale wcale nie musiała. Jej oko i mózg dokładnie zarejestrowały wszelkie detale flamandzkiego obrazu. Widziała je doskonale poprzez mrok.

Ziewnęła i potarła dłońmi twarz. Zmęczenie walczyło w niej z euforią. Doświadczała dziwnego uczucia triumfu, wprawdzie niepełnego, ale podniecającego, jak ktoś, kto w połowie długiego wyszyciu już się domyśla, że dotrze do mety. Na razie zdołała uchylić jednego rabka tajemnicy, a tyle jeszcze zostało do wyjaśnienia. Jedno w każdym razie było jasne jak słońce: obraz nie przedstawiał czyjejs fanaberii, nie był zbiegiem okoliczności, ale skrupulatnie przeprowadzonym, zawczasu obmyślonym działaniem, które można zrekapitulować pytaniem: "Kto zabił rycerza?". Ktoś - z przekonania albo ze strachu - zakrył je bądź też kazał zakryć. I tak czy inaczej, Julia te tajemnice rozwikła. W tym momencie, siedząc po ciemku, ślaniając się z niewyspania i zmęczenia, z głową pełną scen średniowiecznych, śladów pedzła, spod których dobiegał świst grotów wypuszczonych po zmierzchu w czyjeś plecy, nie myślała już o restaurowaniu obrazu, ale o oświetleniu jego sekretu. Była w tym szczególna ironia, mówiła do siebie na wpół już senna, że kiedy wszystkie postacie tej historii dawno w proch się obróciły w swoich grobach, ona zdobędzie odpowiedź na pytanie, które pewien malarz flamandzki nazwiskiem Pieter van Huys rzucił jej jak wyzwanie, a które ona usłyszała po pięciuset latach.

## II. Lucynda, Oktawio, Scaramuccio

Wygląda to zupełnie jak wielka szachownica

- powiedziała wreszcie Alicja.

Lewis Carroll, O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra,

(przel. Maciej Słomczyński)

Dzwonek u drzwi zaczął dzwieczeć, kiedy tylko Julia przekroczyła próg antykwariatu. Wystarczyło kilka kroków, by wejść na powrót w przyjazny, tak dobrze znany, spokojny świat. Jej pierwsze wspomnienia wiązały się z tym złotawym światłem padającym na zabytkowe meble, barokowe rzeźby w drewnie i kolumny, masywne orzechowe sekretery, cacka z kości słoniowej, gobeliny, porcelane i spatinowane obrazy, na których poważne, przygnębione postacie od wielu lat kontemplowały swoje zabawy dziecięce. Wiele przedmiotów tymczasem znalazło już kupców, na ich miejsce pojawiły się nowe, ale salki antykwariatu nadal mieniły się wszelkimi kolorami, a jasność dnia wciąż ślizgała się po antykach porostawianych w harmonijnym nieładzie. Wnętrze było pstrokate jak porcelanowe figurki z *commedii dell'arte* sygnowane przez Bustellego - Lucynda, Oktawio i Scaramuccio - prawdziwa duma Cezara i ulubione zabawki Julii, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Może dlatego antykwariusz nigdy nie chciał się ich pozbyć, ciągle przechowywał je na zapleczu w gablocie koło okna z witrażem, które wychodziło na wewnętrzny dziedziniec sklepu, gdzie zwykli czytali - Stendhala, Manna, Sabatiniego, Dumasa, Conrada - w oczekiwaniu dzwonka zwiastującego przybycie klienta.

- Cześć, Cesar.

- Cześć, księżniczko.

Cesar miał ponad pięćdziesiąt lat - Julii nigdy nie udało się wydobyc z niego dokładnego wieku - i wesole, kpiące oczy, które upodabniały go do swawolnego chłopczyka, odnajdującego największą przyjemność w robieniu na złość światu, w jakim przyszło mu żyć. Swoje białe włosy starannie układał w fale (podejrzewała, że od lat je sobie farbując) i nadal zachowywał wspaniałą sylwetkę, może nieco szeroka w biodrach, co umiał jednak przykryć ubiorami wybornego kroju, którym zasadniczo można było zarzucić co najwyżej to, że są zbyt śmiałe jak na jego wiek. Nigdy nie nosił krawata, nawet na najwytworniejsze okazje zakładał znakomite chustki włoskie zawiązane pod szyją przy jednocześnie lekko rozpiętych koszulach, nieodmiennie z jedwabiu, z inicjałami właściciela wyhaftowanymi niebieską lub białą nitką tuż pod sercem. Oprócz tego legitymował się kulturą na rzadko spotykanym poziomie. A już u nikogo, tak jak u niego, nie sprawdzała się zasada, że najbardziej wyrafinowana kurtuazja oznacza u osób dystyngowanych wyraz skrajnej pogardy wobec innych. W otoczeniu antykwariusza (być może należało rozszerzyć zakres tego pojęcia na całą ludzkość) Julia była jedynym człowiekiem, którego obejmowała

owa kurtuazja, a pogarda omijała. Działo się tak, ponieważ od kiedy sięgała pamięcią, antykwariusz stanowił dla niej przedziwne połączenie ojca, powiernika, przyjaciela i przewodnika duchowego, choć nie był żadnym z nich z osobna.

- Mam problem, Cesar.

- Przepraszam. W takim razie mamy problem. Opowiedz mi po kolei.

I Julia opowiedziała. Nie pominęła niczego, nawet ukrytego napisu, na który antykwariusz zareagował zwykłym uniesieniem brwi. Siedzieli przy oknie na patio, Cesar założył prawą nogę na lewą i pochylił się lekko ku Julii, położywszy niedbale jedną dłoń ze wspaniałym, oprawnym w złoto topazem na palcu, na drugiej, opiętej zegarkiem marki Patek Philippe. To była jego typowa poza, nie wystudiowana, w każdym razie od dawna nabrała charakteru naturalnego. Dzięki niej usiłował tyłu młodzieńców w rozterce, szukających wyrafinowanych przemyśleń, tyłu malarzy, rzeźbiarzy i raczkujących artystów, którym patronował wytrwale i z oddaniem - i należało mu przyznać, że oddanie to miało zawsze dłuższy żywot niż krótkotrwały związek czysto uczuciowy.

"Życie jest krótkie, a piękno ulotne, księżniczko - Cesar lubił przyjmować konfidencjonalny ton, zniżający się niemal do szeptu, i wygłaszać podobnie melancholijne uwagi podszyte szyderstwem. - Byłoby niesprawiedliwe być pięknym na wieki... Cudownie jest nauczyć latać małego wróbelka, bo jego wolność zawiera w sobie twoją rezygnację... Chwytasz niuans tej paraboli?"

Kiedys, gdy zarzucił jej, na polu z dumą, na polu z rozbawieniem, że urządza mu sceny zazdrości, sama otwarcie przyznała, że nie wie, czemu wściekały ją te trzepoczące wokół niego wróbelki. Hamowała się jednak, bo darzyła antykwariusza głębokim uczuciem i była z gruntu przekonana, że każdy ma absolutne prawo wieść życie według własnych upodobań. Menchu mawiała, jak zwykle obcesowo: "Cierpisz, kotek, na kompleks Elektry przebranej za Edypa albo na odwrót...". Parabole Menchu, inaczej niż u Cesara, często bywały upiornie dosadne.

Kiedy Julia skończyła opowiadać o obrazie, antykwariusz trwał jeszcze chwilę w milczeniu, dumając nad całą historią, wreszcie skinął głową. Nie wyglądał na oszalonego - na polu sztuki w jego sytuacji mało co mogło go oszaleć - ale zartobliwy błysk w oku ustąpił miejsca isierce niejakiego zainteresowania.

- Intrygujące - powiedział i Julia od razu poczuła, że może na niego liczyć. Od kiedy sięgała pamięcią, to jego słowo stawało się zaproszeniem do spisku, otwierało brame przygody tropami tajemnicy: jakiegoś skarbu piratów ukrytego w skrzyni komody izabelińskiej (która ostatecznie sprzedał Muzeum Romantyzmu) albo przypisywanej Ingres'owi, zmyślonej historii pewnej damy ubranej w koronki, której kochanek, oficer huzarów, zginął pod Waterloo krzycząc jej imię podczas szarży... Tak właśnie Cesar prowadził Julię za rękę poprzez sto przygód, sto różnych żywotów, a ona dzięki niemu za każdym razem uczyła się doceniać piękno, oddanie i czułość. Ich spotkania były też lekcjami delikatnej, dojmującej rozkoszy obcowania z dziełami sztuki, czy to z przeswitującą fakturą porcelany, czy ze skromnym promykiem słońca padającym na ścianę w postaci tęczowego wachlarza, będącego efektem rozszczepienia w szkle.

- Po pierwsze - mówił Cesar - trzeba się uważnie przyglądać temu obrazowi. Może cię odwiedzić jutro wieczorem, powiedzmy koło wpół do ósmej.

- Zgoda - odparła ostrożnie. - Ale możesz się natknąć na Alvara.

Jezeli jej slowa zaskoczyly antykwariusza, nie dal tego po sobie poznac. Skrzywil tylko usta w okrutnym uśmiešku.

- Cudownie. Juz dawno tego wieprza nie widzialem, z wielka radoscia wiec zanurze wen zatrute strzaly pod postacia subtelných peryfraz.

- Cesar, blagam.

- Nie obawiaj sie, kochanie. Zwazywszy na okolicznosci, okaze przychylnosc... Dostane stygmatów, tak, ale nie zbrukam krwia twojego perskiego dywanu. Który po prawdzie i tak wymaga czyszczenia.

Popatrzyła na niego z rozczuleniem i chwycila za dlonie.

- Kocham cie, Cesar.

- Wiem. To normalne, prawie wszyscy to czuja.

- Dlaczego tak nienawidzisz Alvara?

Slyszac to idiotyczne pytanie, spojrzal na nia z lekkim wyrzutem.

- Przysporzyl ci cierpien - odparl z powaga. - Gdybys tylko pozwolila, bylby w stanie wylupic mu oczy i rzucic psom walesajacym sie po zakurzonym trakcie tebanskim. Gest bardzo klasyczny. Ty odegralabys chór. Wygladalabys pieknie w peplosie, wznoszac nagie ramiona ku Olimpowi, skad dobiegaloby chrapanie pijanych w sztok bogów.

- Ozen sie ze mna. Natychmiast.

Cesar ujal jej dlon i lekko musnal ustami.

- Jak dorosniesz, ksiezniczko.

- Jestem dorosla.

- Jeszcze nie. Ale kiedy juz bedziesz dorosla. Wasza Wysokosc, osmiele sie wyznac, ze cie kochalem. I ze przebudziwszy sie, bogowie nie odebrali mi wszystkiego. Tylko królestwo. - Zamyslil sie na chwile. - Co, jesli dobrze to przemyslec, jest naprawde drobnostka.

Byl to dialog bardzo bliskich sobie osób, pelen wspomnien, tylko dla nich obydwójga czytelnych kluczy, starych jak ich przyjazn. Zastygli w milczeniu, któremu towarzyszylo tykanie stuletnich zegarów, przezuwajacych czas w oczekiwaniu nowego wlasciciela.

- Reasumujac - odezwal sie w koncu Cesar - o ile dobrze zrozumialem, chodzi o rozwiklanie zagadki morderstwa.

Julia spojrzala na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego tak to nazywasz?

- A dlaczego nie? Do tego się w gruncie rzeczy cała sprawa sprowadza. I nie robi dużej różnicy, że do morderstwa doszło w wieku piętnastym...

- Tak, ale samo słowo "morderstwo" rzuca na obraz jakies złowrogie światło. - Uśmiechnęła się niespokojnie.

- Może wczoraj w nocy byłam zbyt zmęczona, żeby spojrzeć na niego od tej strony, ale dotychczas traktowałam zagadkę w kategoriach gry. Cos w rodzaju rozszyfrowania rebusu... Sprawa osobista. Dyktowana miłością własną.

- I...?

- A ty jakby nigdy nic mówisz po prostu o rozstrzygnięciu zagadki prawdziwego morderstwa i dopiero teraz dociera do mnie... - Zamilkła na moment z otwartymi ustami, jak gdyby zatrzymała się na krawędzi przepaści. - Masz pojęcie? Ktos zamordował albo kazał zamordować Rogera d'Arras w święto Trzech Króli tysiąc czterysta szesćdziesiątego dziewiątego roku. Tożsamość zabójcy stanowi element obrazu. - Cała podniecona wyprostowała się w krzesle. - Moglibyśmy rozwiązać tajemnice sprzed pięciu wieków... A może wręcz przyczynę, dla której jakiś fragmencik historii Europy przebiegł właśnie tak, a nie inaczej... Pomyśl tylko, jaka wycena może uzyskać "Partia szachów", jeśli uda nam się udowodnić tę całą historię!

Wstała i oparła dłonie o różowy marmur blatu. Antykwaryusz kiwał głową, początkowo ze zdumieniem, teraz z podziwem.

- Miliony, kochana - przyznał i westchnął pod naporem oczywistości. - Duzo milionów - dodał z przekonaniem. - Przy odpowiedniej promocji Claymore może podwyższyć cenę wywoławczą trzykrotnie albo i czterokrotnie... Istny skarb ci się trafił. Naprawdę.

- Musimy porozmawiać z Menchu. I to zaraz.

Na twarzy Cesara pojawił się grymas pełnej nadszarpnięcia niechęci. Antykwaryusz pokręcił głową.

- Ach, co to, to nie, najdroższa. Nawet mi nie wspominaj o tej lampucerze. Nie chce mieć nic wspólnego z twoją Menchu. Zostane za barierką, jak pomocnik toreadora.

- Nie bądź niemadry. Potrzebuje cie.

- Alez jestem do twojej dyspozycji, kochanie. Tylko nie kazał mi się spoufalac z tą odpacykowaną Neferetiti i jej kolejnymi sterczycielami, czyli, nazywając rzecz po imieniu, alfonsami. Twoja przyjaciółeczka przyprawia mnie o migrenę. - Dotknął palcem skroni. - Dokładnie w tym miejscu. Widzisz?

- Cesar...

- W porządku, poddaje się. Vae victis\* [przyp.: Vae victis! (łac.) - Biada zwycięzonym!]. Spotkam się z twoją Menchu.

Ucałowała go głośno w gładko wygolone, pachnące mirra policzki. Cesar zaopatrywał się w perfumy w

Paryżu, a w chustki w Rzymie.

- Kocham cie, mój antykwariuszu. Bardzo.

- Pochlebstwo. Zwyczajne pochlebstwo. I ty chcesz, zebym dal sie na to wziac? W moim wieku?

Menchu tez kupowala perfumy w Paryżu, ale mniej dyskretne niz Cesar. Szybko przemierzala hol hotelu Palace, a przed nia, niczym herold, unosil sie zapach "Rumby" Balenciagi. Byla sama, bez Maxa.

- Mam nowiny. - Nim usiadla, dotknela palcem nosa i parokrotnie wciagnela krótko powietrze. Przed chwila odbyla krótka wizyte techniczna w toalecie, na górnej wardze wciaz miala drobinki bialego proszku. Julia domyslila sie, ze wlasnie z tego powodu jej przyjaciółka jest taka zwawa i rozszechbiotana. - Don Manuel czeka na nas, zebyśmy przyjechaly obgadac sprawe.

- Don Manuel?

- Wlasciciel obrazu. Zapomniałas, gluptasku? Mój uroczy staruszek.

Zamówily slabe drinki. Julia poinformowala Menchu o wynikach dochodzenia. Jej przyjaciółka zrobila oczy jak spodki i w mig zaczela obliczac procenty.

- To zmienia postac rzeczy. - Oparta lokciami o bialy obrusik, szybko rachowala na palcach zakonczonych pomalowanymi na czerwono paznokciami. - Piec procent dla mnie to troszke za malo, wiec chyba pogonie tych z Claymore'a: z pietnastu procent prowizji od ceny sprzedazy na aukcji siedem i pół dla nich, siedem i pół dla mnie.

- Nie zgoda sie. To znacznie ponizej ich normalnego zysku.

Menchu wybuchla smiechem z kieliszkiem przy ustach. Nie to nie. Sotheby's i Christie's tylko czekaja, zawyliby z rozkoszy, gdyby mogli rozporzadzac van Huyssem. Dla Claymore'a to wóz albo przewóz.

- A wlasciciel? Twój staruszek tez moze miec cos do powiedzenia. Nie przyszlo ci do glowy, ze moze zechciec sam sie dogadac z Claymore'em? Albo z kims innym?

Menchu usmiechnela sie chytrze.

- Nie moze. Podpisal mi papierek. - Pokazala swoja krótka spódniczke, odslanjaca w calej okazalosci nogi w ciemnych ponczochach. - Poza tym, jak widzisz, mam na sobie mundur polowy. Mój don Manuel wpadnie w sidla, albo jestem zakonnica. - Skrzyzowala i znów wyprostowala nogi na uzytek meskiej klienteli hotelu, jakby chciala sprawdzic efekt, po czym zadowolona zajela sie swoim kieliszkiem. - Ty natomiast...

- Ja chce półtora z twoich siedmiu i pół.

Menchu az krzyknela wnieboglosy. - To kupa pieniedzy - rzucila oburzona. Trzy, cztery razy wiecej, niz bylo uzgodnione za odrestaurowanie. Julia, nie przerywajac przyjaciółce, spokojnie wyjela z torebki paczke chesterfieldów i zapalila.

- Nie zrozumialas mnie - tłumaczyła, wypuszczajac dym. - Moje honorarium bedzie potracone od ceny,



jaka don Manuel uzyska podczas aukcji... A dodatkowy procent odliczymy od twojego dochodu. Jeśli obraz pójdzie za sto milionów, Claymore dostanie siedem i pół miliona, ty szesc, a ja półtora.

- Proszę, proszę. - Menchu kreciła z niedowierzaniem głowa. - A taka niby skromna, nic, tylko pedzelki i werniksy. Taka bezbronna.

- Sama widzisz. Kochajmy się jak bracia, a nie jak siostry.

- Przysięgam, to jakiś koszmar. Własna piersia wykarmilam zmije, jak Aida. A może Kleopatra...? Nie podejrzewałam, że jesteś taka dobra w procentach.

- Postaw się na moim miejscu. W ostatecznym rozrachunku to ja odkryłam ten numer. Tymi raczkami. - Pomachała dłońmi przed nosem przyjaciółki.

- Wykorzystujesz fakt, że mam miękkie serce, mała gadzino.

- Serce to ty masz miękkie, ale dla twardych facetów.

Menchu westchnęła melodramatycznie. No cóż, oznacza to odjęcie Maxowi chleba powszedniego od ust, ale jakos się pewnie dogadają. W końcu przyjaciółki to przyjaciółki, W tym momencie zerknęła w stronę wejścia do baru i zrobiła konspiracyjną minę. No jasne. O wilku mowa.

- Max?

- Nie bądź niemila. Max to anioł, a nie wilk. - Strzeliła wymownie oczami w stronę drzwi, chcąc, żeby i Julia zerknęła ukradkiem. - Właśnie wszedł Paco Montegrifo z Claymore'a. I nas zobaczył.

Montegrifo był dyrektorem domu aukcyjnego Claymore w Madrycie. Wysoki, przystojny, pod czterdziestkę, ubierał się z elegancją włoskiego księcia. Przedziałek miał równie nienaganny, co krawaty, a w uśmiechu odsłaniał galerię zębów zbyt doskonałych, by mogły być prawdziwe.

- Dzień dobry paniom. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności...

Stał obok ich stolika, tymczasem Menchu dokonywała prezentacji.

- Widziałem niektóre pani prace - zwrócił się do Julii, skoro tylko zorientował się, że to ona zajmuje się van Huyssem. - Mam na to jedno słowo: idealne.

- Dziękuję.

- Ależ nie ma za co. Nie mam wątpliwości, że "Partia szachów" będzie na równie wysokim poziomie. - Znowu uśmiechnął się zawodowo, demonstrując szereg białych zębów. - Wiążemy z tym obrazem wielkie nadzieje.

- My też - odezwała się Menchu. - Większe, niż pan podejrzewa.

Montegrifo z pewnością wyczuł szczególny ton w jej głosie, bo w orzechowych oczach pojawił się błysk czujności. Głupi nie jest - pomyślała natychmiast Julia. Licytator wskazał wolne krzesło. Jest z kims umówiony, ale tamci kilka minut mogą zaczekać.

- Można?

Odesłał gestem zbliżającego się kelnera i siadł naprzeciwko Menchu. Był wciąż nieskazitelnie serdeczny, ale jednocześnie wyczekujący i skupiony, jakby starał się pochwycić jakąś odległą, fałszywą nutę.

- Jakis problem? - zapytał spokojnie.

Właścicielka galerii pokręciła głową. Zasadniczo żaden problem. Nie ma powodów do niepokoju. Po Montegrifio nie widac było jednak niepokoju, raczej uprzejme zainteresowanie.

- Być może - dodała Menchu po chwili wahania - trzeba będzie renegocjować warunki umowy.

Nastąpiła kłopotliwa cisza. Montegrifio spoglądał na nią, jakby nie potrafiła zachować się przyzwoicie w trakcie licytacji.

- Droga pani, Claymore to poważna instytucja.

- Nie wątpię - odparła z niezmaconym spokojem Menchu. - Ale badanie przeprowadzone na van Huysie odsłoniło istotne fakty, które zmieniają wartość obrazu.

- Nasi rzeczoznawcy nie znaleźli niczego.

- Badanie zostało przeprowadzone już po waszej wycenie. Nowe odkrycia... - tu Menchu znów się zawałała, co nie umknęło uwadze Montegrifa - nie są widoczne gołym okiem.

Montegrifio zwrócił się zamysłony ku Julii i spojrzał na nią lodowatym wzrokiem.

- Co pani znalazła? - spytał cicho jak spowiednik, który chce ulżyć czyjemuś sumieniu.

Julia popatrzyła niezdecydowanie na Menchu.

- Nie sądzę, że bym...

- Nie jesteśmy upoważnione - przyszła jej w sukurs Menchu. - Przynajmniej na razie. Przedtem musimy otrzymać wskazówki od naszego klienta.

Montegrifio powoli pokręcił głową, po czym, jak przystało na człowieka światowego, wstał bez pośpiechu.

- Pojmuję. Panie wybacza.

Chciał jeszcze coś dorzucić, ale tylko popatrzył na Julię z zaciekawieniem. Nie wyglądał na zaniepokojonego. Odchodząc, wyraził jedynie nadzieję - słowa kierował do Menchu, ale nie odrywał oczu od Julii - że odkrycie, jak to nazywają, nie naruszy zawartej umowy. Następnie, składając wyrazy uszanowania, oddalił się pomiędzy stolikami do drugiego końca sali, gdzie siedziała para wyglądająca na cudzoziemców.

Menchu gapiała się w swój kieliszek ze skruszoną miną.

- Pańnelam gafe.

- Dlaczego? Przedziej czy później musiał się dowiedzieć.

- Wiem. Ale nie znasz Paca Montegrifa. - Upila drinka spozierajac na dyrektora przez szklo kieliszka. - Widzisz go, jaki gladki i wymuskany, a gdyby tylko znal don Manuela, zaraz pognalby do niego, zeby wywieszyc, o co chodzi, i nas wycyckac.

- Tak sadzisz?

Menchu zasmiala sie z sarkazmem. Zyciorys Paca Montegrifa nie stanowil dla niej tajemnic.

- Ma facet gadke i ma klase, nie ma za to skrupulow i potrafi wyczuc interes na czterdziesti kilometrow. - Cmoknela pelna podziwu. - Podobno nielegalnie wywozi dzieła sztuki za granice i umiejetnie przekupuje wiejskich proboszczow.

- Mimo wszystko robi przyjemne wrazenie.

- Z tego zyje. Z robienia wrazenia.

- Jednego nie rozumiem: skoro tyle o nim wiesz, dlaczego nie poszlas do innego domu aukcyjnego?

Wlascicielka galerii wzruszyla ramionami. Zna jego zycie i dzieła, ale to nie ma tu znaczenia. Zarzad Claymore'a jest bez zarzutu.

- Spalas z nim?

- Z Montegrifem? - wybuchla smiechem. - Nie, kotek. Zupelnie nie jest w moim typie.

- Wydaje mi sie, ze jest atrakcyjny.

- Jestes w takim wieku, slicznotko. Ja wole lajdakow niepolerowanych, jak Max, takich, ktorzy w kazdej chwili moga mnie dzielic po pysku... Sa lepsi w lozku i na dluzsza mete wychodza mnie taniej.

- Panie sa oczywiscie za mlode.

Pili kawe przy stoliku z chinskiej laki, stojacym kolo okna z mnostwem gestych zielonych roslin w doniczkach. Ze starego gramofonu dobiegaly dzwieki Musikalisches Opfer Bacha. Chwilami don Manuel Belmonte przerywal, jakby nagle jego uwage przyciagnal ktorys fragment, i zasluchiwal sie, lekko bebniac do taktu palcami po niklowanym oparciu wozka inwalidzkiego. Czolo i wierzch dloni szpecily mu starcze plamy, przez skore zas nadgarstkow i szyi przeswitzylaly niebieskawe zylki.

- To sie zdarzylo chyba okolo roku czterdziestego, czterdziestego ktoregos... - dodal, a jego suche, spekane wargi ulozily sie w smutny usmiech. - Nadeszly zle czasy, sprzedalismy prawie wszystkie obrazy. Nie zapomne przede wszystkim jednego Munozza Degraina i jednego Murilla. Moja biedna Ana, swiec, Panie, nad jej dusza, nigdy nie doszla do siebie po tym Murillu. Przecudna Madonna, nieduza, bardzo podobna do tych z Prado... - Przymknal oczy, chcac pewnie przywolac obraz z zakamarkow wspomnien. - Kupil ja jakis wojskowy, ktory pozniej zostal ministrem... Garcia Pontejos, o ile dobrze pamietam. Potrafil wykorzystac sytuacje, bezwstydnik jeden. Zaplacyl nam jakies nedzne grosze.

- Domyslam sie, ze ta historia musiala sprawic panu ból - w glosie Menchu slychac bylo pelne zrozumienie. Siedziala naprzeciwko Belmontego i prezentowala swoje nogi w pelnej krasie. Inwalida skinal glowa z rezygnacja, która towarzyszyła mu od lat. Podobnego wyrazu twarzy nabiera sie wylacznie kosztem własnych złudzen.

- Cóż bylo robic? Po wojnie, kiedy utracilem dyrygenture w Orkiestrze Madryckiej, opuscili nas nawet przyjaciele i rodzina mojej zony. Takie byly czasy: kto nie z nami, ten przeciw nam... A ja nie bylem z tamtymi.

Przerwal na chwile. Jego uwage zaprzatnela znów muzyka plynaca z rogu pokoju, z miejsca, gdzie lezaly stopy starych plyt, a na scianie wisialy identycznie oprawione grafiki z podobiznami Schuberta, Verdiego, Beethovena i Mozarta. Nagle na nowo popatrzył na Julie i Menchu, mrugając przy tym ze zdziwieniem oczami, jakby powracal z daleka i nie spodziewal sie napotkac tu nikogo.

- A później doszły moje skrzepy i sytuacja jeszcze bardziej sie skomplikowala. Na szczescie byl spadek dla mojej zony, którego nikt nie mógł jej odebrac. Udalo nam sie zachowac ten dom, pare mebli i kilka dobrych obrazów, miedzy innymi "Partie szachów". - Spojrzal melancholijnie w strone pustego miejsca na scianie salonu, golego haczyka, prostokatnego sladu po ramie na tapecie i pogladzil sie po podbródku, gdzie znac bylo nieco bialych włosków, które zdolaly uniknac brzytwy. - To byl zawsze mój ulubiony obraz.

- Po kim panstwo go odziedziczyli?

- Po wujecznym dziadku z bocznej galezi rodziny, Moncada. Moja tesciowa byla z domu Moncada. Jeden z jej przodków, Luis Moncada, piastowal urzad intendenta na dworze ksiecia Parmy Alessandra Farnese w tysiac piecset któryms roku... I ten don Luis byl zdaje sie milosnikiem sztuki.

Julia zajrzala do dokumentacji lezacej na stoliku pomiedzy filizankami z kawa.

- Tu mam: "nabyty w 1585 roku, zapewne w Antwerpii, po kapitulacji Flandrii i Brabancji...".

Starzec skinal glowa z taka mina, jakby sam byl swiadkiem odleglych wydarzen.

- Tak. Moze byl lupem zdobytym po zajeciu miasta. Oddzialy, które zaopatrywal przodek mojej zony, raczej nie skladaly sie z ludzi, co to pukaja do drzwi i podpisuja pokwitowanie odbioru.

Julia przegladala papiery.

- Brak adnotacji dotyczacych lat wczesniejszych - rzekla. - Czy pamieta pan moze jakas historie rodzinna zwiazana z obrazem? Ustna tradycja, te sprawy. Przydalby sie kazdy slad.

Belmonte zaprzeczyl.

- Nie, raczej nie. Rodzina mojej zony zawsze o "Partii szachów" mówila Obraz flamandzki albo Obraz Farneszusa, moze zeby utrwalic wspomnienie o jego nabyciu... Pod takim wrecz tytulem "Partia" figurowala przez prawie dwadziescia lat, kiedy byla oddana w depozyt do Prado, do chwili gdy, dzieki Primo de Riverze, przyjacielowi rodziny, ojciec mojej zony odzyskal obraz w roku dwudziestym trzecim... Mój tesc zawsze mial wielka slabosc do van Huysa, bo byl wielbicielem szachów. Dlatego kiedy obraz przeszedl w posiadanie jego córki, nigdy nie powzialesm ochoty, zeby go sprzedac.

- A teraz? - zapytała Menchu.

Gospodarz chwile milczał, wpatrując się w swoją filiżankę, jak gdyby w ogóle nie dosłyszał pytania.

- Teraz sprawy wyglądają inaczej. - Popatrzył na nią bystro, acz powściągliwie, najpierw na Menchu, później na Julię. Można by rzec, że sam się z siebie naigrawał - Ze mnie jest już stary rupiec, przecież to widac. - Trzepnął się po na wpół bezwładnych nogach. - Moja bratanica Lola i jej mąż opiekują się mną, a ja powinienem się jakos odwdzieczyc. Nie sadza panie?

Menchu wymamrotała jakies przeprosiny. Nie zamierzała być niedyskretna. To są oczywiście sprawy rodzinne.

- Alez proszę nie przepraszać, nic nie szkodzi. - Belmonte uniósł dwa palce w geście przyzwolenia, może nawet odpuszczenia. - Normalna rzecz. Obraz wart jest dużo, ale wisząc w domu, do niczego się nie przydaje. A bratanica z mężem mówią, że drobna pomoc z mojej strony by im się przydała. Loli przysługuje renta po ojcu, lecz jej mąż Alfonso... - W jego utkwionych w Menchu oczach czaiła się prośba o wyrozumiałość. - Już go pani poznała. Chwili nie przepracował w swoim życiu. Ja zaś... - Na usta starca powrócił kpiący uśmiech. - Gdybym paniom powiedział, ile muszę co roku odprowadzić fiskusowi tylko za to, że posiadam ten dom i że w nim mieszkam, to by paniom skóra scierpła.

- To dobra dzielnica - zauważyła Julia. - I ładny dom.

- Owszem, a moja emerytura jest śmiesznie niska. Dlatego właśnie od jakiegoś czasu wyprzedaje trochę wspomnienia... Obraz da nam nieco wytchnąć.

Zadumał się poruszając powoli głową, ale nie sprawiał wrażenia kompletnie zalamanego. Raczej chyba bawiła go sytuacja, w której odnajdywał być może jakieś elementy humorystyczne. Siegając do paczki po papierosa, Julia napotkała jego przebiegłe spojrzenie i doznała ośnienia. Coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na zwykłe lupiestwo ze strony pozbawionych sumienia krewnych, dla niego stanowiło być może przedmiot laboratoryjnego doświadczenia nad rodzinną zachłannością: "stryju to, stryju tamto, trzymasz nas tu jak jakichś niewolników, twoja emerytura wystarcza za ledwie na pokrycie podstawowych wydatków, lepiej by ci było w przytulku razem z ludźmi w twoim wieku; pomysleć, że te obrazy tak bezużytecznie zajmują miejsce na ścianie...". Teraz, dzięki manewrowi z van Huyssem, Belmonte mógł czuć się bezpieczny. Po latach upokorzeń przejmował wręcz inicjatywę. Sprzedając obraz, mógł uregulować rachunki z bratanicą i jej mężem.

Zawahał się, widząc, że dziewczyna częstuje go papierosem, i uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Nie powinienem. Lola pozwala mi najwyżej na jedną kawę z mlekiem i jednego papieroska dziennie...

- Do diabła z Lola - przerwała Julia bezceremonialnie i aż sama się zdziwiła. Menchu popatrzyła na nią z oburzeniem, ale gospodarz wcale się nie obruszył. Przeciwnie, w jego spojrzeniu skierowanym ku Julii zamigotała porozumiewawcza iskierka, która jednak zaraz zgasła. Starzec sygnalizował koscistymi palcami po papierosa.

- Jeśli chodzi o obraz - Julia pochyliła się nad stołem, żeby podać Belmontemu ogień - pojawiła się rzecz nieprzewidziana...

Emeryt wciągnął z rozkoszy dym w płuca, zatrzymując go tam tak długo, jak to było możliwe, i zerknął na nią spod przymrużonych powiek.

- Dobra czy zła?

- Dobra. Pod farba znajduje się napis z epoki. Odsłoniecie go podwyższa wartość obrazu. - Uśmiechnęła się i usiadła wygodnie na krześle. - Do pana należy decyzja.

Belmonte popatrzył na Menchu, potem na Julię, jakby dokonywał jakichś tajemniczych porównań albo wahał się wobec kogo ma pozostać lojalny. Wreszcie podjął decyzję, zaciągnął się głęboko papierosem i z zadowoleniem na twarzy położył dłonie na kolanach.

- A pani to jest nie tylko ładna, ale i sprytna - odezwał się do Julii. - Jestem pewien, że też lubi pani Bacha.

- Uwielbiam.

- To proszę mi zdradzić szczegóły.

I Julia zdradziła jej.

- Patrzcie państwo. - Belmonte krecił głową po długim, pełnym niedowierzania milczeniu. - Tyle lat, dzień po dniu, patrzyłem na ten obraz i ani przez chwilę się nie domyslałem... - Zerknął na ślad po van Huisie na ścianie i przymknął powieki z wesołym uśmiechem. - Czyli, że nasz malarz lubił zagadki...

- Na to wygląda - odparła Julia. Belmonte wskazał gramofon, z którego wciąż płynęła muzyka.

- Nie on jeden. Kiedyś często zdarzały się dzieła sztuki ze zgadywankami i ukrytymi kluczami. Weźmy na przykład Bacha. Dziesięć kanonów tworzących *Musikalisches Opfer* należy do najdoskonalszych rzeczy, jakie skomponował, a mimo to żadnego nie spisał w całości od początku do końca... Pozostawił tu pewien margines dowolności, jak gdyby chodziło o lamigłównki, które stawiał Fryderykowi pruskiemu... To nierzadki w owej epoce chwyt muzyczny. Pisało się temat, zaopatrywało go w kilka mniej lub bardziej enigmatycznych wskazówek i pozwalało, żeby kanon powstały na bazie tego tematu odkrył jakiś inny muzyk czy wykonawca. Czyli inny gracz, bo mówimy tu o grze.

- To ciekawe - odezwała się Menchu.

- Nawet nie mają panie pojęcia, do jakiego stopnia. Bach, jak zresztą wielu artystów, lubił pulapki. Nieustannie stosował fortele, żeby nabrać publiczności: drobne sztuczki z nutami czy literami, pomysłowe wariacje, nietypowe fugi. A przede wszystkim manifestował kolosalne poczucie humoru... Na przykład w jednym z utworów szesciogłosowych po kryjomu wprowadził własne nazwisko do dwóch najwyższych głosów. Ale nie ograniczajmy się tylko do muzyki: Lewis Carroll, nie dość, że matematyk i pisarz, to jeszcze wielbiciel szachów, w wierszach przemycal akrostychy... Jest wiele inteligentnych sposobów na ukrycie pewnych informacji w muzyce, w wierszu czy w obrazie.

- Bez wątpliwości - odrzekła Julia. - Symbole i tajemne klucze często pojawiają się w sztuce. Nawet w sztuce współczesnej... Tyle że nie zawsze mamy informacje, które pomogłyby nam odczytać te tajemne przesłania, zwłaszcza sprzed wielu lat. - Teraz ona zapatrzyła się w puste miejsce na ścianie. - Ale w wypadku "Partii szachów" dysponujemy paroma punktami zaczepienia. I możemy spróbować.

Belmonte oparł się w swoim wózku inwalidzkim i kiwając głową wbił w Julię przebiegłe spojrzenie.

- Proszę informować mnie na bieżąco - powiedział. - Zapewniam panię, że nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Właśnie zegnali się w przedpokoju, kiedy nadjechała bratanica Belmontego z mężem. Lola, kobieta chuda i sucha, grubo po trzydziestce, miała rude włosy i drapieżne oczka. Ubrana była w skórzany płaszcz. Prawa ręka trzymała się lewego łokcia męża, szczupłego bruneta, na oko młodszego od niej. Wspaniała opalenizna tuszowała przedwczesną łysinę. Nawet gdyby gospodarz nie wspomniał, że jego przyszywany bratanek w życiu nie splamili się pracą, Julia bez trudu dostrzegłaby, że Alfonso uwielbia życie jak najmniej się wysiłając. Niewielkie woreczki pod oczami potęgowały wrażenie bon vivanta. Wyraz twarzy miał chytry, z lekką cyniczny, czego bynajmniej nie maskowały duże, wyraziste, niemalże lisie usta. Nosił niebieski blezer ze złotymi guzikami, bez krawata, i na kilometr można było wyczuć, że w porze aperitifów można go znaleźć w eleganckich kafejkach, noca zaś w modnych barach, i że ruletka czy karty nie mają przed nim żadnych tajemnic.

- Moja bratanica Lola i jej mąż Alfonso - przedstawił ich Belmonte. Bratanica przywitała się bez entuzjazmu, natomiast jej mąż wykazał nadspodziewane zainteresowanie, przytrzymując dłoń Julii nieco dłużej, niż nakazywała potrzeba chwili, i obrzucając dziewczynę taksującym spojrzeniem. Następnie zwrócił się do Menchu, mówiąc jej po imieniu. Byli chyba starymi znajomymi.

- Pani przyszyły w sprawie obrazu - powiedział Belmonte.

Alfonso cmoknął językiem.

- Jasne, obrazu. Twojego słynnego obrazu.

Gospodarz wprowadził przybyłych w nowe szczegóły. Alfonso trzymał ręce w kieszeniach i uśmiechał się do Julii.

- Jeśli obraz miałby zyskać przez to na wartości czy w ogóle, to bardzo dobra wiadomość - powiedział do niej. - Może nas pani odwiedzać, kiedy pani chce, i robić nam podobne niespodzianki. Uwielbiamy niespodzianki.

Lola nie podzielała zadowolenia męża.

- Musimy to przedyskutować - rzekła z rozdrażnieniem. - Kto nam zagwarantuje, że obraz się nie zniszczy?

- Byłaby to strata niepowetowana - zaznaczył Alfonso, nie spuszczać wzroku z Julii. - Ale nie wierzę, żeby ta młoda osoba mogła nam zrobić coś podobnego.

Lola Belmonte spoglądała na niego zniecierpliwiona.

- Nie wtracaj się, to moja sprawa.

- Mylisz się, najdroższa. - Alfonso uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Nie podpisałismy intercyzy.

- Powtarzam, nie wtracaj się.

Alfonso odwrócił się do niej powoli. Lisi wyraz jeszcze mocniej zarysował się na jego twarzy. Teraz uśmiech był zimny i ostry jak nóż i widząc to, Julia pomyślała, że być może przyszywany bratanek wcale nie jest tak niegroźny, na jakiego wygląda. Oj, nielato prowadzić wspólne interesy z kims, kto się tak uśmiecha.

- Nie bądź śmieszna... kochanie.

W owym "kochanie" nie było śladu czułości i Lola Belmonte doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Z wyraźnym trudem ukrywała upokorzenie i wściekłość. Menchu zrobiła krok do przodu z misją pokojową.

- Już rozmawialiśmy o tym z don Manuelem - oświadczyła. - Stryj państwa się zgadza.

To kolejny aspekt całej sytuacji - uznała Julia, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Oto bowiem inwalida obserwował sprzeczki ze swojego wózka, siedząc z założonymi rękoma jak widz, który na własną prośbę odsunął się na bok i teraz uczestniczy w kłótni z pozycji złośliwego podglądacza.

Ale postacie - pomyślała. - Ale rodzinka.

- Otóż to - potwierdził starzec, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Ja się zgadzam. W zasadzie.

Bratanica wykreciła dłonie, aż zadzwieczały bransoletki. Odczuwała wyraźny niepokój. Albo wściekłość. A może obydwie rzeczy naraz.

- Ale, stryju, musimy o tym porozmawiać. Nie wątpię w dobrą wolę tych szanownych pan...

- To jeszcze młode panny - wtracił jej mąż, nie przestając się do Julii.

- Panny, wszystko jedno - rozdrażnionej Loli Belmonte artykułowanie słów przychodziło z widoczną trudnością. - Powinny się być skonsultować także z nami.

- Jeśli o mnie chodzi - odezwał się Alfonso - to mają państwo moje błogosławieństwo.

Menchu bezczelnie się w niego wpatrywała i już, już miała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Wreszcie spojrzała na bratanicę.

- Słyszysz pani, co mówi pani małżonek.

- To nie ma znaczenia. Ja jestem spadkobierczynią.

Belmonte uniósł chudą rękę, jakby prosił o głos w dyskusji.

- Ja ciągle jeszcze żyję, Lolita... Spadek przyjdzie w odpowiednim czasie.

- Amen - dodał Alfonso.

Jego żona zjadliwie wycelowała koscisty podbródek ku Menchu i w tym momencie Julii przyszło do głowy, że Lola Belmonte zaraz się na nie rzuci. Z tymi długimi paznokciami i twarzą drapieżnego ptaka mogła być niebezpieczna. Pod wpływem adrenaliny Julia poczuła wręcz, że jest gotowa stawic jej czoło.



Nie była może mistrzynią sportu, ale w dzieciństwie Cesar nauczył ją paru podstępnych sztuczek, skutecznych w walce z piratami. Na szczęście cała agresja bratanicy skończyła się na spojrzeniu. Kobieta w końcu odwróciła się na pięcie i opuściła przedpokój.

- Dam paniom znac - rzuciła jeszcze. W korytarzu slychac bylo oddalajacy sie wsciekly stukot obcasów.

Alfonso, wciąż z rękami w kieszeniach, uśmiechał się z niebieskim spokojem.

- Proszę nie mieć jej tego za złe. - Tu zwrócił się do Belmontego: - Prawda, proszę stryja? W gruncie rzeczy Lolita to złota osoba.... Dusza człowiek.

Inwalida skinal głowa, ale myślami najwyraźniej był nieobecny. Pusty prostokąt na ścianie stale przykuwał jego uwagę, jakby skrywał jakieś znaki tajemne, które tylko jego zmęczone oczy mogły rozszyfrować.

- Czyli że znalazłaś wcześniej jej męża - powiedziała Julia, ledwie wyszły na ulicę.

Menchu potwierdziła ruchem głowy, oglądając jednocześnie wystawę jakiegoś sklepu.

- To było dawno - pochyliła się, chcąc odczytać cenę pary butów - ze trzy, cztery lata temu.

- Teraz rozumiem, skąd się wziął ten obraz... To on ci zaproponował interes, a nie stary.

Menchu uśmiechnęła się przewrotnie.

- Punkt dla ciebie, slichnotko. Trafilas. Miedzy nami bylo cos, co swoim powsciagliwym jezykiem nazwalabys romanssem... Juz kope lat, ale kiedy wyszla sprawa van Huysa, byl laskaw pomyslec o mnie.

- A dlaczego sam nie prowadził negocjacji?

- Bo nikt mu nie ufa, nawet don Manuel... - Zaczęła się śmiać. - Alfonsito Lapena, znany powszechnie jako "Hazardzista", wisi kase nawet czyszcicielom butów. Pare miesiecy temu ledwie uniknal wiezienia. Jakies czeki bez pokrycia.

- A z czego żyje?

- Z zony, z naciągania naiwniaków i z kompletnego braku wstydu.

- I ma nadzieję, że van Huys pozwoli mu wyjść z długów.

- Tak. Dosłownie marzy o tym, żeby zamienić obraz na sterty zetonów na zielonym suknie.

- Chyba z niego niezły obwies.

- Jak najbardziej. Ale ja mam słabość do buhajów, poza tym Alfonso jest w moim typie. - Zamysliła się na chwilę.

- Chociaz, o ile pamietam, za sprawnosć techniczna tez nie dalabym mu medalu. Ma... Jak by to powiedziec? - szukala wlasciwej definicji. - Ma ograniczona wyobraznie, rozumiesz? Z Maxem nie ma sie co równac. Monotonny, czujesz: trzy-piec-osiem i po krzyku. Ale jest z nim niezly ubaw. Zna mnóstwo swinskiach kawalów.

- Zona wie o tym?

- Chyba wyczuwa, bo glupia to nie jest. Dlatego tak patrzy. Szczwana suka.

### III. Zadanie szachowe

Szlachetna gra posiada otchlanie,

w których szlachetna dusza czesto przepada.

Dawny mistrz niemiecki

- Moim zdaniem - powiedzial antykwariusz - w gre wchodzi zadanie szachowe.

Juz od pół godziny patrzyli na obraz i wymieniali spostrzezenia. Cesar stal oparty o sciane, wytwornie ujmujac kciukiem i palcem wskazujacym szklanke z dzinem i cytryna. Menchu z apatyczna mina siedziala na sofie, a Julia na dywanie, obgryzajac paznokcie. Miedzy jej stopami lezala popielniczka. Wszyscy troje wpatrywali sie w malowidlo jak w telewizor. Swiatlo dnia juz przygasalo w lukarnie, totez i kolory u van Huysa zaczynaly ciemniec.

- Czy ktos moze cos tu wlaczyc? - podsunela Menchu. - Zaczyna mi sie wydawac, ze z wolna slepne.

Cesar przekrecil wlacznik, który mial za plecami. Odbite od scian swiatlo lampek przywrócilo Rogerowi d'Arras i ksiazecym malzonkom ostenburskim utracone zycie i barwy. Prawie w tej samej chwili zegar scienny wybil osiem uderzen, w rytmie ruchów pozlaczanego wahadla. Julia przechylila glowe, nasluchujac na klatce kroków, które nie nadchodzily.

- Alvaro sie spóźnia - powiedziala i zobaczyla grymas na twarzy Cesara.

- Chooby nie wiem jak późno przyszedl ten filister - mruknal antykwariusz - i tak przyjdzie za wczesnie.

Julia spojrzala na niego z wyrzutem.

- Obiecales, że będziesz się zachowywał. Pamiętaj.

- Pamiętam, księżniczko. Pohamuje w sobie ludobójcze odruchy tylko dzięki oddaniu, jakie do ciebie żywie.

- Bede ci dozgonnie wdzieczna.

- Spodziewam się. - Antykwaryusz zerknął na swój zegarek, jakby nie dowierzał ściennemu, który zreszta sam kiedyś dał jej w prezencie. - Aczkolwiek trudno powiedzieć, żeby ten wieprzek był punktualny.

- Cesar.

- Zgoda, najdroższa. Już bede cicho.

- Nie, nie bądź cicho. - Julia pokazała na obraz. - Zaczales mówić, że w gre wchodzi zadanie szachowe.

Cesar skinął głową. Zrobił teatralną pauzę, żeby umoczyć usta w drinku i następnie osuszyć je wyciągniętą z kieszeni nieskazitelnie białą chusteczką.

- Zaraz zobaczysz... - Popatrzył także na Menchu i leciutko westchnął. - Zobaczycie. W ukrytym napisie jest pewien szczegół, na który dotąd nie wpadliśmy, a w każdym razie ja nie wpadłem. Quis necavit equitem istotnie znaczy "Kto zabił rycerza". Wedle danych, jakimi dysponujemy, można to interpretować jako zagadkę na temat śmierci czy też zglądzenia Rogera d'Arras... Jednakowoż. - Cesar wykonał ruch, jakim magicy wyciągają niespodziankę z cylindra - zdanie to można przetłumaczyć z nieco innym odcieniem. O ile wiem, figure szachowa, która my znamy jako "konika" bądź "skoczka", w średniowieczu nazywano "rycerzem"... W wielu krajach europejskich nosi ona te nazwy do dziś. Na przykład po angielsku mówi się na nią knight, czyli właśnie "rycerz". - Popatrzył z zadumą na obraz, medytując nad słusnością swojego rozumowania. - Może więc pytanie brzmi nie "Kto zabił rycerza?", ale "Kto zabił konika?"... Albo, posługując się językiem ściśle szachowym, "kto zabił konika?"...

Wszyscy troje milczeli przez chwilę. Wreszcie przemówiła Menchu.

- Szkoda, chyba bujaliśmy w obłokach. - Na jej twarzy malowało się rozczarowanie. - Zbudowaliśmy piętrową historię, a chodzi o jakieś głupstwo.

Julia pokręciła głową, wpatrując się uważnie w antykwaryusza.

- Ani trochę, tajemnica wcale nie znikła. Prawda, Cesar...? Rogera d'Arras zamordowano, zanim powstał obraz. - Wstała i pokazała róg obrazu. - Widzicie? Tam widac datę wykonania "Partii szachów". Petrus van Huysfecit me, anno MCDLXXI\* [przyp.: Petrus van... (łac.) - Pieter van Huys mnie wykonał w roku 1471.].... Czyli, że dwa lata po zamordowaniu Rogera d'Arras, van Huys posługując się pomyslową grą słów, namalował obraz, na którym przedstawił ofiarę i kata. - Zawahała się na moment, bo właśnie przyszedł jej do głowy nowy pomysł. - I może jeszcze motyw zbrodni: Beatrycze Burgundzka.

Menchu była wyraźnie zakłopotana, ale i podniecona. Przesunęła się na sam skraj sofy i wpatrywała we flamandzkie malowidło szeroko otwartymi oczami, jakby pierwszy raz je widziała.

- Mów jasniej, mała. Zaraz umre z ciekawości.

- O ile wiemy, Roger d'Arras mógł zostać zabity z różnych powodów, a jednym z nich był jego domniemany romans z księżną Beatrycze... Z tą na czarno ubraną damą, która czyta pod oknem.

- Czyli książę zamordował go z zazdrości?

Julia odparła wymijająco:

- Tego nie powiedziałam. Ja tylko podsuwam pewne możliwe rozwiązania. - Pokazała stertę książek, dokumentów i odbitek spietrzonych na stole. - Może malarz chciał zwrócić uwagę widzów na zbrodnię... Niewykluczone, że to właśnie skłoniło go do namalowania obrazu, chociaż mógł też sporządzić dzieło na zamówienie - wzruszyła ramionami. - Nigdy nie dowiemy się tego z całą pewnością, ale jedno jest oczywiste: na tym obrazie znajduje się klucz do zagadkowej śmierci Rogera d'Arras. Dowodzi tego napis.

- Napis zamaskowany - uscislił Cesar.

- To tym bardziej przemawia za moją wersją.

- Załóżmy, że malarz bał się podać te informacje w sposób czytelny... - zaczęła Menchu. - W piętnastym wieku też trudno było oskarżać ludzi o to, tak sobie, według własnego widzimisie.

Julia spojrzała na obraz.

- Może van Huys przestraszył się, że wyłożył kawę na ławę.

- Albo ktoś później - dodała Menchu.

- Nie. Też o tym myślałam i oprócz badania w czarnym świetle zrobiłam analizę stratygraficzną, pobrałam próbkę lancetem i zbadalam pod mikroskopem - wzięła ze stołu jakąś kartkę. - Macie wyniki, warstwa po warstwie: podobrazie z debowej deski, cieniutki podkład z węglanu wapnia i kleju zwierzęcego, biel ołowiana i olej jako grunt, trzy warstwy bieli ołowianej, cynober i czerni słoniowa, biel ołowiana i żywocin miedzi, werniks i tak dalej. Wszystko ma identyczną charakterystykę: te same mieszanki, te same pigmenty. To van Huys osobiście zakrył napis niedługo po tym, jak go namalował. Nie ma żadnej wątpliwości.

- Czyli?

- Pamiętając, że nasze słabe poszlaki mają już pięćset lat, jestem skłonna zgodzić się z Cesarem. Naprawdę możliwe, że klucz do zagadki tkwi w samej partii szachów. Natomiast co do zbitcia konika, to nawet nie przyszło mi to do głowy... - Popatrzyła na antykwariusza. - A ty co o tym sądzisz?

Cesar oderwał się od ściany, przysiadł na drugim końcu sofy, z dala od Menchu, pociągnął łyk ze szklanki i skrzyżował nogi.

- To samo, co ty, kochanie. Uważam, że odwracając naszą uwagę od rycerza ku konikowi malarz chce nam przedstawić główny trop... - Wychylił delikatnie resztę drinka i brzęcząc kostkami lodu odstawił szklankę na pobliski stolik. - Skoro pyta, kto zbił konika, tym samym zmusza nas do zanalizowania partii... Ten zbikowany van Huys, którego zaczynam podejrzewać o specyficzne poczucie humoru, zaprasza nas do gry w szachy.

Julii zaswieciły się oczy.

- No to zagrajmy! - krzyknęła, odwracając się do obrazu, na co antykwariusz zareagował głębokim westchnieniem.

- Też bym chciał. Ale to wykracza poza moje zdolności.

- Ej, Cesar, na pewno znasz się na szachach.

- Paradne przypuszczenie, moja kochana... Widziałas, żebym kiedykolwiek grał?

- Nigdy. Ale każdy ma o tym jakieś pojęcie.

- W tym przypadku chodzi o coś więcej niż blade pojęcie o ruchach figur szachowych... Zwróciłaś uwagę? Układ na szachownicy jest bardzo skomplikowany. - Opadł plecami na sofę w teatralnym przygnębieniu. - Nawet mnie trapią pewne ograniczenia, moja miła. Nikt nie jest doskonały.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

- Alvaro - rzekła Julia i poszła otworzyć.

Ale nie był to Alvaro. Wróciła z przyniesioną przez kuriera kopertą. W środku znajdowały się odbitki fotograficzne i spisana na maszynie chronologia.

- Patrzcie, postanowił nie przyjść, ale przysłał nam to.

- Zawsze był grubianinem - mruknął Cesar z pogardą. - Lajdak mógł przynajmniej zadzwonić i przeprosić. - Wzruszył ramionami. - Chociaż w gruncie rzeczy wcale się nie martwie... Cóż nam wysłał ten nikczemnik?

- Odczep się od niego - upomniała go Julia. - Włożył masę pracy w uporządkowanie tych danych. I zaczęła czytać na głos.

## PIETER VAN HUYS I POSTACIE

### PRZEDSTAWIONE NA OBRAZIE PARTIA SZACHÓW.

### BIOGRAFIA W UKŁADZIE CHRONOLOGICZNYM:

1415 - Pieter van Huys przychodzi na świat w Brugii we Flandrii (dzisiejsza Belgia).

1431 - na zamku Bellesang w Ostenburgu przychodzi na świat Roger d'Arras. Jego ojciec, Fulk d'Arras, jest wasalem króla Francji, spokrewnionym z panującą dynastią Walezjuszy. Jego matka, której imię się nie zachowało, należy do księższej rodziny ostemburskiej Altenhoffenów.

1435 - Burgundia i Ostenburg zrywają więź lenną z Francją. Na świat przychodzi Ferdynand

Altenhoffen, przyszły książę Ostenburga.

1437 - Roger d'Arras wychowuje się na dworze ostemburskim jako towarzysz zabaw i nauk przyszłego księcia Ferdynanda. Ukończywszy szesnast lat udaje się z ojcem Fulkiem d'Arras na wojnę, którą Karol VII francuski prowadzi z Anglią.

1441 - przychodzi na świat Beatrycze, bratanica Filipa Dobrego, księcia Burgundii.

1442 - przypuszczalnie w tym czasie Pieter van Huys tworzy pierwsze obrazy. Poznał już wówczas w Brugii braci van Eycków, a w Tournai Roberta Campina, swoich mistrzów. Nie zachowała się żadna jego praca z tego okresu, dopiero...

1448 - van Huys maluje Portret złotnika Wilhelma Walhuusa.

1449 - Roger d'Arras odznacza się podczas odbijania Normandii i Gijenny z rąk Anglików.

1450 - Roger d'Arras walczy w bitwie pod Formigny.

1452 - van Huys maluje Rodzinę Lucasa Bremera (jego najlepsze znane dzieło).

1453 - Roger d'Arras walczy w bitwie pod Castillon. W tym samym roku w Norymberdze ukazują się jego Poemat o róży i rycerzu (jeden egzemplarz znajduje się w Bibliotece Paryskiej).

1455 - van Huys maluje Madonny w kaplicy (nie datowana, ale specjaliści oceniają, że powstała właśnie w tym czasie).

1457 - umiera Wilhelm Altenhoffen, książę Ostenburga. Sukcesję obejmuje jego syn Ferdynand, który właśnie skończył dwadzieścia dwa lata. Niemal zaraz po wstąpieniu na tron posyła po Rogera d'Arras. Ten zapewne przebywa na dworze francuskim, związany przysięgą na wierność Karolowi VII.

1457 - van Huys maluje Wekslarza z Leuven,

1458 - van Huys maluje Portret kupca Mathlasy Conziniego i jego żony.

1461 - śmierć Karola VII, króla Francji. Przypuszczalnie uwolniony od przysięgi na wierność wobec monarchy, Roger d'Arras wraca do Ostenburga. Mniej więcej w tym samym czasie van Huys kończy Ołtarz w Antwerpii i osiada na dworze ostemburskim.

1462 - van Huys maluje Rycerza i diabła. Reprodukcyjne fotografie oryginału (Rijksmuseum, Amsterdam) pozwalają założyć twierdzenie, że rycerzem, który pozował do tego portretu, był Roger d'Arras, chociaż podobieństwo między tą postacią a jednym z bohaterów "Partii szachów" nie jest uderzające.

1463 - oficjalne zaręczyny Ferdynanda Ostemburskiego z Beatrycze Burgundzką. W poselstwie na dwór burgundzki znajduje się Roger d'Arras, a także Pieter van Huys, wysłany, żeby sporządzić portret Beatrycze, który maluje tego samego roku. (Portret, wymieniany w wykazie dobroczyńców i w inwentarzu z 1474 roku, nie zachował się do naszych dni).

1464 - ślub księcia. Roger d'Arras stoi na czele orszaku panny młodej, jadącego z Burgundii do Ostenburga.

1467 - umiera Filip Dobry, na tron burgundzki wstępuje jego syn Karol Zuchwały, kuzyn Beatrycze. Naciski ze strony Francji i Burgundii podsycają intrygi na dworze ostenburskim. Ferdynand Altenhoffen usiłuje lawirować, co nie jest łatwe. Stronnictwo profrancuskie wspiera się na Rogerze d'Arras, który cieszy się sporym wpływem na księcia Ferdynanda. Stronnictwo burgundzkie ma oparcie w księżnej Beatrycze.

1469 - Roger d'Arras zostaje zamordowany. Podejrzenia padają z miejsca na frakcję burgundzką. Według innych plotek przyczyną mógł być romans między Rogerem d'Arras a Beatrycze Burgundzką. Udział Ferdynanda Ostenburskiego nie został udowodniony.

1471 - dwa lata po zamordowaniu Rogera d'Arras van Huys maluje "Partie szachów". Nie wiadomo, czy w owym czasie artysta przebywa jeszcze w Ostenburgu.

1474 - Ferdynand Altenhoffen umiera bezpotomnie. Król Francji Ludwik XI dopomina się respektowania jego praw dynastycznych wobec księstwa, co wpływa na pogorszenie i tak napiętych stosunków francusko-burgundzkich. Kuzyn księżnej - wdowy Karol Zuchwały najezdza księstwo, pokonując Francuzów pod Looven. Burgundia dokonuje aneksu Ostenburga.

1477 - Karol Zuchwały ginie w bitwie pod Nancy. Maksymilian I austriacki przejmuje spuściznę burgundzką, która przechodzi w ręce jego wnuka Karola (przyszłego cesarza Karola V) i ostatecznie staje się częścią hiszpańskiej monarchii Habsburgów.

1481 - w Gandawie Pieter van Huys umiera w trakcie prac nad tryptykiem o Zstąpieniu, przeznaczonym dla katedry Świętego Bawona.

1485 - Beatrycze Ostenburska umiera w klasztorze w Liege.

Dłuższy czas nikt nie śmiał otworzyć ust. Patrzyli tylko to po sobie nawzajem, to na obraz. Wreszcie po chwili, która wydawała się wiecznością, Cesarz pokreślił głową.

- Przyznaje - odezwał się cicho - że jestem pełen podziwu.

- Wszyscy jesteśmy - dodała Menchu.

Julia odłożyła dokumenty na stół i oparła się o blat.

- Van Huys dobrze znał Rogera d'Arras - pokazała papiery. - Może nawet byli zaprzyjazznieni.

- A malując obraz wyrównał rachunki z zabójcą - zawyrokował Cesarz. - Wszystkie elementy pasują.

Julia podeszła do swojej biblioteczki, czyli dużych regałów zajmujących dwie ściany. Półki dosłownie ugięły się pod ciężarem bezładnie zgromadzonych tu książek. Z dłońmi pod bokami stała chwile przed nimi, by wreszcie wyciągnąć grubo ilustrowany tom. Przerzucała szybko kartki, aż znalazła to, czego szukała. Wtedy podeszła do sofy, usiadła między Menchu a Cesarzem i położyła otwartą książkę - "Rijksmuseum w Amsterdamie" - na kolanach. Reprodukacja obrazu nie była zbyt duża, ale wyraźnie widać było rycerza w zbroi, z odkrytą głową jadącego konno po zboczach wzgórza, na którego szczycie widniało ufortyfikowane miasto. Towarzyszył mu Diabeł, pograzony z nim w przyjaznej rozmowie jeździec na

chudym, karym koniu. Prawa dłoń Diabła wskazywała miasto, ku któremu zapewne się kierowali.

- Może to i on - powiedziała Menchu, porównując rysy rycerza z książki z szachistą na obrazie.

- A może i nie on - odparł Cesar. - Aczkolwiek można się dopatrzeć pewnego podobieństwa. - Zwrócił się do Julii: - Kiedy powstał ten obraz?

- W tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim.

Antykwarium przeliczył szybko w myślach.

- Czyli dziewięć lat przed "Partią szachów". To jest pewne wytłumaczenie. Jeździec towarzyszący Diabłu jest młodszy od naszego rycerza.

Julia nic nie odrzekła, tylko przyglądała się uważnie reprodukcji. Cesar spojrzał na nią zaniepokojony.

- Coś się stało?

Dziewczyna powoli kreciła głowę, jakby bała się, że wszelki gwałtowny ruch spłoszy nieufne duchy, które z wielkim wysiłkiem przywołała.

- Tak - powiedziała tonem człowieka, który stanął wobec niezaprzeczalnej oczywistości. - To trochę za dużo jak na przypadek.

I pokazała palcem fotografię.

- Niczego szczególnego ja tu nie widzę - rzekła Menchu.

- Nic? - Julia uśmiechnęła się do siebie. - Popatrz na tarczę rycerza... W średniowieczu każdy szlachcic ozdabiał ją własnym herbem... Cesar, co o tym sądzisz? Co on ma namalowane na tarczy?

Antykwarium westchnął i przesunął dłoń po czole. Był tak samo zdumiony jak Julia.

- Szachownice - powiedział bez namysłu. - Czarne i białe kwadraty - podniósł wzrok na stojący na sztalugach flamandzki obraz. Głos mu wyraźnie zdrztał. - Jak w naszej "Partii szachów".

Julia wstała, odkładając otwartą książkę na sofę.

- Żaden zbieg okoliczności nie wchodzi tu w grę. - Wzięła silnie powiększającą lupę i zbliżyła się do obrazu. - Jeżeli rycerz w towarzystwie Diabła, którego namalował van Huys w tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim, to Roger d'Arras, wówczas możemy przyjąć, że dziewięć lat później malarz wykorzystał wzór jego herbu jako klucz do obrazu, na którym przedstawił jego śmierć... Nawet podłoga izby, w której umieszczył swoich bohaterów, jest poszatkowana na czarne i białe kwadraty. To oraz symboliczny charakter dzieła wystarczą jako dowód, że środkowym graczem jest tu Roger d'Arras... A cała intryga rozgrywa się w kontekście szachów.

Uklekła przed obrazem i przez jakiś czas obserwowała przez lupę po kolei wszystkie figury i pionki stojące na szachownicy i na stole obok. Przyjrzała się też okragłemu, wypukłemu lustru wiszącemu w prawym górnym rogu obrazu, w którym w ukośnej perspektywie odbijały się szachownica i postacie graczy.



- Cesar...

- Slucham cie, kochanie.

- Ile jest szachów?

- Hm... Fachowa nazwa brzmi "bierki". Dwa razy po osiem, szesnascie w kazdym kolorze. W sumie trzydziesti dwie, o ile sie nie myle.

Julia liczyla palcem.

- Sa trzydziesti dwie. Mozna je doskonale rozróżnic: pionki, króle, koniki... Jedne na planszy, inne poza nia.

- Te na zewnatrz sa juz zbite. - Cesar uklakl obok niej i wskazal jedna z figur spoza szachownicy, te, która Ferdynand Ostenburski trzymal w palcach. - Jeden konik zostal zbity, tylko jeden. Bialy konik. Pozostale trzy, jeden bialy i dwa czarne, wciaz znajduja sie na szachownicy. Tak wiec pytanie Quis necavit equitem odnosi sie do tego jednego.

- A kto go zbil?

Antykwariusz skrzywil sie.

- Twoje slowa dotycza wlasnie owego quis - usmiechnal sie jak wtedy, kiedy bedac mala dziewczynka siadyla mu na kolanach. - Na razie ustalilismy wiele niewiadomych: kto zniósł jajeczko, kto je znalazl... Ale ciagle nie wiemy, co za dran je zbil.

- Nie odpowiedziales mi.

- Nie zawsze umiem sypac cudownymi odpowiedziami z rekawa.

- Kiedys umiales.

- Kiedys potrafilem klamac. - Popatrzył na nia czule. - Teraz ty doroslas i juz cie tak latwo nie nabiorę.

Julia polozyla mu dlon na ramieniu jak przed pietnastu laty, gdy blagala go, zeby wymyslil historie o jakimis obrazie albo naczyniu z porcelany. W jej glosie zabrzmialo echo tamtych dzieciacych prósb.

- Musze to wiedziec, Cesar.

- Aukcja jest za dwa miesiace - odezwala sie z tylu Menchu. - Nie mamy duzo czasu.

- Do diabla z aukcja - odparla Julia. Nadal wpatrywala sie w Cesara, jakby ten dzierzyl klucz do zagadki. Antykwariusz znów zczal wolno wzdychac, otrzpal delikatnie dywan i usiadl, zakladajac rece za kolana. W zamysleniu zmarszczyl czolo i przygryzl różowy koniuszek jezyka.

- Mamy na poczatek pare wskazówek - rzekl po chwili. - Ale same wskazówki nam nie wystarcza. Trzeba jeszcze wiedziec, jak z nich skorzystac - popatrzył na namalowane wypukle lustro i odbitych w nim szachistów. - Zazwyczaj uwazamy, ze dany przedmiot i jego odbicie w lustrze to elementy tej samej rzeczywistosci, a to nieprawda - pokazal palcem zwierciadlo z obrazu. - Widzisz? Juz przy pierwszych ogladzinach mozemy sie przekonac, ze obraz zostal odwrócony. Na szachownicy kierunki gry zostaly tez

odwrócone, zatem w lustrze tym bardziej.

- Głowa zaczyna mi pekać od waszego gadania - jęknęła Menchu. - To za skomplikowane jak na mój splaszczony encefalogram, więc muszę się czegoś napić... - Podeszła do barku Julii i nalala sobie spora porcję wódki. Zanim jednak wzięła szklanke, wyciągnęła z torebki gładki, płaski onyks, srebrną rurkę, małe pudzderko i przygotowała sobie cieniutką kreskę kokainy. - Apteka czynna. Ktoś reflektuje?

Nikt nie odpowiedział. Cesar, pochłonięty obrazem, nie zwracał uwagi na otoczenie, a Julia tylko zmarszczyła czoło z niezadowoleniem. Menchu wzruszyła więc ramionami i pochyliła się, żeby wciągnąć działkę szybko i precyzyjnie, na dwa razy. Kiedy się wyprostowała, była już usmiechnięta, jej blekitne oczy lśniły, a wzrok wydawał się bardziej nieobecny.

Cesar zbliżył się do van Huysa i wziął Julię pod ramię, jakby chciał ją naklonić, by nie zwracała uwagi na Menchu.

- Już samo przekonanie - powiedział, też ignorując obecność właścicielki galerii - że jakieś rzeczy na obrazie są lub nie są realne, wpędza nas w pułapkę. Postacie i szachownica pojawiają się w naszej kompozycji na dwa sposoby, jeden w pewnym sensie jest mniej realny od drugiego. Rozumiesz...? Przyjęcie tego faktu każe nam wtopyć się w komnatę z obrazu i zaciera granice między tym, co rzeczywiste, a tym, co namalowane... I jedynym sposobem, żeby się przed tym obronić, jest nabranie takiego dystansu, by postrzegać co najwyżej plamy kolorów i same szachy. Ale po drodze zbyt często układ ulega odwróceniu.

Julia wpatrywała się w obraz, po czym pokazała lustro weneckie wiszące na przeciwległej ścianie pracowni.

- Tam nie - oświadczyła. - Jeżeli patrzeć na obraz posłużymy się drugim lustrem, może zdołamy odtworzyć prawdziwą sytuację.

Cesar dłuższą chwilę spoglądał na nią i milczał, chcąc przemyśleć słowa, które właśnie usłyszał.

- Trafna uwaga - odezwał się w końcu z rzeskim uśmiechem wyrażającym aprobatę. - Obawiam się jednakże, księżniczko, że obrazy i lustra kreują światy zbyt niespójne, owszem, zajmujące, jeśli obserwuje się je z zewnątrz, ale bardzo kłopotliwe, gdy trzeba wnikać do wewnątrz. Do tego potrzebny jest specjalista, który potrafi spojrzeć na obraz innym wzrokiem niż my... I chyba wiem, gdzie takiego szukać.

Nazajutrz rano Julia wydzwaniała do Alvara, ale bezskutecznie. W domu też go nie zastała, więc nastawiła Lestera Bowie na gramofonie, kawę w ekspresie, spędziła sporo czasu pod prysznicem i zdążyła wypalić ładnych parę papierosów. Następnie z mokrymi włosami, jedynie w rozciągniętym starym swetrze, wypila kawę i zabrała się do pracy nad obrazem.

Pierwsza faza renowacji polegała na usunięciu całej warstwy pierwotnego werniksu. Malarz, chcąc zapewne uchronić dzieło przed wilgocią, jaką towarzyszy północnoeuropejskim ziomom, zastosował werniks tłusty, rozpuszczony w oleju lnianym. Roztwór miał właściwe proporcje, ale nikt, nawet taki mistrz jak Pieter van Huys, nie był w stanie zapobiec zżółknieniu tłustego werniksu w ciągu pięciuset lat, przez co z kolei przygasły kolory nałożonych farb.

Julia najpierw wypróbowała rozmaite rozpuszczalniki w rogu obrazu, po czym przygotowała mieszaninę acetonu, spirytusu, wody i amoniaku - i przystąpiła do zmiekczenia werniksu za pomocą wacików i pensety. Zaczęła od fragmentów o największej konsystencji, niezwykle ostrożnie, na koniec zostawiwszy miejsca najjasniejsze i najciemniejsze. Co chwila przerywała i badała kolor wacików, nie chcąc wraz z werniksem usunąć farby. Niestrudzenie pracowała całe przedpołudnie; w popielniczkę Benlliurego pietroły się niedopalki. Tylko parę razy przestawała z robotą i mrużąc oczy, oceniała postępy. Z wolna spod usuwanego starego werniksu wylaniał się obraz w całej swojej magii pierwotnych barwników, niemal dokładnie w takiej postaci, w jakiej zostały zmieszane na palecie dawnego flamandzkiego mistrza: sieni, zieleni miedziowej, bieli ołowianej, ultramaryny... Julia z całym szacunkiem patrzyła, jak spod jej palców wylania się ów cud, niczym najskrytsza tajemnica sztuki i życia.

O dwunastej zadzwonił Cesar i umówili się na popołudnie. Korzystając z przerwy w pracy, Julia odgrzała pizzę, zaparzyła jeszcze kawy i posiliła się, siedząc na sofie. Z uwagą obserwowała przy tym pęknięcia, jakie powstawały na powierzchni obrazu pod wpływem starzenia się farb, światła i wypalonego drewna. Szczególnie wyraźnie zaznaczały się na skórze postaci - na twarzach i dłoniach - oraz w miejscach pokrytych bielą ołowianą, za to na obszarach ciemniejszych i czarnych było ich mniej. Zwłaszcza faldy sukni Beatrycze Burgundzkiej, rzeczywiste do złudzenia, wyglądały niemal na nietknięte i można było odnieść wrażenie, że wystarczy przyłożyć palec, by poczuć miękki aksamit.

Przedziwne - pomyślała - że współcześnie tworzone obrazy bardzo szybko pokrywają się szczelinami, pęknięcia i dziurki powstają na skutek stosowania nowoczesnych materiałów i sztucznych metod suszenia. Tymczasem dzieła dawnych mistrzów, którzy obsesyjnie dbali o nie przy użyciu technik naprawdę rzemieślniczych, opierają się upływowi czasu z większą godnością, ich piękno jest trwalsze. W tym momencie Julia poczuła ogromną sympatię dla starego, sumiennego Pietera van Huysa, wyobrażając go sobie, jak miesza barwniki z glinki i wypróbuje rozmaite oliwy w swojej średniowiecznej pracowni, jak poszukuje odcienia dla kładzonej właśnie warstwy, powodowany pragnieniem, by jego dzieło przetrwało poza jego śmierć i śmierć tych, których uwieczniał pedzłem na zwykłej desce z debowego drewna.

Po skromnym obiedzie zdjęła werniks w dolnej części obrazu, gdzie znajdował się ukryty napis. Pracowała ze szczególną ostrożnością, nie chcąc zniszczyć zieleni miedziowej, zmieszanej z żywicą, żeby nie ściemniała - van Huys użył jej do namalowania sukna przykrywającego stół, sukna, którego faldy wydłużył następnie, zakrywając tym samym kolorem napis po łacinie. Wiedziała doskonale, że ta sprawa, poza zwykłymi trudnościami technicznymi, następcza też problemów natury moralnej... Czy chcąc pozostać w zgodzie z duchem dzieła, wypada odkrywać napis, który sam artysta zdecydował się zasłonić...? Do jakiego stopnia konserwator może sprzeniewierzyć się pragnieniu malarza, uwiecznionemu w dziele z taką samą pieczołowitością, jakby chodziło o testament...? I czy na przykład wycena obrazu, po publicznym udowodnieniu obecności napisu zdjęciami rentgenowskimi, będzie wyższa, gdy słowa pozostaną ukryte, czy jeśli się je odsłoni?

Na szczęście - przyszła jej do głowy pocieszająca myśl - w tym przypadku występuje tylko jako wynajęta specjalistka. Decyzje powinni podjąć właściciele, Menchu i ten typ z Claymore'a, Paco Montegrifo, a ona zachowa się zgodnie z ich postanowieniem. Aczkolwiek po dokładnym przemyśleniu sprawy, gdyby to od niej zależało, wolałaby pozostawić wszystko tak, jak jest. Napis istnieje, jego treść została ujawniona i nie trzeba wydobywać go na światło dzienne. Ostatecznie warstwa farby, która go przykryła pięć wieków temu, też stanowi fragment historii obrazu.

Saksofonowe nuty wypełniały pracownię, izolując ją od świata zewnętrznego. Wacikiem umoczone w rozpuszczalniku miękko przetarła profil Rogera d'Arras, nos i usta, i jeszcze raz zadumała się nad jego lekko opuszczonymi powiekami, nad cieniutkimi kresczkami wyobrażającymi delikatne kurze łapki koło

oczu, nad spojrzeniem wbitym w szachownice. Rozmyślając o nieszczęsnym rycerzu, dziewczyna pociła wodze wyobraźni. Podążała szlakiem miłości i śmierci, idąc w ślad za Przeznaczeniem w tajemniczym balecie tancerzonym przez białe i czarne bierki na polach szachowych, na jego własnym herbie przesyty strzałą kuszy. W półmroku zaś lśniła liza kobiety pozornie zajętej czytaniem brewiarza - a może "Poematu o róży i rycerzu"? - siedzącej niby milczącej cieniem przy oknie, pograżonej we wspomnieniach światła młodości, wypolerowanej stali, kobierców, mocnych kroków po podłodze dworu burgundzkiego, helmu trzymanego pod pachą i uniesionego czoła żołnierza w kwiecie siły i sławy, dostojnego wysłannika tamtego drugiego, z którym racja stanu nakazała jej zawrzeć małżeństwo. Były szept dam dworu, ponure wejście dworzan, jej własny rumieniec na widok tego spokojnego spojrzenia, na dźwięk głosu zahartowanego w bojach, emanującego szczególną pewnością siebie, której nabiera się, tylko jeśli szarżowało się kiedyś na wroga z imieniem Boga, króla lub pani serca na ustach. Wspominała sekret, którego strzegło jej serce przez następne lata. I wreszcie wspominała chwile, gdy Cicha Przyjaciółka, Ostatnia Towarzyszka naostrzyła swoją kosę, napięła cieciewę koło fosy Wrót Wschodnich.

Kolory, obraz, pracownia, mroczna muzyka saksofonowa - wszystko zaczęło wirować wokół Julii. Był taki moment, kiedy przestała pracować, zamknęła oczy w oszłomieniu, zaczęła oddychać głęboko i miarowo, żeby oddalić nagły lek, jaki ją zdjął, kiedy zmyślona perspektywa poczuła się nagle wewnątrz obrazu, jakby stół i szachiseci znaleźli się naraz po jej lewej stronie, ona tymczasem podążyła w głąb przedstawionej przez van Huysa komnaty, w stronę otwartego okna, obok pograżonej w lekturze Beatrycze z Burgundii. I wystarczy, że się pochylił, wyjrzy przez parapet i zobaczy to, co jest na dole pod murami: fosę Wrót Wschodnich, gdzie Roger d'Arras zginął od strzały w plecy.

Spokój powrócił dopiero w chwili, kiedy potarła zapalke. Jednak z trudem przypaliła trzymanego w ustach papierosa, bo dłoń jej drżała, jakby właśnie dotknęła oblicza Śmierci.

- To po prostu klub szachowy - powiedział Cesar, wchodząc po schodach. - Klub Capablanca.

- Capablanca? - Julia z obawą spoglądała w stronę otwartych drzwi. W środku widac było mężczyzn pochylonych nad stolikami i otaczające ich zewsząd grupki gapiów.

- Jose Raul Capablanca - wyjaśnił antykwariusz, stojąc z łaską pod pachą i ściągając kapelusz i rekawiczki.

- Zdaniem wielu, najlepszy szachista wszech czasów... Na całym świecie pełno jest klubów i turniejów jego imienia.

Weszli do lokalu podzielonego na trzy duże sale. W każdej stało z pół tuzina stołów, niemal przy wszystkich toczyły się partie. W pomieszczeniu unosił się szczególny gwar, ni to hałas, ni cisza: coś w rodzaju delikatnego, powściągliwego szemrania, nieco podniosłego, przypominającego atmosferę pełnego ludzi kocioła. Kilku graczy i ciekawskich popatrzyło na Julię ze zdziwieniem, może nawet z niechęcią: w środku przebywali sami mężczyźni. Pachniało dymem tytoniowym i starym drewnem.

- Kobiety nie grają w szachy? - spytała Julia.

Cesar, który podał jej ramię jeszcze przed wejściem, zastanowił się chwilę.

- Prawde mówiąc, nie mam pojęcia - zakończył. - Ale jedno jest pewne, że tutaj nie. Może w domu, przy garach i pieluchach.

- Szowinistyczny samiec.

- To tylko koszmarnie powiedzonko, kochanie. Nie bądź zawistna.

W pierwszej sali powital ich miły, gadatliwy, wiekowy już jegomość z wyraźną łysiną i starannie przyciętymi wąsikami. Cesar przedstawił go Julii jako pana Cifuentesa, dyrektora Stowarzyszenia Hobbystów imienia Jose Raula Capablanki.

- Liczącego pięciuset stałych członków - uzupełnił chępliwie gospodarz, pokazując trofea, dyplomy i zdjęcia wiszące na ścianach. - Organizujemy też ogólnohiszpański turniej... - Zatrzymał się przed gablotą, w której znajdowały się bardzo stare szachownice z figurami i pionami. - Ładne, prawda...? Oczywiście używamy tu wyłącznie kompletów Stauntona.

Zwrócił się do Cesara, oczekując wyrazów aprobaty, antykwariusz zmusił się więc do jakiegoś adekwatnej miny.

- Oczywiście - przytaknął, a Cifuentes odpowiedział zyczliwym uśmiechem.

- Drewno, uważa pan? - zagadnął. - Żadnych tworzyw sztucznych.

- Rozumie się samo przez się.

Cifuentes z zadowoleniem obrócił się ku Julii.

- Musi pani wpaść w sobotnie popołudnie. - Rozejrzył się z dumą jak kwoka za swymi kurczętami. - Dzisiaj jest normalny dzień, o, amatorzy wpadają po pracy na partyjkę przed powrotem do domu, emeryci spędzają tu cały wieczór... Bardzo miły widok, jak państwo się przekonali, bardzo...

- Budujący - palnęła Julia nie z gruszki, nie z pietruszki. Ale Cifuentesowi to określenie przypadło do gustu.

- O toż to, budujący. Jak państwo widzą, jest tu sporo młodych... Ten tam trochę tu nie pasuje. W wieku dziewiętnastu lat napisał stustronicowe opracowanie na temat czterech kierunków debiutu Nimzowitscha.

- Coś podobnego, Nimzowitscha? Nie do wiary... To - Julia z rozpaczą szukała słowa - porażające.

- No, może porażające to za wielkie słowo - przyznał uczciwie Cifuentes. - Ale na pewno istotne.

Dziewczyna spojrzała na Cesara w poszukiwaniu ratunku, ale antykwariusz tylko pociągnął do niej oko i uprzejmie przysłuchiwał się rozmowie. Pochylił głowę w stronę Cifuentesa, dłońmi dzierżąc lasce i kapelusz trzymał za plecami i miał ubawę na całego.

- Ja też - dodał szachista, celując kciukiem w pierwszy guzik kamizelki - dołożyłem przed laty drobny kamyczek do tego gmachu...

- Nie może być - odezwał się Cesar.

Julia zerknęła na niego zaniepokojona.

- Słuch pana nie myli. - Dyrektor uśmiechał się z nienaturalną skromnością. - Podwariant obrony Caro-Kann, w systemie dwóch skoczaków. Wiedza państwo: skoczek na linie trzecia, goniec na linie

damy... Tak zwany wariant Cifuentesa. - Spojrzal na Cesara z nadzieja. - Moze slyszeli panstwo?

- Niech pan w to nie watpi - odparl antykwariusz z zimna krwia.

Cifuentes usmiechnal sie z radoscia.

- Prosze mi wierzyc, ze nie przesadze, jesli powiem, ze w tym klubie, czy moze raczej towarzystwie rekreacyjnym, jak wole go nazywac, spotykaja sie najswietniejsi szachisci Madrytu, a moze i calej Hiszpanii... - Cos mu sie przypomnialo. - Jasne, udalo mi sie namierzyc czlowieka, którego panstwo szukaja - rozejrzal sie i twarz mu pojasniala. - Tak, jest tu. Zaprowadze panstwa.

Poszli za nim przez sale w strone stolików stojacych w glebi.

- Nie bylo latwo - tłumaczyl Cifuentes po drodze - bo caly dzien powracalem do tematu... Ostatecznie - z przepaszajaca mina zwrócił sie lekko w strone Cesara - prosil pan, bym mu polecil najlepszego.

Zatrzymali sie w niewielkiej odleglosci od stolika, przy którym dwóch mezczyzn rozgrywalo partie w otoczeniu grupki gapiów. Jeden z graczy leciutko bebnil palcami w blat kolo szachownicy, nad która pochylal sie z powaznym wyrazem twarzy, jaki Julia widziala u postaci namalowanych przez van Huysa. Naprzeciw niego na drewnianym krzesle siedzial nieruchomo drugi gracz. Bebnienie najwidoczniej absolutnie mu nie przeszkadzalo. Dlonie trzymal w kieszeniach spodni, podbródek opuscil na wezel krawata. Nie sposob bylo orzec, czy jego wbite w szachownice oczy rzeczywiscie patrza na znajdujacy sie na niej ukklad, czy moze gdzieś w przestrzen, ku myslom dalekim od rozgrywki.

Widzowie zachowywali pelne uszanowania milczenie, jakby toczyła sie przed nimi walka na smierc i zycie. Na planszy zostalo juz niewiele bierek, pomieszanych tak, ze nowo przybyli nie potrafili odgadnac, kto gral bialymi, a kto czarnymi. Po paru minutach gracz, który bebnil palcami, ta suma dlonia przesunal bialego gonca na pole miedzy własnym królem a czarna wieza. Wykonawszy ruch, zerknal przelotnie na przeciwnika, po czym ponownie zadumal sie nad szachownica, wrócił tez do bebnienia palcami.

Na posuniecie szachisty zgromadzeni zareagowali dlugim pomrukiem. Zblizywszy sie, Julia zauwazyła, ze drugi szachista, który ani na moment nie zmienil pozycji, wpatruje sie w przesunietego gonca. Trwal w ten sposob dluzsza chwile, az wreszcie, ruchem tak powolnym, ze trudno bylo przewidziec jego cel, przestawil czarnego konika.

- Szach - powiedzial i znowu zastygl w bezruchu, nie zwracajac uwagi na szmer aprobaty wokół.

Julia nagle pojela, ze to on musi byc czlowiekiem, którego chcial poznac Cesar, a którego polecil im Cifuentes. Zaczela przygladac mu sie z uwaga. Byl troszke po czterdziestce, bardzo szczuply, sredniego wzrostu. Wlosy zaczesywal do tylu bez przedzialka, na czole robily mu sie spore zakola. Mial dosc duze uszy, nieco orli nos, ciemne oczy gleboko osadzone w oczodolach, przez co sprawial wrazenie, jakby patrzyl na swiat z nieufnoscia. Jego wyglad zupełnie nie zdradzal inteligencji, bez której, zdaniem Julii, szachista nie mógł sie obejsc. Przypominal raczej ospalego abnegata, apatycznego wobec otoczenia. Z rozczarowaniem pomyslala, ze wyglada na kogos, kto po rozegraniu dobrej partii szachów niewiele juz sie spodziewa po sobie samym.

A mimo to - czy raczej własnie dlatego, z powodu owego nieskonczonego znuzenia, jakie malowalo sie na jego nieruchomej twarzy - kiedy przeciwnik przesunal swojego króla o jedno pole do tylu, a on wyciagnal powoli prawa reke ku bierkom, w ich kacie sali zapanowala zupełna, niczym niezmacona,

cisza. Julia, zapewne patrząc na wszystko okiem przybysza z zewnątrz, ze zdziwieniem domysliła się, że widzowie nie lubią tego gracza, nie darzą go ani krztyną sympatii. Wyczytała w ich twarzach, że niechętnie, bo niechętnie, ale uznają jego wyższość na szachownicy, ponieważ jako kibice nie mogli nie docenić powolnej i nieublaganej precyzji, z jaką przesunął figury i pionki po czarno-białych polach. W głębi duszy jednak - co do tego dziewczyna nie wiedzieć czemu nabrała absolutnej pewności - wszyscy żywi nadzieję, że będą kiedyś świadkami, jak temu człowiekowi powinie się noga, jak popełni błąd, który pograży go w oczach przeciwnika.

- Szach - powtórzył zawodnik. Zrobił właśnie ruch pozornie bardzo prosty, ot, przesunął pionek o jedno pole naprzód, ale jego rywal przestał bębnić palcami i potarł nimi skron, jakby chciał usmierzyć rozdygotany puls. Następnie przeniósł króla o jedno pole wstecz i po przekątnej. Julii wydawało się, że dysponował co najmniej trzema polami do ucieczki, ale z niezrozumiałych dla niej powodów wybrał akurat to. Szmer podziwu w pobliżu dowodził słuszności ruchu, ale jego przeciwnik nawet nie drgnął.

- Tam groziłby mat - odezwał się głosem, w którym nie było śladu triumfu, odrobiny współczucia, tylko suchy komunikat. Wypowiedział te słowa, zanim ruszył którakolwiek bierke, jakby nie uważał za konieczne wspierania ich demonstracją w praktyce. I dopiero wówczas, prawie z niechęcią, nie zwracając uwagi na zaskoczone spojrzenie rywala i sporej części widzów, wzdłuż dzielącej szachownicę na pół przekątnej z białych kwadratów przeciwną swojego gonca, niby przybysza z daleka, i postawił go w pobliżu przeciwnego króla, choć jeszcze nie w pozycji bezpośredniego ataku. Słyszac gwar komentarzy wokół stolika, Julia rzuciła okiem na sytuację na planszy. Nie znalazła się za bardzo na szachach, ale o ile się orientowała, szach-mat oznaczał bezpośrednie zagrożenie króla. Tymczasem biały król wydawał się na razie bezpieczny. Popatrzyła na Cesara, licząc na jakieś wyjaśnienia, potem na Cifuentesa. Dyrektor uśmiechnął się dobrodusznym, krecac z podziwem głowa.

- Rzeczywiście, to byłby mat w trzech posunięciach... - poinformował Julie. - Cokolwiek zrobi biały król, nie ma już ucieczki.

- To ja nic nie rozumiem - odparła. - Co się stało?

Cifuentes zaśmiał się dyskretnie.

- Czarny goniec mógł zadać decydujący cios, chociaż nikt z nas tego nie zauważył, dopóki facet go nie ruszył... Rzecz w tym, że nasz jegomość, mimo że zna doskonale posunięcie, nie chce go skutecznie. Przesunął gonca, żeby nam pokazać prawidłowy ruch, ale postawił go na niewłaściwym polu, gdzie jego figura jest całkowicie niegroźna.

- Dalej nie rozumiem - rzekła Julia. - Czy on nie chce wygrać partii?

Dyrektor klubu Capablanca wzruszył ramionami.

- To jest właśnie najdziwniejsze... Przychodzi tu od pięciu lat, jest najlepszym szachistą, jakiego znam, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wygrał partię.

W tym momencie gracz podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Julii. Cała jego pewność siebie, cały spokój, jakie zademonstrował podczas gry, nagle gdzieś się ulotniły. Tak jakby po zakończeniu rozgrywki i powrocie do rzeczywistości ów człowiek utracił przymioty, które zaskarbiły mu szacunek i zawieszę pozostałych. I dopiero teraz Julia zwróciła uwagę, że ma pospolity krawat, brązowa marynarka pomięta na plecach i wypchana na lokciach, niebieskawy zarost na podbródku nieporządnie ogolonym o piątą czy szóstą rano, nim jego właściciel wsiał do metra lub autobusu, żeby pojechać do pracy. Nawet oczy straciły blask, stały się matowe i szare.

- Przedstawiam panstwu - powiedział Cifuentes - pana Munoz. Szachiste.

#### IV. Trzeci gracz

- Jakie to dziwne - zwrócił mi uwagę Holmes

kilka wieczorów później - ze aby poznać przeszłość,  
czasami trzeba najpierw poznać przyszłość.

Raymond M. Smullyan, Zagadki szachowe Sherlocka Holmesa

(przel. Anna Wójtowicz)

- To prawdziwa partia - orzekł Munoz. - Trochę dziwna, ale logiczna. Przed chwilą był ruch czarnych.

- Na pewno? - spytała Julia.

- Na pewno.

- Skąd pan wie?

- Wiem.

Znajdowali się w jej pracowni, przed obrazem oświetlonym wszystkimi światłami, jakie były w domu. Cesar siedział na sofie, Julia na stole, a Munoz, nieco speszony, stał przed van Huyssem.

- Wypije pan kieliszek?

- Nie.

- Papierosa?

- Też nie. Nie pale.

Sytuacja była nieco kłopotliwa. Skrepowany szachista ciągle stał w pogniecionym gabardynowym płaszczu, zapięty pod szyję, jak gdyby rezerwował sobie prawo do nagłego pożegnania się i wyjścia bez żadnego usprawiedliwienia. Zachowywał się ponuro i nieufnie. Zresztą wcale nie przyszło im łatwo



zaciagnac go az tutaj. Początkowo, kiedy Cesar i Julia przedstawili mu problem, Munoz zrobil mine, która nie wymagała komentarzy. Wzial ich za pare pomylenców. Później przyjal postawe obronna: stal sie podejrzliwy. Panstwo wybacza, jesli ich urazi, ale cala ta historia ze sredniowiecznymi morderstwami i partia szachów na obrazie jest cokolwiek dziwaczna. A nawet jesli oni mówia prawde, to nie bardzo rozumie, co on ma z tym wszystkim wspólnego. Ostatecznie, powtarzal, jakby ta informacja chcial ich wystarczajaco zniechecic, jest tylko ksielowym. Urzednikiem.

- Ale gra pan w szachy - swoja odpowiedz Cesar okrasil jednym z najbardziej uwodzicielskich usmiechów. Przeszli wlasnie przez ulice i siedli w barze tuz kolo wagi automatycznej, która co i raz zagluszala ich rozmowe jednostajna muzyczka wabiaca naiwnych.

- Tak, no i cóz? - nie powiedzial tego wyzywajaco, raczej obojetnie. - Wielu ludzi gra. Nie bardzo wiem, dlaczego akurat ja...

- Podobno pan jest najlepszy.

W oczach szachisty, gdy popatrzył na Cesara, czailo sie cos niejasnego. Julii wydawalo sie, ze tym spojrzeniem mówi: moze i jestem, ale to nie ma nic wspólnego ze sprawa. Byc najlepszym niczego nie oznacza. Mozna byc najlepszym, podobnie jak mozna byc blondynem albo miec plaskostopie, co nie jest równoznaczne z koniecznoscia demonstrowania tego faktu calemu swiatu.

- Gdyby tak bylo, jak pan mówi - odezwal sie po chwili - pojawialbym sie na turniejach i takich tam. A nie robie tego.

- Dlaczego?

Munoz rzucil okiem na swoja pusta juz filizanke po kawie i wzruszyl ramionami.

- Bo nie. Do tego trzeba miec ochote na różne rzeczy. Po pierwsze na to, zeby byc pierwszym... - Spojrzal na nich, jakby nie za bardzo byl pewien, czy rozumieja jego slowa. - A mnie jest wszystko jedno.

- Teoretyk - zawyrokowal Cesar tonem, w którym Julia doczytala sie ukrytej ironii.

Munoz wytrzymal wzrok antykwariusza, w zamysleniu szukajac stosownej odpowiedzi.

- Moze - odrzekl wreszcie. - Dlatego nie sadze, bym mógł sie panstwu na cos przydac.

Juz mial wstac, ale powstrzymala go Julia, kladac mu dlon na ramieniu. W tym krótkim gescie krylo sie zarliwe blaganie, które później Cesar, kiedy juz byli sami, okreslil - unoszac brew - jako wywazona manifestacje kobiecosci, kochanie, niby dama, która prosi o pomoc, nie wykraczajac poza przyjete obyczaje, ale jednoczesnie zapobiegajac odfruniecie ptaszka. On sam nie bylby w stanie zrobic tego lepiej, wydalby tylko z siebie trwozny krzyk, zupełnie w tej sytuacji nieskuteczny. W kazdym razie Munoz spojrzal przelotnie w dól na dlon, która Julia juz cofala, i pozostal na krzesle, slizgajac sie wzrokiem po stoliku, obserwujac wlasne niezbyt czyste paznokcie i dlonie, spoczywajace nieruchomo po obydwu stronach filizanki.

- Potrzebujemy panskiej pomocy - powiedziala cicho Julia. - Zapewniam pana, chodzi o cos waznego. Waznego dla mnie i dla mojej pracy.

Szachista przechylil troche glowe i popatrzył na nia - nie w oczy, ale na podbródek, jakby sie bal, ze

jesli ich spojrzenia sie spotkaja, bedzie zmuszony do pójscia na ukklad, jakiego nie zamierza przyjac.

- Nie sadze, zeby mnie to interesowalo - odparl po chwili.

Julia pochyliła sie nad stolem.

- Prosze sobie wyobrazic, ze to zupełnie inna partia od tych, jakie gral pan dotad... Partia, która akurat warto wygrac.

- Nie rozumiem, dlaczego mialaby byc inna. W sumie wszystkie partie sa takie same.

Cesar zaczynal sie niecierpliwic.

- Zapewniam pana, drogi przyjacielu - antykwariusz zdradzal wzburzenie okrecajac topaz wokół palca - ze w zaden sposób nie potrafi sobie wytлумaczyc panskiej niezrozumialej apatii... To dlaczego pan w ogóle gra w szachy?

Szachista zamyslil sie, omiótl blat wzrokiem, ale tym razem nie zatrzymal go na podbródku Cesara, lecz spojrzal mu prosto w oczy.

- Byc moze - rzekl ze spokojem - z tego samego powodu, dla którego pan jest homoseksualista.

Wydawalo sie, ze nad stolikiem powial lodowaty wiatr. Julia gwałtownie zapalila papierosa, doslownie przerazona nietaktowna uwaga, która zreszta Munoz wypowiedzial bez jakiegokolwiek nacisku czy agresji. Przeciwnie, szachista przypatrywal sie antykwariuszowi z uprzejma ciekawoscia, jakby spodziewal sie odpowiedzi szanownego rozmówcy w ramach całkiem konwencjonalnej wymiany zdan. Dziewczyna uznala, ze w jego spojrzeniu nie bylo zadnych intencji, za to moze raczej naiwnosc niezdarne go zagranicznego turysty, który nieswiadomie narusza miejscowe normy.

Cesar tylko pochytil sie nieco w strone Munoz z lekkim zainteresowaniem. Po jego waskich bladych ustach blakal sie usmiech rozbawienia.

- Mój drogi przyjacielu - powiedzial lagodnie. - Z panskiego tonu i powierzchownosci wnosze, ze nie zywi pan obiekcji wobec takich czy innych atrybutów, jakie cechuja moja skromna osobe... Podobnie mniemam, ze nie zywil ich pan wobec bialego króla wzglednie szachisty, z którym gral pan przed chwila w klubie. Czy sie myle?

- Raczej nie.

Antykwariusz zwrócił sie do Julii.

- Pojmujesz, ksiezniczko? Wszystko jest w porzadku, nie ma powodu do niepokoju... Ten czcigodny czlowiek chcial nam tylko dac do zrozumienia, ze gra w szachy wylicznie z uwagi na gre sama w sobie, która stanowi sedno ich natury. - Na ustach Cesara zamajaczyl wyrozumialy usmiech. - Ma to potwornie duzo wspólnego z zagadnieniami, kombinacjami, marzeniami... Cóż takiego w porównaniu z tym moze mu dostarczyc prozaiczny szach-mat? - Odchylil sie w krzesle i popatrzyl w oczy Munozowi, który odwzajemnil spojrzenie z niezmaconym spokojem. - Ja panu to powiem: otóz nie dostarcza panu niczego. - Uniósł dlonie, jakby zachecal Julie i szachiste, by sie przekonali o prawdziwosci jego słów. - Nie mam racji, przyjacielu... ? Szach-mat to tylko przykra kropka nad i, wymuszony powrót do

rzeczywistosci. - Potarl nos. - Do realnej egzystencji, do zwyczajnej, codziennej rutyny.

Po tym przemówieniu Munoz chwile nic nie mówił.

- Zabawne. - Przymknal oczy, szkicujac na twarzy jakis wstep do usmiechu, który jednak ostatecznie tam nie zagoscil. - Chyba dokladnie o to chodzi. Ale nigdy nikt nie powiedzial tego na glos.

- Raduje mnie, ze oswiecilem pana w tej materii - odpowiedzial znacząco Cesar i zasmial sie, czym zaslužyl sobie na wyrzut w oczach Julii.

Szachista nie byl juz tak pewny siebie, moze nawet zbity z pantalyku.

- Pan tez gra w szachy?

Cesar wybuchl krótkim smiechem. Alez on od rana nieznośnie afektowany - pomyslala Julia. - Zawsze taki jest, kiedy ma odpowiednia publiczność.

- Jak wszyscy, znam zasady, według których poruszają się bierki. Ale ta gra ani mnie grzeje, ani ziębi. - Utkwil w Munozie wzrok i naraz spowaznial. - Moja gra, szanowny przyjacielu, polega na tym, żeby uniknac szachu, w jakim chce mnie postawic życie, a to niemalo. - Wskazal siebie i rozmówce gestem dłoni, w którym byla i niechec, i delikatność. - I jak pan, mój drogi, jak wszyscy, musze uciekac się do drobnych sztuczek, żeby jakos szło.

Munoz zerknal, wciąż zakłopotany, w stronę wyjścia na ulice. W skąpym świetle baru wygladal na jeszcze bardziej zmęczonego, cien w oczach wydawal się jeszcze głębszy. Wielkie uszy nad kołnierzem płaszczka, wydatny nos i koscista twarz - wszystko to sprawialo, że przypominal niezgrabne chude psisko.

- Zgoda - powiedzial. - Pójde z panstwem obejrzec ten obraz.

I teraz, juz w pracowni, czekali, aż Munoz wyda werdykt. Jego początkowe skrepowanie, wywołane obecnością w nieznanym domu obok ładnej dziewczyny, antykwariusza o podejrzanych skłonnościach i dziwnego obrazu, stopniowo ustępowalo, w miarę jak uwagę przybysza pochłaniala namalowana partia szachów. Przez pierwsze minuty stal nieruchomo na uboczu i przygladal się jej bez słowa, trzymając ręce za plecami. Julia odniosła wrażenie, że identycznie zachowywali się gapie w klubie Capablanca, sledząc rozgrywane przez innych partie. Zreszta on robil w tej chwili dokładnie to samo. Wszyscy milczeli. Wreszcie Munoz poprosil o ołówek i kartke, by po krótkim zastanowieniu, co i raz podnosząc wzrok na malowidło, przeniesc na papier sytuację z szachownicy.

- Z którego wieku jest ten obraz? - spytal. Na kartce widnial kwadrat podzielony pionowymi i poziomymi liniami na szesdziesiąt cztery pola.

- Z końca piętnastego - odrzekla Julia.

Munoz potarl czolo.

- Data jest tu ważna. W tamtych czasach reguly w szachach byly prawie takie same, jak dzisiaj, ale ruchy niektórych figur ciagle jeszcze się nieco różnily... Na przykład hetman mógł się poruszac na skos tylko o jedno pole, potem o trzy. Natomiast roszady królem nie znano do czasów sredniowiecznych -

odłożył rysunek i jał przypatrywać się obrazowi z większą uwagą. - Jeśli ten, co namalował partie, zastosował się do nowoczesnych reguł, może uda nam się rozwiązać problem. Jeśli nie, będzie trudno.

- Rzecz się dzieje na ziemiach, które dziś należą do Belgii - zaznaczył Cesar. - Około tysiąc czterysta siedemdziesiątego roku.

- Czyli nie powinno być problemu. W każdym razie takiego, którego nie da się rozwiązać.

Julia wstała od stołu i wpatrując się w namalowaną szachownicę podeszła do obrazu.

- Skąd pan wie, że właśnie był ruch czarnych?

- To oczywiste. Wystarczy popatrzeć na usytuowanie bierok. Albo na graczy. - Munoz wskazał Ferdynanda Ostenburskiego. - Ten z lewej, grający czarnymi, patrzy w stronę malarza, czyli w naszą, i widac, że jest zrelaksowany. Nawet wyluzowany, jakby bardziej zajmowali go widzowie, a nie szachownica... - Teraz pokazał na Rogera d'Arras. - Ten z kolei przygląda się posunięciu, które właśnie zostało zrobione. Widza państwo, jaki jest skupiony? - Wrócił do swojego szkicu. - Poza tym jest jeszcze jedna metoda, która pozwoli nam to ustalić. I właśnie nią się teraz posłużymy. Nazywa się analiza wsteczna.

- Jaka analiza?

- Wsteczna. Wychodząc z określonego układu na szachownicy, należy odtworzyć partie do tyłu, żeby stwierdzić, jak do niego doszło... Mówiac prościej, coś w rodzaju odwrotnych szachów. Rozumowanie indukcyjne: zaczynamy od rezultatów, a dochodzimy do przyczyn.

- Jak Sherlock Holmes - zauważył z wyraźnym zaciekawieniem Cesar.

- Coś w tym rodzaju.

Julia spojrzała na Munozę z niedowierzaniem. Dotychczas uważała, że szachy to gra może trochę trudniejsza od warcabów albo domina, przy której trzeba być nieco bardziej skupionym i bystrym. Dlatego tak ją zdumiało podejście Munozę do van Huysa. Nie ulegało wątpliwości, że w tej przestrzeni o trzech planach - w postaci lustra, komnaty i okna - gdzie rozgrywało się odtworzone przez Pietera van Huysa wydarzenie, w przestrzeni, w której ona sama doznała zawrotu głowy na skutek po mistrzowsku uzyskanego efektu optycznego, Munoz czuł się jak u siebie w domu, nie bacząc na czas i postacie, na niepokojące związki między nimi, o których do tego momentu przecież nawet nie miał pojęcia, jak zresztą i o samym obrazie. Poruszał się tu swobodnie, jakby z miejsca był w stanie przyswoić sobie układ bierok i jakby nigdy nic wejść w te gre, odrzucając całą resztę. Na dokładkę, w miarę analizowania "Partii szachów" Munoz pozbywał się początkowego zakłopotania, nie był już malomówny i zmieszany jak w barze, znów przypominał tego niewzruszonego, pewnego siebie szachistę, którego widział w klubie Capablanca. Może wystarczała szachownica, by ten szorstki, niezdecydowany, szary człowiek odzyskał rezon i swobodę. - To znaczy, że można rozegrać te namalowane partie w tył aż do początku?

Munoz zrobił jedną z tych swoich min, z których nic konkretnego nie wynikało.

- Nie wiem, czy aż do początku... Ale chyba możemy odtworzyć kilka ruchów. - Spojrzał na obraz, jakby widział go w innym świetle, po czym zwrócił się do Cesara: - Jak rozumiem, tego właśnie oczekuje

od nas malarz.

- Pan to musi sprawdzić - odparł antykwariusz. - Przewrotne pytanie brzmi: kto zbil konika?
- Białego skoczka - uściślił Munoz. - Bo tylko jeden jest poza szachownicą.
- To oczywiste - powiedział Cesar i dodał z uśmiechem: - drogi Watsonie.

Szachista nie zwrócił uwagi na żart, a może nie chciał tego dać po sobie poznać. Poczucie humoru z pewnością nie należało do cech, które można mu było przypisać. Julia podeszła do sofy i usiadła obok antykwariusza, podniecona jak mała dziewczynka oglądająca niezwykle przedstawienie. Munoz pokazał im ukończony właśnie szkic.

- To jest sytuacja, jaka widzimy na obrazie

- ...Jak państwo zauważyli, przypisałem każdemu polu pewne współrzędne, żeby ułatwić lokalizację bierki. Szachownice widzimy tu z perspektywy gracza z prawej strony...

- Rogera d'Arras - uzupełniła Julia.

- Rogera d'Arras czy jak mu tam. Rzecz w tym, że patrząc na szachownice z tej strony, numerujemy poziome linie, czyli rzędy pól od jednego do osmiu idąc w głąb, a liniom pionowym, czyli kolumnom, przyporządkujemy litery od A do H - mówiąc, pokazywał ołówkiem. - Są jeszcze pewne klasyfikacje techniczne, ale darujemy je sobie.

- Każdy znak odpowiada jednemu rodzajowi bierki?

- Tak. To konwencjonalne oznaczenia, czarne i białe. Pod spodem umieściłem legendę.

- ...W ten sposób, mając nawet niewielkie pojęcie o szachach, łatwo stwierdzić, że na przykład czarny król jest na polu a 4. A z kolei na f 1 mamy białego gonia... Rozumie pani?

- Doskonale.

Munoz wskazał teraz inne symbole.

- Na razie zajmowaliśmy się bierkami stojącymi na szachownicy. Ale żeby zanalizować partię, musimy wiedzieć, które znalazły się już poza nią. - Popatrzył na obraz. - Jak się nazywa szachista z lewej?

- Ferdynand Ostenburski.

- Otóż Ferdynand Ostenburski gra czarnymi i zbil przeciwnikowi następujące białe bierki.

- ...Czyli: gonia, skoczka i dwa pionki. Z kolei ten cały Roger d'Arras zbil drugiemu graczowi to.

- ...W sumie: cztery pionki, wieża i gonia. - Munoz zamyslił się nad szkicem. - Patrząc na partię od tej strony, białe uzyskiwały przewagę nad czarnymi: wieża, pionki i tak dalej. Ale, o ile dobrze zrozumiałem, nie o to chodzi, tylko o to, kto zbil skoczka. Bez wątpliwości jakaś czarna bierka, co jest naturalnie truizmem, ale trzeba się posuwać krok za krokiem, od podstaw. - Spojrzał na Cesara i Julię, jakby uznał, że musi

się usprawiedliwić. - Nic bardziej zwodniczego niż fakty oczywiste. Ta zasada logiczna znajduje zastosowanie w szachach: coś, co wydaje się ewidentne, wcale niekoniecznie staje się rzeczywistością... Podsumowując: naszym zadaniem jest stwierdzić, która czarna bierka na szachownicy lub poza nią zabiła białego skoczka.

- Czyli kto zabił rycerza - dopowiedziała Julia.

- A to już nie jest moja sprawa, szanowna panienko - odparł wymijająco Munoz.

- Proszę mi mówić Julia.

- No więc, to nie moja sprawa, panno Julio... - Zaglebił się w kartkę ze szkicem, jakby tam miał zapisany zarys rozmowy, w której stracił na chwilę watek. - Mam wrażenie, że poprosili mnie państwo, abym doszedł, która bierka zabiła skoczka. Jeśli na tej podstawie państwo wyciągną jakieś wnioski albo rozszyfrują lamigłówkę, to wspaniale. - Podniósł na nich stanowczy wzrok, jakby właśnie skończył długi wywód techniczny i dopominał się odzewu. - W każdym razie tym powinni się zająć państwo. Ja przyszedłem w odwiedziny. Jestem tylko szachista.

Cesar uznał to rozumowanie za rozsądne.

- Nie widzę przeciwwskazań. - Antykwariusz zerknął na Julię. - Pan pokaze nam kroki, a my je zinterpretujemy... Praca zespołowa, kochanie.

Zapaliła kolejnego papierosa i zaciągając się, skinęła głową. Zbyt ją to pochłonęło, żeby zwracała uwagę na jakies szczegóły. Położyła dłoń na dłoni Cesarza i wyczuła jego delikatny, spokojny puls. Potem podciągnęła nogi i usiadła na sofie po turecku.

- Ile czasu zajmie nam rozwiązanie?

Szachista poskrobał się po niedogolonym podbródku.

- Nie wiem. Pół godziny, może tydzień... Zależy.

- Od czego?

- Od wielu rzeczy. Od tego, jak dobrze uda mi się skoncentrować. Również od szczęścia.

- A mógłby pan zacząć zaraz?

- Jasne. Już zacząłem.

- No to prosimy.

Ale w tym momencie zadzwonił telefon i partie szachów trzeba było odłożyć.

Dużo później Julia twierdziła, że przeczuwała, co się wydarzyło. Jak jednak sama przyznała, takie rzeczy łatwo twierdzić ex post. Utrzymywała również, że właśnie w tamtym momencie uswiadomiła sobie, jak strasznie sprawy się komplikują. W rzeczywistości, o czym wkrótce się przekonała, sprawy zaczęły się komplikować dużo wcześniej, a teraz były już całkiem zagmatwane, choć ich najbardziej ponure oblicze

jeszcze nie zdazylo wyjsc na swiatlo dzienne. W sumie mozna wrecz powiedziec, ze wypadki zaczely sie toczyc w 1469 roku, kiedy najemny kusznik, anonimowy czarny pionek w tej grze, napial naoliwiona cieciwe i stanal na pozycji wedle fosy zamku ostenburskiego, by z myśliwska cierpliwoscia oczekiwac nadejscia czlowieka, za którego glowe zdazyl zainkasowac juz pelen mieszek zlota.

Początkowo policjant nie zachowywał się jakos szczególnie nieprzyjemnie, zwążywszy okoliczności i zwążywszy, że był policjantem. Aczkolwiek, mimo przynależności do Wydziału Śledczego do spraw Sztuki, wcale nie różnił się od kolegów po fachu. Związki ze środowiskiem, w którym obracał się ze względów służbowych, pozostawiły, owszem, pewne subtelne ślady: potrafił powiedzieć "dzień dobry" czy "proszę spocząć", umiał też zawiązać sobie z klasą krawat. Poza tym przemawiał powoli, nie zalewał potokiem słów i często kiwał głową, nie przerywając rozmówcy, choć Julia nie była pewna, czy ten ruch ma służyć wzbudzeniu zaufania u innych, czy też ukryciu faktu, że policjant właśnie buja w obłokach. Był niski i otyły, ubierał się na brązowo i nosił dziwaczne meksykańskie wazy. W materii sztuki jako takiej nadinspektor Feijoo skromnie uważał się za amatora: kolekcjonował zabytkowe noże.

Wszystko to Julia zaobserwowała w gabinecie komisariatu przy alei Prado w ciągu pierwszych pięciu minut relacji, w której Feijoo zawarł niektóre makabryczne szczegóły śmierci Alvara. Profesora Ortega znaleziono leżącego w wannie z czaszką rozbita na skutek poslizgnięcia się podczas kąpieli, i był to oczywiście fakt godny ubolewania. Może dlatego też inspektorowi, podobnie jak Julii, wcale nie było przyjemnie, gdy zdradzał okoliczności, w jakich denat został odkryty przez sprzątaczkę. Jednak znacznie poważniejszą sprawą było to - Feijoo szukał słów, wreszcie spojrzawszy przygnębiony na dziewczynę, jakby chciał ją nakłonić do refleksji nad kruchością ludzkiego losu - że oględziny przeprowadzone przez lekarza sądowego wykazały pewne niepokojące szczegóły: nie sposób było ściśle ustalić, czy śmierć nastąpiła przypadkowo, czy została przez kogoś zadana. Mówiąc innymi słowami, istniała ewentualność - inspektor dwukrotnie powtórzył słowo ewentualność - że pęknięcie podstawy czaszki nastąpiło pod działaniem innego twardego przedmiotu, którego nie należy utożsamiać z wanną.

- Chce pan powiedzieć - Julia z niedowierzaniem oparła się o biurko - że ktoś mógł go zabić, kiedy się kąpał?

Mina policjanta miała bez wątpienia zasugerować jej, że nie należy posuwać się za daleko w domysłach.

- Ja tylko wspominałem o takiej możliwości. Wizja lokalna i pierwsze badanie przemawiały z grubsza raczej za wypadkiem.

- Z grubsza...? Co pan ma na myśli?

- To, co wiemy. Ot, szczegóły, jak rodzaj złamania, usytuowanie denata... Są to zagadnienia techniczne, których wolalbym pani oszczędzić, ale które wpędzają nas w niejaki zakłopotanie, budzą uzasadnione wątpliwości.

- To śmieszne.

- Mógłbym się z panią zgodzić. - Jego usta i meksykański was układały się teraz w pełną ubolewania literę Ó. - Ale bliższe oględziny nie pozwalają na to: profesor Ortega musiał zginąć od ciosu w kark... Następnie ktoś go rozebrał, zaciągnął do wanny i odkrecił krany, żeby upożyczyć wypadek... Obecnie trwa kolejne badanie, rozważamy ewentualność, że zmarły otrzymał dwa ciosy, pierwszy, który go powalił, a drugi dla pewności, że nie żyje. Oczywiście - odchylił się do tyłu w krzesle, skrzyżował ramiona i obserwował dziewczynę ze spokojem - to tylko hipotezy.

Julia patrzyła na oficera i miała wrażenie, że ktoś się z niej ordynarnie nabija. Nie była zdolna przyjac

tego, co usłyszała, nie potrafiła połączyć w jeden obraz Alvaro i sugestii nadinspektora Feijoo. Głos wewnętrzny podpowiadał jej, że to jakaś pomyłka w papierach, że mówią tu o kims innym. Przecież to niemożliwe, żeby ten Alvaro, którego znalazła, leżał zamordowany ciosem w kark niczym królik, nagi, z otwartymi oczami i w strumieniu zimnej wody. To jakiś idiotyzm. Może sam Alvaro zdążył jeszcze docenić absurdalność całej sytuacji.

- Wyobraźmy sobie przez chwilę - powiedziała po krótkim namysle - że śmierć nie nastąpiła przypadkowo... Kto mógłby mieć powód, żeby go zabić?

- Jak mówią w filmach, bardzo dobre pytanie... - Policjant przygryzł dolną wargę przednimi zębami w czujnym uśmiechu. - Mówiąc bez ogródek, nie mam bladego pojęcia - tu zrobił pauzę. Patrzył na nią tak otwarcie, że aż nieszczerze. Chciał stworzyć wrażenie, że wyłożył wszystkie karty na stół. - Po prawdzie liczę tu na pani współpracę.

- Na moja? Dlaczego?

Inspektor zmierzył ją powoli wzrokiem. Przestał być miły, jego mina zdradzała jakieś prostackie zaciekawienie, jakby usiłował nawiązać dwuznaczne porozumienie.

- Miała pani z denatem związek... Proszę wybaczyć, ale mam dość niewdzięczny zawód. - Sądząc po zadufanym uśmiechu, widocznym spod wąsów, wcale nie czuł w tym momencie niewdzięczności wobec swego zawodu.

Wyciągnął z kieszeni paczkę zapalek z nadrukiem znanej czterogwiazdkowej restauracji i w pseudoelegancki sposób przypalił papierosa, którego Julia wsunęła właśnie w usta. - Rozumie pani, hm, przygoda. Mam dobre informacje?

- Dobrze. - Julia wypuściła kłęb dymu i, wściekła, przymknęła ze zdenerwowania oczy. "Przygoda". Tym banalnym słowem policjant streszczał cały kawał jej życia, wciąż nie do końca zablizniony. A na dodatek - pomyślała - ten gruby prostak z beznadziejnymi wąsami na pewno uśmiecha się w duchu, taksując wzrokiem nowy towar. Łaseczka tego trupa jest całkiem-całkiem - rzuci zaraz przy piwie kolegom w kantynie. Z łózka bym nie wykopał.

Sytuacja miała jednak bardziej niepokojące aspekty. Alvaro nie żyje. Niewykluczone, że został zamordowany. Może to i absurd, ale ona siedzi teraz na komisariacie, a w całej sprawie jest zbyt wiele niejasności, których nie umie pojąć. A jeśli pewnych rzeczy się nie pojmuje, to zaczyna być niebezpiecznie.

Czuła, że cała jest napięta i czujna, gotowa do obrony. Spojrzała na Feijoo, który już nie wyglądał na współczującego poczciwca. Wszystko to są zasady taktyki - powiedziała w duchu. Usiłując przywołać spokój, pomyślała, że inspektor też nie ma powodów, żeby zachowywać się rozważnie. W końcu wykonywał tylko swoją robotę, nie różnił się od innych policjantów, był tak samo tępy i ordynarny. Postarała się wejść w jego skórę i wtedy przyszło jej do głowy, że ona jest po prostu jego tropem: eks-narzęczona denata. Jedyna nitka.

- Ale ta przygoda to już przeszłość - dodała strzepując popiół do nieskazitelnie czystej popielniczki na biurku Feijoo, wypełnionej metalowymi spinaczami. - Zakoczyła się rok temu... Dziwie się, że pan nie wie.



Inspektor oparł się łokciami o blat i pochylił do przodu.

- Wiem - rzekł niemal poufnym tonem, jakby chciał ją przekonać, że na tym etapie są już starymi sojusznikami, że jest całkowicie po jej stronie, po czym uśmiechając się, dodał z miną człowieka, który zdradza dotąd zazdrośnie strzeżoną tajemnicę: - Ale widziała się z nim pani trzy dni temu.

Julia spojrzała na policjanta z udawanym zaskoczeniem, jak gdyby usłyszała ciężki idiotyzm. Oczywiście, Feijoo przepytal ludzi na wydziale. Mógł mu powiedzieć byle dozorca czy sekretarka. Ponadto nie było się z czym kryć.

- Poszłam poprosić go o pomoc w związku z obrazem, który obecnie odnawiam. - Zdziwiło ją, że policjant niczego nie notuje, i doszła do wniosku, że to też część jego metod: ludzie mówią swobodniej, kiedy sadza, że ich słowa rozplywają się w powietrzu. - Rozmawialiśmy z godzinę w jego gabinecie, jak pan z pewnością doskonale wie. Nawet umówiliśmy się na późniejszy termin, ale nie przyszedł.

Feijoo obracał w palcach pudełko zapalek.

- O czym państwo rozmawiali, jeśli wolno zapytać...? Ufam, że zdoła mi pani wybaczyć takie... hm, osobiste pytania. Zapewniam panią, że to zwykła rutyna.

Julia popatrzyła na policjanta w milczeniu, zaciągając się papierosem. Po chwili zaprzeczyła ruchem głowy.

- Pan mnie chyba bierze za kretynkę. Policjant przymknął powieki i wyprostował się lekko na krześle.

- Przepraszam, ale nie wiem, o co pani...

- Zaraz panu powiem, o co chodzi. - Zdusiła gwałtownie papierosa w kupce spinaczy, nie bacząc na rozpacz w oczach rozmówcy. - Nie mam nic przeciwko odpowiedziom na pańskie pytania, ale zanim ich udzieli, proszę mi powiedzieć, czy Alvaro przewrócił się w wannie, czy nie.

- Mówiąc prawdę - Feijoo nie spodziewał się tego ataku - mam za mało wskazówek...

- Czyli nasza rozmowa jest zbędna. Natomiast jeżeli uważa pan, że w jego śmierci jest coś niejasnego, i zamierza mnie pan pociągnąć za język, chce natychmiast wiedzieć, czy przesłuchuje mnie pan w charakterze podejrzanego... Bo jeśli tak, to albo w tej chwili wychodzę z komisariatu, albo dzwonię po adwokata.

Policjant uniósł dłonie w pojednawczym geście.

- To byłoby przedwczesne. - Uśmiechnął się krzywo i zaczął się wiercić na siedzeniu, jakby znów szukał właściwych słów. - Na razie wersja oficjalna jest taka, że profesor Ortega padł ofiarą wypadku.

- A jeśli pańscy wspaniali lekarze sądowi dojdą do przeciwnych wniosków?

- W takim razie... - Feijoo miał niewyraźną minę - nie byłaby pani bardziej podejrzana niż ktokolwiek, kto utrzymywał stosunki z denatem. Proszę sobie wyobrazić listę kandydatów...

- Na tym polega problem. Nie umiem wyobrazić sobie kogokolwiek, kto mógłby zamordować Alvara.

- Ma pani prawo tak uważać. A ja widzę sporo możliwości: oblani studenci, zazdrośni koledzy,

porzucone kochanki, rozwsciezeni mezowie... - wyliczał, przesuwając kciuk po pozostałych palcach i urwał, kiedy zabrakło mu palców. - Nie. Rzecz polega na tym, i musi to pani przyznać, że pani zeznanie jest bardzo cenne.

- Dlaczego? Zakwalifikował mnie pan do porzuconych kochanek?

- Nie posunąłbym się tak daleko, młoda damo. Ale spotkała się pani z nim na kilka godzin przed tym, jak coś roztrzaskało mu czaszkę... Albo ktos.

- Godzin? - Tym razem Julia wpadła w autentyczne osłupienie. - To kiedy zginął?

- Trzy dni temu. W środę, między drugą po południu a dwunastą w nocy.

- To wykluczone. Pomylili się panowie.

- Pomylili? - Mina oficera znów się zmieniła. Tym razem patrzył na nią z jawną nieufnością. - Pomyłka nie wchodzi w grę. Mam wyniki badania lekarskiego.

- To musi być pomyłka. O dwadzieścia cztery godziny.

- Dlaczego pani tak uważa?

- Dlatego, że w czwartek wieczorem, czyli na jutro po naszym spotkaniu, przysłał mi do domu dokumenty, o które go prosiłam.

- Co za dokumenty?

- Na temat historii obrazu, przy którym pracuje.

- Dostała je pani poczta?

- Kurierem, tego samego wieczoru.

- Pamięta pani, która agencja?

- Tak, Urbexpress. To było w czwartek, koło ósmej... I jak pan to wytłumaczy?

Spod wasów dobiegło sceptyczne westchnienie.

- Nie wytłumacz. W czwartek wieczorem Alvaro Ortega leżał martwy od dwudziestu czterech godzin, więc nie mógł niczego wysłać. Ktos... - Feijoo odczekał, aż do Julii dotrą jego słowa - ktos musiał to zrobić za niego.

- Ktos? Jaki ktos?

- Ktos, kto go zabił, jeżeli został faktycznie zabity. Hipotetyczny zabójca. Badz też zabójczyni. - Popatrzył na Julię z zaciekawieniem. - Nie wiem, dlaczego o osobie, która popełnia zbrodnie, myślimy zawsze najpierw w rodzaju męskim... - nagle coś zaprzatnęło jego uwagę. - Czy w przesyłce rzekomo wysłanej przez Alvara Ortege był jakiś list albo notatka?

- Tylko dokumenty. Ale to przecież logiczne, że on je wysłał... Jestem przekonana, że gdzieś popełniono

pomyłke.

- Zadnej pomyłki. Zmarł w srode, a pani otrzymała dokumenty w czwartek. Chyba ze agencja kurierska ma takie opóźnienia...

- Nie, tu jestem pewna. Koperta miała date czwartkowa.

- Był ktos u pani tego wieczoru? Jakis swiadek?

- Dwoje: Carmen Roch i Cesar Ortiz de Pozas. Policjant wybaluszyl oczy z autentycznego zdumienia.

- Don Cesar? Antykwariusz z ulicy Prado?

- Zgadza sie. Pan go zna?

Feijoo skinal glowa po krótkim wahaniu. Zna go, owszem. Zawodowe kontakty. Ale nie wiedzial, ze on i ona sa przyjaciółmi.

- No to juz pan wie.

- Wiem.

Policjant zaczął bebnic w stół długopisem. Czul sie potwornie niezrecznie i mial po temu powody. Jak dowiedziala sie Julia nazajutrz z ust samego Cesara, nadinspektor Casimir Feijoo zdecydowanie nie nalezaln do idealnych stróżów prawa. Kontakty ze swiatem sztuki i antyków pozwalaly mu pod koniec kazdego miesiaca zaokrąglac nieco sume, która dostawal za swoja prace, o dodatkowe dochody. Czasami, gdy odzyskal jakies skradzione stare przedmioty, jedna sztuka ulatniala sie bocznymi drzwiami. W operacjach brali udzial zaufani posrednicy, a on czerpal z tego procent. Cesar nalezaln do tych posredników. Swiat jest maly.

- W kazdym razie - powiedziala Julia, nieswiadoma jeszcze zyciorysu Feijoo - podejrzewam, ze dwoje swiadków niczego nie dowodzi. A dokumenty moglam sobie wyslac sama.

Feijoo skinal glowa bez slowa, chociaz teraz spogladal na nia bardzo przezornie. Kolejna sztuczka, która miala wylacznie taktyczne znaczenie, co Julia zrozumiala dopiero później.

- Szczerze mówiac - powiedzial w koncu - cala ta sprawa jest bardzo dziwna.

Julia gapila sie w przestrzen. Z jej punktu widzenia sprawa dawno przestala byc dziwna. Teraz byla zdecydowanie ponura.

- Jednego nie rozumiem: komu moglo zalezec, zebym jednak dostala te dokumenty?

Feijoo znów przygryzl dolna warge pod obwislymi wasami. Wyciagnal z szuflady notes i zaczął rozważac za i przeciw calej sytuacji. Widac bylo, ze afera absolutnie nie napawala go entuzjazmem.

- A to... - mruknal, notujac niechetnie pierwsze slowa. - A to, droga pani, tez jest bardzo dobre pytanie.

Zatrzymala sie na progu, czujac, ze policjant pilnujacy wejścia obserwuje ja z zaciekawieniem. Po

drugiej stronie alei, za drzewami, widac bylo neoklasycystyczna fasade muzeum, oswietlona poteznymi reflektorami ukrytymi w zaroslach pobliskiego ogrodu, posród kamiennych lawek, posagów i fontann. Leciutka mżawka wystarczyla, zeby asfalt lsnil od lamp samochodów oraz zmieniajacych sie rytmicznie zielonych, bursztynowych i czerwonych swiatel na skrzyzowaniach.

Julia postawila kolnierz skórzanej kurtki i ruszyla chodnikiem, wsluchujac sie w echo wlasnych kroków w mijanych pustych bramach. Ruch byl niewielki, tylko co jakis czas oswietlal ja z tylu jakis pojazd. Jej cien, zrazu dlugi i waski, stopniowo kurczyl sie i umykal stlamszony w bok, w miare jak warkot motoru zblizal sie za plecami, by w koncu minac ja i odjechac wraz z para czerwonych lampek i druga blizniacza widoczna w mokrym asfalcie.

Zatrzymala sie na swiatlach. Czekajac na zielone, szukala w mroku nocy innych zieleni i dostrzegla je na oddalajacych sie taksówkach, w innych swiatlach migoczacych w perspektywie alei, w dalekim neonie - obok blekitu i zólcien! - zamontowanym na szklanym wiezowcu, na którego ostatnim pietrze widac bylo w oswietlonych oknach kogos, kto jeszcze sprzata albo pracuje. Wreszcie mogla przejsc. Teraz szukala czerwieni, znacznie czestszych w duzym miescie. Zamiast czerwonego dostrzegla jednak niebieski odblysk samochodu policyjnego, jadacego tak daleko, ze nawet nie bylo slychac syreny. Jak obrazek z niemego filmu. Czerwień samochodu, zielen swiatla na skrzyzowaniu, blekit neonu, blekit "koguta" policyjnego... Pomyslala, ze taka wlasnie gama kolorystyczna nalezalo oddac ten dziwny krajobraz, paleta niezbedna do namalowania obrazu pod tytulem Nokturn (co za ironia!), zeby wystawic go potem w galerii Roch, chociaz Menchu bez watpienia kazalaby sobie objasnac tytul. W to wszystko zgrabnie wkomponowane różne odcienie czerni: czern nocy, czern mroku, czern strachu, czern samotnosci.

Naprawde odczuwala strach? W innych okolicznosciach temat ten mógłby byc podstawa dyskusji akademickiej: w milym towarzystwie kilkorga przyjaciól, w cieplym, przytulnym pokoju, przy kominku, z czesciowo juz oprózniona butelka. Strach jako czynnik niespodziewany, jako zatrwarzajaca swiadomosc rzeczywistosci odkrywanej dopiero w danym momencie, chociaz stale obecnej. Strach jako ostateczna sila niszczacla poklady nieswiadomosci albo jako gwałtowny koniec stanu laski. Strach jako grzech.

Jednak teraz, idac posród różnych barw nocy, Julia nie byla w stanie potraktowac tego, co odczuwala, jako problemu akademickiego. Jasne, juz wczesniej doswiadczala podobnych stanów, choc w mniejszym natezeniu. Jak wtedy, kiedy wskazówka szybkościomierza znacznie przekracza rozsadna predkosc, pejzaz umyka blyskawicznie po prawej i po lewej, a przerywana linia na asfalcie zaczyna przypominać serie pocisków zywcem z filmu wojennego, pozeranych przez zachlanne trzewia samochodu. Albo to uczucie pustki, niezglebionej, blekitnej otchlani, kiedy rzucala sie z pokladu lodzi do morza i plywala czujac, jak woda omywa jej naga skóre, i majac te nieprzyjemna swiadomosc, ze jakikolwiek staly lad znajduje sie stanowczo poza zasięgiem jej stóp. Albo chocby i owe bezkształtne leki, które zadomawiaja sie w czlowieku podczas snu i biora udzial w upartych potyczkach miedzy wyobraznia a rozumem, kiedy wystarcza akt woli, zeby zapedzic je do zakamarków wspomnien albo zapomnienia, otworzyc powieki i znalezc sie znowu posród znajomych cieni wlasnej sypialni.

Ale ten, swiezo odkryty strach byl inny. Nowy, niezwykle, dotad nieznan, doprawiony cieniem Zla przez duze Z, pierwszej litery różnych zródel cierpienia i bólu. Zla zdolnego odkrecic kran z woda na twarz zamordowanego czlowieka. Zla, które mozna namalowac tylko czernia nocy, czernia mroku, czernia samotnosci. Zla na Z jak zgroza. Na Z jak zabic.

Zabic. To tylko hipoteza - powtarzala w duchu, przygladajac sie wlasnemu cieniowi na chodniku. Ludziom zdarza sie posliznac pod natryskiem, spasc ze schodów, wbiec na czerwonym swietle i zginac. Lekarze sadowi i policjanci tez moga czasami przekombinowac na skutek zboczenia zawodowego. To wszystko jasne. Ale ktos przeciez wyslal jej raport Alvara w czasie, kiedy od jego smierci zdazyla uplynac doba. A to juz nie byla hipoteza: dokumenty lezaly u niej w domu, w szufladzie. To niezbity fakt.

Wzdrygnęła się, nim zerknęła za siebie, żeby sprawdzić, czy jest śledzona. I chociaż nie spodziewała się zobaczyć nikogo, kogoś jednak zobaczyła. Trudno było ocenić, czy ją śledził, czy nie, ale w każdym razie jakieś pięćdziesiąt metrów z tyłu szła za nią jakaś postać, oświetlana co chwila przez reflektory sprzed muzeum, które omiatając korony drzew tworzyły ruchome strefy światła.

Julia odwróciła się przed siebie, idąc dalej. Wszystkie jej mięśnie gotowe były do natychmiastowego biegu, jak w dzieciństwie, kiedy przechodziła przez mroczną bramę domu, by skokami pokonać schody i zadzwonić do drzwi. Teraz powstrzymywała ją logika nakazująca normalnie podejść do rzeczywistości. Gdyby zaczęła biec tylko z tego powodu, że ktoś pięćdziesiąt metrów z tyłu idzie w tym samym kierunku, byłoby to zachowanie nie dość, że nieuzasadnione, ale wręcz śmieszne. Ale - pomyślała - idzie spokojnie słabo oświetlona ulica, z domniemanym, choćby i mocno hipotetycznym mordercą za plecami, a to było zachowanie nie dość, że nieuzasadnione, ale wręcz samobójcze. Walka tych dwóch myśli trwała dłuższą chwilę, Julia zdążyła przez ten czas odsunąć strach na zdecydowanie drugi plan i uznać, że wyobraźnia płata jej paskudne figle. Westchnęła głęboko, drwiąc z samej siebie zerknęła do tyłu - i spostrzegła, że odległość między nią a nieznanym zmniejszyła się do kilku metrów. Strach powrócił. Może naprawdę ktoś zamordował Alvara i później wysłał jej raport na temat obrazu. Między "Partią szachów", Alvarem, Julią a hipotetycznym, domniemanym - czy diabli wiedzą, jak go nazwać - zabójcą rodził się związek. Wdepnęłaś w to po szyję - pomyślała i nie znalazła już żadnych podstaw, żeby nasmiewać się z własnych obaw. Rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś, kogo mogłaby poprosić o pomoc albo przynajmniej ucześć się jego ramienia i błagać, żeby odprowadził ją kawalek dalej. Mogła też wrócić na komisariat, lecz tu powstawała pewna komplikacja: nieznanemu znalazłby się na jej drodze. Może taksówka... Ale w zasięgu wzroku nie widac było żadnego zielonego "koguta". Żadnej nadziei. Usta miała tak suche, że język dosłownie przylgnął jej do podniebienia. Spokój - powiedziała. - Zachowaj spokój, głupia, albo naprawdę będzie krucho. - W końcu udało jej się odzyskać spokój na tyle, żeby rzucić się do ucieczki.

Rozdzierająca i samotna skarga trabki. Miles Davis na gramofonie i pokój w półmroku, rozjasniony tylko małym halogenem skierowanym z podłogi na obraz. Tik-tak zegara ściennego i metaliczny poblask za każdym razem, gdy wahadło osiąga najdalszy punkt. Dymiaca popielniczka, szklanka z resztką lodu i butelka wódki na dywanie koło sofy. A na sofie Julia, podkulone nogi obejmujące ramionami, kosmyk włosów opada jej na twarz. Oczy z powiększonymi zrenicami patrzą na wprost, w obraz, ale nie widzą go, wzrok sięga dalej, ku jakiemus punktowi idealnemu znajdującemu się między powierzchnią malowidła a krajobrazem w glebi, gdzieś w połowie drogi, dalej niż szachisci, a bliżej niż dama siedząca przy oknie.

Nie wiedziała, od jak dawna tak siedzi bez ruchu, wsłuchana w muzykę, która delikatnie krąży po jej mózgu razem z oparami wódki, czując ramionami ciepło własnych ud i chłód kolan. Bywało, że jakiś dźwięk trabki wynurzał się z ciemności z większą siłą. Wtedy powoli poruszała głową z prawa na lewo w rytm muzyki. Kocham cie, trabko. Dzisiaj w nocy jesteś moja jedyną towarzyszką, przygaszona, nostalgiczna jak smutek, który spowolnił moją duszę. Nuta przemyciała przez ciemny pokój, a także przez ten drugi, oświetlony - gdzie dwóch graczy dalej toczyło partie - by wreszcie umknąć przez okno ku jasnym latarniom, oświetlającym ulicę na dole. Tam, gdzie może ktoś ukryty w cieniu drzewa albo bramy patrzy w górę i słucha muzyki, a ta płynie przez drugie okno, namalowane na obrazie, ku pejzazowi złożonemu z subtelnych odcieni zieleni i ochry, wśród których majaczy, ledwie zaznaczona cieniutkim koncem pedzla, drobniotka szara igielka dalekiej dzwonnicy.

## V. Tajemnica czarnej damy

W tym momencie wiedziałem już, że trafiłem  
na złowrogi teren, ale nie znałem jeszcze regul walki.

Garri Kasparow, Autobiografia

Oktawio, Lucynda i Scaramuccio stali w pełnym uszanowaniu milczeniu i zupełnym bezruchu, obserwowali ich tylko zza szyby gablotki swoimi porcelanowymi, namalowanymi oczyma. W rozszczepionym na kolorowe plamki światła padającym przez witraż welwetowa marynarka Cesara mieniła się jak strój arlekina. Nigdy jeszcze Julia nie widziała swojego przyjaciela w takim stanie - był cichy i spokojny, przypominał jeden z tych posazków z brązu, terakoty i marmuru, jakich pełno było w antykwariacie wśród obrazów, szkieł i gobelinów. W jakimś sensie obydwójce - Cesar i Julia - stanowili część scenografii, pasującej bardziej do pstrokatej farsy barokowej niż do realnego świata, w którym spędzali większość swojego życia. Cesar miał szczególnie dystyngowany wygląd - pod szyją jedwabna chustka w kolorze bordo, w palcach długa fufka z kosi słoniowej. Przyjął pozie wyraźnie klasyczna, niemalże goethowska: siedział pod światło, z nogą założoną na nogę, dłoń trzymająca fufkę opuścił z wystudiowaną niedbalością, a jego jedwabiste, mleczno-siwe włosy otaczał nimbus złotych, czerwonych i błękitnych promieni. Julia miała na sobie czarną bluzkę z koronkowym kołnierzykiem, a jej wenecki profil odbijał się w dużym zwierciadle, w którym widac było w głębi szeregi mahoniowych mebli i puderszafy z masy perłowej, gobeliny i tkaniny, spiralne kolumny wspierające podniszczone gotyckie popiersia, a nawet zrezygnowane, puste oblicze gladiatora z brązu, leżące nago na własnej broni i wsparte na łokciu w oczekiwaniu, aż niewidoczny, wszechpotężny Cesarz uniesie bądź opuści kciuk, wydając werdykt.

- Jestem przerażona - wyznała. W gęście zawieszonych w powietrzu dłoni Cesara, z przeswitującymi drobnymi, niebieskimi żyłkami, widac było jednocześnie troskę i bezradność, wielkoduszność i bezużyteczną solidarność. Miłość świadoma własnych ograniczeń, pełna wymowy i elegancji, jak u osiemnastowiecznego dworzanina, który okazuje uwielbienie swej damie, a w perspektywie ulicy, która wioda ich obydwójce w zalobnym powozie, widzi już czekającą na nich gilotynę.

- Może to przesada, kochanie. Może za wcześnie. Na razie nie udowodniono, że Alvaro nie posłiznął się w wannie.

- A dokumenty?

- Przyznaje, że na to nie znajduje wytłumaczenia.

Julia przechyliła głowę w bok, jej włosy dotykały ramienia. Była pochłonięta niepokojącymi myślami.

- Dzisiaj rano, jak się obudziłam, tak strasznie chciałam, żeby to wszystko się okazało potworną pomyłką...

- I może nią jest. - Antykwariusz zadumał się na moment. - O ile wiem, policjanci i lekarze sądowi są szlachetni i nieomylni tylko w filmach. A zresztą, zdaje się, że już nawet tam nie.

Uśmiechnął się gorzko i z niechęcią. Julia patrzyła na niego nie bardzo słuchając tego, co mówi.

- Zamordowali Alvara... Masz pojęcie?

- Nie zadreczaj się, księżniczko. To tylko wyszukana hipoteza policyjna... A poza tym nie powinnas tyle o nim myśleć. Było, minęło. I tak odszedł od ciebie dawno temu.

- Ale nie w ten sposób.

- W ten czy inny, nie ma znaczenia. Opuścił cię i basta.

- Kiedy to takie okropne...

- Tak. Tyle że wracając ciągle do tego, nic nie wskórasz.

- Nic? Alvaro nie żyje, ja jestem przesłuchiwana, czuję, że śledzi mnie ktoś, kogo interesuje moja praca nad "Partią szachów..." A ty się dziwisz, że nie mogę przestać myśleć. Co innego mogę robić?

- To proste, córeczko. Skoro tak cię to wszystko niepokoi, oddaj obraz Menchu. Jeżeli naprawdę uważasz, że śmierć Alvara była nieprzypadkowa, zamknij dom na jakiś czas, wyjedź gdzieś. Możemy pojechać na dwa, trzy tygodnie do Paryża, mam tam masę spraw do załatwienia... Ty znikniesz, a przez ten czas na miejscu wszystko się uspokoi.

- Co tu się dzieje?

- Najgorsze jest to, że nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia. Podobnie jak ty, ja też nie przykladałbym takiej wagi do historii z Alvarem, gdyby nie dokumenty... - Uśmiechnął się do niej zakłopotany. - A przyznaje, że niepokoi mnie to, bo nie jestem herosem... Mogło się okazać, że któreś z nas nieswiadomie otwarło coś w rodzaju puszeki Pandory...

- Obraz - podchwyciła roztrzesiona Julia. - Ukryty napis.

- Bez wątplenia. Najwidoczniej wszystko tam ma swoje źródło.

Odwróciła się w stronę własnego odbicia w lustrze i patrzyła dłuższą chwilę, jakby nie rozpoznawała tej młodej brunetki z bladą cerą, wpatrującej się w nią dużymi, ciemnymi oczami, lekko podkrążonymi na skutek niewyspania.

- A może ktoś chce mnie zabić, Cesar.

Palce antykwariusza zacisnęły się wokół fiki.

- Dopóki ja żyję, mowy nie ma. - Jego nieokreślone, wytworne rysy nabrały agresywnego wyrazu, a

głos zaskrzeczał ostrym, niemal kobiecym tonem. - Może nie znajdziesz większego tchórza ode mnie, można powiedzieć o mnie najgorsze rzeczy, ale nikt nie ma prawa uczynić ci krzywdy, dopóki ja jestem w stanie temu zapobiec.

Rozczulona Julia musiała się usmiechnąć.

- Co możemy zrobić? - zapytała po chwili milczenia.

Cesar zamyslił się z powagą, pochylając przy tym głowę.

- Za wcześnie robić cokolwiek... Nawet nie wiemy, czy Alvaro zginął przypadkowo, czy nie.

- A dokumenty?

- Jestem przekonany, że ktoś gdzieś znajdzie odpowiedź na to pytanie. Problem polega, jak mniemam, na rozstrzygnięciu, czy osoba, która przysłała ci raport, jest także odpowiedzialna za śmierć Alvara, czy jedno nie ma z drugim nic wspólnego...

- A jeśli potwierdzi się najgorsze?

Cesar nie odpowiadał przez moment.

- W takim wypadku widzę tylko dwa rozwiązania, i to klasyczne, księżniczko: uciekać albo robić swoje. Gdybym ja stanął wobec takiego dylematu, przypuszczalnie głosowałbym za ucieczką, ale to nie ma dużego znaczenia... Wiesz, że jeśli sobie postanowie, potrafię być piekielnie bojazliwy.

Julia skrzyżowała dłonie na karku i patrzyła zamysłona w jasne oczy antykwariusza.

- Naprawdę byś uciekł? Nie czekając, aż się wyjaśni, o co tu chodzi?

- Naprawdę. Zdajesz sobie sprawę, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

- Jak byłem mała, uczyłeś mnie czegoś zupełnie innego, pamiętasz...? Nie wolno wyjść z pokoju, nie przeszukawszy szuflad.

- Tak, ale wtedy nikt nie upadał w wannie.

- Ty hipokryto. W głębi duszy aż umierasz z ciekawości, co się dzieje.

Antykwariusz nadał się i odezwał z nagana w głosie:

- Mówiąc, że umieram, dajesz dowód najgorszego gustu, zważywszy okoliczności... Otóż nie mam najmniejszej ochoty umrzeć, zwłaszcza teraz, kiedy jestem w podeszłym wieku, a piękni młodzieńcy umilają mi starość. I nie marzę też o twojej śmierci.

- A jeśli zdecyduje się robić swoje i nawet poznać zagadkę samego obrazu?

Cesar skrzywił usta i zaczął błędzić wzrokiem, jakby nawet nie rozważał takiej ewentualności.

- A dlaczego miałabys to zrobić? Podaj mi jeden dobry powód.



- Dla Alvara.

- Odpada. Do tej chwili Alvaro sie nie liczył, wiem, bo znam cie az za dobrze... Poza tym, o ile wiem od ciebie, on tez w tej sprawie nie gral czysto.

- No to dla mnie samej. - Skrzyzowała ramiona wyzywajaco. - W ostatecznym rozrachunku to mój obraz.

- Posluchaj, dopiero co mówilas, ze jestes przerazona. Sam slyszalem.

- Bo jestem. Sikam ze strachu.

- Rozumiem. - Cesar oparl podbródek na splecionych palcach, przyozdobionych polyskujacym topazem. - Mówiac prosciej - dodal po chwili zastanowienia - chodzi o znalezienie skarbu. To chcesz mi powiedziec, prawda...? Jak w dawnych czasach, kiedy bylas tylko uparta dziewczuszka.

- Jak w dawnych czasach.

- Przerazajace. My we dwoje?

- My we dwoje.

- Zapomnialas o Munozie. Zostal zamustrowany.

- Masz racje, oczywiscie, Munoz i my we dwoje.

Cesar usmiechnal sie lekko. W oczach lsnila mu iskierka rozbawienia.

- W takim razie trzeba go nauczyc piesni piratów. Watpie, zeby ja znal.

- Tez watpie.

- Zwariowalismy, ksiezniczko. - Antykwariusz wbil wzrok w Julie. - Zdajesz sobie sprawe?

- Co robic...

- To nie jest zabawa, kochanie... Nie tym razem.

Wytrzymała jego spojrzenie. Wyglądała w tej chwili przepieknie, z tym blyskiem zdecydowania w ciemnych oczach, który widac bylo w zwierciadle.

- Co robic - powtórzyla cicho.

Cesar pokiwal wyrozumiale glowa. Gdy wstawal, wiazka kolorowych plam zesliznela mu sie po plecach na ziemie, ku stopom dziewczyny. Antykwariusz udal sie w glab pokoju, gdzie mial w rogu swoje miejsce pracy. Przez pare minut robil cos przy sejfie w scianie, ukrytym pod gobelinem niewielkiej wartosci (marna kopia Damy z jednorożcem). Kiedy wrócił, trzymal w dloniach zawiniatko.

- Prosze, ksiezniczko, to dla ciebie. W prezencie.

- W prezencie?

- Jak slyszalas. Wszystkiego dobrego z okazji nieurodzin.

Julia zaskoczona odwinela plastik, potem naoliwiona szmatke i po chwili wazyla w dloni niklowany pistolecik wykladany masa perlowa.

- To zabytkowy derringer, wiec nie potrzebujesz pozwolenia na bron - tłumaczyl antykwariusz. - Ale dziala jak nowy, mozna z niego strzelac kulami od colta 45. Latwo go schowac, mozesz go nosic w kieszeni... Jesli w ciagu najblizszych dni ktos sie bedzie do ciebie zblizal albo krazil wokól domu - patrzyl na nia uwaznie, bez cienia wesołosci w zmeczonych oczach - badz laskawa, unies te zabaweczke, o, i rozwal mu leb. Pamietasz...? Chocby to byl sam kapitan Hak.

Ledwie wróciła do domu, w ciagu pół godziny miała trzy telefony. Pierwsza dzwonila Menchu, zdenerwowana po lekturze porannych gazet. Jej zdaniem nikt nie zakladal innej mozliwosci, jak wypadek. Julia wyczula, ze smierc Alvara niewiele obeszla jej przyjaciółke: bardziej niepokoiły ja ewentualne komplikacje, które moga wpłynac na umowe z Belmontem.

Drugi telefon byl zaskakujacy. Paco Montegrifo zapraszal ja na kolacje wieczorem, zeby pogadac o sprawach zawodowych. Julia umówila sie z nim na dziewiata u Sabatiniego. Odwiesiwszy sluchawke, zaczela sie zastanawiac, skad takie nagle zainteresowanie. Gdyby chodzilo o van Huysa, dyrektor domu aukcyjnego powinien umówic sie z Menchu albo z nimi obydwoma. Zreszta wspomniála o tym podczas rozmowy. Ale Montegrifo zapewnil ja, ze chodzi o cos, co dotyczy tylko jej i jego.

Myslala o tym, przebierajac sie, zapalajac papierosa i siadajac przed obrazem, zeby usunac kolejne partie starego werniksu. Wlasnie wykonala pierwsze ruchy wacikiem, kiedy stojacy na dywanie telefon zadzwieczal trzeci raz.

Przyciagnela go do siebie za kabel i zdjela sluchawke. Przez nastepne pietnascie, moze dwadziescia sekund nie uslyszala absolutnie nic, mimo bezskutecznych "halo", jakie coraz bardziej rozdrazniona rzucala do mikrofonu. Po jakimś czasie wystraszona zamilkla i wsluchiwała sie jeszcze przez kilka sekund, wstrzymujac oddech, by w koncu odlozyc sluchawke. Nagle ogarnela ja niespodziewana fala mrocznej, irracjonalnej paniki. Julia popatrzyła na aparat na dywanie, jakby widziala tam jadowite, czarne, lsniace zwierzec, i wzdrygnela sie raptownie, potracajac przy tym lokciem sloiczek z terpentyna.

Ten ostatni telefon naprawde ja przerazil. Dlatego kiedy zadzwoniono do drzwi, znieruchomiała w drugim koncu pokoju. Zareagowała dopiero przy trzecim dzwonku. Rano, po wyjściu z antykwariatu z dziesiec razy zdazyła sie juz usmiac z własnej miny. Teraz jednak nie miała najmniejszej ochoty do smiechu. Zanim otworzyła drzwi, zatrzymala sie na chwile, zeby wyciagnac z torebki malego derringera, odbezpieczyc go i wsunac do kieszeni dzinsów. Jej nikt nie zalatwi w wannie.

Munoz otrzasnal wode z plaszczu i stanal niemrawo w przedpokoju. Deszcz przylepil jego wlosy do glowy, krople sciekaly mu jeszcze po czole i czubku nosa. W kieszeni miał male szachy magnetyczne, zawiniete w torbe z supermarketu.

- Znalazl pan rozwiazanie? - spytala Julia, zamknawszy za nim drzwi.

Szachista wtulil glowe w ramiona z wyrazem niesmialego zawstydzienia na twarzy. W obcym domu czul

sie niezrecznie, a mlody wiek i uroda Julii wcale nie polepszaly sytuacji.

- Jeszcze nie. - Popatrzył ze smutkiem na kaluze, która utworzyła na podłodze kapiaca z płaszcza woda.  
- Dopiero wyszedłem z pracy... Wczoraj umówiliśmy się na te godzinie - zrobił dwa kroki i znów się zatrzymał, jakby nie wiedział, czy ma zdjąć płaszczy, czy w nim pozostać. Julia wyciągnęła rękę, więc ostatecznie się rozebrał. Po chwili wchodził za nią do pracowni.

- Na czym polega problem?

- Nie ma problemu. Zasadniczo. - Muñoz jak poprzednio rozejrzał się po pomieszczeniu bez ciekawości. Może szukał punktu oparcia, który pomógłby mu dostosować się do okoliczności. - To tylko kwestia zastanowienia i czasu, nic więcej. A ja naprawdę myślę tylko o tym.

Stał posrodku pokoju z kompletem szachów w dłoniach. Julia widziała, że wpatruje się w obraz. Nie musiała podać za jego wzrokiem, by wiedzieć, w które miejsce konkretnie. Wyraz twarzy zmienił mu się natychmiast, już nie był oniesmielony, a pewny siebie i niezwykle skupiony. Jak hipnotyzer, którego w lustrze zaskoczyły jego własne oczy.

Odłożył szachy na stół i zbliżył się do obrazu. Ścisłej mówiąc, dokładnie do miejsca, gdzie namalowana była szachownica i bierki, jakby nie było tam całej reszty, ani komnaty, ani postaci. Pochylił się i zaczął się przyglądać szachownicy znacznie bardziej badawczo niż poprzedniego dnia. W tym momencie Julia pomyślała, że mówiąc "ja myślę tylko o tym", nie przesadził ani trochę. Uwaga, z jaką patrzył, świadczyła, że jest zajęty czymś ważniejszym niż rozwiązywanie cudzych problemów.

Po długim zastanowieniu odwrócił się do Julii.

- Dzisiaj rano odtworzyłem dwa ostatnie ruchy - rzekł bez cienia pychy, raczej może przepraszająco, jak gdyby wstydził się tak mizernego wyniku. - Potem natrafiłem na problem... Chodzi o niezwykle usytuowanie pionów. - Pokazał palcem namalowane bierki. - To nie jest konwencjonalna partia.

Julia czuła się zawiedziona. Kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła przemoczonego Muñoz z szachami w kieszeni, myślała, że rozwiązanie jest tuż, tuż. Rzecz jasna szachista nie wiedział, że sprawa jest pilna i do tego niezwykle pogmatwana. Ale i tak nie ona mu o tym powie. Przynajmniej na razie.

- Pozostałe ruchy nas nie obchodzą - powiedziała. - Trzeba tylko sprawdzić, kto zbiliał białego konika.

Muñoz pokręcił głową.

- Poswiecam pani cały mój wolny czas. - Zamilkł na chwilę, jakby obawiał się, że swoimi słowami wkroczył na zbyt intymny teren. - Wszystkie ruchy mam w głowie, gram te partie naprzód i wstecz... - znów się zawahał, po czym skrzywił usta w nieobecny, bolesny, słaby uśmiech. - Jest w naszej rozgrywce coś niezwykłego...

- Nie tylko w rozgrywce - spojrzenia obojga pobiegły ku malowidłu. - Problem polega na tym, że Cesar i ja widzimy ją jako część obrazu i nie umiemy znaleźć tam niczego więcej... - Julia zastanowiła się nad własnymi słowami. - A może reszta obrazu jest tylko uzupełnieniem samej partii.

Muñoz skinął lekko głową, a Julii zdawało się, że ten ruch trwa wieczność. Jego powolne gesty, ciągnące się znacznie dłużej, niż naprawdę tego wymagały, pozostawały chyba w ścisłym związku ze

sposobem rozumowania.

- Myli sie pani, twierdzac, ze nic pani tu nie widzi. Widzi pani wszystko, tylko nie umie pani zinterpretowac... - Szachista pokazal dzieło van Huysa krótkim ruchem podbródka. - Uważam, że sprawa sprowadza się do różnicy w punktach widzenia. Mamy przed sobą poziomy, które się na siebie nakładają. Obraz jest płaszczyzną przypominającą szachownicę, na której znajdują się postacie. Te postacie z kolei grają przy szachownicy, która rządzi bierkami... To wszystko zostało dodatkowo odbite w tym lustrze po lewej stronie... A jeśli chce pani jeszcze bardziej skomplikować całą rzecz, może pani dopisać kolejny poziom: nasz, z którego kontemplujemy tę scenę albo kilka następujących po sobie scen. Gmatwając dalej, dółmy poziom malarza, który wyobraził sobie nas, widzów, spoglądających na jego dzieło...

Mówił beznamietnie, z nieobecna miną, jakby czytał monotony, raczej umiarkowanie istotny opis, któremu poświęca swoją uwagę tylko po to, by zadowolic innych. Julia aż przychnęła oszłomiona.

- Ciekawe, że tak pan to widzi.

Szachista znów pokręcił głową, nie odrywając wzroku od obrazu.

- Nie wiem, co pania tak dziwi. Ja widzę szachy. Nie jedna partia, ale wiele. Które w gruncie rzeczy są ta sama partia.

- To dla mnie za skomplikowane.

- Nieprawda. Teraz poruszamy się na poziomie, na którym można zdobyć sporo informacji: na poziomie rozgrywanej partii. Jak to rozwiążemy, możemy odnieść wyciągnięte wnioski do reszty obrazu. To tylko kwestia logiki. Logiki matematycznej.

- Nigdy nie podejrzewałam, że matematyka może mieć tu zastosowanie.

- Do wszystkiego ma. Wszelki sztucznie stworzony świat, jak na przykład ten obraz, rządzi się tymi samymi regułami, co świat rzeczywisty.

- Szachy też?

- Zwłaszcza szachy. Tyle że myśli szachisty płyną na innym poziomie niż myśli amatora: jego logika nie pozwala mu rozpatrywać możliwych, ale niewłaściwych ruchów, bo je automatycznie wyklucza... Podobnie zdolny matematyk podczas konstruowania twierdzeń nigdy nie bada fałszywych tropów, tymczasem ludzie mniej utalentowani muszą tak się posuwać, od błędu do błędu.

- A pan nie popełnia błędów?

Munoz oderwał wzrok od obrazu i powoli zwrócił go na dziewczynę. W kącikach ust majaczył mu cień uśmiechu, ale pozbawionego śladu wesołości.

- W szachach nigdy.

- Skąd pan wie?

- Podczas gry człowiek staje wobec nieskonczoności możliwych sytuacji. Czasami można zastosować proste reguły, czasem trzeba się uciec do innych reguł po to, żeby stwierdzić, jaka prosta reguła należy

się kierować... Powstają też sytuacje nieznanne, wtedy trzeba wyobrazić sobie nowe reguły, które zawrą w sobie albo wykluczą dotychczasowe... Błąd popełnia się tylko przy wyborze tej czy innej zasady: w momencie decyzji. A ja wykonuję ruch tylko wówczas, gdy wykluczę wszelkie niewłaściwe reguły.

- Panska pewność siebie jest zdumiewająca.

- Nie wiem dlaczego. W końcu z tego powodu państwo mnie wybrali.

Rozległ się dzwonek do drzwi. To był Cesar z ociekającym wodą parasolem i przemoczonymi butami. Przeklinał pogodę i deszcz.

- Nie znoszę jesieni, Kochanie, przysięgam ci. Te mgły, wilgoć i cały arsenał innych niegodziwości - westchnął i podał dłoń Muñozowi. - W pewnym wieku pory roku zaczynają przypominać parodie samych siebie... Mogę sobie czegoś nalac? Glupstwa gadam. Oczywiście, że mogę.

Sam nalal sobie spora porcję dzinu, wrzucił lód i cytrynę i pięć minut później znów był z nimi. Muñoz rozłożył kieszonkowe szachy.

- Wprawdzie nie dotarłem do posunięcia zbijającego białego skoczka - tłumaczył - ale sądzę, że zainteresują państwa postępy, jakie do tej pory uczyniliśmy... - Odtworzył za pomocą małych bierek sytuację z obrazu. Julia zobaczyła, że robi to z pamięci, nie patrząc ani na van Huysa, ani na szkic, który zabrał z sobą poprzedniego wieczoru, a teraz kładł właśnie obok na stole. - Jeśli państwo pozwolą, wytłumaczę moje rozumowanie przy szukaniu poprzednich ruchów.

- Analiza wsteczna - dodał z zainteresowaniem Cesar i umoczył usta w drinku.

- Otóż to - odparł szachista. - Bedziemy posługiwali się tym samym systemem zapisu, który wyłożyłem państwu wczoraj - pochylił się ku Julii ze szkicem w dłoni i pokazał sytuację na planszy.

- ...Znając pozycje poszczególnych bierek - ciągnął Muñoz - i wiedząc, że właśnie był ruch czarnych, trzeba po pierwsze sprawdzić, która czarna bierka wykonała ten ostatni ruch. - Ołówkiem wskazał obraz, następnie szkic, wreszcie układ na prawdziwej szachownicy. - Żeby to zrobić, dużo łatwiej jest wykluczyć te czarne bierki, które nie mogły się ruszyć, bo są zablokowane albo stoją na takim czy innym polu... Wyraźnie widać, że żaden z czarnych pionów na polach a7, b7 i d7 nie wykonał ruchu, ponieważ nadal zajmują swoje pozycje wyjściowe... Czwarty i ostatni pion, a5, też nie mógł się ruszyć, bo go blokuje biały pion i jego własny, czarny król... Możemy dalej wykluczyć czarnego gonia c8, też wciąż na pozycji wyjściowej, bo goniec porusza się po przekatnych, a na obydwu jego kierunkach stoją pioniki z tej samej drużyny, które dotąd nie wykonały posunięcia... Co zaś się tyczy czarnego skoczka z b8, też nie zrobił ruchu, bo mógł tam przyjść tylko z a6, c6 albo d7, a te pola są zajęte przez inne bierki... Rozumieją mnie państwo?

- Doskonale. - Julia śledziła jego wyjaśnienia pochyłona nad szachownicą. - Co dowodzi, że sześć z dziesięciu czarnych bierek nie mogło się ruszyć...

- Więcej niż sześć. Czarna wieża, stojąca nad, naturalnie też nie mogła, bo porusza się wzdłuż i wszerz, a trzy pola naokoło niej są zajęte... Czyli możemy uznać, że siedem bierek nie było w stanie wykonać ostatniego posunięcia. Ale da się także wykluczyć czarnego skoczka z d1.

- Dlaczego? - spytał zaintrygowany Cesar. - Mógł przyjść z pól b2 albo e3...

- Nie. W każdym z tych dwóch przypadków czarny skoczek dawałby szacha białemu królowi

stojacemu na c4. Taka ewentualnosc w analizie wstecznej nazywamy szachem domniemanym... A zaden skoczek czy inna bierka, która trzymalaby króla w szachu, nie opusci tego miejsca na wlasne zyczenie, to jest zagranie niemozliwe. Zamiast wycofywac sie, zbilaby króla i zakonczyła partie. Podobna sytuacja nie moglaby sie nigdy zdarzyc, dlatego wnioskujemy, ze i skoczek d1 sie nie ruszył.

- Czyli - Julia nie odrywala wzroku od szachownicy - pozostaly nam dwie bierki, prawda...? - Dotknela ich palcami. - Król albo dama.

- Oczywiscie. Ostatni ruch mogly wykonac albo król, albo królowa, która my szachisci nazywamy hetmanem. - Munoz przyjrzał sie szachownicy, po czym zwrócił sie ku królowi, ale go nie dotknal. - Najpierw zanalizujemy pozycje króla, który moze poruszac sie w kazdym kierunku, ale o jedno pole. To oznacza, ze na obecna pozycje, na a4, przyszedlby ewentualnie z b4, b3 albo z a3... teoretycznie.

- B4 i b3 sa oczywiste nawet dla mnie - odezwal sie Cesar. - Zaden król nie moze zajmowac pola obok drugiego króla. Dobrze rozumiem?

- Istotnie. Na b4 czarny król bylby szachowany przez biala wieze, króla i piona. Na b3 przez wieze i króla. Pozycje niemozliwe.

- A nie mógł przyjsc z dolu, z a3?

- W zaden sposob. Szachowalby go bialy skoczek z b1, który nie pojawil sie tam dopiero co, ale stoi tam od paru posuniec. - Munoz popatrzył na nich oboje. - A wiec znów mamy do czynienia z domniemanym szachem, co wyklucza ruch króla.

- Zatem ostatni ruch - rozumowala Julia - zrobila czarna dama, przepraszam, czarny hetman.

Szachista przybral kolejna nieokreslona mine.

- To wlasnie zasadniczo zakladamy. Wedlug regul logiki, gdy wyeliminujemy wszystko, co jest niemozliwe, to, co zostaje, chocby bylo nieprawdopodobne albo trudno wykonalne, musi z koniecznoscí byc prawdziwe... W tym wypadku na dodatek mozemy przeprowadzic dowód przez demonstracje.

Julia popatrzyła na niego z nowym podziwem.

- Nie do wiary. Jak w powiesci kryminalnej.

Cesar skrzywil usta.

- Obawiam sie, kochanie, ze dokladnie do tego rzecz sie sprowadza. - Podniósł wzrok na Munoz. - Proszę dalej, Holmesie - dodal z milym usmiechem. - Musze przyznac, ze trzyma nas pan w niepewnoscí.

Munoz wygial lekko kacyk ust w uprzejmym grymasie. Widac bylo, ze jest calkowicie zaprzatniety szachownica. W jego gleboko osadzonych oczach pojawil sie goraczkowy blysk swiadczaczy, ze ich gosc buja teraz w abstrakcyjnych przestrzeniach, które tylko on jest w stanie dostrzec.

- Zbadajmy - zaproponowal - mozliwe ruchy czarnego hetmana, znajdujacego sie na polu c1... Nie wiem, czy pani wie, panno Julio, ze hetman jest najpotężniejsza figura w calej grze: moze poruszac sie o

dowolna liczba pól w każdym kierunku, ruchami wszystkich pozostałych figur oprócz skoczka... Czarny hetman, jak widac, mógł pojawić się na c2 z czterech możliwych pól: a2, b2, b3 i d3. Teraz już i pani rozumie, że nie mógł przyjść z b3, prawda?

- Chyba tak. - Julia zmarszczyła czoło w skupieniu.

- Chyba nigdy nie zrezygnowałby z szachowania białego króla...

- Właśnie. Kolejny przykład szacha domniemanego, który wyklucza możliwość ruchu z b3... A co powie pani o polu d3? Może czarny hetman mógł przyjść stamtąd, na przykład uciekając przed białym goncem z f1?

Julia dłuższą chwilę rozważała tę ewentualność. Wreszcie twarz jej się rozjaśniła.

- Nie mógł, z takiego samego powodu, co poprzednio - zawołała zaskoczona, że sama doszła do tego wniosku. - Na d3 czarny hetman dawałby znów domniemanego szacha białemu królowi, prawda...? Dlatego nie przyszedł stamtąd. - Odwróciła się do Cesara. - Czy to nie cudowne? Nigdy w życiu dotąd nie grałam w szachy...

Munoz wskazywał teraz olówkiem pole a2.

- Z takim samym szachem domniemanym mielibyśmy do czynienia, gdyby hetman stał tu, więc wykluczamy także i to pole.

- Od razu widac - rzekł Cesar - że mógł przyjść tylko z b2.

- Możliwe.

- Jak to "możliwe"? - Antykwariusz stanął jednocześnie zdumiony i zaintrygowany. - Rzekłbym raczej, że to ewidentne.

- W szachach - odparł Munoz - niewiele rzeczy można zaliczyć do ewidentnych. Niech pan popatrzy na białe figury stojące na kolumnie B. Co by się stało, gdyby hetman był na b2?

Cesar zadumany poskrobał się po podbródku.

- Stałby pod groźbą ze strony białej wieży na b5... Niewątpliwie zatem ruszył się na c2, żeby uciec wieży.

- Niezłe - przyznał szachista. - Ale to tylko jedna z możliwości. W każdym razie przyczyna, dla której się ruszył, na razie nie jest dla nas istotna... Pamiętacie państwo, co przedtem mówiłem? Eliminując niemożliwe, pozostajemy z tym, co jest z konieczności prawdziwe. Zatem, rekapitulując: A) był ruch czarnych, B) dziewięć spośród dziesięciu czarnych bierek znajdujących się na szachownicy nie mogło się ruszyć, C) jedyna, która mogła się ruszyć, to czarny hetman, D) trzy spośród czterech hipotetycznych ruchów hetmana są niemożliwe... Wynika z tego, że czarny hetman wykonał jedyne posunięcie możliwe: przeszedł z pola b2 na c2, być może uciekając przed zagrożeniem ze strony białych wież z b5 i b6... Wszystko jasne?

- Jak najbardziej - odrzekła Julia, a Cesar przytaknął.

- Co oznacza - kontynuował Munoz - że udało nam się wykonać pierwszy ruch w tej partii, która gramy do tyłu. A zatem kolejna pozycja, czyli poprzednia, bo poruszamy się wstecz, wyglądałaby tak.

- Widza państwo...? Czarny hetman jest jeszcze na polu b2, przed pójściem na c2. Dlatego teraz trzeba zanalizować ruch białych, który zmusił hetmana do tego posunięcia.

- Bez wątplenia był to ruch białej wieży - powiedział Cesar. - Tej z b5... Mała zmiyka mogła nadejść z dowolnego pola w rzędzie 5.

- Może - odparł szachista. - Ale to kompletnie nie usprawiedliwia ucieczki hetmana.

Cesar zamrugał powiekami ze zdumieniem.

- Dlaczego? - Patrzył to na szachownicę, to na Munozę. - Przecież jest oczywiste, że hetman uciekł przed biciem ze strony wieży. Sam pan to powiedział przed chwileczką.

- Powiedziałem, że być może uciekł przed białymi wieżami, ale w żadnej chwili nie twierdziłem, że do tej ucieczki zmusiło go posunięcie białej wieży.

- Zgubiłem się - przyznał antykwariusz.

- Niech pan uważnie spojrzy na szachownicę... Niezależnie od tego, jaki ruch zrobiłaby wieża, która stoi na b5, już druga wieża, ta z b6, wcześniej dawałaby szacha czarnemu hetmanowi, zdaje pan sobie sprawę?

Cesar jeszcze raz przyjrzał się partii, tym razem przez dobrych kilka minut.

- Muszę podkreślić, że czuję się pokonany - rzekł wreszcie zniechęcony. Zdążył przez ten czas dopić swój dzin z cytryną, Julia tymczasem paliła obok papierosy jednego za drugim. - Jeśli to nie biała wieża ruszyła się na b5, całe rozumowanie bierze w łeb... Gdziekolwiek stała, ten antypatyczny hetman musiał zrobić ruch przedtem, bo szach jest wcześniejszy...

- Nie - zaproponował Munoz. - Niekoniecznie. Wieża mogła na przykład zbiciem czarna bierka na b5.

Podeksytowani tą nową możliwością Cesar i Julia znów przyjrżeli się szachownicy. Po paru minutach antykwariusz podniósł na szachiste wzrok pełen uszanowania.

- Otóż to - powiedział z podziwem. - Nie widzisz, Julio...? Czarna bierka z b5 zasłaniała hetmana przed zagrożeniem ze strony białej wieży z b6. Kiedy ta bierka została zbita przez drugą białą wieżę, czarny hetman znalazł się pod bezpośrednim biciem. - Znów popatrzył na Munozę, szukając potwierdzenia. - Musiało tak być... Nie ma innej możliwości. - Spojrzył z wahaniem na szachownicę. - Bo jej nie ma, prawda?

- Nie wiem - odrzekł szachista, na co Julii wyrwało się z ust rozpaczliwe "Boże święty". - Pan sformułował właśnie pewną hipotezę, a w tym wypadku zawsze ryzykujemy, że będziemy naginać fakty do teorii tylko po to, żeby teoria pasowała do faktów.

- W takim razie...?



- Powiedziałem już. Na razie możemy tylko rozpatrywać hipotetyczną ewentualność, że biała wieża zbita czarna bierka na b5. Pozostaje sprawdzić, czy są inne warianty, i wykluczyć te, które są niemożliwe. - Blask w oczach mu zmetniał, dłonie wykonały ruch ni to przepraszający, ni to niepewny, a sam szachista jakby zszarzał, może ze zmęczenia. Pewność siebie, z jaką jeszcze przed chwilą objaśniał kolejne posunięcia, gdzieś się ulotniła. Znowu mieli przed sobą niesmiałego, niezdarnego urzędnika. - To właśnie miałem na myśli - unikał wzroku Julii - mówiąc, że natrafiłem na problem.

- A kolejny krok? - spytała.

Munoz przyjrzał się szachownicy z rezygnacją.

- Podejrzewam, że powolna, uciążliwa analiza sześciu bierek, które wypadły z gry... Postaram się sprawdzić, jak i gdzie każda z nich mogła zostać zbita.

- To zajmie panu dni - powiedziała Julia.

- Albo minuty, to zależy. Czasem można liczyć na szczęście albo intuicję. - Popatrzył długo na szachownicę, a potem na van Huysa. - Ale jedna rzecz nie ulega najmniejszej wątpliwości - odezwał się po chwilowej zadumie. - Człowiek, który namalował obraz albo wymyślił to zagadnienie, bardzo nietypowo grał w szachy.

- A jakby pan go określił? - Julia domagała się wyjaśnienia.

- Kogo?

- Gracza, którego tu nie ma... Tego, o którym pan właśnie wspominał.

Munoz spuścił wzrok na dywan, potem popatrzył na obraz. Julii wydało się, że widzi w jego oczach błysk podziwu. Albo szacunku szachisty dla mistrza.

- Nie wiem - odrzekł cichym, wymijającym tonem. - Był na pewno człowiekiem przewrotnym... Wszyscy dobrzy gracze tacy są, ale ten posiadał coś jeszcze: niezwykłą zdolność do wytyczania fałszywych ścieżek, zastawiania rozmaitych pułapek... I korzystał z tego.

- To możliwe? - spytał Cesar. - Naprawdę jesteśmy w stanie odtworzyć charakter gracza na podstawie jego zachowania przy szachownicy?

- Uważam, że tak - odparł Munoz.

- A w tym przypadku, co jeszcze sędzi pan o człowieku, który skonstruował te partie, pamiętając, że zrobił to w wieku piętnastym?

- Powiedziałbym... - Munoz zadumał się nad obrazem. - Powiedziałbym, że grał w szachy jak Szatan.

## VI. O szachownicach i lustrach

I dowiesz się, gdzie jest koniec, gdy dotrzesz

już do niego.

### Ballada starca z Leningradu

Zanim wróciła do samochodu, który stał zaparkowany "na drugiego", Menchu zdążyła się przesiasc za kierownicę. Julia otworzyła drzwiczki swojego fiata i opadła na fotel.

- Co powiedzieli? - spytała właścicielka galerii.

Przytłoczona naporem myśli, nie od razu odpowiedziała. Też wpatrując się w ruch uliczny przed sobą, wyciągnęła z torebki papierosa, wsunęła go w usta i wcisnęła zapalniczkę w desce rozdzielczej.

- Wczoraj było tam dwóch policjantów - odezwała się w końcu. - Pytali o to samo, co ja. - Przytknęła zapalniczkę do papierosa, gdy tylko usłyszała trzask. - Jak twierdzi kierownik, koperte przyniesiono w czwartek o pierwszej po południu.

Menchu zacisnęła dłonie na kierownicy, aż zbieleła jej skóra między palcami.

- Kto przyniósł?

Julia powoli wypuściła smugę dymu.

- Kierownik mówi, że kobieta.

- Kobieta?

- Jak słyszałaś.

- Co za kobieta?

- W średnim wieku, dobrze ubrana, blondynka. W płaszczu nieprzemakalnym i okularach przeciwsłonecznych.

- Odwróciła się do przyjaciółki. - To mogłaś być ty.

- Wcale mnie to nie śmieszy.

- Mnie też nie. Prawde mówiąc, zupełnie nie - Julia westchnęła przeciągle. - Ale ten opis właściwie pasuje do kogokolwiek. Nie podała nazwiska ani adresu, tylko dane nadawcy, czyli Alvara. Określiła przesyłkę jako ekspresowa i poszła. Koniec piosenki.

Wlaczly sie do ruchu na bulwarze. Znów zanosilo sie na deszcz, kilka kropel juz zdazylo spasc na przednia szybe. Menchu ze zgrzytem zmienila bieg i potarla w zamysleniu nos.

- Sluchaj, jakby to uslyszala Agatha Christie, zrobilaby z tego powiesc.

Julia skrzywila sie apatycznie.

- Tak, tyle ze tu trup jest prawdziwy. - Gdy podnosila papierosa do ust, przed oczami stanal jej obraz Alvara, jak lezy nagi i mokry. Jesli jest cos gorszego niz smierc - pomyslala - to smierc groteskowa, kiedy ludzie przylaza i patrza. Mial skubaniec pecha.

- Mial skubaniec pecha - powtorzyla na glos.

Zatrzymaly sie przed przejsciem dla pieszych. Menchu odwrócila wzrok od swiatel na skrzyzowaniu i zerknela na przyjaciólke z zaniepokojeniem. Martwi ja, ze Julia wplatala sie w taka afere. Co tu szukac daleko, ona sama tez odchodzi od zmysłów, dlatego zlamala jedna ze swoich niezlomnych zasad i sprowadzila Maxa do siebie, az sie wszystko wyjasni. Julia powinna zrobic to samo.

- Sprowadzic sobie Maxa...? Nie, dzieki. Wole sama sie zadreczac.

- A ty znów to samo, skarbie. Nie nudz. - Zapalilo sie zielone, Menchu ruszyla i ostro dodala gazu. - Wiesz doskonale, ze nie o niego mi chodzilo... Poza tym to aniol.

- Aniol, który krew z ciebie wysysa.

- Nie tylko krew.

- Czy moglabys nie byc ordynarna?

- Witamy Siostrze Julie od Najswietszego Sakramentu.

- No i dobrze.

- Posluchaj, mozesz sobie gadac o Maksie, co ci sie podoba, ale jest tak sliczny, ze jak na niego patrze, to mnie lichy bierze. Jak ta Butterfly i jej Maly Maltanczyk, miedzy jednym kaszlnieciem a drugim... A moze to byl Armand Duval? - sklela jakiegos przechodnia na jezdni i, trabiac z oburzeniem, wsliznela sie fiatem w ciasna przestrzen pomiedzy taksówka a kopcacy autobusem. - Ale na serio, tak mieszkac samej to chyba nieostrozne... A jezeli naprawde jakis bandzior chce sie teraz dobrac do ciebie?

Zirytowana Julia wzruszyla ramionami.

- To co mam zrobic?

- No, stara, nie wiem. Przenies sie do kogos. Jak chcesz, moze sie poswiecic: wykopie Maxa i masz u mnie miejsce.

- A obraz?

- Wezmiesz go i bedziesz pracowac w moim mieszkaniu. Nakupie konserw, koki, swinskih kaset

wideo, flaszek z alkoholem i zabarykadujemy sie tam jak w Forcie Apache do czasu, az bedziemy sie mogli pozbyc obrazu. I oczywiscie dwie sprawy. Po pierwsze: dogadalam sie co do wzmoznienia zabezpieczen, gdyby jakis natret...

- Ale jaki natret? Van Huys jest u mnie bezpieczny, za siedmioma zamkami. Caly system kosztowal mnie kupe forsy, nie pamietasz? Mój dom jest jak Banco de Espana, tyle ze bez pieniedzy.

- Nigdy nie wiadomo. - Zaczynalo naprawde lac i Menchu wlaczyła wycieraczki. - ...A po drugie: ani słowa don Manuelowi o calej historii.

- Dlaczego?

- Nie udawaj, malenka, ze nie wiesz. Nasza kochana Lola tylko czeka, zeby popsuc mi szyki.

- Na razie nikt nie wiaze sprawy Alvara z obrazem.

- Moze glosniej? Policjanci nie bywaja taktowni i mogli juz nawiazac kontakt z moim klientem. Albo z ta jego lisia zonka... No wiec tak. Wszystko sie komplikuje jak diabli. Kusi mnie, zeby przerzucic kłopot na Claymore'a, zainkasowac prowizje i kropka.

Deszcz malowal na szybach nieostre szare plamy, przez co swiat za oknami samochodu sprawial nierzeczywiste wrazenie. Julia spojrzala na przyjaciółke.

- A wlasnie, dzis wieczorem mam kolacje z Montegrifem.

- Cos ty?

- No tak. Ma ogromna ochote porozmawiac ze mna o interesach.

- O interesach...? Przy okazji zechce pobawic sie w tate i mame.

- Zadzwoie i ci opowiem.

- Do tego czasu oka nie zmruze. On tez cos wyniuchal. Zakladam sie o dziewictwo moich trzech kolejnych wcielen.

- Mówilam, nie badz ordynarna.

- A ty mnie w trabe nie zrób, malpko. Nie zapominaj, ze jestesmy przyjaciółkami. I to bliskimi.

- Mozesz mi zaufac i przyhamowac troche.

- Sluchaj, zakluje cie jak te Carmen od Merimeego.

- Dobra, ale wlasnie przejechalas na czerwonym, a poniewaz to mój samochód, wiec potem ja bede placic mandaty.

Zerknela w lusterko i zobaczyla, ze za nimi, takze na czerwonym, przejechal jeszcze jeden samochód, niebieski ford z ciemnymi szybami. Chwile później skrecil w prawo i zniknal. Miala wrazenie, ze ten sam

wóz stal zaparkowany po drugiej stronie ulicy, też "na drugiego", kiedy wychodziła z agencji kurierskiej. Ale przy takim ruchu ulicznym i deszczu trudno było mieć pewność.

Paco Montegrifo należał do ludzi, którzy uważają, że czarne skarpetki przystoją szoferom i kelnerom, sami zaś, jako istoty rozumne, obstają przy ciemnogrnatowych. Nosił szary, również ciemny, nieskazitelny garnitur, skrojony na miarę, pierwsze guziki na mankietach marynarki miał wytwornie odpięte i ogólnie wyglądał jak wyjęty z zurnała. Koszula z kołnierzykiem Windsor, jedwabny krawat i chusteczka wysunięta dyskretnie z górnej kieszonki dopełniały idealnego wizerunku, który właśnie podniósł się z fotela w holu i siedł Julii na spotkanie.

- O mój Boże - powiedział, wyciągając dłoń. Biały uśmiech kontrastował przyjemnie z opalenizną. - Z pani jest prawdziwa piękność.

To powitanie wprowadziło ton pierwszej części rozmowy. Wyraził nieklamany podziw dla jej obcisłej sukienki z czarnego aksamitu, po czym zasiedli przy zarezerwowanym stoliku koło dużego okna, skąd mieli wspaniały widok na oświetlony nocą Pałac Królewski. Montegrifo prezentował cały arsenal spojrzeń może nie bezczelnych, ale owszem, głębokich, wspartych uwodzicielskimi uśmiechami. Po aperitifie, kiedy kelner przyrządzał przystawki, dyrektor Claymore'a zaczął rzucać krótkie pytania, prowokujące do inteligentnych odpowiedzi. Słuchał ich, splótszy w niemym uwielbieniu palce pod brodą, z półotwartymi ustami, dzięki czemu blask świec mógł się odbijać w jego wspaniałych zębach.

Jedyną aluzją do van Huysa, jaką Montegrifo zrobił przed deserami, był staranny dobór butelki białego burgunda do ryb.

- Za sztukę - wznosił toast z nieco porozumiewawczą miną i wszczął krótką pogawedkę o winach francuskich. - Jest to kwestia - wyjaśniał nie patrząc na uwijających się wokół stołu kelnerów - która w zadziwiający sposób ewoluuje wraz z wiekiem... Na początku człowiek jest zagorzałym zwolennikiem białego albo czerwonego burgunda: to jego najlepszy towarzysz uczt do mniej więcej trzydziestych piątych urodzin... Ale później, nie porzucając przy tym burgunda, należy przejść na bordeaux: to wino dla dorosłych, poważne i łagodne. A dopiero po czterdziestce jesteśmy zdolni puścić fortunę za skrzynkę Petrusa albo Chateau d'Yquem.

Skosztował wina, wyrażając podziw uniesieniem brwi. Julia z łatwością dopasowała się do gry i też okazała uznanie. Cieszyła się z tej kolacji i banalnej rozmowy, mówiła sobie w duchu, że w innych okolicznościach Montegrifo, ze swoim niskim głosem, opalonymi dłońmi i dyskretnym aromatem wody kolonijnej, dobrej skóry i wykwintnego tytoniu, mógłby być całkiem przyjemnym partnerem. I to pomimo, że lubi głaskać się palcem wskazującym po prawej brwi i zerkac co jakiś czas z ukosa na własne odbicie w szybie.

Rozmawiali o różnych rzeczach, tylko nie o obrazie, nawet gdy ona skończyła swój plaster lososia a la Royale, a on, posługując się wyłącznie srebrnym widelcem, zajął się wargaczem a la Sabatini. Prawdziwy dzentelmen, wyjaśniał z nieco frywolnym uśmiechem, nigdy nie sięga po łyżeczkę do ryb.

- A jak pan radzi sobie z osciami? - zaciekawilo Julię. Dyrektor wytrzymał jej spojrzenie.

- Nie chadżam do restauracji, gdzie serwują ryby z osciami.

Po deserach obydwójce zamówili czarna, bardzo mocna kawę. Montegrifo wyciągnął srebrną cygarnicę i delikatnie wydobyl z niej angielskiego papierosa, po czym spojrzał na Julię z wielką uwagą i pochylił się ku niej.

- Chce, żeby pani pracowała dla mnie - niemal szepnął, jakby obawiał się, że może go podsłuchać ktoś z Pałacu Królewskiego.

Julia podnosiła właśnie do ust papierosa bez filtra, którego Montegrifo usłużnie jej przypalił. Popatrzyła mu w kasztanowe oczy.

- Dlaczego? - zapytała zdawkowo obojętnym tonem, jakby chodziło o osobę trzecią.

- Z wielu powodów. - Montegrifo przez chwilę układał złotą zapalniczkę tak, żeby leżała dokładnie na środku cygarnicy. - Przede wszystkim dlatego, że ma pani świetną opinię.

- Miło mi.

- Mówię poważnie. Zasięgnąłem języka, to chyba naturalne. Znam pani prace dla Prado i dla prywatnych galerii... Ciągłe pracuje pani w muzeum?

- Tak, trzy dni w tygodniu. Teraz zajmuje się niedawno kupionym Ducciem di Buoninsegna.

- Słyszałem o nim. Śmiała robota. Dowiedziałem się, że powierzają pani ważne zlecenia.

- Zdarza się.

- Nawet my w Claymorze mieliśmy przyjemność niejednemu raz wystawić obrazy, które wyszły spod pani ręki. Tamten Madrazo ze zbiorów Ochoi... Dzięki pani talentowi mogliśmy podnieść cenę wywoławczą o jedną trzecią. A, i jeszcze zeszłej wiosny, bodajże Koncert Lopeza de Ayala...?

- Kobieta przy fortepianie Rogelia Egusquiza.

- Słusznie, oczywiście, proszę mi wybaczyć. Kobieta przy fortepianie, no jasne. Była wystawiona na działanie wilgoci, a pani dokonała prawdziwego cudu. - Uśmiechnął się. Dłonie obydwójki strzępywały popiół z papierosów niemal w tym samym momencie. - I dobrze się pani z tym czuje? To znaczy, tak pracując z doskoku, a nóż coś się trafi... - Szeroki uśmiech pozwolił mu ponownie zaprezentować wspaniałą galerię zębów. - Jako wolny strzelec.

- Nie narzekam. - Poprzez dym Julię przypatrywała się swojemu rozmówcy spod przymrużonych powiek. - Przyjaciele myślą o mnie, co rusz znajdują mi to i owo. A ja pozostaję niezależna.

Montegrifo popatrzył na nią zagadkowo.

- We wszystkim?

- We wszystkim.

- Czyli że szczęśliwa z pani dziewczę.

- Może i tak. Ale też nie narzekam na brak pracy.

- Claymore ma sporo zleceń, które wymagają pani umiejętności... Co pani na to?

- Ja na to, że nie widzę powodu, by o tym nie porozmawiać.

- Znakomicie. W ciągu paru dni moglibyśmy odbyć bardziej zobowiązujące spotkanie.

- Jak pan woli. - Julia długo przypatrywała się Montegrifowi. Czula, że nie powstrzyma dłużej cisnącego jej się na usta kpiącego uśmiechu. - A teraz może pan ze mną pogadać o van Huysie.

- Słucham?

Zgasiła papierosa w popielniczce, splótła dłonie pod brodą i pochyliła się nieco ku dyrektorowi.

- O van Huysie - powtórzyła, prawie literując swoje słowa. - Chyba że zamierza pan położyć swoją dłoń na mojej i powiedzieć, że jestem najpiękniejszą dziewczyną, jaką pan w życiu widział, albo coś równie uroczego.

Montegrifo w ulamku sekundy odzyskał doskonale pewny siebie uśmiech.

- Z rozkoszy, ale takie rzeczy mówię dopiero po kawie. Nawet jeśli pomyśle o tym wcześniej. - I dodał:  
- To kwestia taktyki.

- Wobec tego porozmawiajmy o van Huysie.

- Porozmawiajmy. - Spojrzał na nią przeciągle i Julia z miejsca zorientowała się, że na przekór mimice w tych oczach nie było uśmiechu, ale czujność i najwyższą ostrożność. - Dotarły do mnie, wie pani, pewne plotki... Ten nasz światek to jak podwórko w kamienicy, wszyscy wszystkich znają - westchnął jakby z wyrzutem wobec środowiska, o którym mówił. - Zdaje się, że coś pani odkryła na tym obrazie. O ile mam wierzyć moim informatorom, jego wartość znacznie przez to wzrasta.

Julia zdawała sobie sprawę, że aby oszukać Montegrifa, nie wystarczy mina pokerzystki, która właśnie przywołała na twarz.

- A kto panu napłócił takich bzdur?

- Wróbelki wycwierkały. - Dyrektor domu aukcyjnego w zamysleniu pogłaskał palcem prawą brew. - Ale mniejsza o to. Problem polega na tym, że pani przyjaciółka, panna Roch, usiłuje mnie szantazować...

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie mam wątpliwości - Montegrifo cały czas się uśmiechał. - Przyjaciółka pani usiłuje zmniejszyć prowizję Claymore'a, a podwyższyć swoją... - Z twarzy bil mu absolutny obiektywizm. - Prawdę mówiąc, z legalnego punktu widzenia nic jej tego nie zabrania, bo mamy tylko ustną umowę. Może ją złamać i zwrócić się do konkurencji w celu uzyskania lepszej prowizji.

- Gratuluje, jest pan niezwykle wyrozumiały.

- Jak pani widzi. Z tym że moja wyrozumiałość nie zabrania mi jednoczesnej troski o interes mojej firmy...

- Domyslam sie.

- Nie bede owijal w bawelne, ze udalo mi sie namierzyc wlasciciela van Huysa, pana w sile wieku. Scisle rzecz biorac, wszedlem w kontakt z jego bratanica i jej mezem. Z zamiarem, czego tez nie bede ukrywac, przekonania rodziny, zeby zrezygnowala z uslug pani przyjaciolki jako posredniczki i zeby zamiast tego dogadala sie ze mna bezposrednio... Rozumie mnie pani?

- Doskonale. Chce pan wykiwac Menchu.

- Mozna to i tak ujac. Nie jest to okreslenie calkowicie nie na miejscu. - Przez opalone czolo przemknal mu cien nieznacznego cierpienia, jak u kogos, kto jest nieslusznie oskarzany. - Niestety pani przyjaciolka, kobieta przewidujaca, dala wlascielowi papier do podpisania. Dokument, który zamyka mi droge do jakichkolwiek dzialan w tej sprawie... Co pani na to?

- Chyba podzielam panskie wrazenia. Nastepnym razem zycze wiecej szczescia.

- Dziekuje. - Montegrifo zapalil kolejnego papierosa. - Ale moze jeszcze nie wszystko stracone. Pani jest bliska przyjaciolka panny Roch. Moze udaloby sie pani naklonic ja do zawarcia przyjacielskiej ugody. Gdybysmy zespolili wysilki, moglibysmy wycisnac z tego obrazu fortune, która zadowolilaby i pania, i pani przyjaciolke, i Claymore'a, i mnie samego. Nie sadi pani?

- Bardzo mozliwe. Ale dlaczego mówi pan o tym mnie, zamiast pogadac z Menchu... ? Zaoszczedzilby pan na kolacji.

Mina Montegrifa miala wyrazac bezgraniczny smutek.

- Podoba mi sie pani, nie tylko jako towarzyszka przy stoliku restauracyjnym. Jesli mam byc szczery, to nawet bardzo. Jest pani kobieta nie tylko atrakcyjna, ale takze inteligentna i rozsadna... Mam wieksze zaufanie do pani mediacji niz do bezposrednich spotkan z pani przyjaciolka, która uwazam za osobe dosc, za przeproszeniem, frywolna.

- Podsumowujac - odezwała sie Julia - spodziewa sie pan, ze ja namówie.

- Bylbym... - dyrektor chcial starannie dobrac slowa.

- Bylbym w siódmym niebie.

- A co ja z tego bede miala?

- Naturalnie uznanie ze strony mojego domu aukcyjnego. Teraz i później. Jesli chodzi o natychmiastowe beneficja, i nie pytam tu, ile spodziewala sie pani dostac za prace nad van Huyssem, moze pani zagwarantowac sume dwukrotnie wyzsza. Oczywiscie w ramach zaliczki dwóch procent ostatecznej ceny, jaka "Partia szachów" osiagnie podczas aukcji. Poza tym jestem wladny zaoferowac pani kontrakt, na mocy którego zostanie pani szefowa dzialu konserwacji w madryckiej filii Claymore'a... I co pani na to?

- Bardzo kuszące. Tyle spodziewaja sie panstwo uzyskac na tym obrazie?



- Mamy już potencjalnych kupców w Londynie i Nowym Jorku. Przy odpowiedniej kampanii promocyjnej możemy zrobić z tego największe wydarzenie artystyczne od czasu aukcji sarkofagu Tutanchamona w Christie's... Sama pani rozumie, że równy udział, jakiego domaga się pani przyjaciółka, to lekka przesada. Jej zasługą było raptem znalezienie konserwatoria, i zaoferowanie nam obrazu. A reszta należy już do nas.

Julia zamysliła się, nie okazując po sobie wielkiego wrażenia. Zresztą w ostatnich dniach bardzo zmieniła się skala wydarzeń, które mogłyby zrobić na niej wielkie wrażenie. Po paru chwilach spojrzała na prawa dłoń. Montegrifa, która leżała na białym obrusie bardzo blisko jej ręki, i usiłowała przeliczyć, ile centymetrów zdolala pokonać w ciągu ostatnich pięciu minut. Dostatecznie dużo, żeby odgwizdać koniec kolacji.

- Postaram się - zapewniła go, biorąc torebkę. - Ale niczego nie mogę obiecać.

Montegrifo poglądził się po brwi.

- Proszę się postarać. - Jego kasztanowe oczy patrzyły na nią z wilgotną, aksamitną czułością. - Jestem pewien, że się pani uda, dla dobra nas wszystkich.

Przemawiał głosem, w którym nie było cienia groźby, raczej błagalne ciepło, tak przyjazne i nieskazitelne, że musiało zabrzmieć szczerze. Dyrektor ujął dłoń Julii i złożył na niej delikatny pocałunek, ledwie muskając ją ustami.

- Nie wiem, czy już to pani mówiłem - dodał cicho - ale jest pani niezwykle piękna kobieta...

Poprosiła, żeby wysadził ją niedaleko baru Stephan's, i poszła dalej piechota. O północy lokal otwierał swoje podwoje dla klienteli, o której liczebność i elitarność zadbane dzięki wysokim cenom i surowo sprawdzanym kartom wstępu. Spotykał się tam cały artystyczny Madryt: od bedących przejazdem agentów zagranicznych domów aukcyjnych, polujących na średniowieczne retable albo wystawiona na sprzedaż prywatna kolekcja, przez właścicieli galerii, badaczy, marszandów i dziennikarzy wyspecjalizowanych w sztuce, po znanych malarzy.

Zostawiła płaszcz w szatni, machnęła ręką paru znajomym na powitanie i ruszyła korytarzem w kierunku stojącej w głębi otomany, gdzie zazwyczaj siadywał Cesar. I rzeczywiście siedział tam, z nogą założoną na nogę, kieliszkiem w dłoni i młodym, pięknym blondynem u boku, z którym pograzony był w serdecznej rozmowie. Julia doskonale wiedziała, że Cesar palił szczególną pogardą do lokali uczeszczanych przez homoseksualistów. To kwestia smaku, mawiał, nie mieszac się z zamkniętym, ekshibicjonistycznym i nierzadko agresywnym światkiem, zaludnianym podobne miejsca, gdzie zresztą - dodawał z jednym z tych swoich drwiących grymasów - człowiek nieuchronnie odnosi wrażenie, że jest stara kwoka przechadzająca się po własnym kurniku. Cesar był samotnym myśliwym - przy zachowaniu wszelkich reguł elegancji - i świetnie czuł się w środowisku heteroseksualnym, gdzie bez żadnego problemu utrzymywał przyjaźnie i dokonywał podbojów. Obiektami tych ostatnich byli młodzi obiecujący artyści, którym pomagał w odnalezieniu ich własnej, prawdziwej wrażliwości, z której, księżniczko, te boskie efeby nie zawsze zdawały sobie sprawę. Wobec tych wysmienitych wybranców Cesar chętnie pełnił jednocześnie rolę Mecenasa i Sokratesa. A gdy upłynął miesiąc miodowy (w Wenecji, Marrakeszu lub Kairze), każdy związek rozwijał się swoją naturalną, odmienną koleją. Długie już i intensywne życie Cesara stanowiło, o czym Julia dobrze wiedziała, pasmo olsnień, rozczarowań, zdrad, ale i dowodów wierności, o których opowiadał jej z nienagannym taktem i nieco ironicznym dystansem, pozwalającym mu ukryć własne najintymniejsze tesknoty - z powodu zwykłej niesmiałości.

Posłał jej uśmiech. Moja ulubiona dziewczyna - powtarzały bezgłownie jego wargi, gdy odstawiał na stół kieliszek, wyprostowywał nogi i podnosił się z otomany, wyciągając ku niej dłonie.

- Jak tam kolacja, księżniczko...? Koszmar, wyobrażam sobie, Sabatini zszedł na psy... - skrzywił się, a w błękitnych oczach pojawił się złośliwy błysk. - Ci parweniusze z banków i przedsiębiorstw ze swoimi kartami kredytowymi i rachunkami na firmę potrafią zdeklasować każde miejsce... Przepraszam, znacie się z Sergiem?

Julia znalazła Sergia i, jak zwykle w przypadku przyjaciół Cesara, wyczuwała wzburzenie, jakie budziła jej obecność. Chłopcy nie potrafili objasnić sobie prawdziwego charakteru wieży łączącej antykwariusza z tą piękną, spokojną dziewczyną. Na szczęście jedno spojrzenie wystarczyło, by przynajmniej tym razem sytuacja szybko się ustabilizowała: młodzieniec, którego już widywała kilkakrotnie, był wrażliwy i inteligentny, nie odczuwał zazdrości, co najwyżej pewne skrepowanie.

- Montegrifo chciał złożyć mi propozycję.

- Bardzo ładnie z jego strony - Cesar podszedł do sprawy poważnie. Wszyscy troje usiedli. - Pozwólże jednak, że zapytam jak stary Cycero: cui bono... Kto skorzysta?

- Oczywiście on sam. Po prawdzie chciał mnie przekupić.

- Brawa dla Montegrifa. Dalaś się? - Dotknął ust Julii czubkiem palców. - Nie, nic nie mów, kochanie, niech porozkoszuje się jeszcze ta cudowna niepewnością... Mam przynajmniej nadzieję, że oferta była rozsądna?

- Niezła. On sam, zdaje się, był w pakiecie.

Cesar zjadliwie przesunął koncem języka po wargach.

- Typowe dla tego pana, złapać dwie sroki za ogon... Zawsze miał zmysł praktyczny. - Antykwariusz zwrócił się nieco w stronę swego jasnowłosego towarzysza, jakby chciał uchronić jego uszy przed przyziemnymi, nietaktownymi uwagami, po czym spojrzał na Julię szelmowsko, dosłownie drząc z niecierpliwości. - I co mu odpowiedziałas?

- Ze to przemysle.

- O bogini! Nigdy nie należy palić za sobą mostów... Słyszysz, drogi Sergio? Nigdy.

Młodzieniec popatrzył z ukosa na Julię i wsunął nos w koktajl na szampanie. Bez żadnych złych podtekstów Julia wyobraziła go sobie, jak stoi nagi w półmroku sypialni Cesara, piękny i milczący niczym marmurowy posąg, z jasnymi włosami opadającymi na czoło, ze "złotym berłem" (jak to określał Cesar peryfrazą zapożyczoną - była prawie pewna - od Cocteau) uniesionym i gotowym do wejścia w antrum amoris\* [przyp.: Antrum amoris (łac.) - pieczara miłości.] dojrzałego partnera. A może było na odwrót, może to dojrzały partner krztał się koło antrum młodego adonisa. Zżyłość między Julią a Cesarem nigdy nie posunęła się tak daleko, by dziewczyna mogła pytać antykwariusza o takie szczegóły, aczkolwiek chwilami zżerała ją na ten temat dość niezdrowa ciekawość. Zerknęła na Cesara, jak siedzi pełen wytwornej elegancji, w białej lnianej koszuli i niebieskiej chustce z jedwabiu w czerwone kropki, jak włosy spływają mu lekkimi falami za uszy i na kark - i zaczęła się kolejny raz zastanawiać, na jaką

szczególna przynęta ten w koncu pięćdziesięcioletek jest w stanie złowić i usidlić młodzieńców w rodzaju Sergia. I zaraz sobie odpowiedziała: bez wątplenia na ten ironiczny błysk niebieskich oczu, na eleganckie, rasowe ruchy ukształtowane w ciągu pokoleń, na rozwagą, często milczącą mądrość, która jest ukrytym źródłem każdego jego słowa, znudzonym, tolerancyjnym i nieskonczonym, a która przy tym nigdy nie traktuje samej siebie na serio.

- Musisz obejrzeć jego najnowszy obraz - rzekł Cesar, Pochłonięta myślami Julia dopiero po paru sekundach zdała sobie sprawę, że mówi o Sergiu. - ...Rzecz godna uwagi, kochanie. - Poruszał dłoń w okolicach ramienia młodzieńca, jakby miał ją tam położyć, ale się powstrzymywał. - Płótno dosłownie kipi światłem w stanie czystym. Coś przepięknego.

Julia uśmiechnęła się, przyjmując osad Cesara jako niepodważalną rekojmię. Poruszony i zakłopotany Sergio patrzył na antykwariusza, jak głaskany kotek mrucząc ozdobione jasnymi rzęsami powieki.

- Rzecz oczywista - ciągnął Cesar - że sam talent jeszcze nie otwiera w życiu wszystkich bram... Rozumiesz, chłopcze? Wielkie formy artystyczne wymagają pewnej wiedzy o świecie, dogłębnego doświadczenia w relacjach międzyludzkich. ...Co innego owe abstrakcyjne dziedziny, gdzie talent jest kluczem, a doświadczenie pozostaje jedynie dopełnieniem. Mówię o muzyce, o matematyce... O szachach.

- O szachach - powtórzyła Julia. Popatrzyli sobie w oczy, a zdeorientowany Sergio wodził spojrzeniem od jednego do drugiego, sypiąc z powiek złotym pyłem zazdrości.

- Tak, o szachach. - Cesar pochylał się i pociągnął spory łyk z kieliszka. Zwezone zrenice zapatrzyły się w jakąś odległą tajemnicę. - Zwróciłaś uwagę, w jaki sposób Munoz patrzy na "Partię szachów"?

- Tak. Patrzy inaczej.

- Właśnie. Inaczej niż ty. Albo ja. Munoz dostrzega na szachownicy rzeczy, których inni nie widzą.

Sluchający w milczeniu Sergio zmarszczył czoło i otarł się rozmyślnie o ramię Cesara. Czuł się odepchnięty. Antykwariusz zerknął nań dobrotliwie.

- Mówimy o sprawach zbyt nikczemnych, mój drogi. - Przesunął palcem wskazującym po dłoni Julii, uniósł nieco rękę, jakby z wahaniem, by wreszcie położyć ją między jej dłońmi. - Trwaj w swojej niewinności, złotowłosa przyjacielu. Rozwijaj talent i nie komplikuj sobie życia. Luli.

Posłał mu w powietrzu całusa. W tym samym momencie na drugim końcu korytarza pojawiły się nogi i ośniewiająca reszta Menchu, która przybyła w towarzystwie Maxa, domagając się nowin o Montegrifie.

- Co za swinia - oznajmiła, wysłuchawszy opowieści Julii. - Jutro porozmawiam z don Manuelem. Przeprowadzimy kontratak.

Niesmiały blondynek Sergio wycofał się pod naporem lawiny słów, z jaką Menchu załatwiła sprawę Montegrifa, przechodząc następnie do van Huysa, a od van Huysa w inne rejony, a przy okazji także do drugiego, następnie zaś do trzeciego kieliszka, który trzymała już znacznie bardziej niedbale. Max palił w spokoju, siedząc obok niczym dobrze odziany byk rozplodowy ciemnej masy. Cesar z nieobecny uśmiechem moczył usta w dzinie z cytrynami, które osuszał z kolei chusteczka wyciągnięta z górnej kieszeni marynarki. Raz po raz mrugał oczami, jakby powracał z daleka, i pochylał się ku Julii bezwiednie

gladził jej dłoń.

- W tym biznesie - tłumaczyła Menchu Sergiowi - ludzie dzielą się, skarbie, na tych, którzy malują, i tych, którzy inkasują szmal... Rzadko się zdarza, żeby jedna osoba robiła obydwie rzeczy naraz - rozczulona młodym wiekiem rozmówcy wydawała z siebie przeciągle westchnienia. - Ech, wy artyści, tacy młodzi, jasnowłosi i w ogóle - posłała Cesarowi jadowne spojrzenie z ukosa. - Tacy apetyczni.

Antykwariusz poczuł się zawieszony ze swojej samotni.

- Nie słuchaj, mój młody przyjacielu, głosów, które sączą truciznę w twój złoty duch - rzekł powoli i pośpiesznie, jakby zamiast rady przekazywał Sergiowi kondolencje. - Ta kobieta posługuje się językiem zmił, jak reszta każda. - Popatrzył na Julię, ucałował jej dłoń i ponownie się wyprostował. - Przepraszam. Jak prawie każda.

- I kto to mówi... - Menchu posłała mu grymas. - Oto przed panstwem nasz podwórkowy Sofokles. Czy raczej Seneka...? Chodzi mi o tego, co balamucil chłopczków popijając cykute.

Cesar zerknął na właścicielkę galerii, odczekał chwilę, by podjąć przerwany wątek. Zanim przemówił, oparł głowę na sofie i z afektacją zamknął oczy.

- Droga artysto, zwracam się do ciebie, mój młody Alkibiadesie, albo jeszcze lepiej, Patroklosie, czy może Sergiu... Droga artysty usłana jest przeszkodami, które trzeba pokonać jedna za drugą, by dotrzeć do własnego wnętrza... Ciężkie to zadanie, jeśli nie prowadzi cię pod rękę żaden Wergiliusz. Chwytasz te cieniutkie parabole, młodzieńcze...? Dopiero w ten sposób artysta może zaznać wreszcie najśladziej rozkoszy. Jego życie przeistacza się w czystą kreację, niepotrzebne mu wówczas niedzne sprawy świata zewnętrznego. Jest już daleko, bardzo daleko od swoich pogardy godnych bliźnich. Odnajduje w sobie przestrzeń i dojrzałość.

Odezwały się ironiczne wyrazy uznania. Sergio rozglądał się po pozostałych, zakłopotany, ale pogodny. Julia wybuchła śmiechem.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Na pewno komus ukradł te przemowy. Zawsze wszystkich nabiera.

Cesar odemknął jedno oko.

- Jestem znudzonym Sokratesem. I z oburzeniem odrzucam twoje zarzuty, jakobyś malował cudze słowa.

- W sumie to naprawdę zabawny gość - mówiła Menchu do Maxa, który słuchał z marszem na czole, i poczęstowała się papierosem z jego paczki. - No, przypał mi. Condottiero mio\* [przyp.: Condottiero mio (wl.) - mój kondotierze.].

Ten epitet zaostrzył cięty język Cesara.

- Cave canem\* [przyp.: Cave canem (lac.) - strzeż się psa (Petroniusz, Satyricon).], młody silaczu - rzekł do Maxa. Tylko Julia zdała sobie sprawę, że po łacinie canem mogło być zarówno rodzaju męskiego, jak i żeńskiego. - Jak powiadczają historycy, nikogo kondotierzy nie powinni wystrzegac się tak bardzo, jak tych, którym służą - popatrzył na Julię i z humorem podał źródło; jemu też alkohol zaczął uderzać do głowy. - Z Burckhardta.

- Wyluzuj się, Max - mówiła Menchu, choć Max nie wyglądał na zdenerwowanego. - Widzisz? To

nawet nie jego słowa. Stroi sie w cudze lubczyki... A moze wawrzyny?

- Akanty! - Julia nie mogla powstrzymac smiechu. Cesar spojrzal na nia skruszony.

- Et tu, Brutet\* [przyp.: Et tu, Brute (lac.) - I ty, Bruto? (parafraza slów mordowanego Juliusza Cezara: "I ty Brutusie, przeciw mnie?").]... - zwrócił sie do Sergia. - Chwytasz tragiczne tło całej sprawy, Patroklosie? - Znów przelknal spory lyk dzinu i potoczyl dramatycznym wzrokiem wokół siebie, jakby szukal przyjaznego oblicza. - Nie wiem, Kochani, co macie przeciwko cudzym wawrzynom... W sumie - dodal po chwili zastanowienia - kazdy wawrzyn jest w jakims sensie cudzy. Czysta twórczosc nie istnieje, o czym zawiadamiam was z prawdziwym bólem. Nie jestesmy twórcami, czy raczej, winieniem rzec, nie jestescie, bo ja sam nie tworze... Ani ty, birbantko Menchu... Moze ty, Maksie, nie patrz tak na mnie, przystojny condottiero feroce\* [przyp.: Condottiero feroce (wl.) - srogi kondotierze.], moze ty jestes w tym gronie jedynym, który cos naprawde tworzy...

- Uczynil prawa reka elegancki, znuzony gest, jakby meczyly go nawet jego własne argumenty, i pozwolil jej opasc niby przypadkiem tuż obok lewego kolana Sergia.

- Picasso, z trudem wymieniam nazwisko tego komedianta, jest Monetem, który jest Ingres'em, który jest Zurbaranem, który jest Brueglem, który jest Pieterem van Huyssem... Takze nasz przyjaciel Munoz, bez watpienia pochylony teraz nad szachownica i pochloniety przepedzaniem widm w czasy dalekie od naszych, nie jest soba, ale Kasparowem, który jest Karpowem. Ten zas jest Fischerem, który jest Capablanca, który jest Paulem Morphy, a ten jest mistrzem sredniowiecznym, ksiedzem Ruyem Lopezem... Wszystko jest tylko etapem tej samej historii. A moze to po prostu historia sie powtarza? Nie jestem tego pewien... A czy ty, przesliczna Julio, zastanawialas sie kiedyś, stojac przed naszym slynnym obrazem, gdzie sie naprawde znajdujesz, poza nim czy tam w srodku...? Tak. Jestem pewien, ze tak, bo znam cie, Ksiezniczko. I wiem, ze nie znalazlas odpowiedzi. - Zasmial sie ponuro i zmierzyl ich wzrokiem. - ...Istotnie, drogie dzieci, parafianie drodzy, stanowimy dosc dziwaczna grupke. Zuchwale tropimy tajemnice, które nie sa niczym innym, jak po prostu zagadkami naszego własnego zycia. - Uniósł kieliszek, wznoszac toast w niczyjej intencji. - A to, jak sie dobrze przyjrzec, takze niesie z soba pewne ryzyko. To tak, jakbysmy rozbili lustro, chcac sprawdzic, co jest po drugiej stronie warstwy rteci... Kochani, nie przechodza was od tego ciarki?

Julia wróciła do domu o drugiej w nocy. Cesar i Sergio odprowadzili ja az do bramy. Chcieli jej towarzyszyc dalej, na trzecie pietro, ale nie zgodzila sie, dala im po calusie na pozegnanie i ruszyla po schodach sama. Szla powoli, rozgladajac sie z niepokojem, ale kiedy siegnela do torebki po klucze, poczula uspokajajacy chłód pistoletu.

A jednak, przekreczajac klucz w zamku, sama dziwila sie sobie, ze przyjmuje sytuacje z takim spokojem. Odczuwala wprawdzie strach w postaci czystej i wyrazistej, do którego oceny nie potrzeba bylo zdolnoscí abstrakcyjnych, jak powiedzialby Cesar, przedrzezniajac Munoz. Tyle ze z owym strachem nie wiazala sie upokarzajaca udreka ani chec uciezki, przeciwnie, tlumila go ogromna ciekawosc. Chodzilo o jej osobista dume, o wyzwanie. O niebezpieczna i podniecajaca zabawe. Jak podczas zabijania piratów w Nibylandii.

Zabijanie piratów. Julia byla oswojona ze smiercia od wczesnego dzieciństwa. Jej pierwsze wspomnienie dotyczylo ojca lezacego nieruchomo, z zamknietymi oczami, na koldrze w sypialni. Otaczali go powazni ludzie w ciemnych strojach, odzywajacy sie do siebie cicho, jakby bali sie go zbudzic. Julia miała szesc lat i ten niezrozumialy, podniosly spektakl zawsze juz potem kojarzyl jej sie z obrazem matki, która nawet w takiej chwili nie uronila lzy, tylko siedziala w zalobnej sukni, jeszcze bardziej

nieprzystępna niż przedtem. Wspominała jej sucha, władcza dłoń, która zmusiła ją, żeby ostatni raz pocałowała zmarłego. I to Cesar właśnie, Cesar, którego zapamiętała znacznie młodszym, wziął ją na ręce i zabrał z tej ceremonii. Siedząc na jego kolanach, Julia patrzyła na zamknięte drzwi, za którymi specjaliści od pogrzebowej celebry przygotowywali trumne.

"Tak jakby to nie był on, Cesar - powiedziała wtedy z trudem hamując łkanie. Nigdy nie wolno płakać, mawiała jej matka. To była jedyna lekcja, jaką zdołała jej wpoić. - Tata nie jest taki, jak przedtem".

"Bo to już nie jest on - brzmiała odpowiedź. - Twój tata odszedł gdzie indziej".

"Gdzie?"

"Wszystko jedno, księżniczko... W każdym razie nie wróci".

"Nigdy?"

"Nigdy".

Julia zmarszczyła czoło w dziecięcym zamysleniu.

"Nie chce go już całować... Ma taką zimną skórę".

Popatrzył na nią przez chwilę w milczeniu i mocno przytulił. Wciąż pamiętała ciepło, jakie wtedy poczuła, i subtelny zapach jego skóry i ubrania.

"Kiedy tylko zechcesz, możesz przyjść pocałować mnie".

Julia nie przypominała sobie dokładnie momentu, kiedy dotarło do niej, że Cesar jest homoseksualista. Może ta prawda objawiała się jej krok po kroku, poprzez drobne szczegóły, przez intuicje. Pewnego dnia, niebawem po swoich dwunastych urodzinach, po drodze ze szkoły wstąpiła do antykwariatu i zobaczyła, jak Cesar dotyka policzka jakiegoś chłopca. Tylko tyle, musnięcie czubkiem palców i nic więcej. Chłopak miał Julie posyłając jej uśmiech i poszedł sobie. Cesar zapalił papierosa i dłuższą chwilę przypatrywał się jej, po czym zaczął nakrecać zegary.

Kilka dni później, podczas zabawy figurkami Bustellego, Julia zadała mu pytanie:

"Cesar... Ty nie lubisz dziewczyn?"

Antykwariusz siedział przy biurku i przeglądał książki. Początkowo tak jakby nie dosłyszał. Dopiero po paru chwilach uniósł głowę, a jego spokojne błękitnookie spojrzenie spoczęło na Julii.

"Jedyna dziewczyna, jaką lubię, jesteś ty, księżniczko".

"A inne?"

"Jakie inne?"

Nie odezwali się więcej. Ale tamtej nocy przed zasnięciem Julia myślała o słowach Cesara i poczuła się szczęśliwa. Nikt go jej nie odbierze, nie ma się co bać. I nigdy nie odejdzie gdzieś daleko, skąd się nie wraca, jak jej ojciec.

A potem przyszły inne czasy. Długie opowieści w złotawym świetle antykwariatu, młodość Cesara, Paryż i Rzym pomieszane z historią, sztuką, książkami i przygodami. Wspólne mity. "Wyspa skarbów" przeczytana rozdział po rozdziale wśród starych kufrów i porzeczonych panoplii. Biedni, sentymentalni piraci, którym podczas księżycowych nocy na Karaibach kamienne serca miekły na samą myśl o starych matkach. Bo przecież piraci też mają matki. Nawet tak przebiegły lotr jak Jakub Hak, który dał się poznać podczas wypraw łupieżczych, a pod koniec każdego miesiąca wysyłał nieco złotych hiszpańskich dublonów tej, co dała mu życie, żeby osłodzić dni jej starości. Chcąc zilustrować te historie, Cesar wyjmował ze skrzyni parę starych szabli i uczył ją flibustierskiego fechtunku: pozycja szermiercza i wycofanie, nie każde ciecicie oznacza poderżnięcie gardła, a rzut hakiem przy abordażu wykonuje się dokładnie w ten sposób. Wydobywał też sekstans, żeby umiała orientować się według gwiazd. I sztylet o srebrnej rekojesci rzeźbionej przez Benvenuto Celliniego, który wprawdzie był złotnikiem, ale podczas oblężenia Rzymu jednym strzałem z arkabuzu zdołał położyć trupem konstabla Bourbona. I jeszcze straszliwa mizerykordie, długa i złowroga, która paz Czarnej Księżki zatapiał w ciałach rycerzy francuskich, wziętych w zasadzkę pod Crecy...

Z upływem lat postać Julii zaczynała przebijać się na pierwszy plan. Teraz to Cesar miał siedzieć cicho i wysłuchiwać jej zwierzeń. Pierwsza miłość w wieku lat czternastu. Pierwszy kochanek w wieku siedemnastu. Antykwaryusz wówczas tylko słuchał i milczał, nie wygłaszał opinii. A na zakończenie zawsze się uśmiechał.

Julia oddałaby wszystko, byleby widzieć koło siebie ten uśmiech dzisiejszej nocy: uśmiech, który dodawał jej odwagi, a wydarzeniom ujmował znaczenia, przyporządkowując im właściwe miejsce wśród obrotów sfer niebieskich i w nieubłaganym lancuchu życia. Ale Cesara nie było i musiała poradzić sobie sama. Jak mawiał antykwaryusz, nie zawsze możemy wybrać towarzystwo albo własne przeznaczenie.

Robiła sobie własnie wódkę z lodem, ale na chwilę przerwała i w ciemnościach sama uśmiechnęła się w stronę van Huysa. Poza tym odnosiła nieodpartą wrażliwość, że jeśli coś złego się przydarzy, to ofiarami będą inni. Bohaterce nigdy nie działa się krzywda - przypominała sobie, pijąc drinka i słuchając, jak lód dzwoni jej o zęby. Umierały tylko postacie drugoplanowe, jak na przykład Alvaro. Ona, pamięta to świetnie, przeżyła już ze sto podobnych przygód i zawsze wychodziła z nich cała, na Boga. Nie, nie na Boga... Jak to było? Na Zielony Kapelutek.

Zobaczyła w lustrze weneckim swoje odbicie, mroczny cień wśród mroków, ledwie widoczna biała plama twarzy, zatarty kontur, wielkie, ciemne oczy - po drugiej stronie lustra wylaniała się Alicja. Przejrzała się też w van Huysie, w zwierciadle odbitym w lustrze weneckim, w odbiciu odbicia odbicia. I znów poczuła, że jak przedtem kreci jej się w głowie, i doszła do wniosku, że o tak późnej porze lustra, obrazy i szachownice platają wyobraźni nieczne figle. A może to tylko przemiany czasu i przestrzeni, bezwartościowych pojęć względnych. Pociągnęła kolejny łyk, lód znów zadzwieczał jej o zęby, i poczuła, że jeśli wyciągnie rękę, może postawić szklanke na stole przykrytym zielonym sukniem, dokładnie na ukrytym napisie, między nieruchomą dłoń Rogera d'Arras a szachownicę.

Zbliżyła się do obrazu. Siedząca koło zwieńczonego ostrym łukiem okna Beatrycze z Ostenburga, ze wzrokiem spuszczonego ku książce na podolku, przypominała Madonny pierwszych mistrzów flamandzkich: jasne włosy mocno zaczesane do tyłu i upięte pod prawie przezroczystym czepkiem. Biała cera. Uroczyście wyobcowana poza, opięta czarna suknia, tak różna od typowych welnianych szat koloru karmazynowego, uszyta z flamandzkiego sukna, cenniejszego niż jedwab czy brokat. Czarna - wreszcie stało się to dla niej oczywiste - jako symbolem żaloby. To wdowia czern, która genialny wielbiciel symboliki i paradoksów, Pieter van Huys, kazał jej przywdziać ze względu nie na meza, ale na zamordowanego kochanka.

Owal jej twarzy był delikatny i idealny, a podobieństwo do renesansowych Madonn dosłownie rzucało się w oczy każdym szczegółem, każdym odcieniem. Nie była to Madonna w typie włoskim, uwieczniona przez Giotto - gospodyni i karmicielka, czasem nawet kochanka, ani w typie francuskim - matka i królowa. Oto Madonna mieszczańska, malzonka mistrza cechowego albo szlachcica władającego południową równiną, zamkiem, domostwami, drogą wodną i dzwonnica, widoczna w oddali jak ta na obrazie, za oknem. Nieco zadufana w sobie, obojętna, spokojna i zimna, ucielesnienie nordyckiej urody alla maniera ponentina\* [przyp.: Alla maniera ponentina (wl.) - na modłę zachodnią.], tak wielbionej w krajach południa, w Hiszpanii i Włoszech. I te niebieskie oczy, a w każdym razie robiące wrażenie niebieskich, nieswiadome widza, zajete pozornie tylko książką, a przecież przenikliwe jak u wszystkich kobiet flamandzkich portretowanych przez van Huysa, van der Weydena, van Eycka. Oczy zagadkowe, z których nie sposób było się domyslić, na co ich właścicielki patrzyły lub pragnęły patrzeć, o czym myślały. Co czują.

Zapaliła następnego papierosa. Smaki tytoniu i wódki tworzyły teraz cierpką mieszaninę w jej ustach. Odsunęła włosy z czoła, zbliżyła palce do obrazu i pogładziła linię ust Rogera d'Arras. W złotawym świetle, spowijającym rycerza na podobieństwo aury, jego stalowy naszyjnik lśnił słabym połyskiem dobrze wypolerowanego metalu. Wsparty podbródkiem na kciuku prawej dłoni, spowitej tą słabą poświatą, Roger d'Arras nachylał swój profil zwycięzcą ze starego medalu, wpatrywał się w szachownicę, symbol jego życia i śmierci, na pozór nieswiadom obecności kobiety, czytającej za jego plecami. Być może jednak jego myśli uleciały daleko od szachów, ku Beatrycze Burgundzkiej, na którą nie pozwalały mu patrzeć duma, ostrożność albo tylko szacunek dla seniora. Zatem mógł ją swobodnie objąć jedynie myślami. Dama też pewnie w tym momencie nie poświęcała swej uwagi stronicom trzymanej w dłoniach książki, a jej oczy znajdowały ukojenie w widoku szerokich pleców rycerza - choć nawet nie musiała spoglądać w ich kierunku - w jego eleganckiej, spokojnej postawie. I jeszcze może we wspomnieniu jego rąk, jego skóry, albo choćby w echu powściągliwego milczenia, melancholijnego i bezradnego spojrzenia, które wzbudzała w jego zakochanych oczach.

Lustro weneckie i lustro na obrazie tworzyły wokół Julii nierzeczywistą przestrzeń, zacierając granice między nią a tamtą stroną zamalowanej powierzchni. Złotawa poświata otoczyła wreszcie i ją, kiedy powolutku, prawie wspierając się dłonią na zielonym suknie, z największą ostrożnością, żeby nie powrócić do szachów, nachyliła się ku Rogerowi d'Arras i pocałowała go w chłodny kącik ust. Gdy się odwróciła, dostrzegła odbłask Złotego Runa na aksamitnej cynobrowej tunicy drugiego gracza, Ferdynanda Ostenburskiego, który wpatrywał się w nią ciemnymi, niezglebionymi oczyma.

Kiedy zegar wybił trzecią, w popielniczkach było pełno niedopalków, za to w filiżance i dzbanku, stojących wśród książek i dokumentów, prawie nie było już kawy. Julia zaglebiła się w fotelu i spójrzała na sufit, usiłując uporządkować myśli. Wcześniej pozapalała wszystkie światła w pokoju, żeby odegnać otaczające ją widma. Rubież rzeczywistości powracały z wolna, wypełniając na nowo czas i przestrzeń.

Doszła ostatecznie do wniosku, że do całej sprawy można podejść w sposób dużo bardziej praktyczny. Według właściwego punktu widzenia, Julia nie powinna przyjmować roli Alicji, ale raczej dorosłej Wendy. Żeby spojrzeć na to od takiej strony, wystarczyło zamknąć oczy, otworzyć je, popatrzeć na van Huysa tak, jak się patrzy na zwykły obraz sprzed pięciu stuleci, i wziąć papier i ołówek. Tak też uczyniła, wlewając w siebie ostatni, zimny łyk kawy. Godzina jest późna - pomyślała. Spać jej się zupełnie nie chce, strach ciągle splywa na nią z wyżyn podświadomości, więc uporządkowanie myśli w świetle ostatnich wydarzeń nie było wcale rzeczą głupią. Absolutnie nie. Zabrała się więc do pisania:



I. Obraz datowany na rok 1471. "Partia szachów". Tajemnica. Co naprawdę wydarzyło się pomiędzy Ferdynandem Altenhoffenem, Beatrycze Burgundzka i Rogerem d'Arras? Kto zlecił zabicie rycerza? Co szachy mają z tym wszystkim wspólnego? Dlaczego van Huys namalował obraz? Dlaczego umieściwszy napis Quis necavit equitem, van Huys go zakrywa? Boi się, że też zostanie zamordowany?

II. Opowiadam Menchu o moim odkryciu... Spotykam się z Alvarem. On już wie to i owo, ktoś zasięgał jego konsultacji. Kto?

III. Alvaro umiera. Umiera czy zostaje zabity? Wyrazny związek z obrazem albo z moją wizytą i moimi dociekaniem. Czy jest coś, co ktoś chciałby pozostawić nieujawnione? Czy Alvaro odkrył coś ważnego, o czym nie wiem?

IV. Nieznana osoba (może morderca albo morderczyni) wysyła mi dokumenty zgromadzone przez Alvara. Co takiego wie Alvaro, co inni uznają za niebezpieczne? Co takiego, zdaniem tego innego (tych innych), powinnam wiedzieć, a czego nie powinnam?

V. Blondynka znosi kopertę do Urbexpress. Ma związek ze śmiercią Alvara, czy jest tylko pośredniczka?

VI. Umiera Alvaro, a ja nie (na razie), choć obydwoje prowadzimy badania w tej samej sprawie. Ktoś jakby chciał wręcz ułatwić mi pracę albo ukierunkować mnie w jakimś nieznanym mi celu. Czy tego kogoś interesuje obraz ze względu na jego wartość rynkową? Czy interesuje go moja praca przy odnawianiu? A może napis? Zadanie szachowe? Chce, żeby ujawnić pewne fakty historyczne bądź też żeby ich nie znać? Co może łączyć kogoś żyjącego w XX wieku z dramatem, jaki rozegrał się w wieku XV?

VII. Pytanie podstawowe (chwilowo): Czy ewentualny zabójca skorzysta na wyższym oszacowaniu ceny wywoławczej obrazu? Czy w obrazie jest coś jeszcze, czego nie odkryłam?

VIII. Możliwe, że problem leży nie w wartości obrazu, a w secrecie namalowanej partii szachów. Pracuję z Munozem. Rozgrywka szachowa. Jak może dojść przez to do morderstwa po pięciuset latach? To jest mało, że śmieszne, ale wręcz idiotyczne. (Tak sądzi).

IX. Ktoś mi grozi? Może chce, żebym odkryła coś więcej, żebym pracowała dla nich, nie wiedząc o tym. Może ciągle żyje, bo jestem im jeszcze potrzebna.

Przypomniała sobie coś, co mówił Munoz przy pierwszym spotkaniu, stojąc przed van Huyssem, i spróbowała odtworzyć to na kartce. Szachista nadmienił o kilku poziomach obrazu. Wyjaśnienie jednego z nich mogło pomóc w rozwiązaniu zagadki całości:

Poziom 1. Sceneria obrazu. Podłoga w formie szachownicy, na której rozmieszczono postacie.

Poziom 2. Postacie obrazu: Ferdynand, Beatrycze, Roger.

Poziom 3. Szachownica, na której dwie postacie rozgrywają partię.

Poziom 4. Figury szachowe, bedace symbolami trzech postaci.

Poziom 5. Namalowane zwierciadlo, w którym odbijaja sie postacie i partia, ale odwrócone.

Przyjrzała sie wynikowi swojej pracy, laczac poszczególne poziomy liniami, ale udalo jej sie tylko dojsc do niepokojących powiazan. Piaty poziom zawieral w sobie wszystkie cztery poprzednie, pierwszy sprzegniety byl z trzecim, drugi z czwartym... Dziwny zamkniety krag.

W sumie - pomyslala, studiujac dziwaczny schemat - to wyglada na jakas koszmarna strate czasu. Ustalajac powyzsze powiazania, data jedynie swiadectwo szalonego geniuszu autora obrazu. Smierci Alvara zadna miara w ten sposób wyjasnic sie nie da, przewrócił sie w wannie (albo ktos go przewrócił) piecset lat po "Partii szachów". Cokolwiek krylo sie za narysowanymi przez nia strzalkami i prostokatami, ani Alvaro, ani ona sama nie mogli stanowic elementów dzieła van Huysa, bo ten ostatni absolutnie nie byl w stanie przewidziec ich istnienia... A moze jednak...? Po glowie tluklo jej sie niepokojące pytanie. Czy wobec zespolu symboli, jaki stanowil obraz, to widz powinien przyporzadkowac im znaczenia, czy tez znaczenia te wchodzily w sklad dzieła od samego poczatku?

Nadal kreslila strzalki i prostokaty, kiedy zadzwieczal telefon. Podniosla gwałtownie glowe i wbila wzrok w aparat stojacy na dywanie, ale nie smiala podniec sluchawki. Kto to moze dzwonic o wpól do czwartej nad ranem? Zadna ewentualnosc nie brzmiala uspokajajaco, a telefon zdazyl sie odezwac jeszcze cztery razy, nim sie ruszyla. Podeszla do niego powoli, ciagle niezdecydowana, gdy nagle zdala sobie sprawe, ze jesli sie nie dowie, kto telefonuje, bedzie jeszcze gorzej. Cala reszte nocy spedzi pelna trwogi na sofie, gapiac sie w aparat w nadziei, ze znów zadzwieczy...

Mowy nie ma. Rzucila sie naprzód niemal z wsciekloscia.

- Halo?!

Westchnienie ulgi, jakie wyrwalo jej sie z gardla, musial doslyszec nawet Munoz, który przestal na chwile sie tłumaczyc i zapytal, czy dobrze sie czuje. Bardzo mu przykro, ze niepokoi ja o tej porze, ale uznal, ze warto ja zbudzic. Sam byl dosyc podniecony, dlatego sie osmiela. Co? Tak, oczywiscie. Wlasnie piec minut temu... Proszcie pani... ? Jest pani tam? Mówi, ze juz mozna z cala pewnoscia dowiesc, która bierka zbila bialego skoczka.

## VII. Kto zabil rycerza

Biale i czarne bierki symbolizowaly jakby manichejska

walke miedzy swiatlem a ciemnoscia,

miedzy dobrem a zlem, toczaca sie w duszy

czlowieka.

Garri Kasparow, Autobiografia,

- Ciagle o tym myslalem, nie moglem zasnac... Nagle dotarlo do mnie, ze analizuje jedyne mozliwe zagranie. - Munoz wyjal kieszonkowe szachy na stól. Obok polozyl pomiety i upstrzony notatkami szkic. - Ale jeszcze wtedy nie moglem w to uwierzyc. Przez godzine sprawdzalem co i rusz od poczatku, w te i we w te.

Siedzieli w calodobowym drugstorze, przy stoliku kolo duzej szyby, przez która rozciagal sie widok na ogromna, pusta aleje. W lokalu bylo niewielu gosci: paru aktorów z pobliskiego teatru i z pół tuzina nocnych marków plci obojga. Kolo elektronicznie zamykanych drzwi stal ochroniarz w uniformie paramilitarnym i ziewal, spogladajac na zegarek.

- Niech pani popatrzy. - Szachista pokazywal szkic, a nastepnie niewielka plansze. - Przedtem odtworzyliśmy ostatni ruch czarnego hetmana, który przeszedl z b2 na c2, ale nie wiedzieliśmy, jakie posuniecie bialych go do tego zmusilo... Pamietala pani? Rozpatrujacz zagrożenie ze strony bialych wiez, uznaliśmy, ze wieza stojaca na b5 mogla przybyc z dowolnego kwadratu w rzedzie 5. Ale to jeszcze nie tłumaczy ucieczki hetmana, bo szachowalaby go wczesniej druga biala wieza na b6... Powiedzieliśmy, ze pierwsza wieza mogla zbic jakas bierke na b5. Ale jaka? Tu sie zatrzymalismy.

- No i jaka ostatecznie? - Julia uwaznie wpatrywala sie w szachownice. Ten geometryczny bialo-czarny wzór nie stanowil juz dla niej ziemi nieznanej, byl teraz calkiem znajomym terenem. - Mówil pan, ze zastanowi sie nad tymi, co juz wypadly z gry...

- Tak zrobilem. Zbadalem kazda zbity bierke i doszedlem do zdumiewajacego wniosku:

- ...Kogo mogla zbic wieza na b5?... - Munoz patrzyl na szachownice bezsennymi oczyma, jakby faktycznie nadal nie znal odpowiedzi. - Nie czarnego skoczka, bo obydwu sa jeszcze w grze... Nie gonca, bo b5 jest polem bialym, a czarny goniec bialopolowy dotychczas nie ruszyl sie z miejsca. Stoi na c8 zablokowany przez dwa pionow, które tez nie wziely dotad udzialu w partii.

- Moze czarnego pionka - podsunela Julia.

Munoz pokrecil glowa.

- Wykluczenie tej mozliwosci zabralo mi wiecej czasu, bo posturunki pionów sa w tej partii bardzo zagmatwane. Ale nie mógł to byc zaden czarny pion, bo ten, który stoi na a5, pochodzi z pola c7. Wie pani, ze pionow bijaja po przekatnej, zatem ten przypuszczalnie zbil dwie biale bierki na b6 i a5... Pozostale cztery czarne pionow ewidentnie zostaly zbite daleko od tego miejsca. Nigdy w zyciu nie moglyby zajsc na b5.

- Czyli ze chodzi o czarna wieze, bo tylko ona jeszcze stoi poza plansza... Biala wieza zbila ja na b5.

- Niemożliwe. Z układu bierek wokół pola a8 wynika, że czarna wieża została zbita właśnie tam, w swoim pierwotnym położeniu, zanim zdołała się ruszyć. Została zbita przez białego skoczka, chociaż to już nie ma takiego znaczenia...

Zdezorientowana Julia podniosła oczy znad szachownicy.

- Nie dociera do mnie... To wyklucza wszystkie czarne bierki. Co w takim razie zbita biała wieża na b5?

Munoz uśmiechnął się lekko, ale bez żarzący. Bawiło go albo pytanie zadane przez Julię, albo odpowiedź, która przyszykował.

- Tak naprawdę niczego. Nie, niech pani tak na mnie nie patrzy. Pani malarz van Huys był też mistrzem w podsuwaniu fałszywych tropów... Bo nikt niczego nie zbit na b5. - Skrzyżowawszy ramiona, pochylił się nad małą szachownicą i zamilkł. Po chwili podniósł wzrok na Julię i dotknął palcem czarnego hetmana. - Skoro ostatnim ruchem białych nie był szach hetmanowi wykonany przez wieżę, to oznacza, że do tego szacha doszło przez odkrycie wieży przez inną białą bierkę... Chodzi mi o bierkę, która stała na b4 albo b3. Van Huys musiał mieć niezły ubaw, wiedząc, że tymi dwiema zwoźniczymi wieżami płata sporego figla komus, kto będzie próbował rozwiązać zagadkę.

Julia skinęła powoli głową. Jedno proste zdanie Munoz'a wystarczyło, by zakątek szachownicy, który do niedawna zionął statyczną nudą, teraz oferował nieskończone możliwości. Ten facet z jakas niezwykłą magią prowadził innych przez zawily, bialo-czarny labirynt pełen ukrytych kluczy. Tak jakby posługiwał się siecią niewidocznych połączeń pod planszą, ukazując niemożliwe, nieoczekiwane kombinacje, które stawały się ciałem, gdy tylko o nich wspomniano, i ujawniały się widocznie w całej okazałości, jakby naprawdę trudno ich było przedtem nie dostrzec.

- Rozumiem - odparła po paru sekundach. - Biała bierka chroniła czarną damę przed wieżą. A kiedy ruszyła się z linii strzału, dama znalazła się w szachu.

- Właśnie.

- A co to była za bierka?

- Może sama pani sprawdzi?

- Białą pionkę?

- Nie. Jeden został zbit na a5 albo b6, drugi dużo dalej od tego rejonu. Pozostałe też nie mogły tego zrobić.

- No to nic mi nie przychodzi do głowy.

- Niech pani uważnie popatrzy na szachownicę. Mogłem od razu pani powiedzieć, ale pozbawiłbym panią przyjemności, na którą chyba pani zasłużyła... Niech się pani spokojnie zastanowi. - Pokazał barek, wyludnioną ulicę, filiżanki z kawą na stoliku. - Nigdzie się nie spieszymy.

Julia zagłębiła się w szachownicę. Po jakimś czasie, nie odrywając od niej wzroku, wyciągnęła papierosa i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Chyba mam - oznajmiła czujnie.

- Slucham.

- Goniec, który chodzi po białych polach, stoi nietknięty na f1 i nie miał czasu, żeby przejść z b3, a z b4 nie mógł, bo to jest pole czarne... - Zerknęła na Munoz, szukając akceptacji, po czym kontynuowała: - To znaczy potrzebowałby co najmniej - policzyła przesuwając palcem nad szachownicą - trzech ruchów, żeby dostać się z b3 na swoje obecne miejsce... Czyli że to nie biały goniec umożliwił wieży szach czarnej damie. Dobrze kombinuje?

- Świetnie. Proszę dalej.

- Nie mogła też zrobić tego biała królowa, która teraz stoi na e1. Ani biały król... Natomiast biały goniec chodzący po czarnych kwadratach, który już został zbity, nie mógł stać na b3.

- Bardzo dobrze - potwierdził Munoz. - A dlaczego?

- Bo pole b3 jest białe. Ale gdyby ten goniec ruszył się z b4, ciągle stałby na szachownicy, a go tam nie ma. Pewnie został zbity dużo wcześniej, w innym momencie partii,

- Prawidłowe rozumowanie. Czyli co nam zostaje?

Julia popatrzyła na szachownicę, czując, że nagły zimny dreszcz przechodzi ją po plecach i ramionach, jakby za dotknięciem ostrza noża. Do wyboru pozostawała tylko jedna figura, o której jeszcze nie wspomniała.

- Zostaje konik - powiedziała mimowolnym szeptem i przelknęła ślinę. - Biały konik.

Munoz pochylił się ku niej z poważną miną.

- Biały skoczek, otóż to. - Chwile siedział, nic nie mówiąc, i patrzył nie na szachownicę, a na Julię. - Biały skoczek, który z b4 przeszedł na c2, odsłaniając tym ruchem groźną dla czarnego hetmana wieżę... I właśnie tam, na c2, czarny hetman, chroniąc się przed szachem i chcąc zdobyć przewagę liczebną, zbił skoczka. - Munoz znowu zamilkł, sprawdzając, czy o czymś ważnym nie zapomniał. Wreszcie blask w jego oczach przygasł, jakby ktoś przekreślił wyłącznik. Szachista oderwał wzrok od Julii, jedną ręką zgarnął bierki, drugą zamknął szachownicę, kończąc tym gestem swój udział w sprawie.

- Czarna królowa - powiedziała osłupiała Julia, niemalże słysząc warkot, z jakim jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

- Tak. - Munoz wzruszył ramionami. - Czarna królowa zabiła rycerza... Cokolwiek to oznacza.

Julia podniosła do ust papierosa, który był już tylko kupka żaru, zaciągnęła się mocno, parząc sobie palce i rzuciła resztkę na podłogę.

- To oznacza - wymamrotała, wciąż oszołomiona odkryciem - że Ferdynand Altenhoffen jest niewinny... - Zasmiała się sucho i z niedowierzaniem popatrzyła na szkielet partii, leżący nadal na blacie. Następnie wyciągnęła dłoń i położyła palec wskazujący na polu c1, na fosie Wrót Wschodnich cytadeli ostenburskiej, gdzie zabito Rogera d'Arras. - To oznacza - dodała czując dreszcz - że Beatrycze Burgundzka kazała zamordować rycerza.

- Beatrycze Burgundzka?

Julia przytaknęła. Teraz wszystko wydawało się tak jasne, tak oczywiste... Sama strzeliłaby sobie w łeb za kare, że wcześniej na to nie wpadła. Cała partia, cały obraz dosłownie wykrzykiwały tę prawdę. Van Huys uwiecznił ją z wielką starannością, co do szczegółu.

- Nie mogło być inaczej... Czarna dama, oczywiście: Beatrycze, księżna Ostenburga. - Chwile szukała słów. - Przeklesta zmija.

Widziała to teraz aż nadto wyraźnie: malarza, który porusza się po swojej pachnącej oliwami i terpentyną pracowni - od światła okiennego ku lożowym świecom stojącym tuż przy obrazie. Miesza pigment miedziowy z żywicą, żeby uzyskać zdecydowaną zielen, która oprze się stuleciom. Potem powoli kładzie ją kolejnymi pociągnięciami pędzla, uzupełnia faldy sukna przykrywającego stół, zamalowuje napis QUIS NECAVIT EQUITEM, który kilka tygodni wcześniej sporządził za pomocą aury pigmentu. Zakrywa przepiękne gotyckie litery z takim bólem, bez wątpienia na zawsze. Ale książe Ferdynand miał rację: "To zbyt oczywiste, mistrzu van Huysie".

Chyba jakos tak to się odbyło, a stary mistrz na pewno zlorzeczył przez zacisnięte zęby, manewrując z wolną pędzlem, a tymczasem w blasku świec żywo lśniły niedawno położone na debowej desce kolory. Może właśnie w tym momencie potarł sobie zmęczone oczy i pokreślił głową. Wzrok miał już nie ten, i to od jakiegoś czasu. Czuł upływające lata. Z coraz większym trudem potrafił się skupić nawet nad jedyną rozrywką, jaką zima, gdy dni są krótsze, a światła mniej, pomagała mu zapomnieć o malowaniu: nad szachami. Te pasje dzielił z nieszczęsnym panem Rogerem, który za życia był jego protektorem i przyjacielem i pomimo różnicy stanu i pozycji nie brzydził się poplamionego farbami kaftana, kiedy odwiedzał go w pracowni, żeby rozegrać partyjkę pośród olejków, gliniek, pędzli i nieukończonych obrazów. Jak nikt potrafił na przemian toczyć walkę na bierki i gawędzić o sztuce, miłości i wojaczce. Albo wygłaszać niezwykle myśli, jak ta, często powtarzana, a dziś brzmiąca w uszach złowrogo: ze szachy to gra dla ludzi, którzy lubią beczelnie przechadzać się po paszczy Diabła.

Obraz był już gotowy. W młodych latach Pieter van Huys wraz z ostatnim pociągnięciem pędzla odmawiał był krótką modlitwę dziękczynną za szczęśliwe dokonanie dzieła. Ale z upływem lat jego usta coraz bardziej milkły, oczy stawały się coraz suchsze, a włosy posiwiały. Skinał tylko głową, odłożył pędzel do glinianego pojemnika wypełnionego rozpuszczalnikiem i wytarł palce w pomięty skórzany fartuch. Następnie podniósł kandelabr i cofnął się o krok. Niech mu Bóg wybaczy, ale trudno było w tym momencie nie doświadczać uczucia dumy. "Partia szachów" znacznie wykraczała poza treść zamówienia księcia pana. Na obrazie było wszystko: życie, piękno, miłość, śmierć, zdrada. Ta debową deską jest dziełem sztuki, które przeżyje i jego, i tych, których na niej przedstawił. Stary mistrz flamandzki poczuł w sercu chłodny powiew niesmiertelności.

Zobaczyła Beatrycze Burgundzka, księżna Ostenburga, jak siedzi pod oknem i czyta "Poemat o róży i rycerzu", a promień słońca pada ukosnie zza jej ramion, oświetlając iluminowane strony. Zobaczyła, że jej ręka w kolorze kosi słoniowej, z lśniącym w owym promieniu pierścieniem, drży delikatnie niczym liść na gałęzi podczas lekkiego zefiru. Może kochała i była nieszczęśliwa, a duma nie pozwalała jej zapomnieć, że ów mężczyzna śmiało odmówił jej tego, czego nie odmówił królowej Ginewrze sam Lancelot z Jeziora... Ale mogło też być inaczej: najemny kusznik miał pomścić urazę, jaką została po dawnych uniesieniach, po ostatnim pocałunku, po bezwzględnym pożegnaniu... Nad odległym krajobrazem pędziły chmury po niebieskim flamandzkim niebie, a dama wciąż siedziała pograżona w

lekturze książki trzymanej na podolku. Nie. To było niemożliwe, przecież Ferdynand Altenhoffen w życiu nie złożyłby holdu zdradzie, a Pieter van Huys nie włożyłby w swoje dzieło całej maestrii i wiedzy... Raczej należałoby podejrzewać, że oczy nie patrzyły przed siebie, bo starały się ukryć łzę. Ze czarny aksamit był kirem po własnym sercu, przesyty tym samym grotem, który zaswistał przy fosie. Sercu, które ustąpiło przed racją stanu, przed zaszyfowanym listem jej kuzyna, księcia Burgundii, Karola: złożonym na kilka razy pergaminem ze złamana pieczęcią, który, oniemiała z rozpacz, zmiela zimnymi dłońmi, a później spaliła w płomieniu świecy. Listem poufnym, przekazanym przez zauszników.

Intrygi i spiski knute wokół księstwa i jego przyszłości, która była także przyszłością Europy. Stronnictwo francuskie, stronnictwo burgundzkie. Cicha wojna gabinetowa, równie bezlitosna, jak największa bitwa w polu: bez bohaterów, za to z katami w koronkach, których bronie były sztylet, trucizna i kusza... Zew krwi, powinność, jakiej domagała się rodzina, nie zakładały niczego, czego później nie wybaczyłby dobry spowiednik. Co najwyżej tego, żeby stała właściwego dnia i o właściwej godzinie w oknie wieży Wrót Wschodnich, gdzie co wieczór pokojówka czesała jej włosy. W oknie, pod którym dzień w dzień o tej samej porze przechadzał się Roger d'Arras, rozmyślając samopas o swej niemożliwej miłości i o swoich teskotach.

Tak. Może czarna dama miała oczy spuszczone, wbite w książkę na podolku, wcale nie dlatego, że czytała, ale ponieważ płakała. Ale mogło też być i tak, że nie śmiała spojrzeć w oczy malarza, przez które bacznie przyglądały jej się Wieczność i Historia.

Zobaczyła Ferdynanda Altenhoffena, nieszczęsnego księcia, targanego wichrami ze wschodu i z zachodu, szalejącymi po Europie, która zmieniała się stanowczo zbyt szybko. Stał zrezygnowany i bezradny, wiezion własnego miejsca i czasu, bil zamszowymi rekawicami o jedwabne pludry i trząsł się z wściekłości i rozpacz, nie mogąc ukarać zabójcy jedynego przyjaciela, jakiego miał w życiu. Oparty o kolumnę w sali udekorowanej gobelinami i sztandarami, wspominał lata młodości, wspólne marzenia, własny podziw dla młodzieńca, który poszedł na wojnę i wrócił okryty bliznami i chwałą. W murach zamku wciąż rozbrzmiewał jego śmiech, jego spokojny, rozważny głos, jego rzucane na stronie wazki uwagi, wytworne komplementy pod adresem dam, stanowcze rady, echo i ciepło jego przyjaźni... Ale oto go zabrakło. Odszedł w mrok.

"A najgorsze, mistrzu van Huysie, najgorsze, stary przyjacielu, stary malarzu, któryś milował go prawie tak jak ja, najgorsze, że nie można go pomścić; i ona, i ja, i on sam, jesteśmy igraszkami w rekach możliwych, w rekach tych, co mocą własnych pieniędzy i wpływów postanawiają, że czas wymaże Ostenburg z map, które kresła kartografowie... Nie mogę zadnej głowy ścinać na grobie mego druha, choćbym nawet wiedział którą. Tylko ona wiedziała, ale zataiła. Zabiła go swym milczeniem, zezwoliła, by stawiał się jak co wieczór - ja też oplacam dobrych szpiegów - przy fosie Wrót Wschodnich, zmamiony niemyym śpiewem syrenim, który pcha mężczyzn w objęcia przeznaczenia. Przeznaczenia, co uspięne albo ślepe się zdaje, lecz pewnego dnia otwiera oczy i patrzy na nas.

Jak widzisz, mistrzu van Huysie, nie ma miejsca na zemstę. Zawierzam ja więc tylko twym rekami i twemu geniuszowi, a nikt nie zapłaci ci za obraz tyle, ile ja ci zapłacę za ten. Zadam sprawiedliwości, choćby tylko dla mnie. Choćby po to, żeby ona wiedziała, że ja wiem, i żeby jeszcze ktoś oprócz Boga dowiedział się, gdy my, jak Roger d'Arras, w proch się obrócimy. Zatem namaluj ten obraz, mistrzu van Huysie. Na niebiosa, namaluj go. Niech znajdzie się na nim wszystko, niech to będzie twoje najlepsze, najstraszliwsze dzieło. Namaluj go, a potem niech Diabeł, któregoś kiedyś namalował na koniu u jego boku, porwie nas wszystkich".

I wreszcie zobaczyła rycerza, jak spaceruje o zmroku kolo fosy Wrót Wschodnich, w kaftanie z rozcieciami i w amarantowych pludrach, ze zlotym lancuchem na szyi i bezuzytecznym sztyletem przypasany do boku. Jest sam, giermek nie rozprasza jego rozmyslan. Zobaczyła, jak podnosi oczy ku ostrolukowemu oknu, a na jego twarzy pojawia sie delikatny usmiech, nieobecny i melancholijny. Usmiech, który jest zwierciadlem wspomnien, chwil uniesienia i chwil grozy, a takze przecucia własnego losu. I moze Roger d'Arras domysla sie kusznika, który stoi ukryty po drugiej stronie wyszczerbionego blanku, porosnietego bujnymi krzewami, naciaga cieciwe kuszy i mierzy mu w bok. A rycerz nagle pojmuje, ze cale jego zycie, ta dluga droga, jaka przebyl posród bitew stoczonych w chrzeszczacej zbroi, spocony i zlany potem, posród uscisków kobiet, owe trzydziesti osiem lat, jakie dzwiga niczym ciezki toból, dopelnia sie własnie tu, w tym miejscu i w tej chwili, i ze za tym ostatnim bólem nie bedzie juz nic. Ogarnia go doglebna zalosc nad samym soba, bo zdaje mu sie niesprawiedliwe, by tak skonczyc miedzy dwiema latarniami, zakluty jak byle knur. Podnosi wiec delikatna, piekna, meska reke - widzac ja, natychmiast zastanawiamy sie, którym mieczem wywijala, które cugle dzierzyla, które cialo piescila, które pióro maczala w kalamarzu, nim skreslila kilka słów na pergaminie... Podnosi te reke na znak protestu, o którym wie, ze to protest daremny, przede wszystkim dlatego, ze nie jest pewien, przed kim ma go zlozyc. Chcialby krzyzec, ale musi byc wierny zasadam honoru. Dlatego przesuwa druga dlon ku sztyletowi, bo mysli, ze nawet jezeli nie wydobedzie klingi, nawet jesli tylko zdola go chwycic za rekojesc, bedzie to bardziej rycerska smierc... Slyszy toing cieciwy i przez ulamek sekundy przychodzi mu do glowy, ze powinien zejsc z toru lotu strzaly. Ale przeciez grot porusza sie szybciej niz czlowiek. I czuje, jak z jego duszy dobywa sie powoli gorzki lament nad soba samym, i rozpaczliwie szuka w pamieci jakiegos Boga, przed którym móglby okazac skruche. I ze zdumieniem stwierdza, ze nie odczuwa najmniejszej skruchy, chociaz nie jest do konca pewien, czy tego wieczoru jakikolwiek Bóg mialby ochote go wysluchac. Wreszcie czuje uderzenie. Tyle ich wczesniej otrzymal, do dzis nosi blizny. Ale wie, ze po tym jednym blizny juz nie bedzie. Bólu tez nie ma, tylko dusza po prostu ulatuje mu przez usta. W koncu nadchodzi nieublagana noc, a on, pogrাজারac sie w niej, wie, ze tym razem bedzie to noc wieczna. I kiedy Roger d'Arras krzyczy, nie jest juz zdolny uslyszec własnego glosu.

## VIII. Czwarty gracz

Figury na szachownicy nie mialy litosci. Zatrzymywaly go i pochlanialy. Byla w tym jakas groza, ale i jedyna w swoim rodzaju harmonia. Bo przeciez czy istnieje na swiecie cos poza szachami?

Vladimir Nabokov, Zaszczita Luzyna



Munoz skrzywił się w niepelnym usmiechu, mechanicznym i nieobecnym, który nie obligował go do niczego, nie usilował nawet wzbudzać sympatii.

- A wiec tak sie sprawy mialy... - powiedzial cicho, dopasowujac swój krok do Julii.

- Ano. - Szla zamyslona, z pochylona glowa. Wyjela dlon z kieszeni kurtki i odgarnela wlosy z twarzy. - Zna pan teraz cala historie... Chyba mial pan prawo do tego. Zasluzyl pan.

Szachista popatrzył przed siebie, dumajac nad tym nowo nabytym prawem.

- No tak - mruknal.

Szli bez pospiechu, w milczeniu, jedno obok drugiego. Bylo chlodno. Wezsze i mniejsze uliczki spowijal jeszcze mrok, a swiatlo latarni gdzieniegdzie odbijalo sie w mokrym asfalcie, polyskujac jak swiezy werniks. Za to na otwartej przestrzeni cienie bledly pod naporem coraz gestszej jasnosci, naplywajacej z drugiego konca alei, gdzie sylwetki budynków na tle nieba przechodzily juz z czerni w szarosc.

- A czy jest jakis szczegolny powód - spytal Munoz - ze dotychczas ukrywala pani przede mna reszte tej historii?

Zanim Julia odpowiedziala, zerknela nan z ukosa. Nie widac bylo po nim urazy, raczej niedbale zainteresowanie. Patrzyl beznamiennie na wyludniona ulice, rece trzymal w kieszeniach plaszcz, postawiony kolnierz siegal mu uszu.

- Uznalam, ze moze nie chcialby pan komplikowac sobie zycia.

- Rozumiem.

Kiedy wyszli z za rogu, powital ich loskot smieciarki. Munoz zatrzymal sie i pomógł Julii przejsc miedzy dwoma pustymi kublami.

- A co teraz pani zamierza zrobic?

- Nie wiem. Chyba dokoncze renowacje. I napisze o calej sprawie dlugi raport. Dzieki panu stane sie troche slawna.

Munoz sluchal nieuwaznie, jakby myslami byl gdzie indziej.

- Jak tam sledztwo?

- Pewnie w koncu znajda morderce, o ile taki istnieje. Zawsze kogos znajduja.

- Podejrzewa pani kogos? Julia wybuchla smiechem.

- Boze swiety, pewnie, ze nie - zamyslila sie z grymasem niepewnosci na twarzy. - Przynajmniej nie chcialabym... - Spojrzala na szachiste. - Mam wrazenie, ze prowadzenie sledztwa w sprawie zbrodni, której moglo nie byc, bardzo przypomina to, co pan zrobil z obrazem.

Munoz skrzywił usta w niedokonczonym uśmiechu.

- Wszystko zapewne jest kwestia logiki - odparł. - Może tyle detektyw i szachista mają ze sobą wspólnego... - Przymknął oczy, więc Julia nie potrafiła orzec, czy żartował, czy mówił serio. - Podobno Sherlock Holmes grywał w szachy.

- Czytuje pan kryminały?

- Nie. Chociaż to, co czytuje, trochę je przypomina.

- Co na przykład?

- Rzecz jasna, książki o szachach. I jeszcze o zabawach matematycznych, problemach logicznych... Takie rzeczy.

Przeszli przez opustoszałe aleje. Dotarłszy do przeciwległego chodnika, Julia znów ukradkiem popatrzyła na swojego rozmówcę. Nie wyglądał na kogoś o porażającej inteligencji. Poza tym raczej trudno było przypuszczać, żeby mu się w życiu wiodło. Gdy tak siedział z rękami w kieszeniach, w koszuli z pomiatym kołnierzykiem i z dużymi uszami sterczącymi ponad płaszczem, robił wrażenie dokładnie tego, kim był: posepnego urzędnika, który ze świata przeciętności mógł uciec tylko w świat kombinacji, zagadnień i ich rozwiązań, a znajdował go właśnie w szachach. Najdziwniejsze u niego było spojrzenie, które gasło z chwilą, gdy nie padało już na szachownicę. I jeszcze ten sposób przechylania głowy, jakby jakiś straszny ciężar uciskał mu kręgi szyjne. Może miało to sprawić, żeby świat zewnętrzny splotał się po nim, dotykając go jak najmniej. Przypominał trochę jenców wojennych z dawnych dokumentalnych filmów wojennych, co to maszerują ze spuszczonej głową. Można go było bez omyłki wziąć za pokonanego jeszcze przed bitwą, kogoś, kto budzi się co rano z klęską od razu wypisaną w oczach.

A przecież miał w sobie coś jeszcze. Kiedy wyjaśniał posunięcia w zagmatwanej partii, robił to z ulotną iskrą rzetelności, a nawet nieprzeciętnej inteligencji. Jak gdyby wewnątrz, pod pozorami liczej powierzchowności, krył się niezwykle talent logiczny, matematyczny czy jakiś inny, dzięki któremu jego słowa i postawa emanowały pewnością i niekwestionowanym autorytetem.

Dobrze by było poznać go bliżej. Zdawała sobie sprawę, że niczego o nim nie wie poza tym, że gra w szachy i że jest buchalterem. Ale obudziła się za późno. Wykonał swoje zadanie, a na kolejne spotkanie szanse były marne.

- Dziwna ta nasza znajomość - powiedziała na głos.

Munoz błędził przez parę sekund spojrzeniem wokół siebie, jakby szukał potwierdzenia dla tych słów.

- Typowa znajomość szachowa... - odrzekł. - Trwała dokładnie tyle, ile ciągnie się partia. - Znowu się uśmiechnął w ten dziwny sposób, który niczego nie oznaczał.

- Niech pani zadzwoni, jak zechce pani jeszcze raz pograć.

- Pan mnie peszy - odezwała się ni stąd, ni zowad.

- Na serio.

Zatrzymał się i spojrzał na nią zdumiony. Już się nie uśmiechał.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie, prawdę mówiąc. - Julia zawahała się, niepewna gruntu, po którym się porusza. - W panu są jakby dwie różne osoby. Czasem jest pan niesmiały i zamknięty w sobie, wzruszająco niezdamy... Ale gdy tylko sytuacja zaczyna pachnieć szachami, nabiera pan oszalamiającej pewności siebie.

- No i? - Szachista beznamiętnie czekał na dalszy tok rozumowania.

- No i nic - zacukowała się, trochę zawstydzona własnym brakiem taktu, by wreszcie z uśmiechem zadrwić z samej siebie. - Wyobrazam sobie, jak to absurdalnie brzmi o swicie. Przepraszam.

Stał przed nią z rękami w kieszeniach płaszcza, z wystającą, gładko wygoloną grdyką nad rozpiętym kołnierzykiem koszuli, z głową przechyloną w lewo, jakby przeżuwał usłyszone własnie słowa. Ale już nie wyglądał na zbitego z tropu.

- Ach, tak - powiedział i ruchem podbródka dał jej do zrozumienia, że pojmuję, chociaż Julia nie za bardzo wiedziała, co pojmuję. Następnie spojrzał za jej plecy, może w nadziei, że ktoś podrzuci mu zapomniane słowo. I wreszcie zrobił coś, co później dziewczyna zawsze wspominała z najwyższym osłupieniem. Dokładnie tam, w tym momencie, w niespełna kilku zdaniach, tonem chłodnym i bezosobowym, jakby chodziło o kogoś innego, streszczał jej swoje życie. Przynajmniej Julia tak to odebrała. Ku jej zaskoczeniu trwało to dosłownie chwile, nie było żadnej pauzy czy szczególnej intonacji, za to przy zachowaniu absolutnej precyzji, z jaką Muñoz zazwyczaj tłumaczył ruchy w szachach. I dopiero kiedy skończył i znów zapadł w milczenie, na jego wargach zagóścił na powrót uśmiešek, będący może rodzajem leciutkiej autoironii, kpiny z człowieka, którego właśnie opisał, a do którego szachista nie żywił w głębi duszy ani współczucia, ani pogardy, miał za to dla niego coś na kształt pozbawionej złudzeń, wyrozumiałej solidarności. A Julia dłuższą chwile trwała przed nim nieruchomo, nie wiedząc, co powiedzieć, i zastanawiała się, jakim, u diabła, cudem ten człowiek, który nie zawraca sobie głowy słowami, potrafi opowiedzieć tak dużo tak trafnym językiem. Dowiedziała się o chłopcu, który grał w myślach w szachy, patrzeć na sufit sypialni, kiedy ojciec karał go za opuszczanie się w nauce. Dowiedziała się o kobietach, które z zegarmistrzowską precyzją potrafią rozebrać mezczyznie na kółka i sprezynki. Dowiedziała się o samotności, będącej parawanem przed klęską i beznadzieją. Wszystko to rozumiała naraz, nawet nie mając czasu się nad tym zastanowić, a pod koniec, który nastąpił zaraz po początku, wcale nie była pewna, jaka część z tego usłyszała z jego ust, a jaka wyobraziła sobie sama. Założywszy oczywiście, że Muñoz faktycznie zrobił coś ponad to, że wtulił nieco głowę w ramiona i uśmiechnął się jak zmęczony gladiator, obojętny na kierunek, który wskaże kciuk decydujący o jego losie. Kiedy zaś przestał w końcu mówić, o ile w ogóle zaczął, a szary brząsk oświetlił mu pół twarzy, drugą połowę pozostawiając w mroku - Julia pojęła z całą wyrazistością, czym dla tego faceta jest mały skrawek płaszczyzny podzielony na szesćdziesiąt cztery białe i czarne kwadraty: miniaturowym polem bitwy, na którym rozgrywa się tajemnica życia, sukcesów i porażek, straszliwych, sekretnych sił, które rządzą ludzkim losem.

Poznała tę prawdę w ciągu niecałej minuty. A także naturę tego uśmiechu, który nigdy do końca nie zdołał zagóścić na jego ustach. I powoli pochyliła trochę głowę, bo była dziewczyna inteligentna i wszystko rozumiała. On zaś popatrzył w niebo i powiedział, że robi się zimno. Wtedy ona wyciągnęła paczkę papierosów, poczęstowała go, on wziął - i wówczas pierwszy i przedostatni raz widziała, jak Muñoz pali. Ruszyli w dalszą drogę, by zatrzymać się przed bramą domu Julii. Tutaj szachista miał nieodwołalnie wypaść z całej historii, więc wyciągnął rękę, zamierzając się pożegnać. Ale w tym momencie Julia zerknęła na domofon i zobaczyła niewielką kopertę wielkości wizytówki, złożoną i wcisniętą w szparę koło jej dzwonka. A gdy otworzyła i wyjęła ze środka karteczkę, rozumiała, że Muñoz w żadnym razie nie powinien odchodzić. I że zdarzy się jeszcze parę rzeczy, na pewno niedobrych, zanim ostatecznie pozwoli mu odejść.

- Nie podoba mi się - powiedział Cesar. Julia zauważyła, że palce obejmujące fífkę z kości słoniowej drża nieznacznie. - Wcale mi się nie podoba, że jakis wariat lazi sobie swobodnie i bawi się z tobą w Fantomasa.

Mozna było odnieść wrażenie, że słowa antykwariusza były sygnałem, na który wszystkie znajdujące się w sklepie zegary, jeden po drugim bądź jednogłośnie, różnymi tonami od słabego szmeru po ciężki brzęk zegarów ściennych, wybiły cztery kwadransy i godziny dziewiąta. Ale mimo tego zbiegu okoliczności Julii nie było do śmiechu. Spoglądała na zamkniętą za szkłem Lucynde Bustellego i czuła się tak samo krucha jak ona.

- Mnie się też nie podoba. Ale nie jestem pewna, czy mamy jakiś wybór.

Odwróciła się od porcelanowej lalki i popatrzyła na stół w stylu regencji, na którym Munoz rozłożył już swoją małą kieszonkową szachownicę i ponownie ustawił bierki zgodnie z sytuacją namalowaną przez van Huysa.

- Niech no ten kanalia wpadnie mi w ręce - mruknął Cesar, zerkając podejrzliwie na karteczkę, którą Munoz trzymał za sam róg, jak pionka, którego nie wie, gdzie postawić. - Jeśli to ma być żart, to stanowczo przekroczył granice śmieszności...

- To nie jest żart - zaproponowała Julia. - Zapomniałeś o biednym Alvarze?

- Zapomnieć? - Antykwariusz podniósł fífkę do ust i wypuścił gwałtownie dym. - Bardzo bym sobie tego życzył!

- A jednak to ma sens - odezwał się Munoz.

Popatrzyli na niego. Nieswiadomość własnych słów szachista stał nad szachownicą oparty o blat, nadal trzymając karteczkę w palcach. Nie zdjął jeszcze płaszcza, a jego niedogolony podbródek w świetle padającym przez witraż nabrał niebieskiego odcienia, podobnie jak wyraźnie podkrażone od niewyspania, zmęczone oczy.

- Przyjacielu - w głosie Cesara można było wyczuć jednocześnie uprzejme niedowierzanie i nieco ironiczny szacunek. - Szczere gratulacje, jeśli pan odnajdzie sens w tym zamieszaniu.

Munoz wzruszył ramionami, nie zwracając uwagi na słowa antykwariusza. Był już pochłonięty nowym problemem, zaszyfrowanym na karteczce:

Wb3(?)... d7-d5+

Jeszcze przez chwilę Munoz przypatrywał się na przemian to zapisowi, to sytuacji na szachownicy. Następnie przeniósł wzrok najpierw na Cesara, potem na Julię.

- Ktos - owo "ktos" przyprawilo dziewczynę o dreszcz, jakby gdzieś blisko otwarto niewidzialne drzwi - chyba interesuje się partią rozgrywaną na tym obrazie... - przymknął oczy i przytaknął głową, może zgadzając się z jakichś niejasnych powodów z motywacją tajemniczego pasjonata. - Kimkolwiek jest, zna przebieg rozgrywki i wie bądź też podejrzewa, że rozpracowaliśmy jej zagadkę wstecz. Sam proponuje pójść naprzód, kontynuować grę, wychodząc od sytuacji przedstawionej na obrazie.

- Pan zartuje - powiedział Cesar.

Zapadło krepujące milczenie. Munoz wpatrywał się uważnie w antykwariusza.

- Ja nigdy nie zartuje - rzekł wreszcie, jakby zastanawiał się wcześniej, czy wypada mu użyć takiego sformułowania. - Tym bardziej gdy w grę wchodzi szachy - stuknął palcem wskazującym w karteczkę. - Zapewniam pana, że on ma dokładnie taki zamiar: ciągnąć dalej partię od momentu, w którym zostawił ją malarz. Niech państwo spojrzą na szachownicę.

- ...Widza państwo - Munoz pokazał swistek. - Wb3(?)... d7-d5 +. "Wb3" oznacza, że białe przesuwają wieżę z b5 na pole b3. Znak zapytania w nawiasie interpretuje jako jego sugestie pod naszym adresem. To pozwala się domyślać, że my gramy białymi, a przeciwnik czarnymi.

- Pasuje jak ulal - skomentował Cesar. - Równie nikczemne, jak on sam.

- Nie wiem, czy to nikczemne, czy nie, wiem, że właśnie tak postąpił. Mówi nam: "Ja gram czarnymi i proponuję wam ruch wieży na b3"... Rozumieją państwo? Jeśli podejmujemy wyzwanie, musimy zagrać tak, jak nam sugeruje, choć moglibyśmy wybrać posunięcie lepsze. Na przykład zbicie czarnego piona na b7 pionem z a6... Albo biała wieża z b6... - Tu zamilkł na chwilę, jakby jego myśl jęła automatycznie ogarniać kombinacje wynikające z właśnie zaproponowanego przezeń ruchu. Po chwili zamrugnął oczami i z widocznym wysiłkiem powrócił do rzeczywistości. - Nasz przeciwnik uznał za pewnik, że przyjmujemy jego warunki i ruszymy białą wieżę na b3, żeby chronić naszego króla przed atakiem czarnego hetmana z prawej strony i jednocześnie grozić matem czarnemu królowi na a4 przy wsparciu drugiej białej wieży i białego skoczka... Z tego wszystkiego wnoszę, że lubi ryzyko.

Julia śledziła słowa Munoz, patrząc na szachownicę. Teraz podniosła na niego wzrok. Była przekonana, że wyczuła w głosie szachisty ślad podziwu dla nieznanego gracza.

- Dlaczego pan tak uważa...? Skąd pan może wiedzieć, co tamten lubi, a czego nie?

Munoz schował głowę w ramiona i przygryzł dolną wargę.

- Nie wiem - odparł z wahaniem. - Każdy gra w szachy zgodnie ze swoją naturą. Chyba kiedyś już to państwu tłumaczyłem. - Położył karteczkę na blacie koło szachownicy. - "D7-d5+" znaczy, że czarne wybrały teraz ruch pionem z d7 na d5 i dają szacha białemu królowi... Ten plusik koło cyfr oznacza szacha. Należy przez to rozumieć: jesteśmy w niebezpieczeństwie. Niebezpieczeństwie, którego możemy uniknąć, zbijając tego piona naszym białym, stojącym na polu e4.

- Tak - powiedział Cesar. - Jeśli chodzi o ruchy na szachownicy, pełna zgoda. Ale nie pojmuję, co to ma wspólnego z nami... Jaki związek może mieć zagranie szachowe z rzeczywistością?

Munoz zrobił nieokreślona minę, jakby uważał, że zadają od niego zbyt wiele. Julia zobaczyła, że szukał wzrokiem jej oczu, ale zaraz spojrzął w inną stronę.

- Nie wiem, jaki jest ścisły związek. Może w grę wchodzi ostrzeżenie, może chce nas o czymś uprzedzić... W każdym razie następnym logicznym posunięciem czarnych po z biciu ich piona na d5 byłby nowy szach białemu królowi skoczkiem z d1 na b2... Jeśli tak, to białe mogą zrobić jeden ruch, żeby uciec spod szacha i zachować pozycję osaczającą wobec czarnego króla: zbicie czarnego skoczka białą wieżą. Wieża z pola b3 bije skoczka na b2. Przypatrzmy się teraz położeniu na szachownicy.

Wszyscy troje stali nieruchomo i nie odzywali sie, studiowali jedynie nowe ustawienie bierok. Duzo pózniej Julia twierdzila, ze w owym momencie, nie rozumiejac jeszcze calej lamiglówki, przeczula, ze szachownica nie jest juz zwykla mozaika bialych i czarnych kwadratów, ze przeistacza sie w obraz jej wlasnego zycia. I jak w lustrze rozpoznala dziwnie znajome cechy w tej malej figurce z drewna, symbolizujacej biala królowa na polu e1, w melodramatycznie groznej bliskosci czarnych bierok.

Ale to Cesar pierwszy sie zorientowal.

- Boze - to slowo zabrzmialo tak przedziwnie w jego agnostycznych ustach, ze Julia az spojrzala na niego zaniepokojona. Antykwariusz wpatrywal sie w szachownice, zatrzymawszy fífke kilka centymetrów od ust, jak gdyby to nagle odkrycie go sparalizowalo.

Julia znowu popatrzyla na szachownice, czujac, jak krew pulsuje jej glucho w nadgarstkach i skroniach. Widziala tylko te bezbronna biala królowa, ale czula na plecach ciezkie brzemie zagrozenia. Podniosla oczy na Munoz, liczac na jego pomoc, i zobaczyla, ze szachista kreci zadumany glow, a czolo przecina mu gleboka pionowa zmarszczka. Po chwili na jego ustach pojawil sie tak dobrze jej znany slaby uśmiech, ale nie bylo w nim cienia wesolosci. Przypominal raczej przelotny grymas niezadowolenia kogos, kto wbrew sobie musi uchylit kapelusza przed czyims talentem. I wtedy Julie ogarnal mroczny, silny strach, bo zrozumiatal, ze Munoz tez mozna zaskoczyc.

- Co sie dzieje? - spytala, nie poznajac wlasnego glosu. Pola szachownicy tanczyly jej przed oczami.

- Ano to sie dzieje - odparl Cesar, wymieniajac powazne spojrzenia z Munozem - ze ruch bialej wiezy postawil czarna królowa w szachu... Nie myle sie?

Szachista pochytil podbródek na znak, ze przyznaje mu racje.

- Tak - dodal po dluzszej chwili. - W tej rozgrywce czarny hetman, wczesniej bedacy pod oslona, teraz jest wystawiony na niebezpieczenstwo... - zamilkł. Zapuszczanie sie w pozaszachowe interpretacje nie lezalo w jego naturze. - Moze to oznaczac, ze nasz niewidzialny gracz cos nam chce przekazac: ze jest przekonany o rozwiązaniu zagadki obrazu. Czarny hetman...

- Czyli Beatrycze Burgundzka - wymamrotala dziewczyna.

- Tak. Beatrycze Burgundzka. Czarna królowa, która, o ile wiem, juz raz zadala smiertelny cios.

Ostatnie slowa Munoz zawisly w powietrzu, jakby nie czekaly na odpowiedz. Cesar w milczeniu wyciagnal dlon i delikatnie strzepnal papierosa do popielniczki. Robil to powoli jak ktos, kto potrzebuje czynnosci, która pozwoli mu utrzymac kontakt z rzeczywistoscia. Potem rozejrzal sie, spodziejajac sie moze, ze posród stojacych w sklepie mebli, obrazów i przedmiotów znajdzie odpowiedz na nurtujace ich wszystkich pytania.

- To absolutnie nieprawdopodobny zbieg okolicznosci, drodzy przyjaciele - odezwal sie. - Tak nieprawdopodobny, ze az niemozliwy.

Uniósł rece i opuscil je bezradnie wzdluz ciala. Munoz ograniczyl sie do posepnego wzruszenia ramionami przykrytymi plaszczem.

- Tu nie wchodzi w gre zaden zbieg okolicznosci. Ktos, kto to wszystko obmyslil, jest prawdziwym mistrzem.

- A co z białą królową? - spytała Julia.

Munoz wytrzymał przez chwilę jej spojrzenie, po czym wyciągnął rękę, zatrzymując ją zaledwie kilka centymetrów od królowej, jak gdyby nie śmiał jej tknąć. Następnie wskazał palcem czarną wieżę na c1.

- Białą hetman może zostać zbita - odrzekł spokojnie.

- No tak - Julia była rozczarowana. Spodziewała się mocniejszych przeżyć, kiedy ktoś na głos potwierdzi jej własne obawy. - O ile dobrze zrozumiałam, fakt odkrycia tajemnicy obrazu, to znaczy winy czarnej królowej, został zilustrowany ruchem wieży na b2... A biała królowa czuje, że znalazła się w niebezpieczeństwie, bo zamiast buszować i komplikować sobie życie, wycofała się w cichy zakątek. Czy to nauczka, panie Munoz?

- Mniej więcej.

- Alez wszystko to zdarzyło się pięć wieków temu - zaproponował Cesar. - Tylko ktoś niespełna rozum...

- Może mamy do czynienia z kimś takim - przerwał obojętnym tonem Munoz. - Ale w szachy grał przy tym, czy raczej gra, rewelacyjnie.

- I mógł znowu zabić - dodała Julia. - Teraz, parę dni temu, w dwudziestym wieku. Alvara.

Cesar podniósł rękę oburzony, jakby dziewczyna popełniła nietakt.

- Wolnego, księżniczko. Bo się zawikłamy. Żaden morderca nie przeżyłby pięciuset lat. A obrazy nie potrafią zabijać.

- Zależy, jak na to spojrzeć.

- Nie pozwalam ci pisać podobnych bzdur. I nie płacz różnych spraw. Mamy z jednej strony obraz i zbrodnię popełnioną pięć wieków temu... Z drugiej strony niezwykłego Alvara...

- I wysłane dokumenty.

- Ale na razie nie wykazano, że osoba, która je wysłała, zabiła Alvara... W końcu możliwe jest nawet, że ten nieudacznik naprawdę strząsnął sobie łeb w wannie. - Antykwaryusz uniósł trzy palce. - Z trzeciej strony ktoś usiłuje grać z nami w szachy... Koniec, kropka. Nie ma dowodów, że te sprawy wiążą się ze sobą.

- A obraz?

- To nie jest dowód. To przypuszczenie. - Cesar popatrzył na Munozę. - Nie mam racji?

Szachista zachowywał milczenie, nie chcąc się mieszać, czym zasłużył sobie na urazone spojrzenie Cesara. Julia pokazała na leżącą obok szachownicy karteczkę.

- Chcecie dowodów? - wypaliła, bo nagle zrozumiała, o co w tym chodzi. - Tu mamy coś, co łączy śmierć Alvara z tajemniczym graczem... Az za dobrze znam te karteczki... Alvaro używał ich w pracy - przerwała na moment, chcąc uswiadomić sobie własne słowa. - Ten, kto go zamordował, mógł wziąć ze sobą garść jego fizek - zamysliła się, po czym wyciągnęła Chesterfielda z paczki, która miała w kieszeni

kurtki. Irracjonalna panika, w jaka wpadła jeszcze pare minut temu, rozwiewała się, ustępując miejsca bardziej konkretnym obawom, o wyraźnie zaznaczonych kształtach. Julia tłumaczyła sobie, że strach przed strachem nie jest tym samym, czym strach przed śmiercią z ręki żywej istoty. Niewykluczone, że wspomnienie Alvara i jego śmierci w światłach rampy, przy odkreconych kranach, rozjasniło jej umysł, przepędzając precz inne, nadprogramowe leki. Ten jeden wystarczał w zupełności.

Podniosła papierosa do ust i przypaliła go, ufając, że ten gest zaswiadczy przed obydwojma mężczyznami o jej spokoju. Wypuściła pierwszy kłab dymu i przelknęła ślinę. Gardło miała nieprzyjemnie suche. Gwałtownie potrzebowała wódki. Albo paru wódek. Albo pięknego, silnego, milczącego mężczyzny, z którym kochałaby się do utraty przytomności.

- I co teraz? - spytała tak opanowanym głosem, na jaki było ją stać.

Cesar popatrzył na Munozę, a ten na Julię. Stwierdziła, że jego wzrok na powrót zmetniał, życie zen uleciało, jakby to wszystko przestało szachiste interesować do czasu kolejnego posunięcia.

- Czekamy - powiedział Muñoz, pokazując szachownice. - Teraz jest ruch czarnych.

Menchu była niezwykle podniecona, ale nie z powodu tajemniczego gracza. W miarę opowieści Julii jej oczy coraz bardziej upodabniały się do spodków, aż do chwili kiedy wyteżywszy słuch, można było dosłyszeć niedyskretny brzek kasy podliczającej ostateczną sumę. Bez wątpliwości w sprawach pieniędzy Menchu zawsze wykazywała pazerność. A w tym momencie, podliczając przyszłe wpływy, wykazywała ją w szczególności.

Jest pazerna i lekkomyślna - dodała w duchu Julia - skoro na wieść o ewentualnym mordercy lubiacym szachy ledwie okazała zaniepokojenie. Menchu wolała zachowywać się wobec problemów zgodnie z tym, co jej dyktowała własna osobowość - jakby tych problemów nie było. Niezdolna do skupiania uwagi na jakiejś sprawie przez dłuższy czas, może dodatkowo znudzona obecnością w domu goryla w postaci Maxa - co utrudniało inne manewry - właścicielka galerii postanowiła zmienić swój punkt widzenia. W jej mniemaniu wszystko to było teraz ciągiem zdumiewających zbiegów okoliczności albo dziwnym zartem, najpewniej niegroźnym, wykonanym przez kogoś o szczególnym poczuciu humoru, kogoś, czyje motywacje były dla niej za małe. Te wersje uznała za bardziej uspokajające, zwłaszcza wobec sporych zarobków czekających na nią po drodze. A co do śmierci Alvara, czy Julia nigdy nie słyszała o pomyłkach w śledztwie...? Weźmy zamordowanie Zoli przez tego Dreyfussa czy na odwrót. Albo Lee Harveya Oswalda czy inne podobne wpadki. Poza tym każdemu mógł się przydarzyć upadek w wannie. No, prawie każdemu.

- Jeśli chodzi o van Huysa, zobaczysz, zgarniemy mnóstwo kasy.

- A co robimy z Montegrifem?

W galerii było niewielu klientów - dwie panie w dojrzałym wieku, dyskutujące przy dużym oleju marynistycznym o klasycznej fakturze, oraz jakiś ciemno ubrany mężczyzna, który przeglądał teczkę z grafikami. Menchu oparła dłoń na biodrze niczym na kaburze pistoletu, zatrzepotała teatralnie rzesami i powiedziała cicho:

- Nie będzie miał wyboru, malenka.

- Sądziysz?



- Mówie ci. Albo się zgodzi, albo wojna między nami - zaśmiała się Władczko. - Mamy twoje badania historyczne, mamy wspaniały scenariusz o księciu Ostenburga i tej czarnej owcy, jego słubnej. Przy takiej historii w Sotheby's czy w Christie's witają nas z otwartymi ramionami. A Paco Montegrifo ma dobrze pod kopuła... - Nagle coś sobie przypomniała. - Racja, dziś wieczorem jesteśmy z nim umówione na kawę. Zrób się na bóstwo.

- Jesteśmy?

- Ty i ja. Dzwonił rano, słodziutki jak karmelek. Ma skubaniec nosa.

- Mnie w to nie mieszaj.

- Ja cię wcale nie mieszam. Sam nalegał, żebyś przyszła. Nie wiem, co ty mu zrobiła, dziewczyno. Taka mizerotka.

Obcasy ręcznie szytych, potwornie drogich, ale dwa centymetry za wysokich butów Menchu zostawiały na bezowej wykładzinie nieprzyjemne ślady. W jej galerii, na wielkich przestrzeniach spowitych odbitym od ścian światłem, panoszyła się - jak to określał Cesar - sztuka prostacka: głównie akryle i gwasze połączone z kolazami, płócienne płaskorzeźby na zmianę z żarzewiałymi kluczami francuskimi albo plataniny plastikowych rur zlepione z kierownicami pomalowanymi na błękitno. I tylko gdzieś tam, w dalszych zakątkach, pojawiał się bardziej konwencjonalny portret czy pejzaż, sprawiając wrażenie nieproszonego gościa, który jednak służy jako dowód szerokich gustów pretensjonalnej gospodyni. Mimo to galeria przynosiła Menchu pieniądze. Sam Cesar musiał to niechętnie przyznać, wspominając z rozrzewnieniem czasy, kiedy byłe gmina nie mogła się obejść w swojej sali konferencyjnej bez uczciwego obrazu *comme il faut*\* [przyp.: *Comme il faut* (fr.) - jak się należy.], adekwatnie spatynowanego, w grubej, złożonej ramie. Następne pokolenia, które wprowadziły się do tych samych gabinetów po uprzednich wizytach najmodniejszych, kosztownych dekoratorów, wołały już obłędne wymysły postindustrialne, zgodne z duchem epoki: plastikowe pieniądze, plastikowe meble, plastikowa sztuka.

Ot, paradoksy życia. Menchu i Julia przyglądały się teraz dziwnej kombinacji czerwieni i zieleni, ilustrującej wydumany tytuł *Uczucia*, która wyszła kilka tygodni wcześniej spod pędzla Sergia, najnowszego oblubienca Cesara. Był to obraz, który antykwariusz sam im zarekomendował, aczkolwiek, trzeba przyznać, spuścił uczciwie wzrok, kiedy o nim mówił.

- Tak czy inaczej sprzedam go - westchnęła z rezygnacją Menchu, gdy już obydwie się na nią napatrzyły. - W sumie wszystko da się sprzedać. Nie uwierzysz, co?

- Cesar jest ci bardzo wdzięczny - powiedziała Julia. - Ja też.

Menchu potarła z wyrzutem nos.

- To mnie właśnie denerwuje. Ze jeszcze się wstawiasz za tą całą zgrają twojego antykwariusza. Ta stara ciota mogłaby się już nieco ustatkować.

Julia potrząsnęła zacisniętą pięścią przed nosem przyjaciółki.

- Daj mu spokój. Wiesz dobrze, że Cesar to święty człowiek.

- Wiem, wiem. Ciagle nic, tylko Cesar to, tamto, siamto, od kiedy cię znam... - popatrzyła udrecona na obraz Sergia. - Powinnicie oboje iść do psychoanalityka i zabić mu klina. Już was widzę razem na

kozetce, jak nawijacie mu te freudowska gadke: "Widzi pan, panie doktorze, od dzieciństwa nie chciałam posuwac sie z ojcem, wolalam tanczyc walca z antykwariuszem. Który notabene jest pedziem, ale mnie uwielbia..." Zwatpilby, dzidzia.

Julia patrzyła na przyjaciółkę, ale nie zdobyła się nawet na uśmiech.

- Jesteś bezczelna... Przecież wiesz, na czym polega nasza przyjaźn.

- A kto was tam wie...

- Idź do diabła. Wiesz aż za dobrze... - zamilkła i prychnęła, wściekła na samą siebie. - To jakiś absurd. Za każdym razem, kiedy mówisz o Cesarze, zaczynam się usprawiedliwiać.

- Bo jest w was coś nienormalnego. Przypomnij sobie, nawet jak byłeś z Alvarem...

- Zostaw Alvara. Zajmij się swoim Maxem.

- Mój Max przynajmniej daje mi to, czego mi trzeba... No właśnie, a co z tym szachistą, którego wyciągnęliście z kapelusza? Marzyłabym, żeby rzucić na niego okiem.

- Na Munozą? - teraz Julia nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Oj, rozczarowałby cię. Nie jest w twoim typie... Ani w moim - zamysliła się. Nigdy nie sądziła, że będzie go musiała opisać. - Wygląda jak urzędnik z czarno-białych filmów.

- Ale van Huysa ci rozwiązał - Menchu zamrugła szelmowsko z szacunku dla szachisty. - Jakieś zdolności posiada.

- Na swój sposób potrafi być bardzo inteligentny... Ale nie zawsze. Czasem patrzysz i widzisz, że jest bardzo pewny siebie, że rozumie jak maszyna, i nagle dosłownie gasnie w oczach. Wtedy dostrzegasz wytarty kolnierzyk koszuli, prostackie rysy i podejrzewasz, że na pewno jedzie mu ze skarpetek.

- Zone ma?

Julia wzruszyła ramionami. Patrzyła w dal, gdzieś poza wystawione w oknie obrazy i zdobne ceramiki.

- Nie wiem. Nie należy do tych, co ci się zwierają - zastanowiła się nad własnymi słowami, bo zdała sobie sprawę, że to pytanie nie przyszło jej nawet do głowy. Munoz interesował ją nie jako istota ludzka, lecz jako ktoś, kto przyda się przy rozwiązywaniu zagadki. Dopiero poprzedniego dnia, na krótko przedtem, nim znalazła fiszke w domofonie, nim mieli pożegnać się na zawsze, zdolała co nieco poznać jego życie wewnętrzne. - Przypuszczam, że raczej ma żonę. Albo miał... Nosi jakieś rany, które tylko my, kobiety, potrafimy zadać.

- A co Cesar na niego?

- W porządku. Pewnie go trochę śmieszy. Cesar odnosi się do Munozy z wielką galanterią, czasem podszyta ironią... Na przykład kiedy Munoz w błyskotliwy sposób wyjaśnia jakieś posunięcie szachowe, Cesarą jakby klula zazdrość. Ale kiedy tamten odwraca oczy od szachownicy, od razu kapcanieje, a Cesar się uspokaja.

Przerwała zaskoczona. Ciagle spoglądała przez szybe na ulice i własnie zobaczyła po drugiej stronie, przy krawężniku, dziwnie znajomy samochód. Gdzieś go przedtem już widziała...

Nadjechał autobus i zasłonił zaparkowany wóz. Miała lek wypisany na twarzy, co zaniepokoiło Menchu.

- Coś się dzieje?

Pokreciła niepewnie głową. Za autobusem pojawił się dostawczak i zatrzymał na światłach, więc trudno było stwierdzić, czy tamten samochód ciągle stoi. Ale widziała go na pewno. To był ford.

- Ej, co jest?

Menchu popatrywała to na nią, to na ulicę, nic nie rozumiejąc. Julia poczuła pustkę w żołądku, niemiłe wrażenie, które ostatnio zdolala poznać aż za dobrze. Stała nieruchoma i skupiona, jakby umiała wysiłkiem woli przeniknąć wzrokiem przez blachę ciężarówki i sprawdzić, czy samochód jeszcze tam jest. Niebieski ford.

Bąkała się. Czula, jak strach mrowi się po całym ciele, jak pulsuje w żyłach i w skroniach. W końcu - pomyślała - przecież ktoś może ją śledzić. I to od paru dni, od kiedy Alvaro i ona... Niebieski ford z zaciemnionymi szybami.

Nagle przypomniała sobie. Stał zaparkowany "na drugiego" przed agencją kurierską, przejechał za nimi na czerwonym świetle na bulwarze tego ranka, kiedy lało. Dostrzegala go z góry przez firanki mieszkania albo na ulicach tu i ówdzie... Przecież to mógł być ten sam samochód...

- Julio, dziecinko - Menchu była poważnie zdenerwowana - jesteś całkiem biała.

Dostawczak ciągle stał na światłach. Może to przypadek. Na świecie pełno jest niebieskich samochodów z ciemnymi szybami. Zrobiła krok w kierunku wystawy i wsunęła dłoń do kieszeni kurtki, która przewiesiła sobie przez ramię. Alvaro w wannie z odkreconymi kranami. Grzebała na oslepek, odsuwając na bok papierosy, zapalniczkę, puderniczkę. Trafiając na kolbę derringera, odczula jakąś radosną pociechę, a jednocześnie patetyczną nienawiść wobec tego niewidocznego teraz wozu, symbolu jej nagiego leku. Skurwysynu - pomyślała, a dłoń w kieszeni zacisnięta na pistolecie zaczęła się trząść ze strachu i ze złości. - Skurwysynu, nie wiem, kim jesteś, i wprawdzie na razie jest ruch czarnych, ale ja ci pokażę szachy... Ku zdumieniu Menchu wyszła na ulicę z zaciętą miną, wpatrzona w ciężarówkę zasłaniającą tajemniczy samochód. W chwili kiedy znów zapaliło się zielone, minęła wozy zaparkowane na chodniku. Obskoczyła jakiś zderzak, pusiła mimo uszu klakson za plecami i już, już miała wyszarpnąć z kieszeni derringera, żeby przepędzić ciężarówkę, kiedy, dotarwszy pośród spalin na drugą stronę jezdni, zobaczyła, jak niebieski ford z zaciemnionymi szybami, o numerach rejestracyjnych kończących się na TH, oddala się od niej, nikić w ruchu ulicznym.

## IX. Fosa przy Wrotach Wschodnich

ACHILLES: A co się dzieje, jeśli natrafi się na obraz

wewnątrz obrazu, w który już się weszło?

ZÓŁW: Dokładnie to, czego się spodziewasz, panie:

wnika się w ten obraz w obrazie.

Douglas R. Hofstadter,

Godel, Escher, Bach - an Etemal Golden Braid

- ...To już pewna przesada, kochanie. - Cesar nawijał spaghetti na widelec. - Wyobrazasz sobie...? Praworządny obywatel, prowadząc swój, przypadkowo niebieski, samochód staje równie przypadkowo na światłach i widzi, jak podchodzi do niego bazyliżka pod postacią ładnej dziewczyny i ni stąd, ni zowąd mierzy do niego z pistoletu. - Popatrzył na Munozę, jakby rozsadek tego ostatniego mógł przyjść mu z odsieczą. - ...Przecież każdy by chyba zmartwił?

Szachista, który krecił właśnie na obrusie kulke z chleba, znieruchomiał, jednak nie podniósł wzroku.

- Ale nie udało jej się. To znaczy, nie strzeliła - odezwał się cicho. - Samochód zdążył odjechać.

- Logiczne. - Cesar sięgnął po kieliszek wina rose. - Miał zielone światło.

Julia oparła sztucę o krawędź talerza, obok prawie nietkniętej lasagne. Uczyniła to gwałtownie i z hałasem, czym zasłużyła sobie na złośliwe, pełne wyrzutu spojrzenie antykwariusza rzucone z nad kieliszka.

- Posłuchaj, głuptaku. Samochód stał tam, zanim zrobiło się czerwone, miał wolną drogę. Ale stał, i to dokładnie przed galerią, kapujesz?

- Kochanie, są setki takich samochodów. - Cesar delikatnie postawił kieliszek na stole, osuszył usta i przywołał na twarz łagodny uśmiech. - A może to był - dodał, zniżając tajemniczo głos - jakiś adorator twojej cnotliwej Menchu. Jakis umiesznioty, czerstwy streczyciel, co ma nadzieję wykołegować Maxę. Czy ktoś w tym rodzaju.

Julia czuła głuche rozdrażnienie. Wściekała ją, że w momentach kryzysowych Cesar ubierał się w szatki napastliwego złośliwca, niczym stara zmija. Ale teraz nie chciała tracić nerwów na dyskusję. Zwłaszcza przed Munozem.

- Równie dobrze - odparła, kiedy już się opanowała i policzyła do pięciu - mógł to być ktoś, kto wołał się na wszelki wypadek zmyć, jak tylko zobaczył, że wychodzi z galerii.

- Możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne, najdroższa. Wierz mi.

- Tak samo uznalbyś za mało prawdopodobne, żeby ktoś Alvarowi skrecił kark jak królikowi, i proszę.

Antykwariusz skrzywił się, uznając pewnie tę uwagę za niestosowną, i pokazał na talerz Julii.

- Lasagna ci wystygnie.

- Mam w dupie lasagne. Chce wiedziec, co ty o tym myslisz. Ale szczerze.

Cesar spojrzal na Munoz, ale ten nadal beznamietnie krecil swoja kulke z chleba. Antykwariusz oparl sie wiec nadgarstkami o kant stolu, symetrycznie po obydwu stronach talerza, i wbil wzrok w wazonik, w którym staly dwa gozdziki - bialy i czerwony.

- Mozliwe, ze masz racje. - Uniósł brwi, jakby wymuszona szczerosc i uczucie, którym darzył Julie, toczyły teraz ostrą walke w jego duszy. - ...To pragnelas uslyszec? Proszę bardzo. Powiedzialem. - Niebieskie oczy patrzyly na nia czule, bez zgryzliwosci, która dotad sie w nich kryla. - Przyznaje, ze ten samochód mnie niepokoi.

Julia spojrzala na niego ze zloscia.

- Mozna wiedziec, dlaczego mimo to od pół godziny rzniesz idiote? - Zniecierpliwiona walnela zacisnieta dlonia w obrus. - Nie, nie musisz mi mówic. Sama wiem. Tatunio nie chce, zeby córuchna sie martwila, prawda? Bedzie lepiej, jesli wsadze glowe w piasek, jak strus... Albo jak Menchu.

- Ale niczego nie rozwiazesz, napadajac na ludzi tylko dlatego, ze ich o cos podejrzewasz... Poza tym, jezeli podejrzenia sie potwierdza, takie wyskoki moga sie okazac grozne. I to grozne dla ciebie.

- Mialam przy sobie twój pistolet.

- Obym nigdy nie zalowal, ze ci go dalem. To nie zabawa. W prawdziwym zyciu bandyci tez miewaja pistolety... I grywaja w szachy.

Dzwiek slowa "szachy", jak mozna bylo sie spodziewac, wyrwal Munoz z odretwienia.

- Ostatecznie - mruknal szachista w przestrzen - szachy sa kombinacja wrogich odruchów...

Zaskoczeni popatrzyli na niego. Ta uwaga nijak sie miala do tresci ich rozmowy. Munoz wpatrywal sie w powietrze, jak gdyby jeszcze nie wrócił z dalekiej podróży.

- Mój wielce szanowny przyjacielu - odezwal sie Cesar, nieco zirytowany, ze mu przerwano. - Nie ulega najmniejszej watpliwosci, ze ma pan sto procent racji, ale bylibysmy wysoce zobowiazani, gdy zechcial pan laskawie wyrazac sie jasniej.

Munoz obracal w palcach kulke z chleba. Mial na sobie niemodna, niebieska marynarkę i ciemnozielony krawat. Rogi pomietego i niezbyt czystego kolnierzyka koszuli sterczaly nieco w góre.

- Nie wiem, co mam panstwu powiedziec. - Potarl podbródek wierzchem dloni. - Od paru dni ciagle wracam do tej sprawy... - znów sie zawahal, szukajac moze odpowiednich słów. - Rozmyslam o naszym przeciwniku.

- Podejrzewam, ze podobnie jak Julia. I jak ja sam. Wszyscy rozmyslamy o tym nedzniku...

- To nie to samo. Mówiac o nim "nedznik", ucieka sie pan do sadu subiektywnego... To niewiele nam

da, za to może odwrócić naszą uwagę od rzeczy naprawdę istotnych. Ja staram się go rozgryźć na podstawie jedyne go dostępnego czynnika obiektywnego: jego ruchów szachowych. To znaczy... - Przesunął palcem po krawędzi kieliszka z winem, którego dotąd nie tknął, i zamilkł, jakby ten gest go rozproszył. - Styl gry zdradza gracza... Chyba zresztą już kiedyś państwu o tym wspominałem.

Julia pochyliła się z ciekawością ku szachisicie.

- Czyli że bada pan teraz osobowość mordercy...? I zna go pan już lepiej?

Przez usta Munoza przemknął zdawkowy uśmiech, ale jego oczy patrzyły na nią z absolutną powagą. Ten człowiek nigdy nie kpil.

- Są różne rodzaje graczy. - Przymknął powieki. Spoglądał pewnie w odległe, ale bardzo dobrze mu znane rejony. - Oprócz stylu każdy szachista ma swoje drobne manie, cechy, które różnią go od pozostałych: Steinitz nucił Wagnera podczas gry, Morphy nigdy nie spojrzął na przeciwnika do czasu decydującego ruchu... Inni gadają coś po łacinie albo w wymyślonym języku... Są to sposoby na rozładowanie napięcia, na lepsze przygotowanie się do dalszej gry. Stosowane przed albo zaraz po ruchu. Prawie każdy to ma.

- Pan też? - spytała Julia. Szachista zawahał się, zmieszany.

- Chyba tak.

- To jaka pan ma mała mania? Munoza przyjrzał się swoim dłoniom, ciągle ugniatającym kulke.

- Chodźmy do Pendzabu przez dwa H.

- Chodźmy do Pendzabu przez dwa H...?

- Tak.

- A co to znaczy "Chodźmy do Pendzabu przez dwa H"?

- Nic nie znaczy. Po prostu mówię to przez zęby albo tylko w myśli, kiedy wykonuje decydujące posunięcie, tuż przed dotknięciem bierki.

- Przecież to nieracjonalne...

- Wiem. Ale nawet nieracjonalne gesty czy manie wiążą się ściśle ze stylem gry. I są też informacje o charakterze szachisty... Podczas analizy stylu danego gracza przydaje się każdy fakt. Na przykład Petrosjan był człowiekiem strasznie defensywnym, miał silne poczucie niebezpieczeństwa. Dużo czasu poświęcał na przygotowanie obrony przed ewentualnymi atakami, nawet zanim przyszły one do głowy jego przeciwnikom...

- Paranoik - skomentowała Julia.

- Sama pani widzi, że to nietrudne... W innych przypadkach mamy do czynienia z typową grą egoisty, człowieka agresywnego, megalomana... Weźmy chociażby przykład Steinitza: w wieku sześćdziesięciu lat utrzymywał, że jest w stałym, bezpośrednim kontakcie z Bogiem i że byłby w stanie wygrać z Nim, dając Mu fory w postaci jednego piona i pozwalając grać białymi...

- A nasz niewidzialny gracz? - zapytał zasluchany Cesar, trzymając kieliszek w połowie drogi między stołem a ustami.

- Jest niezły - odparł Munoz bez namysłu. - A dobrzy gracze bywają nierzadko ludźmi skomplikowanymi... Mistrz potrafi intuicyjnie dostrzec korzystne posunięcie i wyczuć zagrożenie wynikające z błędnego ruchu. Ten typ instynktu ciężko opisać słowami... Patrzeć na szachownicę, taki człowiek nie widzi statycznego przedmiotu, ale teren, na którym krzyżują się rozmaite siły magnetyczne, łącznie z tymi, którymi emanuje on sam. - Przez parę sekund przypatrywał się kulce z chleba, następnie odłożył ją delikatnie na bok niczym miniaturowego pionka na nieistniejącej szachownicy. - Jest człowiekiem agresywnym, lubi ryzyko. Chce chronić swojego króla, wcale nie uciekł się do hetmana... Bardzo błyskotliwie zagrał czarnym pionem, potem czarnym skoczkiem, stwarzając tym samym napięcie wokół białego króla, a jednocześnie dreczy nas ewentualna perspektywa wymiany hetmanów... Mam wrażenie, że ten facet...

- Albo ta kobieta - przerwała Julia.

Szachista spojrzał na nią niepewnie.

- Nie wiem, co o tym myśleć. Niektóre kobiety dobrze grają w szachy, ale jest ich niewiele... W tym przypadku zagrania naszego przeciwnika względnie naszej przeciwniczki świadczą o pewnym okrucieństwie, a dodałbym także, że i o sadystycznej ciekawości... Trochę jak kot bawiący się z myszką.

- Podsumowując - Julia liczyła na palcach dłoni - nasz przeciwnik jest prawdopodobnie mężczyzną raczej niż kobietą, bardzo pewnym siebie, agresywnym, okrutnym, posiada cechy sadysty-podglądacza. Tak czy nie?

- Chyba tak. I lubi niebezpieczeństwo. Ewidentnie odrzuca klasyczny punkt widzenia, zgodnie z którym czarnym bierkiem przypada rola defensywna. Poza tym ma dobre wyczucie ruchów przeciwnika... Potrafi postawić się na cudzym miejscu.

Cesar złożył usta i wydobyl z siebie gwizd podziwu, od nowa patrząc na Munozę z szacunkiem. Szachista miał znów nieobecna minę, myślami powędrował w odległe rejony.

- O czym pan myśli? - zapytała Julia.

Munoz zwlekał z odpowiedzią.

- O niczym takim... Często podczas rozgrywki mamy do czynienia z walką pomiędzy nie dwiema szkołami szachów, a dwiema filozofiami... Pomiedzy dwoma sposobami rozumienia świata.

- Białe i czarne, nieprawdaz? - wtracił Cesar, jakby recytował stary wiersz. - Dobro i zło, niebo i piekło, wszystkie te cudowne antytezy.

- Możliwe.

Mina Munozy świadczyła, że szachista nie czuje się na siłach analizować te kwestie na równie akademickim poziomie. Julia przyjrzała się jego wysokiemu czółu i dużym uszom. Znów zapaliło mu się to fascynujące światelko w zmęczonych oczach i dziewczynę zastanowiło, ile czasu upłynie, nim na

powrót zgasnie, jak po tylekroc dotad. Widzac ów blask, miala zawsze prawdziwa ochote wnknac do wnetrza i poznac milczka, który siedzial przed nia.

- A jaka jest panska szkola?

Szachista najwyrazniej nie spodziewal sie tego pytania. Siegnal w strone kieliszka, ale zatrzymal dlon w pól drogi, na obrusie. Jego wino stalo nietkniete od czasu, kiedy nalal je kelner na poczatku ich spotkania.

- Nie sadze, zebym nalezal do jakiejz szkoly - odrzekl cicho. Mozna bylo chwilami odniesc wrazenie, ze gdy mówi o sobie samym, jego skromna osoba przezywa niewypowiedziane katusze. - Chyba jestem z tych, co to uwazaja szachy za forme terapii... Czasami sie zastanawiam, jak panstwo, którzy nie graja w szachy, ratuja sie przed szalenstwem albo przed melancholia... Jak juz kiedys wspominalem, sa ludzie, którzy graja, zeby zwyciezyc: Alochyn, Lasker czy Kasparow... Zreszta wiekszosc wielkich mistrzów. I zdaje sie nasz niewidzialny przeciwnik... Inni, jak Steinitz albo Przepiórka, wola popisywac sie swoimi teoriami i wykonywac blyskotliwe posunecia... - znów sie zacukal. Widac bylo, ze juz nie uniknie rozmowy na wlasny temat.

- Natomiast pan... - podsunela Julia.

- Ja natomiast nie jestem ani agresywny, ani sklonny do ryzyka,

- Dlatego nigdy pan nie wygrywa?

- W duchu sadze, ze mógłbym wygrac. Ze jak sobie postanowie, to nie przegram ani jednej partii. Ale moim najgorszym przeciwnikiem jestem ja sam. - Dotknal czubka swojego nosa, przekrzywiwszy przy tym lekko glowe. - Kiedys przeczytalem takie zdanie: "Czlowiek urodzil sie nie po to, zeby rozwiazac problem swiata, ale po to, zeby stwierdzic, gdzie ten problem lezy"... Moze dlatego nie staram sie niczego rozwiazywac. Zaglebiam sie w partie dla niej samej i czasami przygladajac sie szachownicy, lapie sie na tym, ze snie na jawie, ze rozwazam różne ruchy innych bierek lub tez gram szesc, siedem ruchów do przodu poza ten, nad którym biedzi sie akurat mój partner...

- Szachy w stanie najczystszy - dopowiedzial Cesar, niezdolny dluziej ukrywac podziwu. Zerkal jednak zaniepokojony na Julie, widzac, jak pochyla sie nad stolem i przysluchuje slowom szachisty.

- Nie wiem - odparl Munoz. - Ale to sie przytrafia wielu znanym mi ludziom. Partie moga trwac godzinami, w trakcie których na bok ida takie rzeczy, jak rodzina, problemy, praca... Wszyscy to mamy. I tylko czesc z nas podchodzi do partii jak do bitwy o zwyciestwo, my zas, czyli reszta, traktujemy ja jako kraine marzen i przestrzennych wariantów, gdzie slowa, takie jak "zwyciestwo" czy "przegrana", nie maja znaczenia.

Julia siegnela po lezaca na stole paczke papierosów, wyciagnela jednego i stuknela lekko koncem o szkielko zegarka, który nosila po wewnetrznej stronie nadgarstka. Cesar podal jej ogien, ona tymczasem znów popatrzyła na Munoz.

- Wczesniej, kiedy opowiadal pan o walce dwóch filozofii, wspomnial pan o mordercy, o graczu czarnym. Tym razem chyba chce pan wygrac... Prawda?

Wzrok szachisty znów stal sie nieobecny.

- Zdaje sie, ze tak. Tym razem chcialbym wygrac.



- Dlaczego?

- Instynkt. Jestem szachista, i to dobrym. Ktos mnie prowokuje, co zmusza do koncentracji na jego ruchach. Po prawdzie zreszta nie mam wyboru.

Cesar usmiechnal sie zartobliwie, również zapalając swojego papierosa ze złotym filtrem.

- Gniew Munoz, syna Peleja, opiewaj, bogini\* [przyp.: Wg. Homera, Iliada, przel. Ignacy Wieniewski]  
- zacytował tonem radosnej parodii - Munoz, który w koncu postanowil wyjść ze swojej nory... Nasz przyjaciel wyrusza na wojne. Dotychczas zachowywał sie jak bezstronny biegły, ciesze sie wiec, ze zdecydował sie w koncu złożyć przysięge na sztandar. Oto bohater malgre lui\* [przyp.: Malgre lui (fr.) - mimo woli.], ale jednak bohater. Szkoda - przez jego gładkie, blade czoło przemknal cien - ze to tak piekielnie subtelna wojna.

Munoz popatrzył zaintrygowany na antykwariusza.

- Ciekawe, co pan mówi.

- Dlaczego?

- Bo gra w szachy to faktycznie namiastka wojny, ale jeszcze czegos... Mam na mysli ojcobójstwo. - Spojrzal na nich niepewnie, moze nie chcąc, zeby brali jego słowa zbyt serio. - Szach królowi, rozumieja mnie panstwo...? To mord na ojcu. Powiedziałbym wręcz, ze szachy mniej maja wspólnego ze sztuka wojenna, za to wiecej ze sztuka mordowania.

Wokół stolu powialo lodowatym chlodem. Cesar patrzyl na zacisniete juz usta szachisty spod przymruzonych oczu, jakby drażnil go dym własnego papierosa. Prawa dlonia trzymal fike z kosci sloniowej, lewy lokiec oparl na stole. W oczach mial autentyczny podziw dla kogos, kto własnie otworzył wrota do niezglebionych tajemnic.

- Niesamowite - mruknal.

Julia tez siedziala zafascynowana szachista, ale wpatrywala sie nie w jego usta, jak Cesar, ale w oczy. Ten przecietny, niepozorny czlowiek, o duzych uszach i niesmiaalej, niechlujnej powierzchownosci, wiedzial doskonale, o czym mowil. W niezwyklym labiryncie, o którym sama mysl przyprawiala ja o dreszcz niemocy i strachu, tylko Munoz potrafil odczytać znaki, znalezc droge tam i z powrotem bez narazania sie na smiertelne spotkanie z Minotaurem. I wtedy, tam, we wloskiej restauracji, nad talerzem zimnej lasagni, której ledwie spróbowala, z matematyczna, niemal szachowa precyzja pojela, ze na swój sposób własnie on byl z calej ich trójki najsilniejszy. Jego umysl nie byl obciazony uprzedzeniami wobec przeciwnika, czarnego gracza, potencjalnego zabójcy. Podchodzil do zagadki z tym samym chlodem naukowca-egoisty, z jakim Sherlock Holmes rozwiazywal problemy zadawane mu przez niegodziwego profesora Moriarty'ego. Munoz rozegra te partie do konca, nie kierujac sie poczuciem sprawiedliwosci. Jego motywy nie sa moralne, a logiczne. Zrobi to zwyczajnie dlatego, ze przypadek postawil go po tej stronie szachownicy, choc równie dobrze - na sama mysl o tym Julia zadrzala - mógł go postawic po drugiej. Czy gral czarnymi, czy bialymi, bylo mu wszystko jedno. Dla Munoz nowoscia bylo tylko to, ze pierwszy raz w zyciu chcial partie wygrac.

Wymienila spojrzenie z Cesarem i pojela, ze on myśli to samo. W tym momencie antykwariusz przemówil lagodnie i cicho, jakby tez sie bal, ze blask w oczach szachisty zagasnie.

- Zabic króla... - Podniósł powoli fífke do ust i wciągnął w płuca sporo dymu. - Bardzo interesujące. Jak rozumiem, to freudowska interpretacja. Nie wiedziałem, że w szachach też chodzi o te okropne sprawy.

Munoz przechylił głowę, pochłonięty swoim krajobrazem wewnętrznym.

- Zazwyczaj to ojciec uczy syna pierwszych kroków na szachownicy. A marzeniem każdego syna grającego w szachy jest wygrać z ojcem. Zabic króla... Poza tym w szachach szybko możemy się zorientować, że ów ojciec, ów król, jest najsłabszą figurą z całego kompletu. Wciąż jest obiektem nagonki, wciąż potrzebuje ochrony, roszady, posuwa się tylko o jedno pole... Ale paradoksalnie jest to figura niezbędna. Przecież sama jego nazwa dała imię całej grze, bo słowo "szachy" pochodzi od perskiego shah, czyli "król", i na dobrą sprawę w każdym języku brzmi podobnie.

- A królowa? - spytała zaciekawiona Julia.

- To matka, kobieta. Przy każdym ataku na króla jest jego najsukuteczniejszym obrońcą, dysponuje po temu największą siłą... My nazywamy ją hetmanem, bo pełni rolę królewskiego dowódcy. A obok tej pary monarchów stoi goniec, po angielsku bishop, czyli "biskup": ten, który błogosławi ich związkowi i wspiera ich w walce. Nie zapominajmy o arabskim faras, czyli skoczku, który przeskakuje ponad liniami nieprzyjaciela, zwanym po angielsku knight, a więc "rycerz"... Prawde mówiąc, ten problem wyszedł dużo wcześniej, zanim van Huys namalował "Partię szachów". Ludzie próbują go wyjaśnić od tysiąca czterystu lat.

Munoz przerwał na chwilę, po czym znów poruszył wargami, jakby chciał coś dodać. Ale na jego ustach, zamiast słów, zagóścił znów ów półusmiech, ledwie zarysowany i nigdy nie dokonczony. W koncu opuścił wzrok na kulke z chleba, która nadal leżała na obrusie.

- Czasem zastanawiam się - rzekł z wyraźnym wysiłkiem - czy szachy zostały wynalezione przez człowieka, czy tylko odkryte... Może to coś, co zawsze było, od początku wszechświata. Jak liczby całkowite.

Julia niczym we śnie usłyszała, jak peka pieczęć, i pierwszy raz uswiadomiła sobie całą rzeczywistość: była to wielka szachownica, która zawierała w sobie przeszłość i teraźniejszość, van Huysa i ją samą, a nawet Alvara, Cezara, Montegrifa, rodzinę Belmonte, Menchu, a także Munoz. Naraz poczuła tak przejmujący strach, że najwyższym, niemal widocznym wysiłkiem fizycznym powstrzymała głośny krzyk. Ta wewnętrzna walka na pewno odmalowała się na jej twarzy, bo Cesar i Munoz popatrzyli na nią z zaniepokojeniem.

- Wszystko w porządku. - Potrząsnęła głową, ludząc się, że tym ruchem ukoi myśli, i wyciągnęła z torebki schemat poziomów interpretacyjnych, które Munoz przypisał swego czasu obrazowi. - Przyjrzyjcie się temu.

Szachista popatrzył na kartkę, po czym przekazał ją bez słowa Cesarowi.

- I co wy na to? - spytała dziewczyna.

Cesar skrzywił usta w jakimś nieokreślonym grymasie.

- Niepokojące. Ale może już za bardzo to literackie... - Jeszcze raz przyjrzał się diagramowi sporządzonemu przez Julię. - Ciekaw jestem, czy łamiemy sobie głowy czymś naprawdę głębokim, czy przeciwnie, potwornie banalnym.

Julia nie odpowiedziała, patrzyła uważnie na Munozę. Chwile wcześniej szachista położył kartkę na stole, wyjął długopis z kieszeni i coś tam poprawił. Następnie podsunął jej rysunek.

- Teraz mamy jeszcze jeden poziom - powiedział z powagą. - Jest pani w to wplątana co najmniej na równi z postaciami obrazu.

- Tak, jak przypuszczałam - kiwnęła głową dziewczyna. - Poziomy numer jeden i pięć, prawda?

- Co w sumie daje sześć. Poziomy szósty, który zawiera w sobie wszystkie pozostałe. - Szachista pokazywał elementy schematu. - Czy pani chce, czy nie, tkwi pani w tym po uszy.

- A to znaczy... - Julia patrzyła na Munozę szeroko otwartymi oczami, jakby pod stopami otwarła jej się studnia bez dna - ze osoba, która być może zamordowała Alvara, a która wysłała nam te karteczki, rozgrywa jakąś obiedną partię szachów... Partię, gdzie się gra nie tylko mna, ale nami wszystkimi... Czy to możliwe?

Szachista wytrzymał jej spojrzenie w milczeniu. Na jego twarzy nie malował się jednak niepokój, tylko swoista ciekawość, jak gdyby sytuacja podsuwała intrygujące wnioski, którym nie omieszkalby się przyjrzeć.

- Gratuluje - znów ten ulotny uśmiešek zagostcił na jego ustach - wreszcie zdali sobie z tego państwo sprawę.

Menchu nałożyła w domu bardzo precyzyjny makijaż i ubrała się z absolutną premedytacją: krótka, bardzo obcisła spódniczka i wytworny zakiet z czarnej skóry narzucony na kremowy pulower, który uwydatniał jej biust w sposób wręcz nieprzyzwoity, jak oceniła to Julia. Być może spodziewając się tego, sama zdecydowała się w ten wieczór na strój swobodny: mokasyny, dzinsy i sportowa, zamyszowa kurteczka, do tego jedwabna apaszka na szyi. Gdyby Cesar widział, jak wysiadają z fiata Julii przed biurami Claymore'a, z miejsca powiedziałby, że to matka z córką.

Stukot obcasów i zapach perfum Menchu dotarł do gabinetu dyrektora przed nimi. Paco Montegrifo wyszedł im na spotkanie, ucałował dłonie i zaprezentował swoje wspaniałe kontrastujące z opalenizną błyszczące zęby, które z powodzeniem mogły mu służyć jako wizytówka. W gabinecie, wyłożonym szlachetną boazerią, stał imponujący stół z mahoniem, lampa i ultranowoczesnie zaprojektowane fotele. Kiedy już w nich usiadł, podziwiając zawieszony na honorowym miejscu znakomitego Vlaminka, dyrektor domu aukcyjnego zajął miejsce pod obrazem, po drugiej stronie stołu, ze skromną miną człowieka, który szczerze żałuje, że nie może zaoferować lepszego widoku. Jakis Rembrandt - zdawało się mówić jego spojrzenie, którym przesliznął się po prowokująco skrzyżowanych nogach Menchu, by z uwagą zatrzymać się na twarzy Julii. Albo na przykład Leonardo.

Montegrifo przystąpił do tematu natychmiast po tym, jak sekretarka przyniosła im kawę w porcelanowych filiżankach Kompanii Indyjskiej. Menchu osłodziła swoją kawę sacharyną, Julia popijała gorzka, nie czekając, aż ostygnie. Kiedy zapalała papierosa, gospodarz zza szerokiego stołu wykonał w jej kierunku jakiś nieporadny, bezużyteczny gest ze złotą zapalniczką w dłoni. W tym czasie zdążył już jednak wyłożyć sprawę w ogólnych słowach. I w głębi duszy Julia musiała przyznać, że, nie uchybiając nienagannym manierom, załatwił to bez ogródek.

A rzecz była więcej niż oczywista: Claymore z przykrością odrzuca warunki zaproponowane przez

Menchu w sprawie podziału zysków ze sprzedaży van Huysa. Jednocześnie czuje się w obowiązku powiadomić ją, że właściciel obrazu, pan... - tu Montegrifo flegmatycznie zajrzał do notatek - Manuel Belmonte, w porozumieniu ze swoją bratanicą i jej mężem, zdecydował się anulować umowę zawartą z panią Carmen Roch i przekazuje prawa do van Huysa Claymore'owi i Wspólnikom. Wszystko to - dodał, splótłszy dłonie i oparłszy się łokciami o brzeg stołu - zostało zalegalizowane przed notariuszem, dokument jest u niego w szufladzie, do wglądu. - Tu Montegrifo popatrzył na Menchu ze smutkiem, czemu towarzyszyło westchnienie człowieka światowego.

- Chcę mi pan powiedzieć - filizanka drżała w roztrzesionej dłoni Menchu - że grozi mi pan odebraniem obrazu?

Dyrektor zerknął z wyrzutem na złote spinki koszuli, jakby powiedziały coś niestosownego, i delikatnie wyciągnął wykrochmalone mankiety.

- Obawiam się, że już go pani odebraliśmy - odrzekł ze skrucha jak człowiek, który musi przedstawić wdowie nieopłacone przez zmarłego rachunki. - W każdym razie pani pierwotny procent od zysku ze sprzedaży na aukcji pozostaje, jak uzgodniono. Oczywiście po odliczeniu wydatków. Claymore nie zamierza czegośkolwiek pani pozbawić, a tylko nie zgadza się na zbyt twarde warunki, droga pani. - Leniwym ruchem wyjął z kieszeni srebrną papierosnicę i położył ją na stole. - Claymore nie widzi powodu, żeby zwiększać pani procent. To wszystko.

- Nie widzicie powodu? - Menchu spojrzała zagniewana na Julie, spodziewając się okrzyków solidarnego oburzenia albo czegoś w tym rodzaju. - Powód, panie Montegrifo, jest taki, że dzięki wykonanym przez nas badaniom wartość tego obrazu znacznie wzrasta... Czy to powód niewystarczający?

Bez słowa, samym uprzejmym spojrzeniem Montegrifo zapewnił Julie, że nie posadza jej o to obrzydliwe oszustwo. Następnie zwrócił się do Menchu ze znacznie bardziej surowym wzrokiem.

- Jeśli badania, które pani wykonała - mówiąc "panie", nie zamierzał ukrywać, jaka opinia ma na temat talentów badawczych Menchu - podniosła wartość van Huysa, automatycznie wzrosnie też wysokość procentu, jaki uzgodniła pani z Claymore'em... - Tu pozwolił sobie na pobłażliwy uśmiech, po czym znów jakby zapomniał o Menchu i popatrzył na Julie. - Jeśli o panią chodzi, nowa sytuacja absolutnie nie godzi w pani interesy, wręcz przeciwnie. Claymore - jego uśmiech nie pozostawiał wątpliwości, kto konkretnie u Claymore'a - uważa, że pani osiągnięcia w tej materii są naprawdę wyjątkowe. Dlatego zwracamy się do pani z prośbą o dalszą renowację obrazu. I proszę się nie niepokoić finansowym aspektem sprawy.

- Przepraszam, można wiedzieć - oprócz dłoni trzymającej filizankę i spodeczek Menchu drżała też dolna warga - jakim cudem jest pan tak dobrze poinformowany na temat prac nad obrazem...? Julia, owszem, jest nieco prostoduszna, ale nie wyobrażam sobie, żeby opowiedziała panu przy świecach całe swoje życie. Chyba że się mylę?

Był to cios poniżej pasa, Julia już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Montegrifo uspokoił ją gestem dłoni.

- Niech pani posłucha, pani Roch... Pani przyjaciółka odrzuciła kilka propozycji zawodowych, jakie złożyłem jej przed paroma dniami, i uczyniła to, mówiąc kurtuazyjnie, że musi się zastanowić. - Otworzył papierosnicę i skrupulatnie, jakby przeprowadzał ważną operację, wyjął z niej papierosa. - Szczegółów o stanie obrazu, o ukrytym napisie i tym podobnych rzeczach była łaskawa dostarczyć mi bratanica właściciela. To zresztą uroczy pan, ten don Manuel. A muszę przyznać - nacisnął zapalniczkę i wypuścił niewielki obłoczek dymu - że sprzeciwiał się pozbawieniu pani praw do van Huysa. Jak się

zorientowalem, czlowiek niezwykle lojalny, upieral sie, prosze sobie wyobrazic, zeby nikt poza Julia nie dotykal obrazu, zanim renowacja nie dobiegnie konca... W tych rokowaniach niebywale pomógł mi sojusz natury taktycznej, jaki zawarlem z bratanica don Manuela... Natomiast jej maz, pan Lapena, nie zgłaszał obiekcji, zwłaszcza gdy usłyszał o ewentualnej zaliczce.

- Następnym Judasz - Menchu prawie wyplula te słowa.

Montegrifo wzruszył ramionami.

- Przypuszczam - powiedział obojętnym tonem - że można by go ochrzcić takim przydomkiem, zgoda. I jeszcze paroma innymi.

- Ale ja też mam podpisany dokument - zaprotestowała Menchu.

- Wiem. Ale to zwykłe porozumienie bez mocy prawnej, moje tymczasem ma kontrasygnatę notariusza, są bratanica i jej maz jako świadkowie, i rozmaite polecenia, łącznie z gwarancją w postaci depozytu pieniężnego z naszej strony... Jeśli pozwoli pani, posłuży się zwrotem, którego użył pan Alfonso Lapena w momencie składania swojego podpisu: mucha nie siada.

Menchu pochyliła się do przodu i Julia przestraszyła się, że trzymana przez nią filiżanka z kawą wyladuje zaraz na nieskazitelnie białej koszuli Montegrifa. Jej przyjaciółka jednak tylko postawiła ją na stole. Sapła z oburzenia, a złość, pomimo solidnego makijazu, wyraźnie dodawała jej lat. Spódnica podciągnęła się do góry, ukazując całe uda. Julii było autentycznie potwornie głupio, że znalazła się w tak absurdalnej, żalostnej sytuacji.

- A co Claymore na to - powiedziała szorstko Menchu - jeśli postanowie pójść z obrazem do innego domu aukcyjnego?

Montegrifo obserwował dym unoszący się spiralnie z papierosa.

- Ze szczerego serca - wydawało się, że naprawdę rozważa taką ewentualność - radziłbym, żeby nie komplikowała sobie pani życia. Byłby to krok nielegalny.

- Mogę was wpakować w proces, który na całe miesiące zablokuje jakkolwiek aukcję obrazu! Nie przyszło wam do głowy?

- Jasne, że mi przyszło. Ale wtedy pani będzie pierwszą ofiarą. - W tym momencie uśmiechnął się z wyższością człowieka, który udzielił najlepszej rady. - Claymore, jak się pani domyśla, dysponuje niezłymi adwokatami... W sumie - zawahał się na chwilę, jakby nie wiedział, czy ma coś jeszcze dodać - może pani wszystko stracić. A to byłoby szkoda.

Menchu gwałtownie obciągnęła spódnice i wstała.

- Wiesz, co ci powiem? - Przy przejściu na ty jej głos zalał się z wściekłości. - Jesteś najgorszym skurwielem, jakiego w życiu spotkałam!

Montegrifo i Julia też wstali, dziewczyna zakłopotana, dyrektor całkowicie opanowany.

- Bardzo mi przykro za te sceny - Montegrifo zwrócił się do Julii ze spokojem. - Naprawdę jest mi przykro.

- Mnie też - dziewczyna spojrzała na Menchu, która gestem myśliwego przewieszała sobie torebkę przez ramię niczym strzelbę. - Nie moglibyśmy być trochę bardziej rozsadni?

Menchu spiorunowała ją wzrokiem.

- Sama sobie bądź rozsadna, skoro ten kutas tak cie kreci... Ja się zmywam z tej złodziejskiej meliny.

I wyszła, nie zamykając drzwi. Wściekły stukot obcasów oddalał się szybko razem z nią. Julia została, zawstydzona i niepewna, czy powinna pójść za przyjaciółką, czy nie. Montegrifo wzruszył ramionami.

- Kobieta z charakterem - rzekł, paląc w zamysleniu.

Julia odwróciła się do niego, ciągle oszolomiona.

- Duzo sobie obiecywała po tym obrazie... Niech pan postara się ją zrozumieć.

- Ależ rozumiem ją - uśmiechnął się pojednawczo.

- Tylko nie mogę przystać na szantaż.

- Pan też spiskował za jej plecami, dogadywał się z bratanicą właściciela... Nie grał pan czysto.

Montegrifo uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakby mówił: takie jest życie. Następnie popatrzył w otwarte drzwi, przez które wyszła Menchu.

- Jak pani sądzi, co teraz zrobi?

Julia pokręciła głową.

- Nic. Wie, że przegrała bitwę.

Dyrektor zadumał się.

- Ambicja, Julio, jest jak najbardziej usprawiedliwionym uczuciem - rzekł po chwili. - Gdy wchodzi ambicja, jedyny grzech, jaki można popełnić, to ponieść klęskę, zwycięstwo zaś automatycznie staje się cnotą. - Wyglądał na zadowolonego. - Pani Roch, czy raczej panna Roch, wpakowała się w historię, która ją przerosła. Powiedzmy - pusił kółko z dymu i przyglądał się, jak płynie ku sufitowi - że jej możliwości nie dorównały jej ambicjom. - Kasztanowe oczy patrzyły teraz surowo i Julia doszła do wniosku, że Montegrifo może być niebezpiecznym rywalem, kiedy przestaje zachowywać się uprzejmie. A może jest i niebezpieczny, i uprzejmy jednocześnie. - Ufam, że nie przysporzy nam nowych problemów, bo za taki grzech słono by zapłaciła... Rozumie pani, co mam na myśli? A teraz, jeśli pani pozwoli, porozmawiamy o naszym obrazie.

Belmonte był w domu sam. Przyjął Julię i Munoza w salonie, siedząc w wózku pod ścianą, gdzie niegdyś wisiała "Partia szachów". Samotny, zardzewiałe gwóźdź i wyblakły ślad po ramieniu przywodziły na myśl patetyczny obraz złupionego, opuszczonego domu. Belmonte popatrzył w ślad za ich spojrzeniem i uśmiechnął się smutno.

- Na razie nie chciałem tu niczego wieszac - wyjaśnił. - Jeszcze nie - uniósł wychudzona reke i machnął z rezygnacją. - Ciężko się przyzwyczaić.

- Rozumiem pana - odrzekła Julia ze szczerą sympatią.

Starzec powoli pochylił głowę.

- Tak. Wiem, że pani rozumie - spojrzał na Munozę, spodziewając się naturalnie podobnego odruchu współczucia z jego strony, ale szachista milczał i tylko obserwował beznamiętnie puste miejsce na ścianie. - Od pierwszego spotkania wydała mi się pani inteligentna młoda osoba. - Zwrócił się do szachisty: - Pan też jest tego zdania, kawalerze?

Munoz wolno przeniósł wzrok ze ściany na starego gospodarza i lekko skinął głową, nie otwierając ust. Wyraźnie pochłonięty był własnymi, odległymi myślami.

Belmonte zerknął na Julię.

- Jeśli chodzi o pani przyjaciółkę... - nachmurzył się zakłopotany. - Życzyłbym sobie, żeby jej pani wytłumaczyła... Zapewniam panią, że nie miałem wyboru.

- Rozumiem to doskonale, proszę się nie martwić. A Menchu też zrozumie.

Twarz inwalidy wyjaśniała, a jego mina wyrażała uznanie.

- Ciesze się, że pani się tym zajmie, bo strasznie mnie naciskali... Nawiasem mówiąc, pan Montegrifo uczynił nam korzystną propozycję. Do tego obiecał, że nagłośni historię obrazu... - pogłaskał się po niedogolonym podbródku. - Przyznam, że to mnie trochę oszłomiło. No i pieniądze.

Julia pokazała na grający w kacie gramofon.

- Zawsze nastawia pan Bacha, czy to przypadek? Zeszłym razem też była włączona ta płyta...

- Musikalisches Offert - Belmonte wyraźnie się ucieszył. - Często tego słucham. To dzieło tak skomplikowane i genialne, że do dziś zdarza mi się odkryć w nim jakąś niespodziankę - przerwał, jakby coś sobie przypomniał.

- Wiedza państwo, że niektóre tematy muzyczne można interpretować jako streszczenia całego życia...? Coś w rodzaju luster, w których można się przejrzeć... Weźmy na przykład te kompozycje: temat pojawia się rozpisany na różne głosy i w różnych tonacjach. Czasem nawet w różnych tempach, przy odwróconych interwałach albo od końca do początku... - Przechylił się przez podłokietnik wózka w stronę gramofonu. - Proszę posłuchać. Dostrzegają to państwo? Najpierw pojedynczy głos śpiewa swój temat, potem drugi rozpoczyna cztery tony wyżej albo niżej od pierwszego, ten zaś podejmuje motyw drugoplanowy... Każdy głos wchodzi we właściwym momencie, tak jak różne wydarzenia w życiu... A kiedy wszystkie głosy wchodzi do gry, następuje koniec reguł - posłał Julii i Munozowi szeroki, smutny uśmiech. - Sami państwo widzą, to idealna metafora starości. Munoz wskazał na pustą ścianę.

- Ten goły gwóźdź - powiedział nieco szorstko - też może symbolizować mnóstwo rzeczy.

Belmonte spojrzał z uwagą na szachistę i powoli przytaknął.

- Bardzo trafna uwaga - westchnął. - Wiedza państwo? Czasem łapie się na tym, że wpatruje się w to miejsce po obrazie i wydaje mi się, że nadal go widzę. Już go tam nie ma, a ja go widzę. Po tylu latach - dotknął palcem własnego czoła - mam go tutaj: postacie, precyzyjnie oddane szczegóły... Moimi ulubionymi fragmentami były zawsze krajobraz widoczny za oknem i wypukłe lustro po lewej, w którym ukosnie odbijają się gracze.

- I szachownica - dodał Muñoz.

- I szachownica, naturalnie. Czasami, szczególnie na początku, kiedy moja biedna Ana go odziedziczyła, odtwarzałem na swojej szachownicy sytuację z obrazu...

- Grywa pan? - zapytał Muñoz z głupia frant.

- Kiedyś grywałem. Teraz właściwie już nie... Ale po prawdzie nigdy nie przyszło mi do głowy, że te partie można rozegrać wstecz... - zamyslił się, bebnąc palcami w kolana. - Gra do tyłu... Zabawne! Wiedza państwo, że Bach uwielbiał odwrotne układy muzyczne? W niektórych kanonach odwraca temat i tworzy melodie, która cofa się w tym samym czasie, gdy oryginalny motyw posuwa się naprzód... Efekt może się wydawać dziwny, ale jak się przyzwyczaić, to nawet sprawia wrażenie bardzo naturalne. Nawet w Musikalisches Opfer jest jeden kanon, który należy grać wstecz wobec partytury. - Spojrzał na Julię. - Chyba już pani wspominałem, że Johann Sebastian lubił przewrotne pułapki. W jego twórczości dosłownie roi się od zagadek. Tak, jakby niektóre nuty, warianty czy pauzy mówiły: "Ukrywam przesłanie. Odkryj je".

- Zupełnie jak ten obraz - powiedział Muñoz.

- Tak. Z tą tylko różnicą, że muzyka nie polega wyłącznie na obrazach, usytuowaniu figur czy w tym wypadku na częstotliwościach, ale na emocjach, jakie te częstotliwości wywołują w mózgu danej osoby... Napotkałby pan poważne problemy, gdyby chciał zastosować przy muzyce podobne metody badawcze, jakimi posłużył się przy rozwiązywaniu zagadki obrazu... Musiałby pan stwierdzić, która nuta odpowiada za konkretne stany emocjonalne. A ściślej, która kombinacja nut... Chyba to bardziej skomplikowane niż gra w szachy?

Muñoz zastanowił się nad tym.

- Moim zdaniem nie - odezwał się po chwili. - Bo ogólne zasady logiki są zawsze takie same. Muzyka, podobnie jak szachy, opiera się na regułach. Czyli zadanie polegałoby na wyodrębnieniu symbolu-kłucza - skrzywił kącik ust. - Jak kamień z Rosetty dla egiptologów. Kiedy tego dokonamy, reszta jest kwestią roboty, kwestią metody. No i czasu.

Belmonte z niedowierzaniem zamrugnął powiekami.

- Tak pan sądzi...? Uważa pan, że wszystkie ukryte komunikaty są do odczytania...? Ze wystarczy zastosować jakiś system, żeby zawsze znaleźć właściwe rozwiązanie?

- Jestem o tym przekonany. Istnieje jeden system uniwersalny, ogólne prawa, które pozwalają udowodnić to, co da się udowodnić, i wykluczyć to, co da się wykluczyć.

Stary pokiwał głową ze sceptycyzmem.

- Absolutnie się z panem nie zgadzam, proszę mi wybaczyć. Uważam, że wszelkie podziały, klasyfikacje, porządki i systemy, które przypisujemy wszechświatu, są arbitralną fikcją... Nie ma takiego



układu, który nie zawierałby własnego przeciwieństwa. Mówi to panu ktos, kto już swoje przeżył.

Munoz przekrecił się nieco na krzesle, bladząc wzrokiem po pokoju. Nie był uszczesliwiony tokiem rozmowy, ale Julia odniosła wrażenie, że wcale nie chce zmieniać tematu. Wiedziała, że ten facet nie jest skłonny gadać po próżnicy, więc na pewno coś tam ukrywa. Może także Belmonte jest jedną z figur, które szachista bierze pod uwagę, próbując rozwiązać zagadkę.

- To dyskusyjna sprawa - odezwał się wreszcie Munoz.

- Wszechświat jest na przykład pełen udowodnialnych nieskonczoności: liczby pierwsze, kombinacje szachowe...

- Naprawdę pan w to wierzy...? Ze wszystko da się udowodnić? Muszę to panu powiedzieć jako były muzyk - starzec trzepał pogardliwie dłonią w bezwładne nogi - albo mimo kalectwa ciągle jednak muzyk, że nie istnieje system zamknięty. A udowodnialność jest dużo słabszym pojęciem niż prawda.

- Prawda jest jak doskonale zagranie szachowe: istnieje, ale trzeba ją znaleźć. Po upływie odpowiedniego czasu zawsze da się udowodnić.

Słyszac to, Belmonte uśmiechnął się złośliwie.

- Skłonny jestem raczej dopuścić, że doskonale zagranie, jak pan to nazwał, czy po prostu prawda, być może istnieje. Ale nie zawsze da się przeprowadzić na to dowód. A każdy system, który podejmie się tego zadania, jest ograniczony i względny. Niech pan wyśle mojego van Huysa na Marsa albo na planetę X i ciekaw jestem, czy tam ktos rozwiąże jego zagadkę. Powiem więcej: niech pan im wyśle tę płytę, której teraz słuchamy. A żeby jeszcze bardziej ten klebek zasuplać, niech im pan ją wyśle polamana. I jakiego sensu się w niej dopatrzeć...? A skoro jest pan wielbicielem ścisłych reguł, przypomnę panu, że suma kątów w trójkącie równa się stu osiemdziesięciu stopniom w geometrii euklidesowej, ale jest większa w eliptycznej, a mniejsza w hiperbolicznej... Rzecz w tym, że nie ma jednego systemu, nie ma aksjomatów. Mamy różne systemy, mamy różnice w łonie każdego systemu... Lubi pan rozwiązywać paradoksy? Nie tylko muzyka, ale podejrzewam, że i malarstwo, i szachy są ich pełne. Proszę popatrzeć. - Wyciągnął dłoń w stronę stołu, chwycił ołówek i papier, napisał coś szybko i podał kartkę Munozowi. - Proszę rzucić na to okiem, jeśli łaska.

Szachista przeczytał na głos:

- "Zdanie, które w tej chwili pisze, jest zdaniem, które pan w tej chwili czyta" ... - Spojrzał zaskoczony na Belmontego. - I co?

- Właśnie to. Napisałem to zdanie półtorej minuty temu, a pan przeczytał je czterdzieści sekund temu. Zatem moje pisanie i pana czytanie nastąpiło w różnych chwilach. Na papierze "ta chwila" i "ta chwila" są bez wątpliwości ta sama chwila... Czyli zdanie z jednej strony prawdziwe, a z drugiej traci swoją wartość... A może abstrahujemy od pojęcia czasu...? To chyba niezły przykład paradoksu...? Widzę, że nie zna pan na to odpowiedzi, a analogiczne zjawiska możemy napotkać w zagadkach stawianych przez mojego van Huysa albo w innych sytuacjach... Kto panu zagwarantuje, że pana rozwiązanie problemu jest właściwe? Pana intuicja i pana system? Poza tym, jakim systemem posłuży się pan, aby wykazać, że ma pan dobrą intuicję i dobry system? A jakim systemem potwierdzi pan słuszność poprzednich dwóch systemów...? Jest pan szachista, więc chyba spodobała się panu ta strofy:

I Belmonte zaczął deklamować, robiąc długie pauzy:

Lecz gracz jest także, tak jak oni, wiezniem  
(sentencja jest Omara) innej szachownicy,  
w której dzień biały w czarnej nocy grzezie.

Bóg graczem rzadzi, ten figure trzyma.

Jaki bóg spoza Boga spisek rozpoczyna,  
zmowe prochu i czasu, i snu, i agonii?

- Świat jest ogromnym paradoksem - zakończył starzec. - A teraz niech się pan powazy udowodnić mi twierdzenie przeciwne.

Julia spojrziała na Munoza, który wpatrywał się bacznie w Belmontego. Przechylił nieco głowę, a oczy już mu zmetniały. Wyglądał na zakłopotanego.

Przefiltrowana przez wódkę muzyka - miękki jazz, sciszony niemal do poziomu delikatnego szmeru, który snuł się po ciemnych kątach mieszkania - spowijała ją niczym słaba, uspokajająca pieśń. Dzięki niej Julia odczuwała jasny spokój. Tak jakby wszystko, noc, muzyka, mrok, cienie, a nawet wygodna, z jaką jej głowa spoczywała na skórzanym oparciu sofy, tworzyło doskonałą harmonię, w której nawet najmniejszy przedmiot wokół niej, najbardziej ulotna myśl, odnalazły właściwe miejsce w umyśle albo w przestrzeni i z geometryczną precyzją wpasowały się w jej świadomość i zmysły.

Nic, najmroczniejsze choćby wspomnienia nie były w stanie zburzyć spokoju, jaki panował teraz w jej duszy. Pierwszy raz od dawna odzyskała równowagę i zupełnie się w niej zatraciła. Magii tej chwili nie zniszczyłyby nawet głuche telefony, z którymi ostatecznie zdołała się już oswoić. Zamknawszy oczy, kiwała głową w takt muzyki i uśmiechała się radośnie. W takich chwilach życie w zgodzie z samą sobą wydawało się bardzo łatwe.

Podniosła leniwie powieki. Polichromowane oblicze Madonny gotyckiej też uśmiechało się w półmroku, a jej oczy emanowały odwiecznym spokojem. Z obrazu w owalnej ramie, stojącego na poplamionym dywanem z Szirazu i opartego o nogę stołu, spod nie do końca zdjętego werniksu, wyglądał romantyczny pejzaż andaluzyjski, nostalgiczny i delikatny: snująca się rzeka Sewilka o gestach porosniętych, zielonych brzegach, łódź i drzewa w oddali. A na środku pokoju - tu i tam rzeźby z drewna i z brązu, ramy, farby, pojemniki z rozpuszczalnikami, obrazy na ścianach i na podłodze, barokowy Chrystus w trakcie renowacji, stosy książek o sztuce i płyt, ceramika - w przypadkowym, choć wyraźnym, przedziwnym punkcie przecięcia się rozmaitych linii i perspektyw, stała Partia szachów, sprawując uroczyste władze nad tym uporządkowanym bałaganem, przypominającym magazyn domu aukcyjnego albo sklep ze starociami. Słabe światło dobiegające z przedpokoju tworzyło na powierzchni obrazu wąski, jasny prostokąt, dzięki któremu flamandzka scena nabierała życia, a wszystkie detale, lekko zniekształcone przez szarą poświatę, były jednak dobrze widoczne z miejsca, gdzie siedziała Julia. Stopy miała białe, a na gołe nogi naciągnęła prawie do kolan czarny wełniany sweter. Deszcz łomotał o lukarne, ale wewnątrz nie było chłodno, grzejniki trzymały ciepło.

Nie odrywając wzroku od obrazu, sięgnęła ręką, po omacku szukając na dywanie papierosów, które leżały gdzieś obok szklanki i butelki z rozbitego szkła. Wreszcie trafiła na nie, położyła sobie paczkę na brzuchu, powoli wyciągnęła jednego papierosa i włożyła go do ust, ale nie zapaliła. Na razie nawet nie chciało jej się palić.

W półmroku jasno świeciły złote litery świeżo odsłoniętego napisu. Kosztowało ją to dużo drobiazgowej pracy, przerywanej co chwila w celu sporządzenia dokumentacji fotograficznej wszystkich faz procesu. Po ostatecznym usunięciu zewnętrznej warstwy żywicznego miedzi aurypigment gotyckich liter wyszedł na jaw pierwszy raz po tym, jak pięćset lat temu Pieter van Huys zakrył go, by jeszcze bardziej zamotać tajemnicę.

I oto był widoczny jak na dłoni: QUIS NECAVIT EQUITEM. Julia wolałaby pozostawić go pod wierzchnią warstwą zielonej farby, dowodem istnienia napisu były przecież zdjęcia rentgenowskie. Ale Montegrifo uparł się, żeby go odsłonić - jego zdaniem to mogło wznieść gorączkę u klientów. Niebawem obraz zostanie wystawiony na widok publiczny, będą go oglądać pracownicy domów aukcyjnych, kolekcjonerzy, historycy sztuki...

Okres dyskretnej egzystencji, jaka dotąd się cieszył, wyjąwszy krótki czas spędzony w Prado, dobiegał końca. Wkrótce "Partia szachów" stanie się przedmiotem badań ekspertów, tematem polemik, artykułów w prasie, wybitnych prac doktorskich, specjalistycznych opracowań podobnych do tego, jakie właśnie pisała sama Julia... Nawet autor, dawny mistrz flamandzki, nie mógł się spodziewać, że jego dzieło zyska taką sławę. Ferdynand Altenhoffen zaś zadrzałby zapewne z radości pod zakurzoną kamienną płytą krypty w jakimś belgijskim czy francuskim opactwie, gdyby echo tych wydarzeń mogło donieść. Jego imię zostanie ostatecznie zrehabilitowane. Kilka wierszy w książkach historycznych trzeba będzie napisać na nowo.

Spojrzała na obraz. Niemal cała wierzchnia warstwa utlenionego werniksu już znikła, a wraz z nią pozostały welon skrywający dotychczas kolory. Uwolniony od tego filtru i z odsłoniętym napisem obraz błyszczał doskonałymi kolorami nawet po ciemku. Precyzyjnie kreslone, idealne kontury postaci były świetnie widoczne, a harmonia, jaka panowała w tej scenie domowej (domowej, o paradoksie - pomyślała Julia), stanowiła tak doskonałą kwintesencję stylu i epoki, że bez wątpienia obraz uzyska na aukcji niebotyczną cenę.

Rozmowa, o paradoksie... Widząc dwóch zaszponionych rycerzy pograżonych w szachowej rozgrywce i damę ubraną na czarno, skromnie czytającą pod ostrołukowym oknem, nikt nie domyslałby się dramatu, który wylaniał się z głębi obrazu na podobieństwo pokreślonego korzenia pięknej z pozoru rośliny.

Popatrzyła na profil Rogera d'Arras, pochylonego nad szachownicą i pochłoniętego partią, w której rzecz toczyła się o jego życie, w której właściwie padł już martwy. W stalowym naszyjniku zbroi i napiersniku wyglądał na rycerza, żołnierza, jakim przecież kiedyś był. Wojaka obdarzonego cnotami, który pewnego dnia, odziany może w tę wypolerowaną zbroję widoczną na obrazie z Diabłem, powiódł jako drużba ku lożu malzeńskiemu kobiecie zniewolona przez rację stanu. Julia wyobraziła ją sobie bardzo wyraźnie, jeszcze jako dziewczynę, znacznie młodszą niż na obrazie, w czasach, nim gorycz dorysowała jej zmarszczki wokół ust - jak wygląda spoza zasłonek lektyki, jak ucisza porozumiewawczy śmiech podróżującej z nią piastunki i szpieguje ukradkiem wdzięcznego kawalera, przybyłego w ślad za własną wielką sławą. Był przyjacielem jej przyszłego meza, młodym jeszcze mężczyzną, który u boku towarzysza zabaw dziecińczych odnalazł spokój po walkach, jakie stoczył pod francuską lilią przeciwko lwu angielskiemu. Jej niebieskie, szeroko otwarte oczy musiały wtedy spotkać się z jasnym, zmęczonym wzrokiem rycerza.

Z pewnością polaczyło ich coś jeszcze oprócz tego spojrzenia. Z niejasnych powodów, może na skutek figla, jakiego plątała jej wyobraźnia - jak gdyby długotrwała praca nad obrazem zdolala wytworzyć tajemną więź między Julią a przedstawionym przez van Huysa fragmentem przeszłości - dziewczyna, patrząc na scenę, była, a w każdym razie czuła się, członkiem tej małej społeczności, jak ktoś, kto z nimi mieszka, komu bliskie są wszystkie szczegóły i drobiazgi ich codzienności. Okragłe zwierciadło namalowane na ścianie, odbijające zmniejszone sylwetki graczy, zawierało też i jej podobiznę. Tak samo jak lustro na obrazie Damy dworu, które odbija parę królewską (portret czy zwykłych ludzi?) spoglądająca na scenę malowana przez Velazqueza, albo mikroskopijny autoportret Jana van Eycka na Portrecie małżonków Arnolfinich.

Uśmiechnęła się do cieni w pokoju, postanawiając wreszcie zapalić papierosa. Blask zapalki oslepił ją na moment i przesłonił "Partię szachów", wkrótce jednak jej zrenice na powrót wyłowily z ciemności całą scenę, postacie, kolory. I ona też tu była z pewnością od samego początku, od chwili, gdy Pieter van Huys wyobraził sobie całą kompozycję. Nawet zanim flamandzki artysta zrecznie zmieszał węgiel wapnia z klejem zwierzęcym, by zagruntować debową deskę przed rozpoczęciem malowania.

Beatrycze, księżna Ostenburga. Mandolina, na której brzdąka siedzący pod murem paź, powoduje, że w jej oczach, opuszczonych na książkę, pojawia się nuta melancholii. Kobieta przypomina sobie burgundzką młodość, swoje nadzieje i marzenia. Kamienny kapitel w oknie, wychodzącym na przeczyste błękitne niebo Flandrii, wyobraża meznego świętego Jerzego w chwili, gdy ten mierzy włócznią w smoka wijącego się pod kopytami jego konia. Czas złamał światemu - nieomylnie oko malarza, ale także oko Julii, która przygląda się malarzowi, dostrzegając takie szczegóły - górny koniec włóczni, a w miejscu, gdzie jeździec wystawiał groźnie prawą stopę, uzbrojona niewatpliwie w ostrogi, teraz widac tylko oblamany fragment. Zatem nikczemnego smoka zabija święty Jerzy nie w pełni uzbrojony, kulawy, z tarczą zniszczoną przez wiatr i deszcz. Ale może właśnie dlatego łatwiej się utożsamia z takim rycerzem, który przez dziwną grę wyobraźni kojarzy się Julii z wojowniczą powierzchownością okaleczonego ołowianego żołnierzyka.

Beatrycze z Ostenburga czyta - pomimo małżeństwa nigdy nie zagasła w niej dumna krew burgundzkiego rodu. Czyta tajemniczą książkę, nabijaną srebrnymi cwiekami, z jedwabną zakładką w formie wstążki. Inicjały, wyborne iluminowane miniatury, są dziełem mistrza od Coeur d'Amour epris. Książka nosi tytuł "Poemat o róży i rycerzu", oficjalnie jest nieznanego autorstwa, ale wszyscy wiedzą, że powstała blisko dziesięć lat wcześniej na dworze króla francuskiego Karola Walezjusza, napisana przez rycerza ostenburgskiego nazwiskiem Roger d'Arras:

O, pani, ta sama rosa,

co brząskiem przygnana przychodzi,

by róże okryć srebrzystym

welonem w twoim ogrodzie,

opada i w ogniu bitewnym,

wśród szczeku, wśród krzyków powodzi,

rdzewieje od niej mój pancerz,

od lez rdzewieje mi serce...

Co chwila jej niebieskie oczy, blyszczace flamandzkim swiatlem, wedruja znad ksiazki ku dwóm mezczyznom, którzy graja przy stole w szachy. Jej malzonek duma, oparty na lewym lokciu, prawa dlonia bezwiednie gladzac sie po Zlotym Runie, które poslal mu w slubnym podarunku jego kuzyn Filip Dobry, swiec Panie nad jego dusza, a które on nosi teraz na szyi, zawieszone na ciezkim lancuchu ze zlota. Ferdynand Ostenburski waha sie, wyciaga dlon w strone jednej bierki, dotyka jej, po namysle jednak cofa reke i spoglada przepaszajacym wzrokiem w spokojne oczy Rogera d'Arras. "Dotknieta bierka musi wykonac ruch, panie" - mruca z przyjazna ironia usmiechniete uprzejmie usta rycerza, wobec czego lekko zawstydzony Ferdynand z Ostenburga wzrusza ramionami i przesuwa bierke, której dotknal, bo wie, ze czlowiek zasiadajacy z nim przy szachownicy to ktos wiecej niz dworak: to jego przyjaciel. Poprawia sie na taborecie i czuje sie mimo wszystko szczesliwy. Ostatecznie to nic zlego miec kolo siebie kogos, kto co jakis czas przypomni, ze nawet ksiazat obowiazuja pewne reguly.

Dzwieki mandoliny plynace z ogrodu docieraja tez do innego okna, którego nie widac z tej komnaty. Okna, za którym nadworny malarz Pieter van Huys przygotowuje debowa deske zlozona z trzech czesci, wlasnie sklejanych przez jego pomocnika. Stary mistrz nie moze sie jeszcze zdecydowac, jakiej tematyki sie podejmie. Moze wybierze motyw religijny, który od jakiegos czasu chodzi mu po glowie: mloda Madonna, prawie dziecko, która toczy krwawe lzy, wpatrujac sie z bólem na twarzy w swoje puste lono. Ale po namysle van Huys wzdycha zniechecony i kreci glowa. Wie, ze nigdy nie namaluje tego obrazu. Nikt nie zrozumie go tak, jak nalezy, a on mial juz przed laty dostatecznie duzo klopotów ze Swietym Oficjum. Jego znuzone czlonki nie znioslyby kazni. Paznokciami brudnymi od farb drapie sie po lysinie pod welnianym biretem. Starzeje sie i dobrze wie o tym, cierpi na niedostatek praktycznych pomysłów, za to umysl zaludniaja mu ulotne widma. Chcac je przegnac, zamyka na chwile zmeczone oczy, by otworzyc je na powrót i popatrzec na nietknieta debowa powierzchnie, w nadziei, ze zycie przyjdzie mu z pomoca. W ogrodzie brzdaka mandolina, pewnie jakis zakochany paz. Mistrz usmiecha sie do siebie i umoczywszy pedzel w glinianym naczyniu, naklada grunt cienkimi warstwami, z góry na dól, zgodnie z faktura drewna. Raz po raz zerka przy tym przez okno, napelniajac oczy swiatlem, wdzieczny cieplym promieniom slonecznym, które padajac ukosnie ogrzewaja jego stare kosci.

Roger d'Arras powiedzial cos cicho, na co ksiaze odpowiada smiechem. Jest zadowolony, bo wlasnie zbil konika. A Beatrycze Ostenburska czy tez Burgundzka czuje, ze muzyka staje sie nieznosnie smutna. Juz, juz chce nakazac jednej z dworek, zeby poszla uciszyc grajka, ale powstrzymuje sie, bo slyszy w plynacych z ogrodu nutach echo tego zalu, który spetal jej serce. Muzyka miesza sie z przyjacielska pogawedka dwóch mezczyzn grajacych w szachy, ona tymczasem odnajduje przejmujace piekno w czytany wlasnie poemacie. A ta sama rosa, co okrywa róze i zbroje rycerza, teraz splywa lza z jej niebieskich oczu, gdy kobieta podnosi wzrok i napotyka spojrzzenie Julii, która z ciemnego kata obserwuje scene w milczeniu. I pewnie Beatrycze sadzi, ze te ciemne oczy i mloda, sródziemnomorska twarz, podobna do twarzy na portretach, które przybywaja z Wloch, to tylko odbicie jej wlasnego, zbolalego oblicza w dalekim, matowym zwierciadle. Beatrycze Ostenburska, czyli Burgundzka, wyobraza sobie, ze jest poza komnata, po drugiej stronie ciemnego szkla, skad kontempluje sama siebie, siedzaca pod okaleczonym swietym Jerzym z gotyckiego kapitelu, pod oknem wychodzacy na jasny blekit nieba, który tak mocno kontrastuje z czernia jej sukni. I dociera do niej, ze zadna spowiedz nie zmaze jej grzechu.

## X. Niebieski samochód

- To było nieczyste posuniecie - rzeki Harun

do wezyra. - Chcialbym zobaczyc uczciwe.

Raymond M. Smullyan, The Chess Mysteries of the Arabian Knights

Cesar uniósł z dezaprobatą jedną brew pod rondem kapelusza, kiwając przy tym parasolem. Pogardliwe spojrzenie antykwariusza okrasila dodatkowo skrajna odraza, typowa reakcja, gdy rzeczywistosc potwierdzala jego najgorsze obawy. Istotnie, tego poranka Rastro\* [przyp.: Rastro - duzy jarmark staroci w Madrycie] nie sprawialo przytulnego wrazenia. Z szarego nieba lada chwila mógł lunac deszcz, w zwiazku z czym wlascciele stoisk rozlokowanych na ulicach tworzacych bazar juz przygotowywali sie do ochrony swoich towarów. Na niektórych odcinkach marsz wymagal zmuszenia lawirowania miedzy ludzmi, plachtami brezentu i brudnymi pokrowcami z folii, zwisajacymi ze straganów.

- Tak naprawde - powiedzial antykwariusz do Julii, która ogladala podwójny kandelabr z gietego mosiadzu, wylozony na plandecze rozciagnietej na ziemi - to tylko strata czasu... Od wieków nie trafilem tu na nic godnego uwagi.

Co nieco rozmijal sie z prawda, o czym Julia dobrze wiedziala. Na tym wysypisku, na tym olbrzymim cmentarzu marzen wyrzuconych na ulice wskutek kolejnych nieznanym kataklizmów Cesarowi raz na pewien czas udawalo sie, dzieki wprawnemu oku specjalisty, wygrzebac jakas zapomniana perle, malenki skarb, przez przypadek nie dostrzezony przez tyle innych par oczu: kryształowy kieliszek z osiemnastego wieku, stara rama, porcelanowe caczuszko. Kiedys zas w zapyzialej budce ze starymi ksiazkami i czasopismami znalazl dwie piekne strony tytułowe, wybornie iluminowane zreczna dlonia anonimowego trzynastowiecznego mnicha, które po odnowieniu przez Julie antykwariusz sprzedal za przyzwoita sumke.

Przeszli powoli w strone górnej czesci bazaru, gdzie w obdrapanych budynkach i w ciemnych podwórkach, polaczonych przejsciami o zelaznych balustradach, miescila sie wiekszosc w miare liczacych sie sklepów ze starociami. Aczkolwiek nawet wspominajac o nich, Cesar nie mógł powstrzymac miny wyrazajacej sceptyczna ostroznosc.

- O której umówiles sie z dostawca?

Przerzuciwszy parasol - bardzo drogi, ze srebrna, pieknie rzezbiona rączka - do drugiej reki, Cesar podciagnal lewy rekaw i zerknal na tarcze zlotego chronometru, który nosil na przegubie. Ubrany byl niezwykle elegancko w pilsniowy, tabaczkowy kapelusz z szerokim rondem i z jedwabna wstazka,

plaszcz z wielbladziej welny przerzucony przez ramie, i chustke pod szyja, wystajaca spod jedwabnej koszuli. Strój jak zwykle posuniety byl do granic, ale ich nie przekraczal.

- Za kwadrans. Mamy czas.

Polazili troche po straganach. Czujac na sobie podejrzliwe spojrzenie Cesara, Julia wziela do reki drewniany talerz z topornie namalowanym pozólklym pejzazem przedstawiajacym scene wiejska: wóz zaprzeczony w dwa woly oddalal sie droga posród drzew.

- Chyba nie zamierzasz tego kupic, skarbie - wycedzil antykwariusz z wyrzutem. - To wyrób nikkzemny... Nawet nie chcesz sie potargowac?

Julia otworzyła przewieszona przez ramie torbe i wyciagnela portmonetke, nie zwracajac uwagi na protesty Cesara.

- Nie wiem, na co sie tak skarzysz - odparla przygladajac sie, jak pakuja jej talerz w stary tygodnik ilustrowany. - Zawsze powtarzales, ze ludzie comme il faut nigdy nie klóca sie o cene: mam albo placic bez gadania, albo odejsc z podniesiona glowa.

- Ta zasada nie sprawdza sie w tym miejscu - Cesar rozgladal sie z obojetnoscia zawodowca, marszczac nos na widok plebejskich budek z tandeta. - Nie z tymi ludzmi.

Julia wsunela zawiniatko do torebki.

- Swoja droga mogles wpasc na to, zeby sprezentowac mi ten talerz... Jak bylam mala, kupowales mi, co tylko chcialam.

- Jak bylas mala, za bardzo cie rozpiescilem. Poza tym odmawiam placenia za taka lichote.

- Mam wrazenie, ze wylazi z ciebie skapiradlo. Starzejesz sie.

- Zamilknij, zmijo. - Rondo kapelusza rzucilo cien na twarz Cesara, gdy ten pochylil sie, zeby zapalic papierosa. Stali przed witryna zapchana zakurzonymi, starymi lalkami. - Ani slowa wiecej, albo cie wymaze z mojego testamentu.

Julia patrzyła za nim, jak wchodzil z godnoscia po nieduzych stopniach wiodacych do sklepiku, unoszac reke trzymajaca fifke z kosci sloniowej. Jego mina wyrazala cos pomiedzy pogarda a odraza. Ten nieco gnusny wyraz Cesar przywoływal na twarz zawsze, kiedy nie spodziewal sie znalezc niczego specjalnego u kresu drogi, ale ze wzgledów czysto estetycznych nie widzial przeszkód, by jej nie przebyc - z mozliwie jak największa dystynkcja. Przypominal Karola Stuarta, który wstepowal na szafot, jakby robil katu laske, z remember juz czekajacym na ustach, gotów stracic glowe z profilu, zgodnie z wizerunkiem bitym na ówczesnych monetach.

Z torebka przycisnieta do boku w obawie przed kieszonkowcami Julia ruszyła znów miedzy stragany. W tej czesci Rastra byl za duzy scisk, zawrócila wiec na piecie ku schodkom, z których roztaczal sie wspanialy widok na plac i główna ulice jarmarku, zapelnionego budami i plandekami oraz klebiacym sie pod nimi tłumem.

Miala godzine do ponownego spotkania z Cesarem w kawiarence na placu, miedzy sklepem ze sprzetem do nurkowania a handlarzem odzieza z demobilu. Oparła sie lokciami o balustradke, zapalila chesterfielda i spogladala z góry na ludzi. U stóp schodków, na cembrowinie kamiennej fontanny pelnej

papierów, skórek po owocach i pustych puszek po piwie, przysiadł młody, długowłosa blondyn w poncho i zaczął grać melodie andyjskie na prostym flecie z trzciny. Jakis czas przysłuchiwała się muzyce, by po chwili wrócić znów do odgłosów bazaru, przytłumionych na skutek odległości. Dopaliła papierosa, po czym zeszła na chodnik i zatrzymała się przed wystawą z lalkami. Niektóre były bez ubrań, inne w malowniczych strojach wiejskich albo wyszukanych ubiorach romantycznych z rekawiczkami, kapelusikami i parasolkami. Dziewczynki i dorosłe kobiety, o twarzach prostackich, dziecińczych, naiwnych i przewrotnych... Dłonie i ramiona miały upozowane w rozmaitych gestach, jakby zastygły zaskoczone nagłym zimnym powiewem historii w chwili, gdy ich właścicielka porzuciła je, sprzedawała - lub też umarła. Właścicielki, dziewczynki, które w końcu zmieniły się w kobiety - pomyślała Julia - ładne albo brzydkie, które później pokochały albo zostały pokochane, najpierw pieściły te ciała ze szmat, tektury i porcelany swoimi dłońmi, dziś obróconymi w proch na cmentarzach. Za to lalki je przeżyły, ich wymalowane zrenice były niemymi, nieruchomymi świadkami dawnych scen domowych, które czas zatarł w pamięci żywych. Wyblakłych, mglisto naszkicowanych, nostalgicznych obrazów rodzinnego ogniska, dziecięcych piosenek, przytulających ramion. Ale także leż i rozczarowań, zniweczonych marzeń, upadków, rozpacz. Może także okrucieństw. Dość niesamowite wrażenie robiła na niej ta mnogość szklanych i porcelanowych oczu, wpatrujących się bez zwrócenia powiek, z hieratyczną madrością właściwą Czasowi, oczu nieruchomych, wprawionych w blade twarze z wosku i tektury, świecących wśród strojów pociemniałych ze starości, przygaszonych wstążeczek i koronek. Do tego jeszcze ich włosy, uczesane albo w nieładzie, naturalne - zadziwiała na te myśli - które wcześniej należały do żywych kobiet. Melancholia podsunęła jej fragment wiersza, który wiele lat temu recytował Cesar:

Gdybyz tylko dalo sie zachowac

wlosy wszystkich zmarlych kobiet...

Z trudem oderwała wzrok od wystawy, w której widziała odbicie ciężkich, szarych chmur wiszących nad miastem. Kiedy się odwróciła, chcąc ruszyć w drogę, ujrzała przed sobą Maxa. Prawie wpadła na niego w połowie schodków. Był w długim granatowym surducie, postawiony kolnierz sięgał mu kitki, w którą miał związane włosy; oglądał się za siebie, jak gdyby oddalał się od kogos, czyja obecność nie była mu na rękę.

- To ci niespodzianka - powiedział, uśmiechnął się jak piękna bestia, co w taki zachwyt wprawiało Menchu, po czym rzucił kilka banalnych uwag na temat nieprzyjemnej pogody i motłochu na bazarze. Z początku nie wytłumaczył swojej obecności w tym miejscu, ale Julia dostrzegła, że jest lekko podminowany, czujny, jakby krepowało go coś - lub ktoś. Może Menchu, z którą, jak później wyjaśnił, był w pobliżu umówiony: jakaś metna historia z okazjnymi ramami, które po odnowieniu - Julia zajmowała się tym niejednokrotnie - podnosiły wartość wystawionych w galerii płócien.

Max nigdy nie był dla niej sympatyczny i pewnie dlatego Julia zawsze w jego obecności czuła się niezręcznie. Niezależnie od stosunków, które łączyły go z jej przyjaciółką, od zarania ich znajomość miała w sobie coś niemiłego. Cesar, którego nigdy nie zawiodła jego własna kobieca intuicja, twierdził, że oprócz bardzo dobrego wykonania w Maksie była jakaś nieokreślona marnosc, która ujawniała się w jego nieszczerych uśmiechach i bezczelnych spojrzeniach, jakie posyłał Julii. Nigdy nie zatrzymywał na niej spojrzenia zbyt długo, ale kiedy przestawała na niego patrzeć, przy następnym zerknięciu stwierdzała, że uparcie jej się przypatruje - skrycie, ukradkiem, katem oka. To nie było spojrzenie błędzące beznamietnie po otoczeniu, by spocząć spokojnie na danym przedmiocie czy człowieku - tak patrzył Paco Montegrifo - ale spojrzenie, które zatrzymuje się na kims, gdy ten ktoś nie patrzy, ucieka zaś, gdy



zostaje odkryte. "Tak spogląda ktoś, kto chce ci co najmniej ukraszyć portfel" - opisał kiedyś Cesar Kochanka Menchu i Julia, aczkolwiek upomniała antykwariusza za jego złośliwość, w duchu musiała przyznać, że słowa te pasowały do Maxa jak ulał.

Dochodziły zresztą jeszcze inne niepokojące aspekty sprawy. Julia wiedziała, że w tych spojrzeniach kryło się coś więcej niż ciekawość. Świadom swoich atutów zewnętrznych, Max zachowywał się często - pod nieobecność Menchu albo za jej plecami - w sposób wyrachowany i prowokujący. Wszelkie wątpliwości co do tego rozwiały się pewnej nocy, kiedy zasiedzieli się u Menchu. Rozmowa snuła się leniwie, w pewnym momencie jej przyjaciółka wstała i poszła po lód. Max, pochylony nad stolikiem, gdzie stały drinki, chwycił szklankę Julii i podniósł ją do ust. Tylko tyle, nic więcej, i może nie zwróciłaby na to uwagi, gdyby odstawiając szkło na blat nie zerknął na nią przez sekundy, nie oblizal ust i nie uśmiechnął się z cynicznym zalem, że okoliczności nie pozwalają mu posunąć się dalej w jej prywatną sferę. Menchu, rzecz jasna, o niczym nie wiedziała, a Julia dałaby sobie język uciąć, nim odważyłaby się wypowiedzieć coś, co na głos zabrzmiałoby idiotycznie. Jednak po incydencie ze szklanką przyjęła wobec Maxa jedyną możliwą postawę: swoją absolutną pogardę manifestowała zwracając się donajdy tylko wówczas, kiedy było to nieuniknione. Z wyrachowanym chłodem utrzymywała dystans, gdy tylko znaleźli się twarzą w twarz bez świadków, jak tego poranka na Rastro.

- Ustawilem się z Menchu za jakiś czas - powiedział z tym zadowolonym uśmiechem na ustach, który tak ją wkurzał. - Masz ochotę na kieliszeczek?

Popatrzyła na niego uważnie i powoli, z rozmysłem pokręciła głową.

- Czekam na Cesara.

Uśmiech zarysował się jeszcze wyraźniej. Max miał świadomość, że nie jest obiektem uwielbienia również ze strony antykwariusza.

- Szkoda - bąknął. - Mało mamy okazji, żeby się spotykać tak jak dziś. To znaczy sam na sam.

Julia uniosła tylko brwi i rozejrzała się, jakby Cesar miał się pojawić w każdym momencie. Max powiódł oczami za jej wzrokiem i wzruszył ramionami pod granatowym surdudem.

- Mam się spotkać z Menchu tam, koło pomnika żołnierza, za pół godziny. Jak masz ochotę, możemy się później napić razem - zrobił umyślną pauzę. - We czworo.

- Zobaczcie, co Cesar na to.

Patrzyła za nim, jak się oddalał, lawirując szerokimi plecami w tłumie, by w końcu zniknąć wśród masy ludzkiej. I jak zwykle miała nieprzyjemne wrażenie, że nie udało jej się w pełni kontrolować sytuacji, że Max mimo jej niechęci zdołał znowu naruszyć jej prywatność, jak wtedy ze szklanką. Zła na samą siebie, chociaż nie bardzo wiedziała, co mogłaby sobie zarzucić, zapaliła kolejnego papierosa i zaciągnęła się łapczywie. Czasami była gotowa oddać wszystko, byleby mieć na tyle siły, żeby bez wysiłku rozwalić Maxowi te jego słodką buzię zadowolonego ogiera.

Jeszcze kwadrans przechadzała się między stoiskami, zanim udała się do kawiarni. Chciała poddać się rejuwachowi wokół siebie, gwarowi zachwalających towar handlarzy i stłoczonych ludzi, ale czoło wciąż miała nachmurzone, a spojrzenie błędne. O Maksie zdążyła już zapomnieć, teraz powody były inne. Obraz, śmierć Alvara, partia szachów - powracały obsesyjnie, prowokując pytania bez odpowiedzi. Kto

wie, czy niewidzialny gracz nie znajduje się gdzieś niedaleko i nie obserwuje jej, obmyślając kolejny ruch. Rozejrzała się podejrzliwie i przycisnęła do brzucha skórzaną torebkę, w której nosiła pistolet od Cesara. To był jakiś koszmarny absurd. Albo na odwrót: absurdalny koszmar.

Kawiarnia miała drewniane Pieterko i stare stoliki z kutego żelaza i marmuru. Julia zamówiła coś zimnego i usiadła cichutko koło okna, usiłując o niczym nie myśleć. Wreszcie niewyraźna sylwetka antykwariusza pojawiła się na ulicy, zamglona na skutek zaparowanych szyb. Julia wybiegła mu na spotkanie, jakby mógł przynieść jej pociechę, co nie było zresztą dalekie od prawdy.

- Jesteś coraz piękniejsza - skomplementował ją Cesar, wziawszy się pod boki z teatralnym podziwem i stanawszy na środku ulicy. - ...Jak ty to robisz?

- Nie plec - chwyciła go pod ramię z uczuciem niewypowiedzianej ulgi. - Rozstaliśmy się raptem godzinę temu.

- Właśnie o tym mówię, księżniczko - antykwariusz zniżył głos, jakby poruszał jakąś tajemnicę. - Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która potrafi jeszcze bardziej wypieknąć w przeciągu zaledwie szesćdziesięciu minut... Jeśli stosujesz jakiś chwyt, trzeba go opatentować. Naprawdę.

- Duren.

- Slicznota.

Ruszyli ulicą w stronę miejsca, gdzie Julia zaparkowała samochód. Po drodze Cesar poinformował o zakończonej sukcesem operacji, jakiej właśnie dokonał: Matka Boza Bolesciwa, która mogła ujsc jako dzieło Murilla w oczach niezbyt wymagającego klienta, oraz sekretera Biedermeier, sygnowana i datowana w 1832 roku przez Virienichena, sponiewierana, ale autentyczna. Każdy dobry ebenista sobie z tym poradzi. Dwie wspaniałe okazje, nabyte za całkiem rozsądną cenę.

- Szczególnie ta sekretera, księżniczko - Cesar bujał parasolem, zadowolony z ubitego interesu. - Wiesz, że Bogu dzięki istnieje pewna klasa ludzi, co nie może wyżyć bez łoża, które należało do Eugonii de Montijo, albo bez biurka, przy którym Talleyrand podpisywał fałszywe przyrzeczenia... Oprócz tego nowi burżuje, którzy chcą im dorównać, parweniusze, dla których symbolem klasy jest Biedermeier... Przychodzą i proszą o niego jak gdyby nigdy nic, nie precyzując, czy chodzi im o stół, czy o biurko. Oni po prostu zadają za wszelką cenę Biedermeiera, na diabła im wiedza, co to takiego. Niektórzy nawet wierzą w istnienie jakiegoś pana Biedermeiera i bardzo się dziwią, gdy widzą, że mebel firmował ktoś inny... Najpierw uśmiechają się niepewnie, a potem tracą łokciem i z miejsca pytają, czy nie mają na zbyciu innego, autentycznego Biedermeiera... - antykwariusz westchnął, biadając nad marnymi czasami. - Gdyby nie ich książeczki czekowe, zapewniam cię, że niejednego posłałbym chez les grecs\* [przyp.: Chez les grecs - (fr.) do diabła.].

- Raz nawet to zrobiłeś, o ile pamiętam.

Cesar znowu westchnął ze smutną miną.

- To moja brutalna polowa, kochanie. Czasem gubi mnie mój charakter, bywam krewki jak stara królowa-impetyczka... Jestem jak Jekyll i mister Hyde. Całe szczęście, że nikt już nie mówi nalezyście po francusku.

Do samochodu zaparkowanego w zaułku dotarli w chwili, gdy Julia relacjonowała spotkanie z Maxem. Na sam dźwięk tego imienia Cesar zmarszczył czoło pod przesuniętym kokieteryjnie na bakier

kapeluszem.

- Jestem wdzieczny losowi, że nie napotkalem tego kuplera - odezwał się zgryzliwie. - Ciagle cie po swinsku nagabuje?

- Juz prawie nie. Chyba tak naprawde boi sie, że Menchu sie o wszystkim dowie.

- Ach, tu nikczemnika boli... Ze mu na chlebus nie starczy. - Cesar okrazyl samochód, kierujac sie ku drzwiczkom po prawej. - Hej, patrz, wlepili nam mandat.

- Nie gadaj.

- Nie gadam, tylko mówie. Tam jest kartka, za wycieraczka. - Antykwariusz stukal nerwowo szpicem parasola o ziemie. - Niewiarygodne. Srodek Rastra, a policja zajmuje sie mandatami, zamiast lapac bandytów i reszte tej holoty, a przeciez to nalezy do ich obowiazków... Co za hanba. - I zaraz powtórzył glosniej, rozgladajac sie prowokujaco: - Hanba!

Julia odlozyla pusty pojemnik po sprayu, który ktos postawil na masce fiata, i wziela do reki kartke, a scislej, niewielki kartonik wielkosci wizytówki. I natychmiast znieruchomiala, jakby piorun w nia strzelil. Zaskoczenie musialo byc widoczne, skoro Cesar, zobaczywszy, że cos sie dzieje, blyskawicznie do niej podszedl.

- Córeczko, dlaczegoś tak pobladla...? Cos sie stalo?

Zdolala mu odpowiedziec dopiero po chwili, a i wtedy nie rozpoznala własnego glosu. Miala potworna ochote rzucic sie do ucieczki ku jakiemus cieplemu, bezpiecznemu miejscu, gdzie moglaby schowac glowe i zamknac oczy.

- To nie jest mandat, Cesar.

Na widok trzymanej przez nia karteczki antykwariusz wyrzucil z siebie przeklenstwo absolutnie nieodpowiednie w ustach czlowieka wykszalconego. Figurowal na niej bezczelnie lakoniczny komunikat, zapisany tak dobrze im znana czcionka maszynowa:

...a7:Wb6

Rozgladajac sie w oszolomieniu, czula, jak kreci jej sie w glowie. W zaulku bylo pusto. Najblizsza osoba, sprzedawczyni swietych obrazków, siedziala na rogu na trzcinowym krzeselku jakies dwadziescia metrów dalej, skupiona na ludziach, którzy przygladali sie jej ofercie.

- Byl tutaj, Cesar... Rozumiesz to...? Byl tutaj.

Sama we własnych slowach doslyszala trwoze, ale nie zaskoczenie. Strach - ta swiadomosc przyplynela do niej wraz z fala nieskonczonego przygnebienia - nie dotyczyl juz czegos niespodziewanego, zmienil sie raczej w ponura rezygnacje, jak gdyby tajemniczy, zlowrogi, stale obecny gracz stal sie przeklenstwem, z którym przyjdzie jej zyc juz do samej smierci. Przy zalozeniu - pomyslala w przyplywie wisielczej jasnosci umyslu - że ta smierc nie nastapi wkrótce.

Cesar, zmieniony na twarzy, obracał w palcach karteczkę. Ledwie był w stanie wykrztusić słowa z oburzenia:

- Co za kanalia... Lajdak...

Naraz Julia przestała myśleć o kartce. Jej uwagę przykuł pusty pojemnik, który znalazła na masce. Podniosła go, czując, że porusza się jak w sennej mgle, z wysiłkiem przeczytała napis na etykiecie i zrozumiała. Oniemiała pokręciła głową i pokazała puszkę Cesarowi. Kolejny absurd.

- Co to jest? - spytał antykwaryusz.

- Spray do naprawiania przebitych opon... Kładziesz to na wentyl i pompujesz koło. W środku jest taka biała pasta, która zalepia dziurę od wewnątrz.

- A co to tu robi?

- Sama chciałabym wiedzieć.

Sprawdzili opony. Po lewej stronie wszystko wyglądało normalnie, Julia okrzyknęła więc wóz, żeby sprawdzić pozostałe dwa koła. Też w porządku. Ale kiedy już miała rzucić pojemnik na ziemię, zwróciła uwagę na jeden szczegół: wylot wentyla w prawym tylnym kole nie miał gwintowanej nasadki. Na jej miejscu widniał pecherzyk białej masy.

- Ktoś napompował oponę - wywnioskował Cesar, patrząc ze zdumieniem na pusty pojemnik. - Może była przekluta.

- Na pewno nie do czasu, jak tu zaparkowaliśmy - odparła i obojwoje popatrzyli na siebie, pełni najgorszych przeczuc.

- Nie wsiadaj do wozu - ostrzegł ją Cesar.

Sprzedawczyni obrazków nikogo nie widziała. Przechodzi wtedy masa ludzi, a ona pilnuje swoich spraw - klarowała, układając na ziemi święte serduszka, świętych Pankracych i rozmaite Najświętsze Paniątki. A co do zaulka, to nie była pewna. Może ktoś z sąsiedztwa, w ciągu ostatniej godziny ze trzy, cztery osoby.

- Przypomina pani kogoś konkretnie? - Cesar zdjął kapelusz i pochylał się ku handlarce. Stał w płaszczu narzuconym na ramiona i z parasolem pod pachą. Prawdziwy mężczyzna - pomyślała pewnie kobieta - chociaż może chustka pod szyję trochę dziwnie wygląda u pana w tym wieku.

- No, chyba nie. - Handlarzka otuliła się szczelnie wełnianym szalem. Po minie było widać, że wysiła pamięć.

- Jakas kobieta, zdaje się. I młoda para.

- Jak wyglądali?

- Wie pan: jak to młodzi, skórzane kurtki i dzinsy...

Julii tlukła się po głowie absurdalna idea. W końcu w ostatnich dniach jej głowa sila rzeczy musiała stać się pojemniejsza, więcej musiało się w niej pomieścić.

- Widziała pani kogoś w granatowym surducie? Chodzi mi o mężczyznę w wieku dwudziestu osmiu, trzydziestu lat, wysokiego, z włosami związanymi w kitkę.

Sprzedawczyni nie przypominała sobie Maxa. Natomiast co do kobiety, to owszem, zapamiętała ją, bo tamta zatrzymała się na chwilę koło jej obrazków, może nawet chciała któryś kupić. Blondynka, w średnim wieku, dobrze ubrana. Ale żeby majstrowała przy samochodzie? Co to, to nie. Nie wyglądała na taką. Miała na sobie płaszcz od deszczu.

- W okularach słonecznych?

-Tak.

Cesar spojrzał na Julię z powagą.

- Dzisiaj nie ma słońca.

- Wiem.

- To mogła być ta kobieta od dokumentów - Cesar przerwał na moment i popatrzył jeszcze surowiej. - Albo Menchu.

- Nie plec bzdur.

Antykwarisz pokręcił głową, zerkając na przechodzących mimo ludzi.

- Masz rację. Ale sama pomyślałaś o Maksie.

- Max... to co innego - Julia nachmurzyła się, lustrując wzrokiem ulicę, jak gdyby Max albo blondynka w płaszczu przeciwdeszczowym jeszcze tamtędy maszerowali. Ale od tego, co tam zobaczyła, nie tylko słowa zamarały jej na ustach, ale całe ciało doznało wstrząsu. Nie ujrzała kobiety odpowiadającej rysopisowi. Zobaczyła natomiast, pomiędzy plandekami i foliami na straganach, zaparkowany na rogu samochód. Niebieski samochód.

Z tego miejsca nie potrafiła ocenić, czy to był Ford, ale od razu poczuła się jak w gorączce. Odeszła parę kroków od handlarki, ku zdumieniu Cesara, i wyminawszy kilka kiosków z tandetą, stanęła, wspinając się na palce. Istotnie był to Ford z przyciemnionymi szybami. Nie zdołała odczytać numeru rejestracyjnego, ale pomyślała, że jak na jeden poranek trochę za dużo tych zbiegów okoliczności: Max, Menchu, karteczka na przedniej szybie, pusty pojemnik, kobieta w płaszczu i teraz ten samochód, który stał się kluczem do jej koszmaru. Poczuła, że drża jej ręce, więc wsunęła je do kieszeni kurtki. Bliskość antykwarisza za plecami dodała jej odwagi.

- To ten samochód, Cesar. Rozumiesz...? Kimkolwiek jest ta osoba, siedzi w środku.

Cesar nic nie odpowiedział. Zdjął powoli kapelusz, który uznał widocznie za strój niewłaściwy do tego, co teraz mogło nastąpić, i popatrzył na Julię. Nigdy bardziej go nie uwielbiała, jak w tym momencie, gdy tak stał z zacisniętymi ustami, wysuniętym do przodu podbródkiem, przymkniętymi oczami i niesamowitym, twardym blaskiem dobiegającym spod powiek. Szczupłe rysy gładko wygolonego

oblicza nagle mu stezały. Po obydwu stronach ust wyraźnie zarysowały się mięśnie twarzy. Może i jest homoseksualista - mówiły jego oczy - a także mężczyzna wstrzemięzliwym, nieskorym do gwałtu. Ale absolutnie nie pozwoli się nazwać tchórzem. Przynajmniej gdy chodzi o jego księżniczkę.

- Zaczekaj tu - powiedział.

- Nie. Idziemy tam razem - spojrzała na niego czule. Kiedyś w zabawie pocałowała go w usta, kiedy jeszcze była dziewczynką. Znow miała odruch, żeby to zrobić. Ale teraz to już nie była zabawa. - Ty i ja.

Wsunęła dłoń do torebki i odbezpieczyła derringera. Cesar wetknął parasol pod pachę i z największym spokojem, jakby chodziło o laseczkę, wybrał ogromny, żelazny pogrzebacz na jednym ze straganów.

- Za pozwoleniem - powiedział zdziwionemu sprzedawcy, wtykając mu do ręki pierwszy lepszy banknot wyciągnięty z portfela. Następnie popatrzył spokojnie na Julię.

- Przynajmniej raz, kochanie, pozwól, że pójdę przodem.

I ruszyli w stronę samochodu. Szli, kryjąc się za budami, Julia z reka w torebce, Cesar z pogrzebaczem w prawej dłoni, a parasolem i kapeluszem w lewej. Zobaczywszy tablicę rejestracyjną dziewczyna poczuła, że serce wali jej jak młotem. Nie było żadnych wątpliwości: niebieski ford, ciemne szyby, litery TH. W ustach jej zaschło, a żołądek bolesnie się skurczył. Przemknęło jej przez głowę, że tak właśnie czuł się kapitan Peter Blood na chwilę przed abordażem.

Dotarli do rogu. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ktoś wewnątrz wozu odkrecił szybę od strony kierowcy, żeby wyrzucić ją. Cesar odłożył na ziemię kapelusz i parasol, uniósł pogrzebacz i skierował się ku lewej stronie samochodu, gotów nawet zabić piratów czy kogokolwiek miał napotkać. Julia podbiegła z zacisniętymi zębami i przyspieszonym tępem, wyszarpiła pistolet z torebki i wetknęła go przez okno, zanim ci w środku zdążyli podkrecić z powrotem szybę. Przed wylotem lufy pojawiła się nieznana jej twarz: na wycelowaną broń z przerażeniem spoglądał młody brodaty mężczyzna. Na sąsiednim siedzeniu drugi człowiek aż podskoczył ze strachu, kiedy Cesar otworzył drzwiczki i zamierzył się na żelaznym pogrzebaczem.

- Wylazic! Wylazic! - wrzeszczała Julia, prawie tracąc panowanie nad sobą.

Oniemiały brodacz podniósł w błagalnym geście otwarte dłonie.

- Niech się pani uspokoi! - wybelkotał. - Na miłość boską, niech się pani uspokoi!...! Jesteśmy z policji!

- Przyznaje - powiedział w gabinecie nadinspektor Feijoo, krzyżując ramiona na biurku - że na razie nie okazaliśmy się w tej sprawie specjalnie skutecznymi...

Zawiesił głos i popatrzył na Cesara łagodnie, jak gdyby brak skuteczności ze strony policji mógł wszystko wytłumaczyć. My, ludzie światowi - zdawało się mówić to spojrzenie - możemy sobie czasem pozwolić na konstruktywną samokrytykę.

Cesar jednak nie zamierzał dać za wygraną.

- To inna forma wyrażenia - wyrzekł z pogardą - tego, co zwykliśmy nazywać niekompetencją.

Po skonsternowanym uśmiechu Feijoo widac było, że ta uwaga dopiekła mu do żywego. Pod meksykańskimi wąsami ukazały się białe zęby, którymi nadinspektor zaczął gryźć dolną wargę. Spojrzał najpierw na antykwariusza, potem na Julię i jął bebnąć o białym białym jakimś długopisem. W obecności Cesara nie miał wyjścia, musiał postępować bardzo ostrożnie. Wszyscy trzej wiedzieli dlaczego.

- Policja ma swoje metody.

Były to tylko słowa, co doprowadzało Cesara do furii. Fakt, że łączyły go z Feijoo interesy, jeszcze nie oznaczał, że ma być dla niego sympatyczny. Zwłaszcza gdy wyszło na jaw, że nadinspektor gra nielojalnie.

- Jeżeli te metody polegają na śledzeniu Julii, podczas gdy jakiś wariat lazu sobie spokojnie i posyła jej anonimowe karteczki, wole powstrzymać się od komentarza na temat takich metod... - Popatrzył na dziewczynę i znowu na nadinspektora. - Nawet w głowie mi się nie mieści, że mogliście ją podejrzewać o zabicie profesora Ortegi... A dlaczego myślicie, że nie zajmiecie?

- Zajęliśmy się - policjanta drażniła bezczelność antykwariusza, z trudem się hamował. - Gwoli ścisłości sprawdzamy wszystkich. - Rozłożył dłonie na znak, że ma świadomość potwornej wpadki. - Niestety, taka praca.

- I coś już wiecie?

- Z pewnością przyznaje, że nie. - Feijoo podrapał się pod pachę przez marynarkę i zaczął się wiercić na krześle.

- Jeżeli mam być szczerzy, to nie jesteśmy mądrzejsi, niż na początku... Lekarze sądowi też nie są zgodni co do przyczyn śmierci Alvara Ortegi. Cała nasza nadzieja w tym, że jeśli istotnie jest jakiś morderca, to zrobi fałszywy krok.

- I dlatego mnie śledzicie? - wypaliła wściekła Julia. Siedziała z dymiącym papierosem w dłoni, przycisnąwszy torebkę do siebie. - Ze to może ja zrobić ten fałszywy krok?!

Policjant spojrzał na nią smutnie.

- Proszę tego nie brać tak do siebie. To działania rutynowe... Zwykła taktyka policyjna.

Cesar uniósł brew.

- Jeżeli to taktyka, to mało obiecująca. I nieszczęśliwie szybka.

Feijoo przelknął ślinę i gorzko. W tym momencie - pomyślała Julia z mściwym zadowoleniem - policjant z całej duszy załował, że prowadzi ciemne interesy z antykwariuszem. Wystarczyłoby, żeby Cesar chlapał coś w paru odpowiednich miejscach, a nadinspektor, bez oskarżenia i oficjalnego dochodzenia, dyskretnie, jak zwykle w pewnych kregach, zakończyłby karierę w ciemnym gabinecie jakiegoś zabitego dechami komisariatu. Po uszy w papierkach i bez premii.

- Mogę państwu tylko zapewnić - odezwał się wreszcie, kiedy już strawił połowę gniewu, jakiś najwyraźniej wypełniał mu żołądek - że nie ustaniemy w śledztwie... - nagle przypomniał sobie o czymś z niechęcią. - Oczywiście panią będzie korzystać ze specjalnej ochrony.

- Mówi nie ma - odparła Julia. Upokorzenie policjanta nie mogło zmyć jej własnego. - Proszę,

zadnych niebieskich samochodów. Mam dosyc.

- Tu chodzi o pani bezpieczenstwo.

- Sami panowie widzieli, ze potrafie sie obronic.

Feijoo uciekl wzrokiem. Z pewnoscia jeszcze mial chrype od wrzasku, jakim poczestowal dwóch policjantów za to, ze tak dali sie zaskoczyc. "Jelopy! - krzyczal. - ...Zasrane zóltodzioby...! Przez was umoczyłem dupe i bedziecie za to ukrzyzowani...!" Cesar i Julia slyszeli to wszystko przez drzwi, kiedy czekali na korytarzu komisariatu.

- W tej sprawie - zaczal po dluzszym zastanowieniu. Widac bylo, ze toczy w nim teraz ciezka walke obowiazek przeciwko rozsadkowi. Ostatecznie przewazyl ten drugi. - Zwazywszy okolicznosci, nie sadze... To znaczy, ten pistolet... - znów przelknal sline i zerknal na Cesara. - W koncu to zabytek, nie zadna nowoczesna bron w pelnym znaczeniu tego slowa. A pan, jako antykwariusz, ma oczywiscie pozwolenie... - Popatrzyll na blat. Zapewne myslal teraz o osiemnastowiecznym zegarze, za który pare tygodni temu Cesar zaplacial mu niezla sumke. - Jesli o mnie chodzi, a mówie tu tez w imieniu moich dwóch podwladnych... - ponownie usmiechnal sie krzywo, na zgode. - To znaczy, jestesmy gotowi przymknac oczy na szczególy tej sprawy. Don Cesar, pan odbierze swojego derringera i na przyszlosc zobowiaze sie lepiej go pilnowac. A panienska niech nas informuje o wszystkim, co sie jeszcze wydarzy, dzwoni do nas natychmiast, jak pojawia sie jakies problemy. I nie chcialbym dowiedziec sie o jakichs kombinacjach z pistoletem... Czy wyrazam sie jasno?

- Absolutnie - odparl Cesar.

- Dobrze - ich uleglosc w sprawie pistoletu wyraznie poprawila mu morale, bo zwracajac sie do Julii, Feijoo byl juz mniej spiety. - A co do kola w pani wozie, chcialbym wiedziec, czy zamierza pani zlozyc doniesienie o przestepstwie.

Popatrzylla nan zaskoczona.

- O przestepstwie...? Przeciwko komu?

Nadinspektor zwlekal z odpowiedzi, majac moze nadzieje, ze dziewczyna sama sie domysli.

- Przeciwko nieznanemu sprawcy lub sprawcom - rzekl w koncu. - Odpowiedzialnym za próbe pozbawienia zycia.

- Alvara?

- Nie, pani. - Zeby znów wychynely spod wasów. - Bo owa tajemnicza osoba, która posyla karteczki, ma troszke powazniejsze zamiary, niz tylko pograc sobie w szachy. Spray, którym napompowano pani kolo po spuszczeniu powietrza, mozna kupic w kazdym sklepie z czesciami samochodowymi... Tyle ze akurat ten pojemnik wczesniej napelniono benzyna za pomoca strzykawki... Mieszanka paliwa z substancja, która byla tam przedtem, nabiera silnych wlasciwosci wybuchowych przy pewnej temperaturze... Wystarczyloby przejechac kilkaset metrów, zeby opona sie nagrzala i nastapila eksplozja dokladnie pod bakiem. Samochód razem z panstwem stalby sie wielka pochodnia. - Usmiechal sie ze zlosliwym zachwytem, jakby ta zarezerwowana na koniec opowiesc miala przyniesc mu drobna satysfakcje. - ...Prawda, ze to potworne?



Szachista pojawił się w sklepie Cesara godzinę później. Uszy sterczały mu nad kołnierzem płaszcza, włosy ociekały wodą. Wyglądał niby wychudły, bezpanski pies - pomyślała Julia, patrząc, jak otrząsa się na progu z deszczu, chlapiąc na kobierce, porcelanie i obrazy, które kosztowały więcej, niż był w stanie zarobić przez cały rok. Munoz podał dziewczynie rękę - krótkim, prostym gestem, pozbawionym ciepła i jakiegokolwiek znaczenia - i skinął Cesarowi głową na powitanie. Następnie, starając się nie pomóc dywanów butami, wysłuchał z zimną krwią relacji o tym, co się stało na Rastro. Kilka razy przytaknął beznamietnie, jakby historia o niebieskim fordzie i pogrzebaczku Cesara wcale go nie interesowała, a jego metne oczy rozbłysły, dopiero gdy Julia wyciągnęła z torebki karteczkę i mu ją podała. Niebawem miał już przed sobą na stoliku małą szachownicę, z którą się chyba ostatnio nie rozstawał, i przyglądał się nowemu położeniu.

- Jednego nie rozumiem - powiedziała Julia, patrząc mu przez ramię. - Dlaczego postawili pustą pojemnik na masce? Przecież od razu musieliśmy go zobaczyć... Chyba że ten ktoś bardzo się spieszył.

- Może chodziło tylko o groźbę - odezwał się Cesar, siedzący na skórzanym fotelu pod witrażem. - Groźbę w najgorszym stylu.

- No to włożyła w nią dużo wysiłku, prawda? Spreparować spray, spuścić powietrze, znów napompować koło... I jeszcze ryzykowała, że ja przy tym ktoś zobaczy - Julia liczyła z niedowierzaniem na palcach. - To dziwne - zaskoczyły ją własne słowa. - ...Zauważyliście? Mówię o tajemniczym graczku w rodzaju zenskim, jakby był kobieta... Ta podejrzana dama w płaszczu nie daje mi spokoju.

- Może posuwamy się za daleko - zastanawiał się Cesar. - Jak dobrze przemyśleć, rano na Rastro mogło być i kilkanaście blondynek w płaszczach przeciwdeszczowych. Niektóre mogły też mieć ciemne okulary... Ale z tym pojemnikiem to masz słuszość. Tak na widoku, na samochodzie... Jakas groteska.

- Może nie do końca - powiedział Munoz i obydwójce spojrzeli na niego. Szachista siedział na stolku przy niewielkim stoliku i patrzył na szachownicę. Zdjął wcześniej płaszcz i marynarkę, był teraz w samej koszuli, pomietej i byle jakiej. Rekawki podwinał kilka razy do łokci, może nie chcąc pokazać, że ma za długie mankiety.

Mówił, nie odrywając wzroku od bierka, dłoń trzymał na kolanach, a stojąca obok Julia dostrzegła w kąciku ust ten tak już dobrze jej znany grymas, coś pomiędzy milczącą zadumą a półusmiechem. Wtedy zrozumiała, że Munozowi udało się rozszyfrować kolejny ruch.

Szachista zbliżył palec do pionka stojącego na polu a7.

- Czarny pion z a7 bije białą wieżę na b6... - powiedział i zademonstrował tę sytuację. - To właśnie oznacza zapis, jaki dostaliśmy od przeciwnika na karteczce.

- A co się za tym kryje? - spytała Julia.

Munoz jakiś czas zwlekał z odpowiedzią.

- Ze rezygnuje z innego posunięcia, którego jakos tam się obawialiśmy: z bicia białego hetmana na e1 czarną wieżę z c1... Taki ruch z konieczności oznaczałby wymianę hetmanów, czy, jak pani woli, królowych - podniósł wzrok znad szachownicy i popatrzył na Julię z niepokojem. - I wszystkie dalsze konsekwencje.

Julia otworzyła szeroko oczy.

- Czyli że rezygnuje ze zabicia mnie?

Szachista miał niewyraźną minę.

- Można to w taki sposób zinterpretować. - Przyjrzał się białemu hetmanowi. - Zatem przesyłałby nam komunikat: "Mogę zabić, ale zrobię to wtedy, kiedy zechcę".

- Jak kot bawiący się z myszką - mruknął Cesar, walczył dłońmi w oparciu fotela. - Nikczemnik!

- Albo nikczemniczka - dodała Julia. Antykwariusz cmoknął językiem z niedowierzaniem.

- Przecież nikt nie twierdzi, że kobieta w płaszczu, jeśli to naprawdę ona była w zaułku, działa na własny rachunek. Może być czyjś współnikiem.

- Dobrze, ale czym?

- Sam chciałbym wiedzieć, kochanie.

- W każdym razie - powiedział Munoz - jeżeli zechce państwo zapomnieć na chwilę o damie w płaszczu przeciwdeszczowym i przyjrzeć się karteczce, to możemy wyciągnąć kolejny wniosek na temat osobowości naszego przeciwnika... - Spojrzał na Julię, potem na antykwariusza, wzruszył ramionami i pokazał dłońmi na szachownicy, jakby szukanie odpowiedzi poza nią uważał za stratę czasu. - Wiemy już, że ma bardzo dziwny umysł, ale teraz dowiadujemy się, że jest na dodatek samowystarczalny... I próżny. Albo próżna. Otóż ten ktoś usiłuje nas nabrac... - Gestem ręki zachęcił ich, by pochylić się nad szachownicą. - Niech państwo patrzą. Według czystych reguł szachowych zabicie białego hetmana byłoby fatalnym posunięciem... Białe nie miałyby wyboru, musiałyby zgodzić się na wymianę hetmanów i zabicie czarnego hetmana białą wieżą z b2, co z kolei postawiłoby czarne w bardzo niekorzystnej sytuacji. Poczawszy od tego momentu, ich jedynym wyjściem byłby ruch wieży z e1 na e4 i szach białemu królowi... Ten zaś mógłby zyskać ochronę dzięki przesunięciu białego piona z d2 na d4. Wówczas czarny król, będąc w otoczeniu bierki przeciwnika i bez szansy na ratunek, nie mógłby już uniknąć maty. Czarne przegrałyby partie.

- To znaczy - zapytała Julia - że cała historia ze sprayem na samochodzie i szach białej królowej to tylko zasłona dymna?

- Wcale by mnie to nie zdziwiło.

- Dlaczego?

- Bo nasz przeciwnik wybrał ruch, na który sam bym się na jego miejscu zdecydował: bicie białej wieży pionem z a7. To zmniejsza napór białych na czarnego króla, który znajdował się już w przykłej sytuacji. - Pokreślił głową z podziwem. - Już państwu mówiłem, że to dobry szachista.

- I co teraz? - zapytał Cesar.

Munoz potarł dłońmi czoło i zadumał się nad szachownicą.

- Teraz mamy dwie możliwości... Może powinniśmy zabić czarnego hetmana, ale to mogłoby zmusić przeciwnika do dokonania wymiany hetmanów - popatrzył na Julię - co mi się nie podoba. Nie skłaniajmy go do ruchu, którego nie zrobił... - Znowu pokreślił głową, jakby białe i czarne kwadraty

potwierdziły jego rozumowanie. - On w zadziwiający sposób wie, że tak właśnie będziemy kombinować. To godne uwagi, bo ja widzę ruchy, jakie on robi i nam wysyła, on zaś tylko może wyobrazić sobie moje... A przy tym je zakłada. Na razie robimy to, co on chce, żebyśmy robili.

- A mamy wybór? - zapytała Julia.

- Chwilowo nie. A później, to się okaże.

- Jaki jest następny ruch?

- Nasz goniec. Posuwamy go z f1 na d3, dając szacha hetmanowi.

- A co on zrobi...? Albo ona?

Munoz nie odpowiedział od razu. Nieruchomo wpatrywał się w szachownicę, jak gdyby nie dosłyszał pytania.

- Nawet w szachach - odezwał się wreszcie - przewidywalność jest ograniczona... Najlepszym albo najbardziej prawdopodobnym posunięciem jest takie, które postawi przeciwnika w najtrudniejszym położeniu. Dlatego kalkulacja na temat możliwości kolejnego ruchu polega po prostu na wyobrażeniu sobie, że ten ruch już się zrobiło, i na dalszej analizie partii w roli przeciwnika. Czyli patrzeć na szachownicę własnymi oczami, ale z punktu widzenia rywala. Gracz projektuje pewien ruch i natychmiast stawia się w sytuacji przeciwnika swojego przeciwnika, a więc znowu we własnej. I tak dalej, tak długo, na ile wystarcza komus wyobraźni... Chodzi mi o to, że wiem, dokąd sam dotarłem, nie mam natomiast pojęcia, jak daleko dotarł on.

- Ale zgodnie z tym rozumowaniem - wtraciła się Julia - najprawdopodobniej wybierze ruch, który będzie dla nas najdokuczliwszy. Nie sądzi pan?

Munoz podrapał się po karku, a następnie, bardzo powoli, przesunął białego gonia na pole d3, w bezpośrednie sąsiedztwo czarnego hetmana. Analizował nową sytuację na szachownicy zadumany po same uszy.

- Cokolwiek zrobi - rzekł w końcu z pośpieszną miną - jestem pewien, że zbije nam jakąś bierkę.

## XI. Warianty analityczne

Niech pan nie będzie głupi. Flaga jest

wykluczona, zatem to nie ona faluje. Wiatr

natomiast faluje.

Az podskoczyła na dzwiek telefonu. Bez pospiechu odjechała wacik z rozpuszczalnikiem od fragmentu obrazu, nad którym pracowała - za mocno nałożonej plamki werniksu na szacie Ferdynanda z Ostenburga - i wsunęła pesete między zęby. Potem spojrzęła nieufnie na aparat stojący na dywanie u jej stóp, zapytując sama siebie, czy podniósłszy słuchawkę, znów będzie musiała wsłuchiwać się w kolejną długą ciszę, tak dobrze jej już znana od paru tygodni. Na początku przyciskała słuchawkę do ucha i bez słowa, niecierpliwie usiłowała wyłowić jakikolwiek dzwiek, choćby zwykły oddech, łada oznake obecności żywego człowieka, choćby i przerazająca. Ale napotykała kompletną pustkę, nawet bez wątpliwej pociechy w postaci trzasku przerwanej połączenia. Za każdym razem tajemniczy abonent - względnie tajemnicza abonentka - wytrzymał dłużej. Julia zawsze dawała za wygraną, choćby tkwiła przy aparacie Bóg wie ile. Ten ktoś czaił się, cierpliwie i bez obawy, że zaalarmowana przez Julię policja może podłączyć się do linii i namierzyć dzwoniącego. Najgorsze, że nie mógł mieć pojęcia o własnej bezkarności. Julia nie powiedziała o tym nikomu, nawet Cesarowi ani Munozowi. Nie wiedząc czemu uważała nocne głuche telefony za coś wstydliviego, upokarzającego, co wdzierają się w jej sferę domowej prywatności, w ciszę nocną, która tak kochała, zanim zaczął się koszmar. Najbardziej przypominały rytualny gwałt, powtarzający się co noc, bez udziału słów czy gestów.

Odebrała, kiedy telefon zadzwonił szósty raz, i z ulgą rozpoznała głos Menchu. Ale ten spokój trwał tylko chwile. Jej przyjaciółka musiała dużo wypić, może pochłonęła też, jak domyślała się Julia, sporo substancji znacznie mocniejszych niż alkohol. Podnosząc głos, żeby przekrzyczeć otaczający ją gwar i muzykę, i wypowiadając sensowne słowa pół na pół z belkotem, Menchu oznajmiła, że jest w barze Stephan's, po czym wyrzuciła z siebie metną opowieść, w której występowali Max, obraz van Huysa i Montegrifo. Julia nic z tego nie rozumiała, ale kiedy poprosiła przyjaciółkę, żeby jeszcze raz spokojnie opowiedziała jej, co zaszło, Menchu wybuchła pijackim, historycznym śmiechem. Rozmowa została przerwana.

Julia wyszła na ulicę. Na dworze panowała lepka chłodna wilgoc. Trzesąc się w grubej skórzanej kurtce, zatrzymała taksówkę. Podczas jazdy co chwila odwracała głowę do taksówkarza, z roztargnieniem reagując na jego czcza gadaninę, a światła miasta rzuciły jej na twarz na przemian szybkie błyski i cienie. Wreszcie położyła głowę na oparciu i zamknęła oczy. Przed wyjściem z domu włączyła alarm elektroniczny i zamknęła drzwi na dwa razy. W bramie jej wzrok przyciągnęła krata automatyczna - mogła w niej tkwić kolejna karteczka. Tej nocy jednak niczego nie znalazła. Niewidzialny gracz dalej rozmyślał o swoim następnym ruchu.

W Stephan's był tłum. Pierwsza osoba, jaką ujrzała po wejściu, był Cesar, który siedział z Sergiem na otomanie. Chłopak, z grzywka w śmiesznym nieladzie, przytakiwał słuchając, co antykwariusz szepcze mu do ucha. Cesar palił, z nogą założoną na nogę, dłoń z papierosem położył na kolanie, druga gestykulował blisko ramienia podopiecznego, jednak powstrzymując się przed kontaktem fizycznym. Na widok Julii poderwał się i poszedł jej na spotkanie. Nie wyglądał na zaskoczonego, że dziewczyna pojawiła się tu o tej porze, nieumalowana, w skórzanej kurtce i dzinsach.

- Tam jest - powiedział tylko, pokazując wewnątrz lokalu z miną obojętną, która złe maskowała lekkie rozbawienie.

- Na którejs z tych sof w glebi.

- Duzo wypila?

- Jak mityczna gabka. Obawiam sie, ze poza tym doslownie sypie sie z niej bialy proszek... Nie mogla tak czesto latac do damskiej ubikacji za potrzeba. - Spojrzal na zar papierosa i usmiechnal sie jadownie. - Dopiero co wywolala skandal, strzelajac w pysk Montegrifa na srodku baru... Masz pojecie, kochanie? Byl to widok naprawde - smakowal w ustach slowo, nim wypowiedzial je z mina konesera - rozkoszny.

- A Montegrifo?

Miejsce zadowolenia na twarzy antykwariusza zajal okrutny usmiech.

- Byl niesamowity, moja mila. Wlasciwie boski. Odszedl wyprostowany, z godnoscia, jak to on. Z szalenie wyzywajaca blondynka pod reke, troche moze wulgarna, ale dobrze ubrana. Ona doslownie cala zaczerwieniona, i slusnie. To bylo cos - usmiechnal sie wyjatkowo zlosliwie. - Musze przyznac, ksiezniczko, ze gosc czuje swiatla rampy. Przyjal policzek ze spokojem, okiem nie mrugnal, jak jakis twardziel z filmu. Ten wasz aukcjoner to ciekawy typek... Zachowal sie absolutnie w porzadku. Jak prawdziwy matador.

- Gdzie jest Max?

- Nie widzialem go tu, czego bardzo zaluje. - Na jego usta powrocil przewrotny usmieszek. - Bylaby to niezwykla rozrywka. Wisienka na torcie.

Zostawivszy Cesara, Julia przeszla w glab lokalu, po drodze pozdrawiajac paru znajomych. Wreszcie zobaczyla przyjaciolke. Menchu siedziala sama, wcisnieta w sofe, oczy miala metne, spodniczke troche za bardzo podciagnieta, a na jednej ponczosze groteskowo puszczone oczko. Robila wrazenie, jakby nagle postarzala sie o dziesiec lat.

- Menchu...

Ledwie rozpoznala Julie. Mamrotala bez ladu i skladu, usmiechala sie niedorzecznie. W koncu przechylila glowe w lewo i w prawo i wybuchla krótkim, niepewnym smiechem pijaczki.

- Przechlapalas go sobie - powiedziala po chwili miekkim glosem, nie przestajac sie smiac. - Ten mlot stal tu, pol geby jak pomidor... - Wyprostowala sie nieco i potarla zaczerwieniony nos, nie dostrzegajac ciekawskich i zgorzonych spojzen, jakie posylano jej z sasiednich stolikow, - Glupi bezczel.

Julia czula, ze caly lokal wlepil w nie oczy, mogla doslyszec ciche komentarze. Mimowolnie sie zarumienila.

- Jestes w stanie stad wyjsc?

- Chyba tak... Ale czekaj, opowiem ci...

- Później. Teraz idziemy.

Menchu wstala z wysilkiem, szarpiaac w dol spodniczke. Julia narzucila jej plaszcz na ramiona i z jaka taka godnoscia wyprowadzila ku drzwiom. Podszedl do nich Cesar.

- Wszystko w porzadku?

- Tak. Poradze sobie.

- Na pewno?

- Na pewno. Do jutra.

Na ulicy Menchu, chwiejąc się zdezorientowana, szukała wzrokiem taksówki. Ktoś z okna przejeżdżającego samochodu obdarzył ją epitetem.

- Zabierz mnie do domu, Julia... Proszę.

- Twojego czy mojego?

Popatrzyła na nią, jakby z trudem ją rozpoznawała. Poruszała się jak lunatyczka.

- Do twojego.

- A Max?

- Już po Maksie... Pozarłismy się... Koniec.

Zatrzymały taksówkę, Menchu zwinęła się w kłębek na tylnym siedzeniu. Po chwili wybuchła płaczem. Obejmując ją, Julia poczuła, że jej przyjaciółka cała się trzęsie wśród szlochów. Samochód stanął na światłach, blask okna wystawowego padł na jej udrecona twarz.

- Przepraszam... Jestem ostatnia...

Julii było aż nieprzyjemnie ze wstydu. Co za absurdalna sytuacja. Cholerny Max - powiedziała w duchu.  
- Cholera z nimi wszystkimi.

- Nie gadaj głupot - przerwała jej rozdrażniona. Popatrzyła na plecy taksówkarza, który przyglądał im się z ciekawością w lusterku, a kiedy znów odwróciła się do Menchu, zaskoczona napotkała w jej oczach niespodziewany, krótki przeblask trzeźwości. Jak gdyby opary narkotyku i alkoholu nie zdołały opanować wszystkich zakamarków jej organizmu. Julia dostrzegła tam niezmiernie głębokie o mrocznych znaczeniach. Ten wyraz twarzy tak nie pasował do ogólnego stanu jej przyjaciółki, że poczuła się zbita z pantofelki. I wtedy Menchu znowu przemówiła, a jej słowa zabrzmiały jeszcze dziwniej.

- Ty niczego nie rozumiesz... - kreciła z bólem głową, jak zranione zwierzę. - Ale niech się dzieje, co chce... Chce, żebyś wiedziała...

Urwała, jakby właśnie ugryzła się w język, jej spojrzenie wtopiło się w ciemność. Taksówka na nowo ruszyła, a Julia siedziała zamysłona i zdezorientowana. Trochę za dużo jak na jedną noc. Jeszcze brakuje - pomyślała z głębokim westchnieniem, obawiając się, że cała sytuacja nie wróży niczego dobrego - żeby w domofonie tkwiła kolejna karteczka.

Tej nocy obyło się bez karteczek, mogła się więc zająć Menchu, która poruszała się jak we mgle. Zanim ją położyła, zrobiła jej dwie filiżanki kawy. Krok po kroku, z cierpliwością prawdziwego psychoanalityka przy kofeinie, udało jej się mimo belkotliwych pomruków i chwil milczenia odtworzyć

wydarzenia tego dnia. Maxowi, okropnemu Maxowi, przyszło do głowy, że wybierze się w podróż, i to w najmniej odpowiedniej chwili. Jakis idiotyzm związany z pracą w Portugalii. Menchu przeżywała trudny okres, więc uznała postanowienie Maxa za akt egoistycznej dezercji. Zaczeli się kłócić, w wyniku czego Max, zamiast załagodzić kwestię w łóżku, jak miał dotąd w zwyczaju, trzasnął drzwiami. Menchu nie miała pojęcia, czy wróci, czy też nie, ale w tym momencie guzik ją to obchodziło. Nie chcąc sterczeć w domu sama, postanowiła pójść do baru Stephan's. Pare działek koki postawiło ją na nogi, wprawiając w stan agresywnej euforii... Siedziała w kacie, nie myśląc o Maksie, saczyła jedno za drugim bardzo wytrawne martini i zaczynała nawiązywać kontakt wzrokowy z upiornie przystojnym facetem, któremu najwyraźniej nie była obojętna, kiedy nagle scena się zmieniła: Paco Montegrifo wpadł na kretynski pomysł, żeby się pojawić akurat w tym miejscu, w towarzystwie jednej z tych obwieszonych klejnotami zżir, z którymi często się prowadził... Sprawa procentu jeszcze była świeża, Menchu wyczulił niejaka ironię w powitaniu dyrektora, co podziało na nią, jak to pisza w powieściach, niczym sól sypana na ranę. Strzeliła go w pysk bez namysłu, pac, jak w dawnych, dobrych czasach, ku wielkiemu zdumieniu zainteresowanego... Wielki skandal, koniec pieśni. Kurtyna.

Menchu zasnęła równo o drugiej w nocy. Julia przykryła ją kocem i jeszcze przez chwile czuwała obok, patrzac, jak przyjaciółka spi niespokojnie, co jakiś czas wierci się i mruży coś niezrozumiale przez zacisnięte usta, z włosami na twarzy w zupełnym nieładzie. Julia przypatrywała się zmarszczkom wokół jej ust, oczom, z których lzy i pot zmyły częściowo makijaz, pozostawiając czarne, patetyczne ślady: Menchu wyglądała jak dojrzała kurtyzana po nieprzyjemnej nocy. Cesar z pewnością wyciągnąłby tu zjadliwe wnioski, ale w tym momencie Julia nie miała ochoty go słuchać. Zaczęła błagać własne przeznaczenie by, kiedy przyjdzie jej kolej, pozwoliło jej odpuszczyć i zestarzyć się z godnością. Westchnęła z niezapalonym papierosem w ustach. Nie dysponować tratwą ani choćby deską, która pomogłaby ocalić skórę podczas powodzi - to musi być straszne. Zdawała sobie sprawę, że właścicielka galerii mogłaby być jej matką. Zawstydzila się ta myśl, jak gdyby wykorzystywała sen przyjaciółki do tego, by w jakimś sensie jej się sprzeniewierzyć.

Dopila resztkę zimnej kawy i zapaliła. Deszcz znowu bebniał w szyby lukarny. To dźwięk samotności - pomyślała z gorczyca. Szum deszczu przypominał jej tamta ulewę sprzed roku, kiedy przyszło jej skończyć z Alvarem, i poczuła, że wtedy coś w niej w środku nieodwołalnie pękło, na podobieństwo bezpowrotnie zepsutego mechanizmu. Zrozumiała także, że od tamtej pory owa słodko-gorzka samotność ogarniająca jej serce stała się jej główną, nieodłączną towarzyszką, od której nie uwolni się już nigdy, dokadkolwiek powioda ją ścieżka życia, pod niebiosami, gdzie bogowie umierają ze śmiechu. Tamtej nocy deszcz dłuższy czas padał i na nią, gdy tak siedziała skulona pod prysznicem, otulona parą niczym gorąca mgła, a lzy mieszały się z wodą chlapiącą na włosy zakrywające twarz, na jej nagie ciało. Z tą czystą, ciepłą wodą, pod którą spędziła niemal godzinę, odpłynął i Alvaro, na rok przed swoją śmiercią fizyczną, rzeczywistą i ostateczną. Wyrokiem chorej ironii, która tak uwielbia Przeznaczenie, sam Alvaro miał skończyć właśnie w wannie, z otwartymi oczami i skreconym karkiem, w strugach wody. W strugach deszczu.

Odpędziła wspomnienie. Rozwiał się wraz z klebem dymu w mrokach pokoju. Pomyślała o Cesarze i pokiwała głową w takt melancholijnej muzyki, jaką grała w jej wyobraźni. Zapagnęła położyć mu głowę na ramieniu, zamknąć oczy, wciągnąć ten od dzieciństwa znany jej zapach tytoniu i mirry... Cesar. Przeżyć z nim jeszcze raz te wszystkie przygody, w których od początku wiadomo, że kończą się dobrze.

Znów zaciągnęła się dymem papierosa i trzymała go w płucach dłuższą chwilę, chcąc oszłomic się do tego stopnia, by jej myśli popłynęły gdzieś bardzo daleko. Tak strasznie dawno minęły czasy szczęśliwych zakończeń, tak bardzo nie pasowały do jej obecnej wiedzy...! Czasem trudno jest spojrzeć w lustro i zobaczyć tam wiecznego wygnanca z Nibylandii.

Zgasila swiatlo i dalej palila, siedzac na dywanie, przed dzielem van Huysa, którego tylko domyslala sie w ciemnosci. Papieros dawno sie wypalil, a ona jeszcze trwala nieruchomo, oczami wyobrazni widzac postacie z obrazu i slyszac daleki szum fal ich zycia. Tamta partia szachów przekracza granice epok i krajów, nadal trwa, jak tykanie powolnego, bezlitosnego mechanizmu zegara rzucajacego wyzwanie stuleciom. Nikt nie jest w stanie przewidziec zakonczenia. Wreszcie Julia zapomniala o wszystkim, i Menchu, o tesknocie za straconym czasem, i poczula dobrze znany dreszcz. Owszem, byl to dreszcz strachu, ale takze dziwnej, osobliwej pociechy. Cos w rodzaju niezdrowego wyczekiwania. Pamietala to z dzieciinstwa, kiedy przytulala sie do Cesara, czekajac na kolejna opowiesc. W koncu kto powiedzial, ze kapitan Jakub Hak rozwial sie w mrokach przeszlosci? Moze po prostu teraz gra w szachy.

Kiedy sie obudzila, Menchu jeszcze spala. Ubrala sie po cichu, polozyla na stole jeden komplet kluczy i wyszla, starannie zamykajac za soba drzwi. Byla prawie dziesiata rano, deszcz ustapil miejsca brudnej mieszaninie mgly i spalin, w której zacieraly sie szare kontury budynków, samochody sprawialy wrazenie widm. Ich wlaczone swiatla odbijaly sie w asfalcie w postaci grup niezliczonych drobnych, jasnych punkcików. W tym nierzeczywistym blasku Julia szla z dlonmi wcisnietymi w kieszenie plaszcza.

Belmonte przyjal ja w salonie, w którym na scianie wciaz widzial slad po van Huysie. Z gramofonu dobiegaly oczywiscie dzwieki Bacha i Julii przyszlo do glowy, gdy wyjmowala z torebki raport, ze moze starzec nastawia go przy kazdej jej wizycie. Belmonte zalowal, ze nie przyszedl z nia Munoz, matematyk-szachista, jak sie wyrazil z czytelną ironia, a nastepnie, siedzac w wózku inwalidzkim, rzucil okiem na raport przygotowany przez Julie: dane historyczne, koncowe wnioski Munoz'a w odniesieniu do zagadki Rogera d'Arras, zdjecia poszczególnych faz renowacji oraz kolorowy prospekt na temat obrazu i aukcji, niedawno wydrukowany przez Claymore'a. Czytal w milczeniu, kiwajac z zadowoleniem glowa. Chwilami podnosil wzrok, by popatrzec na Julie z podziwem, po czym znów zaglebial sie w lekturze.

- Znakomite - orzekl, kiedy skonczyl i zamknal teczke. - Jest pani niezwykla mloda osoba.

- To nie tylko moja zasluga. Jak pan wie, sporo ludzi nad tym pracowalo... Paco Montegrifo, Menchu Roch, Munoz... - zawahala sie. - Zwróciliśmy sie tez do znawców sztuki.

- Mówi pani o zmarłym profesorze Ortedze?

Julia popatrzyla na niego zaskoczona.

- Nie sadzilam, ze pan wie.

Starzec usmiechnal sie krzywo.

- Otóz wiem. Kiedy zmarl, policja skontaktowala sie z moja bratanica, z jej mezem i ze mna... Przyszedl tu jakis inspektor, zeby mnie przesluchac, nie pamietam nazwiska... Taki gruby, z gestymi wasami.

- To Feijoo. Nadinspektor Feijoo - spuscila wzrok zazenowana. Niech to szlag trafi. Niech szlag trafi bezmyslnego policjanta. - ...Ostatnim razem, kiedy tu bylam, nic mi pan nie mowil.

- Mialem nadzieje, ze sama mi pani powie. A skoro pani milczala na ten temat, to wnosilem, ze miala pani swoje powody.

Wyczula w jego glosie rezerwe i zdala sobie sprawe, ze chyba traci sojusznika.



- Uwazalam... To znaczy, naprawde jest mi przykro. Nie chcialam pana niepokoic tymi historiami. Ostatecznie pan...

- Chodzi pani o mój wiek i zdrowie? - Belmonte splótl na brzuchu kosciste, pokryte plamami dlonie. - Czy moze bala sie pani, ze to wplynie na losy obrazu?

Dziewczyna zaprzeczyla ruchem glowy, nie wiedzac sama, co odrzec. Wreszcie wzruszyla ramionami z usmiechem i wyrazem szczerzego zaklopotania na twarzy. Doszla do wniosku, ze tylko taka reakcja zadowoli gospodarza.

- Jak mam sie panu wytлумaczyc? - wymamrotala i stwierdzila, ze byl to strzal w dziesiatke: Belmonte tez sie usmiechnal, przystajac na zaproponowany przez nia poufny ton.

- Prosze sie nie martwic. Zycie nie jest latwe, a co dopiero stosunki miedzy ludzmi.

- Zapewniam pana, ze...

- O niczym nie trzeba mnie zapewniac. Mówilismy o profesorze Ortedze... To byl wypadek?

- Chyba tak - sklamala. - Przynajmniej o ile mi wiadomo.

Stary popatrzył na swoje dlonie. Nie sposób bylo orzec, czy jej uwierzyl.

- Niezależnie od wszystkiego, to potworna historia... Nie sadzi pani? - W jego glebokim, powaznym spojrzeniu dostrzegla lekki niepokój. - Te sprawy, mam na mysli smierc, robia na mnie spore wrazenie. A w moich latach powinno byc odwrotnie. Ciekawe, ze wbrew wszelkiej logice czlowiek przywiazuje sie do wlasnej egzystencji z sila odwrotnie proporcjonalna do tej resztki zycia, jaka mu zostala.

Przez moment Julia miala ochote zdradzic mu pozostala czesc historii: opowiedziec o tajemniczym szachiscie, o grozbach, o mrocznych przeczuciach, jakie ja ogarnialy. O przekleństwie van Huysa, którego slad, pusty prostokat pod zardzewialym gwozdziem, spogladal na nich ze sciany na podobienstwo zlej wrózby. Ale to wiazalo sie z wyjasnieniami, których nie miala sily mu udzielic. Bala sie, ze niepotrzebnie jeszcze bardziej starszego pana zaniepokoi.

- Nie ma sie czym tak przejmowac - sklamala znowu z absolutnym spokojem. - Wszystko jest pod kontrola. Podobnie jak obraz.

Usmiechneli sie do siebie, ale byly to usmiechy wymuszone. Julia nadal nie miala pojecia, czy Belmonte jej wierzy, czy nie. Po chwili gospodarz zmarszczyl czolo.

- Co sie tyczy obrazu, chcialbym cos pani powiedziec... - przerwal i chwile myslal. - Poprzednim razem, kiedy odwiedziliscie mnie panstwo, pani i ten szachista, juz po panstwa wyjsci u zastanawialem sie nad trescia obrazu van Huysa... Przypomina sobie pani nasza dyskusje o systemie niezbednym do zrozumienia innego systemu, ze obydwu potrzebuja jeszcze systemu wyzsze go rzedu, i tak w nieskonczonosc...? Wiersz Borgesa o szachach, pytanie, jaki bóg spoza Boga porusza graczem, który figure trzyma...? Otóz widzi pani, sadze, ze cos takiego jest z tym obrazem. Ze cos jest zawarte w samym sobie, co samo sie powtarza, a czlowiek podazajac za tym, dociera do punktu wyjscia... W moim odczuciu prawidlowy klucz do odczytania "Partii szachów" nie otwiera przed nami drogi linearnej, czyli następstwa faktów, które oddalaloby nas od punktu poczatkowego. Ten obraz obraca sie sam wokół siebie, jak gdyby prowadzil do wlasnego wnętrza... Rozumie mnie pani?

Zasłuchana w słowa starca, Julia skinęła głową. Usłyszała po prostu racjonalne, wypowiedziane na głos potwierdzenie własnych domysłów. Przypomniała sobie swój szkic, sześć poziomów, które zawierały się jedne w drugich, wieczny powrót do punktu wyjścia, obrazy wewnątrz obrazów.

- Rozumiem to lepiej, niż pan przypuszcza - odparła.

- To jakby obraz oskarżał sam siebie.

Belmonte zawahał się, zmieszany.

- Oskarżał? To trochę wykracza poza mój tok rozumowania - zadumał się przez chwilę, po czym jednym mchem brwi wykluczył ten niezrozumiały dlań watek.

Miałem na myśli coś innego... - pokazał w kierunku gramofonu. - Niech pani posłucha Bacha.

- Jak zwykle.

Belmonte uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Dzisiaj nie planowałem towarzystwa Johanna Sebastiana, ale postanowiłem go przywołać na pani cześć. Mówię o Suicie francuskiej numer 5. Proszę zauważyć: ta kompozycja składa się z dwóch połówek, każda z nich zostaje powtórzona. Tonika pierwszej połowy to G, ale gdy dobiega do końca, jest już w tonacji D... Kojarzy pani? I teraz proszę o uwagę: wydaje się, że utwór skończył się w tej tonacji, ale nasz podstępny Bach kaze nam raptem wrócić do początku, znów mamy tonikę G i znów transpozycję na D. Nawet nie wiemy jak, a dzieje się to raz za razem... I co pani na to?

- Pasjonujące - Julia śledziła z zapartym tchem zmiany akordów. - To jak nieustająca petla... Jak obrazy i rysunki Eschera, gdzie rzeka płynie, spada kaskada i w niewytłumaczalny sposób trafia do punktu wyjścia... Albo schody, które prowadzi donikąd, do własnego początku.

Belmonte uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Właśnie. A przecież można grać według różnych kluczy. - Spojrzał na pusty prostokąt na ścianie. - Trudno jest, jak sądzi, zdać sobie sprawę, w którym punkcie tych kregów człowiek się znajduje.

- Ma pan rację. Ciężko byłoby mi to panu wytłumaczyć, ale coś podobnego jest w całej sprawie obrazu. Kiedy już się wydaje, że historia się kończy, nagle zaczyna się na nowo, choć w trochę innym kierunku. Pozornie w innym... Bo może wcale nie ruszamy się z miejsca.

Belmonte wzruszył ramionami.

- Ten paradoks muszą rozstrzygnąć państwo, pani i pani znajomy szachista. Mnie brakuje danych. Poza tym, jak pani wie, jestem amatorem. Nawet nie byłem w stanie domyslić się, że te partie trzeba rozegrać do tyłu. - Zapatrzył się na Julię. - A mając Bacha na uwadze, to z mojej strony błąd nie do wybaczenia.

Dziewczyna wsunęła dłoń do torebki po paczkę papierosów i zadumała się nad najnowszymi niespodziewanymi interpretacjami. Po nitce do kłębka - pomyślała. - Za dużo tych nici jak na jeden kłebek.

- A poza policją i mną odwiedzał pana ostatnio ktoś, kto interesował się obrazem...? Albo szachami?

Starzec zwlekał z odpowiedzią, może usiłując doszukać się w tym pytaniu ukrytych intencji. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Ani tym, ani tym. Kiedy żyła moja żona, istotnie, ludzie tu przychodzili. Była bardziej towarzyską ode mnie. Od kiedy jestem wdowcem, utrzymałem zaledwie paru przyjaciół. Na przykład Estebana Cano. Pani jest za młoda, żeby pamiętać czasy, gdy był wziętym skrzyptakiem... Ale umarł zimą, teraz będzie już dwa lata... Prawde mówiąc, mój stary, niewielki krag towarzyski stale się zmniejsza. Należy do nielicznych, co przeżyli - uśmiechnął się z rezygnacją. - Jeszcze jest Pepe, dobry przyjaciel. Pepin Perez Gimenez, też na emeryturze, do dzisiaj chadza do kasyna i wpada tu od czasu do czasu uciąć partyjkę. Ale ma już prawie siedemdziesiąt lat i silne bóle głowy, jak gra dłużej niż pół godziny. Swego czasu był wielkim szachistą... Czasami grywa ze mną. Albo z moją bratanicą.

Julia brała właśnie papierosa do ręki, ale w tym momencie zamarła. Powróciła do przerwanej czynności bardzo powoli, jakby się bała, że gwałtowny albo niecierpliwy gest może zatrzeć to, co przed chwilą usłyszała.

- Panska bratanica gra w szachy?

- Lola...? Całkiem nieźle. - Inwalida uśmiechnął się w szczególny sposób, załując może, że ta zaleta bratanicy nie ma siostrzy w innych dziedzinach życia. - Sam przed laty nauczyłem ją grać. Ale przerosła mistrza.

Julia z najwyższym trudem starała się zachować spokój. Siła woli niespiesznie zapaliła papierosa i zanim przemówiła, wypuściła dwie długie smugi dymu. Serce trzepotało jej w piersiach. Strzeliła na ślepo.

- Co panska bratanica sądzi o obrazie...? Jest zadowolona, że zdecydował się pan go sprzedać?

- Jest cała w skowronkach. A jej mąż tym bardziej - w głosie Belmontego zabrzmiała nutka gorzkości. - Przypuszczam, że Alfonso już z góry wie, na które numery w ruletce postawi każdego centyma uzyskanego z van Huysa.

- Jeszcze ich nie ma - zauważyła Julia, wpatrując się w gospodarza.

Inwalida z niezmaconym spokojem wytrzymał to spojrzenie i dłuższą chwilę nie odpowiadał. W jego jasnych, wilgotnych oczach pojawił się surowy blask, by po chwili zgasnąć.

- Za moich czasów - powiedział z niespodziewanym dobrym humorem, a Julia mogła teraz dostrzec w jego oczach jedynie łagodną ironię - mawiało się, żeby nie dzielić skóry na żywym niedźwiedziu.

Julia poczęstowała go papierosem.

- Czy bratanica poruszała kiedykolwiek temat zagadki obrazu, postaci albo samej partii szachów?

- Nie przypominam sobie. - Stary zaciągnął się głęboko dymem. - Pani pierwsza przyniosła nam nowiny o obrazie. Dla nas to był zawsze obraz szczególny, ale nie niezwykle... Ani tajemniczy. - Spojrzał w zamysleniu na prostokąt na ścianie. - Wydawało się, że wszystko jest na wierzchu.

- A nie wie pan, czy zanim albo w czasie, kiedy Alfonso przedstawił państwu Menchu Roch, panska bratanica dogadywała się z kims innym?

Belmonte zmarszczył czoło. Najwyraźniej taka ewentualność bardzo mu była nie w smak.

- Mam nadzieje, ze nie. Koniec konców, to byl mój obraz. - Popatrzył na papierosa w reku wzrokiem, jakim umierający spogląda na święte oleje, i na jego ustach pojawił się słaby chytry uśmiezek, nie pozbawiony inteligentnej złośliwości. - I ciągle jest mój.

- Pozwoli pan, don Manuelu, że jeszcze o coś zapytam?

- Pani pozwole na wszystko.

- Czy słyszał pan kiedykolwiek, żeby bratanica rozmawiała z mężem o zasięgnięciu opinii historyka sztuki?

- Nie sądzę. Nie przypominam sobie, a chyba o czymś takim bym nie zapomniał... - Patrzył na Julię zaintrygowany i pełen podejrzeń. - Profesor Ortega zdaje się być kimś takim, prawda...? Historykiem sztuki. Nie sugeruje pani chyba...

Julia postanowiła zwijać z głę. Wolala nie posuwac się za daleko, więc wybrnęła z sytuacji za pomocą najpiękniejszego ze swoich uśmiechów.

- Nie myślałam o Alvarze Ortedze, ale o jakimkolwiek historyku sztuki... Ale to nic dziwnego, jeśli była ciekawa, ile obraz jest wart albo jakie są jego dzieje...

Belmonte zerknął zadumany na plamy pokrywające wierzch jego dłoni.

- Nigdy o tym nie wspominała. Spodziewam się zresztą, że powiedziała mi, bo dużo rozmawialiśmy o van Huysie. Zwłaszcza kiedy rozgrywaliśmy tę samą partię, nad którą siedzą postacie... Rzecz jasna graliśmy ją do przodu. Wie pani co...? Chociaż przewaga jest po stronie białych, Lola, grając czarnymi, zawsze wygrywała.

Prawie przez godzinę chodziła tam i sam we mgle i usiłowała uporządkować myśli. Na twarzy i włosach perlily jej się krople wilgoci. Przeszła obok wejścia do hotelu Palace, którego odzwierciedlony, wystrojony w cylinder i uniform ze złotymi galonami, schronił się pod markiza, owinięty w płaszcz, który nadawał mu bardzo dziewiętnastowieczny i londyński wygląd, jak ulal do mgły. Brakuje tu jeszcze - pomyślała - dorożki z latarnią przycmioną na skutek smogu, oraz wysiadających z niej Sherlocka Holmesa i jego wiernego Watsona. A gdzieś w brudnej mgle mógłby czaić się niecny profesor Moriarty. Napoleon zbrodni. Geniusz zła.

Za dużo ludzi gra ostatnio w szachy. Każdy może mieć wystarczające powody, żeby interesować się van Huyssem. Za dużo portretów dostrzega wewnątrz tego cholernego obrazu.

Munoz. On był jedyną osobą, która poznała po tym, jak pojawiła się tajemnica. Podczas niespokojnych godzin, kiedy przekreślała się w łóżku, na próżno kuszac sen, tylko jego nie widywała w koszmarnych wizjach. Na jednym końcu kłębka Munoz, a cała reszta postaci na drugim. Ale jego też nie mogła być pewna. Rzeczywiście, poznała go potem, kiedy pierwsza tajemnica już się ujawniła, ale zanim historia wróciła do punktu wyjścia i nabrała odmiennej tonacji. Przy tak zaawansowanym splocie wydarzeń nie można było mieć absolutnej pewności, że śmierć Alvara i pojawienie się tajemniczego szachisty to elementy tego samego posunięcia.

Zrobiła jeszcze parę kroków i stanęła, czując, że twarz ma cała mokra od otaczającej mgły. W

ostatecznym rozrachunku pewna mogła być tylko siebie samej. Tylko tym dysponowała, żeby iść naprzód. Tym - i pistoletem, który dalej nosiła w torebce.

Poszła do klubu szachistów. W holu leżały trociny, widac było parasole, płaszcze i peleryny, unosił się zapach wilgoci, dymu tytoniowego i szczególna won miejsc uczeszczanych wyłącznie przez mężczyzn. Przywitała się z dyrektorem Cifuentesem, który usłownie wyszedł jej na spotkanie, a gdy pomruki na widok dziewczyny jęły cichnąć, rozejrzała się po stołach, chcąc odnaleźć Munoz. Siedział pochłonięty grą, oparty łokciem o poręcz krzesła. Nieruchomy, z podbródkiem w dłoni, przypominał sfinksa. Jego przeciwnik, młody człowiek w grubych okularach dalekowidza, oblizywał wargi i strzelał niespokojnymi spojrzeniami w kierunku wytrawnego gracza, jakby obawiał się, że ten łąka chwila zniszczy misterna linię obronna, która, sędząc po nerwowym zachowaniu i wyczerpanej minie, zbudował wokół własnego króla z najwyższym wysiłkiem.

Munoz był jak zwykle spokojny i nieobecny i można by przysiąc, że jego oczy nie tyle studiują szachownice, ile raczej odpoczywają patrząc na nią. Kto wie, może właśnie oddawał się tym marzeniom, o których kiedyś opowiadał Julii, szybował myślą tysiące kilometrów od stolika szachowego, a jego matematyczny umysł układał i wykluczał nieskonczone kombinacje? Trzech czy czterech kibiców przyglądało się rozgrywce z pozornie większym zainteresowaniem, niż dawało się zauważyć u samych zawodników. Co i raz wymieniali po cichu komentarze, sugerując taki czy inny ruch. Napiecie panujące wokół stołu kazało przypuszczać, że oczekiwano teraz decydującego posunięcia Munoz, które ostatecznie pogrzebie młodego okularnika. To dodatkowo tłumaczyło nerwy tego ostatniego, który oczami wyolbrzymionymi przez szklane soczewki patrzył na swojego przeciwnika niczym niewolnik na arenie, otoczony przez lwów, co błaga o zmiłowanie wszechpotężnego cesarza w purpurach.

W tym momencie Munoz podniósł wzrok i zobaczył Julię. Przez parę sekund przypatrywał jej się uważnie, jak gdyby jej nie poznał, po czym powoli wrócił do siebie ze zdziwieniem na twarzy. Przypominał kogoś, kto zbudził się ze snu albo przyjechał z dalekiej podróży. Gestem zaprosił dziewczynę w pobliże stolika, jego spojrzenie wyraźnie się ożywiło. Znowu zerknął na szachownice, chcąc sprawdzić, czy tam wszystko w porządku, by w końcu bez wahania, nie spiesząc się i nie na chybcika, ale z rozmysłem - przesunąć pionka. Wokół stołu rozległ się pomruk rozczarowania, a młody okularnik popatrzył na niego najpierw zdumiony, jakby był skazancem ulaskawionym tuż przed egzekucją, następnie zaś uśmiechnięty i zadowolony.

- No, dalej to już warcaby - ocenił któryś z gapiów.

Munoz, wstając od stołu, wzruszył ramionami.

- Tak - odparł. Nie patrzył już na szachownice. - Ale goniec na d7 doprowadziłby do mata w pieciu.

Porzucił grupkę i podszedł do Julii, tymczasem kibice studiowali wariant, o którym przed chwilą mówił. Julia ukradkiem pokazała w ich stronę.

- Musza nienawidzić pana z całego serca - rzekła cicho.

Szachista przechylił głowę, a jego minę równie dobrze można było uznać za daleki uśmiech, jak i za grymas pogardy.

- Pewnie tak - odpowiedział, wziął do ręki płaszcz i ruszył naprzód. - Złatają się jak sepy, w nadziei że będą świadkami, jak ktoś mnie wreszcie rozszarpie na strzępy.

- Ale pan pozwala z sobą wygrać... Dla nich to musi być upokarzające.

- Mniejsza o to - w jego głosie nie było śladu zadufania ani dumy, tylko bezinteresowna wzdarda. - Za nic w świecie nie chcą stracić żadnej mojej partii.

W szarej mgłę okalającej muzeum Prado Julia poinformowała go o okolicznościach rozmowy z Belmontem. Muñoz wysłuchał do końca bez słowa komentarza, nawet kiedy dziewczyna wyjawiała mu, jakie hobby ma bratanica. Wilgoc nie przeszkadzała szachistom: spacerował powoli, wsłuchany w opowieść Julii, w rozpiętym płaszczu, z poluznionym, jak zwykle, węzłem krawata. Głowe miał pochylone, a oczy wbite w niezbyt czyste czubki butów.

- Pytała mnie pani kiedyś, czy kobiety też grają w szachy... - odezwał się w końcu. - Odpowiedziałem wtedy, że wprawdzie szachy są grą typowo męską, ale zdarzają się dobre szachistki. Tyle że należą do wyjątków.

- Które, jak podejrzewam, potwierdzają reguły.

Muñoz potarł dłoń o czoło.

- Złe pani podejrzewa. Wyjątek nie tylko potwierdza, ile unieważnia albo niszczy wszelkie reguły... Dlatego tak bardzo trzeba uważać przy wyprowadzaniu wniosków. Ja tylko powiedziałem, że kobiety słabo grywają w szachy, a nie, że wszystkie złe grają. Rozumie mnie pani?

- Rozumiem.

- Nie przeczy to faktowi, że w praktyce kobiety mają nienadzwyczajne wyniki jako szachistki... Dam pani przykład: w Rosji, gdzie szachy są narodową rozrywką, tylko jednej kobiecie - Wierze Mienczik, udało się dorównać największym mistrzom.

- Z czego to wynika?

- Może z tego, że szachy wymagają zbyt dużej obojętności na świat zewnętrzny. - Zatrzymał się i popatrzył na Julię. - A jaka jest ta Lola Belmonte?

Dziewczyna zamysliła się.

- Nie wiem, jak ją określić. Antypatyczna. Być może despotka... Agresywna. Szkoda, że nie było jej w domu, jak poszliśmy tam obydwój.

Stali koło cembrowiny kamiennej fontanny, zwieńczonej niewyraźną sylwetką posagu, który groźnie pochylał się ku nim w mgłę. Muñoz przyglądał włosy do tyłu, spojrzał na zmoczoną dłoń i wytarł ją o płaszcz.

- Agresja, zewnętrzna albo wewnętrzna, charakteryzuje wielu graczy - uśmiechnął się zdawkowo, nie precyzując, czy ta definicja obejmuje także jego. - Szachista zazwyczaj utożsamia się z człowiekiem osaczonym, w jakiś sposób uciskanym... Atak na króla, czyli sens gry, zamach na władzę, byłby więc formą wyzwolenia się z tego stanu. Widziana z takiej perspektywy gra może zainteresować kobiety... - przez usta Muñoz znów przebiegł słaby uśmiech. - Podczas rozgrywki ludzie wokół wydają się bardzo małutcy.

- A poprzez ruchy naszego przeciwnika odkrył pan u niego podobną cechę?

- To nielatte pytanie. Mam za mało danych. Za mało ruchów. Na przykład: kobiety wykazują często predylekcje do gry góncami - wchodzić w szczegóły, Munoz wyraźnie się ożywił. - ...Nie znam przyczyn, dla których tak się dzieje, ale być może ta figura, poruszająca się bardzo w głąb szachownicy i po przekątnej, ma najbardziej żeński charakter ze wszystkich. - Machnął ręką, jakby sam nie przywiązywał specjalnej wagi do tego, co mówił, i chciał wymazać własne słowa. - Na razie jednak czarne gonce nie odgrywają w naszej partii ważnej roli... Jak pani widzi, mamy mnóstwo pięknych teorii, które do niczego nie służą... Stoimy przed problemem podobnym do tego na szachownicy: jesteśmy w stanie sformułować hipotezy, domysły, ale bez dotknięcia bierki.

- A zdradzi mi pan którąś hipotezę...? Czasem mam wrażenie, że doszedł pan do jakichś wniosków, ale nie chce ich nam pan wyjawiać.

Munoz przechylił głowę, jak zwykle, gdy miał się zmierzyć z trudnym zagadnieniem.

- To skomplikowana sprawa - odparł po krótkim wahaniu. - Mam w głowie parę koncepcji, ale stoję przed problemem, o którym właśnie pani powiedziała... W szachach nie ma sposobu, żeby coś udowodnić, dopóki nie zrobi się ruchu, a wtedy już za późno na korektę.

Ruszyli dalej, mijając z jednej strony kamienne ławki, z drugiej zamazane we mgle ogrodzenia. Julia westchnęła cicho.

- Gdyby ktoś mi powiedział, że będę iść śladem mordercy po szachownicy, uznałabym, że oszalał. Do imentu.

- Już mówiłem pani, że szachy mają dużo wspólnego z dochodzeniem policyjnym. - Munoz znowu machnął dłonią w powietrze, jakby przesuwając figurę po planszy. - Jeszcze przed Conan Doyle'em ma pani metodę analityczną Lupina, u Poe.

- Edgara Allana Poe...? Nie uwierzę, że on też grał w szachy.

- Był wielbicielem szachów. Najsłynniejsza anegdota jest jego śledztwo w sprawie tak zwanego Gracza Maelzela, który prawie nigdy nie przegrał partii... Poe poświęcił mu esej napisany w tysiąc osiemset trzydziestym którymś. Żeby rozwiązać jego zagadkę, przeprowadził szesnastę wariantów analitycznych, by wreszcie dojść, że wewnątrz automatu musi znajdować się ukryty człowiek.

- I to samo pan robi? Szuka ukrytego człowieka?

- Próbuje, ale to niczego nie gwarantuje. Nie jestem Allanem Poe...

- Oby się panu udało, to leży w moim interesie... Pan jest moja ostatnia nadzieja.

Munoz poruszył ramionami i milczał przez chwilę.

- Nie chciałbym, żeby się pani za bardzo ludziła - rzekł, przeszedłszy kilka kroków. - Kiedy zaczynałem grać w szachy, były takie momenty, w których sadziłem, że nie przegram żadnej partii... I nagle, w samym środku euforii, padałem pokonany i dopiero klęska pozwalała mi znów stanąć twardo na ziemi - przymknął oczy, jakby czaił się na kogoś we mgle. - Okazuje się, że każdy znajdzie lepszego od siebie przeciwnika. Dlatego dobrze jest trwać w zdrowej niepewności.

- Mnie ta niepewność wykańcza.

- Ma pani powody, by tak to odczuwać. Przystępując do partii, szachista wie, że walka będzie bezkrwawa. Pocięsza się, że to w końcu tylko gra... Pani przypadek jest inny.

- A pan...? Uważa pan, że on domyśla się pańskiej roli w tej historii?

Munoz zrobił wymijającą minę.

- Nie mam pojęcia, czy on wie, kim jestem. Ale jest pewien, że ktoś potrafi odczytać jego posunięcia. W innym razie gra nie miałaby sensu.

- Chyba powinniśmy odwiedzić Lole Belmonte.

- Zgoda.

Julia spojrzała na zegarek.

- Jesteśmy blisko mojego domu, więc najpierw zapraszam pana na kawę. Jest u mnie Menchu, pewnie już wstała. Ma problemy.

- Poważne?

- Na to wygląda. Wczoraj w nocy zachowywała się nad wyraz dziwnie. Chciałabym, żeby pan ją poznał - zamysliła się z niewesołą miną. - Zwłaszcza teraz.

Przeszli na drugą stronę alei. Samochody jechały powoli, oslepiając ich światłami.

- Jeśli to Lola Belmonte zorganizowała cały ten horror - rzekła Julia nagle - to ja zamorduję tymi rekami...

Munoz popatrzył na nią zaskoczony.

- Założywszy, że teoria o agresywności jest słuszna - powiedział, a Julia stwierdziła, że spogląda na nią z nieznanym jej dotychczas, pełnym zainteresowania szacunkiem - to byłaby z pani znakomita szachistka, o ile chciałaby pani poświęcić się szachom.

- Już zaczęłam - odparła, patrząc z niechęcią na otaczające ją metne, mgliste cienie. - Od jakiegoś czasu gram w szachy. I za cholere mnie to nie bawi.

Wsunęła klucz w potężny zamek i przekreśliła go dwukrotnie. Munoz czekał obok na podestwie. Składał na ramieniu płaszcz, który właśnie zdjął.

- Wszystko jest rozbebeszone - powiedziała. - Rano nie miałam czasu posprzątać...

- Nie ma znaczenia. Najważniejsza jest kawa.

Julia weszła do pracowni, położyła torebkę na krześle i rozsunęła żaluzje w lukarnie. Mglista jasność dnia napłynęła do środka, oblewając wewnątrz szarym światłem, niezdolnym rozgonić cieni z najdalszych zakątków mieszkania.



- Za ciemno - powiedziała i podeszła do kontaktu lampy. W tym momencie zobaczyła zdziwienie w oczach Munozy i w naglej panice pobiegła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Gdzie postawiła pani obraz? - spytał szachista. Nie odpowiedziała. Głęboko w niej coś peкло. Wpatrywała się nieruchomo, szeroko otwartymi oczyma, w puste sztalugi.

- Menchu - wymamrotła po chwili, czując, że wszystko się w niej wywraca. - Zapowiadała mi to wczoraj w nocy, a ja, jak ta głupia, nie zwróciłam uwagi...!

Zoładek skurczył się jej w odruchu potwornych mdłości, w ustach poczuła gorzka żółć. Spojrzała nieprzytomnie na Munozę i, nie mogąc się dłużej powstrzymać, popędziła do łazienki. W przedpokoju opadły z niej siły, stanęła, oparła się o futryne drzwi do sypialni. I wtedy zobaczyła Menchu. Leżała na podłodze u nóg łóżka, twarzą do góry, a chustkę, która została uduszona, jeszcze miała zawiązana wokół szyi. Sprawca podciągnął jej groteskowo spódnice aż do pasa, a między nogi wbil szyjkę butelki.

## XII. Hetman, skoczek, goniec

Ja nie gram martwymi białymi i czarnymi

bierkami. Gram istotami ludzkimi z krwi i kości.

Emanuel Lasker

Zgodnie z poleceniem sędziego śledczego ciało denatki można było zabrać dopiero o siódmej, kiedy na dworze zrobiło się ciemno. Przez całe popołudnie po mieszkaniu krecili się w te i we w te policjanci i funkcjonariusze sadu okręgowego, uwijający się w sypialni i przedpokoju w błyskach fleszy. W końcu wynieśli Menchu na noszach, w plastikowej białej torbie zasuniętej na zamek. Została tylko jej kredowa sylwetka na podłodze, obojętna reka narysowana przez jednego z inspektorów, których uzbrojona Julia przyłapała w niebieskim fordzie na Rastro.

Nadinspektor Fejjo wyszedł na ostatku, ale przedtem jeszcze przez prawie godzinę uzupełniał zeznania, jakie złożyli wcześniej Julia i Munoz, a także Cesar, który zjawił się natychmiast po ich telefonie. Policjant, który nigdy w życiu nie miał w reku szachów, był wyraźnie skonsternowany. Spoglądał na Munozę jak na raroga, nieufnie przyjmując jego techniczne wyjaśnienia, tylko co chwila popatrywał na Cesara i Julię, jakby zastanawiał się może, czy we trójce nie robia z niego gigantycznego wala.

Na przemian notował, dotykał węzła krawata i sięgał do kieszeni, by rzucić tepym wzrokiem na tekturową karteczkę, znalezioną koło ciała Menchu. Widniały na niej zapisane na maszynie znaki, które Munoz podjął się mu wytłumaczyć, ale policjanta zaczęła od tego tylko potwornie boleć głowa.

Naprawdę interesowała go tu jedna rzecz: czego dotyczyła kłótnia, jaka stoczyła poprzedniego wieczoru właścicielka galerii ze swoim narzeczonym. Albowiem - jak wynikało z raportu przedstawionego po południu przez wysłanych na miejsce funkcjonariuszy Maximo Olmedilla Sanchez, kawaler, lat dwadzieścia osiem, z zawodu model pracujący w reklamie, przebywał w miejscu nieznanym. Dla wyjaśnienia: dwóch świadków, taksówkarz i odzwierny sąsiedniej posesji, rozpoznało go z rysopisu jako młodego mężczyznę, który opuszczał brame domu Julii między dwunastą a dwunastą piętnastą w południe. Natomiast według wstępnego rozpoznania lekarza sądowego Carmen Roch po otrzymaniu śmiertelnego ciosu w tylną część czaszki została uduszona przez osobę stojącą z przodu, pomiędzy jedenastą a dwunastą. Butelkę tkwiła między nogami (trzy czwarte litra dzinu Beefeater, prawie nie ruszone), do której Feijoo powracał z niemilosierdnym uporem - w ramach odwetu za szachowa kolomyjka, zafundowana mu przez trójkę rozmówców - sam był skłonny uznać za ważny dowód, bo w grę całkiem prawdopodobnie mogła wchodzić zbrodnia w afekcie. Przecież denatka - tu zmarszczył czoło z wypisaną na twarzy mądroszcina ludowa, że niby kto mieczem wojuje... według zgodnych wyjaśnień, złożonych przez samą Julię i don Cesara, nie należała do osób o nieposzlakowanej moralności. Co zaś do związku tej sprawy ze śmiercią profesora Ortegi, mieli do czynienia z oczywistym łącznikiem w postaci zniknięcia obrazu. Feijoo rzucił jeszcze kilka uwag, wysłuchał odpowiedzi Julii, Mimoza i Cesara na kolejne pytania, po czym pożegnał się, prosząc, żeby stawili się nazajutrz rano w komisariacie.

- A pani, panienko, może już się nie bac - zatrzymał się w progu i popatrzył na Julię z miną stróża prawa, który panuje nad sytuacją. - Już wiemy, kogo mamy szukać. Dobranoc.

Zamknawszy za nim, Julia oparła się plecami o drzwi i spoglądała na przyjaciół. Jej spokojne już oczy były mocno podkrążone - dużo tego dnia płakała z rozpacz i wściekłości, że jest tak bezradna. Najpierw, przy Munozie, po cichu, zaraz po odkryciu ciała Menchu. Potem, kiedy zjawił się wyraźnie oniemiały i przerażony okropną nowiną Cesar, objęła go rękami jak małą dziewczynkę i, wpijając się w jego ubranie, wybuchła głośnym szlochem. Nie mogła już dłużej nad sobą zapanować. Szeptane jej na ucho przez antykwariusza słowa pociechy na nic się nie zdawały. Do takiego stanu doprowadziła ją nie tylko śmierć przyjaciółki, ale - jak wyznała dławiąc się strumieniami łez, które paliły jej policzki - nieznosne napięcie ostatnich dni i upokarzająca świadomość, że morderca zupełnie bezkarnie gra ich losami, wiedząc, że są na jego łasce.

Przesłuchanie odniosło w każdym razie jeden pozytywny skutek: przywołało ją do rzeczywistości. Niebotyczna tepota, z jaką Feijoo nie dopuszczał do siebie rzeczy oczywistych, zakłamanie, z jakim potakiwał podawanym przez ich troje informacjom, kompletnie nic nie pojmując - te fakty uzmysłowiły jej, że ze strony policji nie powinna liczyć na zbyt wiele. Po telefonie od funkcjonariusza wysłanego do Maxa i po zeznaniach dwóch świadków Feijoo, bezmyślnie jak typowy gliniarz, doszedł do następującego wniosku: najprostszym motywem jest motywem najbardziej prawdopodobnym. Zgoda, całkiem ciekawa ta historyjka z szachami. Na pewno pozwoli uzupełnić kilka szczegółów. Natomiast jeśli chodzi o sedno sprawy, to trzeba ją traktować raczej anegdotycznie... Kluczem jest butelka. Patologia znana z dziejów kryminalistyki. Bo wbrew temu, co się czytuje w powieściach kryminalnych, panienko, pozory nigdy nie mylą.

- No to teraz nie ma wątpliwości - powiedziała Julia. Na schodach jeszcze słychać było kroki Feijoo. - Alvaro został zamordowany, podobnie jak Menchu. Ktoś od dawna ukrywał się za obrazem.

Koło stołu stał Munoz, z rękami w kieszeniach marynarki, i wpatrywał się w papier, na którym tuż po odejściu nadinspektora zapisał treść karteczki, znalezionej koło trupa. Cesar siedział na sofie, na której Menchu spędziła ostatnia noc, i osłupiały gapił się na puste sztalugi. Słyszac słowa Julii, pokręcił głową.

- To nie był Max - powiedział po krótkim zastanowieniu. - To całkowicie wykluczone, żeby ten balwan

potrafił wszystko zorganizować.

- Ale był tutaj. Przynajmniej na klatce.

Antykwariusz skulił się w sobie wobec tego dowodu, ale nie wyglądał na przekonanego.

- W takim razie ktoś jest z nim w zмовie... Jeżeli Max był, nazwijmy to, ślepym mieczem, do kogoś innego musiała należeć ręka. - Uniósł powoli dłoń i palcem wskazującym pukał się w czoło. - Do kogoś, kto jest tu mózgiem.

- Do tajemniczego szachisty. Który wygrał partię.

- Jeszcze nie - odezwał się Muñoz ku ich zaskoczeniu.

- Ma obraz - wyjaśniła Julia. - Jeśli to nie oznacza zwycięstwa...

Szachista podniósł wzrok znad notatki leżącej na stole. W jego oczach można było dostrzec podziw i fascynację, a rozszerzone źrenice zdawały się widzieć gdzieś dalej, poza czterema ścianami pokoju, w świecie trudnych kombinacji, jakiś wzór matematyczny.

- Z obrazem czy bez obrazu, partia będzie się toczyć dalej - powiedział i pokazał im kartkę:

...H:W

He7 (?) - Hb3+

Kd4 (?) - b7:c6

- Tym razem - dodał - zabójca nie proponuje jednego ruchu, ale trzy. - Podeszedł do płaszcza przewieszzonego przez oparcie krzesła i wyciągnął składane szachy. - Pierwszy jest ewidentny: H:W, czarny hetman bije białą wieżę... Menchu Roch została zamordowana właśnie w ramach tej symboliki, wedle której pani znajomy Alvaro, a na obrazie Roger d'Arras, byli białymi skoczkami - nie przerywając mówienia, ustawiał sytuację na planszy. - Czarny hetman zbil więc do tej pory w naszej partii tylko dwie figury. W wymiarze praktycznym - zerknął na Cesara i Julię, którzy podeszli do szachownicy - tym dwóm zbitym figurkom odpowiadają dwa morderstwa... Nasz przeciwnik utożsamia się z czarną królową, czyli hetmanem. Kiedy inna czarna bierka bije, jak zdarzyło się dwa posunięcia temu, gdy straciliśmy pierwszą wieżę, nic szczególnego się nie wydarzyło. Przynajmniej o ile wiemy. Julia pokazała na papier.

- Dlaczego postawił pan znaki zapytania przy dwóch kolejnych ruchach białych?

- Ja ich nie postawiłem. Były na bilecikach. Morderca przewiduje nasze kolejne ruchy. Mam wrażenie, że jest to forma zaproszenia, żebyśmy je wykonali... "Jeśli wy zrobicie tak, ja zrobię tak", mówi do nas. W ten sposób - przesunął kilka bierek - sytuacja wygląda następująco.

- ...Jak państwo widzą, zaszły poważne zmiany. Po zbitiu naszej wieży na b2 czarne przewidziały, że zdecydujemy się na posunięcie optymalne, przesuwając naszego hetmana z pola e1 na e7. Zyskujemy w ten sposób pewną przewagę: powstaje przekątna linia ataku na czarnego króla, i tak już mocno

osaczonego wobec sąsiedztwa białego skoczka, gonia i pionów... Uznawszy, że zagramy tak, jak właśnie zagraliśmy, czarny hetman przechodzi z b2 na b3, żeby wesprzeć kontrgrę swojego króla i zaszachować białego, na co my nie mamy innego ratunku, jak tylko, co zresztą czynimy, uciec królem na sąsiednie pole, z c4 na d4, poza zasięg hetmana...

- To już trzeci szach, jakiego nam daje - zauważył Cesar.

- Tak. Można to rozumieć rozmaicie... Na przykład: do trzech razy sztuka, i za trzecim razem morderca kradnie obraz. Chyba zaczynam go powoli poznawać. Także jego szczególne poczucie humoru.

- A co teraz? - zapytała Julia.

- Teraz ofiarowujemy czarnym białego piona z c6, bije go czarny pion, który stał na polu b7. To posunięcie osłania czarny skoczek z b8... Potem następuje nasza kolej, ale przeciwnik niczego nam dalej na kartce nie sugeruje... Może mówi w ten sposób, że odpowiedzialność za następne nasze posunięcia spada już wyłącznie na nas.

- I co my zrobimy? - zainteresował się Cesar.

- Jest tylko jedna korzystna opcja: grać dalej białym hetmanem. - Tu szachista spojrzał na Julię. - Ale to także oznacza, że ryzykujemy jego utratę.

Julia wzruszyła ramionami. Pragnęła tylko dotrzeć do końca, niezależnie od ryzyka.

- No to jedziemy z tą królową.

Cesar złożył ręce za siebie i pochylił się nad szachownicą, jakby to była sztuka starej porcelany niewiadomej wartości, którą chciał ocenić.

- Ten biały skoczek na b1 też nie najlepiej wygląda - rzekł cicho do Munoz. - Nie sądzi pan?

- Owszem. Wątpię, żeby czarne na długo darowały mu życie. Stwarza potencjalne zagrożenie na tyłach i stanowi doskonałe wsparcie przy ataku białego hetmana... Podobnie zresztą jak biały goniec na d3. Obydwie te figury plus hetman mają kluczowe znaczenie.

Mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu i Julia dostrzegła coś, czego przedtem między nimi nie było: silna niechęć. Przypominali połączonych stracencza solidarnością dwóch Spartan pod Termopilami, którzy łowią z oddali dźwięki zbliżających się perskich wozów bojowych.

- Wiele bym dał, żeby wiedzieć, która figura jest każde z nas... - oznajmił Cesar, unosząc brew. Na jego ustach zakwitł błady uśmiech. - Prawde mówiąc, nie chciałbym wystąpić w roli tego konika.

Munoz uniósł palec.

- Niech pan pamięta, skoczek to naprawdę rycerz: knight. Przy takim rozumieniu hanba znika.

- Nie chodzi mi o rozumienie słów. - Cesar przyglądał się figurze z zaniepokojeniem. - Ten konik, rycerz czy jakkolwiek go nazwiemy, ma wyrok wypisany na pysku.

- Jestem tego samego zdania.

- Pan nim jest czy ja?

- Nie mam pojęcia.

- Wyznam panu, że wolalbym wcielić się w gonca.

Munoz przechylił głowę zamysłony, nie odrywając wzroku od szachownicy.

- Ja też. Jest zdecydowanie mniej zagrożony niż skoczek.

- Właśnie o tym mówię, mój drogi.

- Życzę więc panu szczęścia.

- Nawzajem. A ostatni gasi światło.

Nastąpiła dłuższa cisza. Wreszcie Julia postanowiła ją przerwać.

- Skoro teraz jest nasza kolej, jaki zrobimy ruch...? Wspominał pan o białej królowej...

Szachista niedbale rzucił okiem na planszę. Już dawno przeanalizował każdą możliwość.

- Początkowo zamierzałem zbiciem czarnego piona na c6 naszym pionem z d5, ale to by naszemu przeciwnikowi dało za dużo swobody... Dlatego przesuniemy naszego hetmana z e7 na pole e4. W ten sposób, wycofując króla w kolejnym ruchu, możemy dać szacha czarnemu królowi. Pierwszego szacha z naszej strony.

Tym razem to Cesar ujął w palce białego hetmana i postawił go na wskazanym polu, w sąsiedztwie króla. Julia widziała, że mimo wielkiego wysiłku, jaki antykwariusz włożył w zachowanie spokoju, jego dłoń lekko drżała. - Oto nasza sytuacja - skinął głową Munoz. Wszyscy trzej patrzyli na szachownicę.

- A co on teraz zrobi? - spytała Julia. Munoz skrzyżował ręce, nie odrywając wzroku od planszy. Kiedy po jakimś czasie przemówił, od razu wiedziała, że wcale nie zastanawiał się nad kolejnym ruchem, tylko nad tym, czy powinien mówić o nim głośno.

- Ma parę wariantów - rzekł wymijająco. - Niektóre są bardziej interesujące, inne mniej... Są też bardziej niebezpieczne. Począwszy od tego momentu, ewentualny przebieg partii rozgalezie się jak drzewo. Istnieją co najmniej cztery możliwości. Część z nich wciągnie nas w długą i skomplikowaną grę, co być może jest jego zamiarem... Reszta prowadzi do rozstrzygnięcia w czterech, pięciu ruchach.

- A jak będzie pana zdaniem? - zapytał Cesar.

- Chwilowo zachowam je dla siebie. Grają czarne. Zgarnął bierki, zamknął szachownicę i wsunął ją do kieszeni płaszcza. Julia patrzyła nań z zaciekawieniem.

- Dziwne to, co pan powiedział... Mówiąc o tym, że zaczyna go pan poznawać, wspominał pan o jego poczuciu humoru... Naprawdę widzi tu pan jakiś dowcip?

Szachista nie odpowiedział od razu.

- Można by to nazwać poczuciem humoru, ironią, może jeszcze inaczej... - rzekł wreszcie. - Ale nie

ulega kwestii, że nasz wróg lubi gre słów. - Położył dłoń na kartce leżącej na stole. - Jest tu coś, czego może państwo nie zauważyli... Morderca, pisząc "H:W", wiąże śmierć państwa znajomej z wieżą zbitą przez czarnego hetmana. Panna Menchu miała na nazwisko Roch, prawda? To słowo można tłumaczyć jako "skała", ale także jako ręk, czyli po persku "rydwan". W szachach zaś terminem "roch" bądź "ruk" dawniej określano wieżę.

- Policja była tu rano - Lola Belmonte patrzyła na Julie i Munozę tak kwasno, jakby obarczała ich bezpośrednią odpowiedzialnością za wszystko, co się stało. - Było to coś... - szukała bezskutecznie słowa, wreszcie spojrzała na meza w nadziei na pomoc z jego strony.

- Bardzo nieprzyjemnego - dokończył Alfonso i dalej bezczelnie kontemplował zarys piersi Julii. Nie ulegało wątpliwości, że bez względu na to, czy policja była, czy nie, i tak dopiero co wyszedł z łóżka. Mieli przed sobą utracjusza z krwi i kości, co podkreślały podkrążone napuchnięte oczy.

- Mało powiedziane - koscista Lola Belmonte wreszcie znalazła odpowiednie określenie i poprawiła się na krześle.

- Było to coś haniebnego: czy znają państwo Iksa, Igreka... Można by pomyśleć, że jesteśmy jakimiś przestępcami.

- A przecież nie jesteśmy - dodał z cyniczną powagą mąż.

- Nie gadaj idiotyzmów. - Lola Belmonte posłała mu cierpkie spojrzenie. - Mówimy serio.

Alfonso zaśmiał się przez zęby.

- Raczej tracimy czas. Fakty są takie, że obraz się ulotnił, a z nim nasze pieniądze.

- Moje pieniądze, Alfonso - wtracił się z wózka stary Belmonte. - Jeśli wolno.

- Tak tylko mi się powiedziało, stryжку Manolo.

- No to wyrażaj się właściwie.

Julia zamieszała łyżeczką kawę w filiżance. Była ciekawa, czy bratanica gospodarza specjalnie podała jej zimną. Przyjechali tuż przed dwunastą bez zapowiedzi, pod pretekstem powiadomienia rodziny Belmonte o najnowszych wydarzeniach.

- Czy państwo sądzi, że obraz się znajdzie? - spytał stary. Był w swetrze i kapciach, uprzejmością starał się wynagrodzić oschłe zachowanie Loli. Patrzył na nich niepokieszony, z filiżanką w dłoniach. Był prawdziwie roztrzesiony na wieść o kradzieży obrazu i o śmierci Menchu.

- Policja już się tym zajęła - odparła Julia. - Jestem pewna, że go znajdzie.

- Jak rozumiem, funkcjonuje czarny rynek dzieł sztuki. I ktoś może usiłować sprzedać obraz za granicą.

- Tak, ale policja ma dokładny opis obrazu, sama dałam im sporo zdjęć. Nielatwo będzie go wywieźć.

- Nie potrafie sobie wytłumaczyć, jak mogli wejść do pani domu... Policjanci mówili, że ma pani solidne

zamki i alarm.

- Moze sama Menchu im otworzyła. Głównym podejrzanym jest jej narzeczony Max. Swiadkowie widzieli, jak wychodzil z mojej bramy.

- Znamy tego narzeczonego - odezwala sie Lola Belmonte. - Raz tu z nia byl. Wysoki, z tych przystojnych. Moze nawet za przystojny, takie mialam wrazenie... Spodziewam sie, ze szybko go dorwa i dostanie za swoje. Dla nas - spojrzala na pusty prostokat na scianie - to niepowetowana strata.

- Moze uda sie udzyskac ubezpieczenie - powiedzial jej maz, usmiechajac sie do Julii jak lis, który wszedl do kurnika. - A to dzieki tej przezornej mlodej slicznotce.

Cos sobie przypomniał i stosownie do okolicznosci spochmurniał. - Chociaz to oczywiscie nie przywróci zycia pani przyjaciółce.

Lola Belmonte popatrzyła koso na Julie.

- Przynajmniej ubezpieczenie, skoro nie byl dobrze zabezpieczony - mówiac wydymala pogardliwie dolna warge. - Ale pan Montegrifo twierdzi, ze w porównaniu z cena, jaka mógłby uzyskac, polisa to nedza.

- Rozmawiali juz panstwo z Montegrifem? - spytala Julia zaintrygowana.

- Tak. Zadzwonil natychmiast. Na dobra sprawe wykopal nas z łózka ta wiadomoscia. Dlatego wiedzielismy wszystko, kiedy przyjechala policja... Prawdziwy dzentelmen. - Bratanica popatrzyła na meza ze zle skrywana uraza. - Od razu mówilam, ze marnie tym wszystkim pokierowano.

Alfonso postanowil umyc rece.

- Nieodzalowana Menchu zlozyla dobra oferte - oswiadczył. - Nie moja wina, ze potem wszystko sie poplatalo. Poza tym ostatnie slowo zawsze mial stryjek Manolo. - Spojrzal na inwalide z teatralnym szacunkiem. - Nie mam racji?

- W tej sprawie - odparla jego zona - mozna by osobno pogadac.

Belmonte patrzyl na nia ponad brzegiem filizanki, która wlasnie podniósł do ust, a w jego oczach pojawil sie blysk, dobrze juz Julii znany.

- Obraz ciagle jest na moje nazwisko, Lolita - powiedzial, osuszywszy sobie usta wyciagnieta z kieszeni pomietta chusteczka. - Tak czy siak, czy zostal skradziony, czy tez nie zostal, sprawa dotyczy mnie - zawahal sie,

Jakby chcial dobrze rzecz przemyslec, a kiedy znów popatrzył na Julie, w jego oczach zalśniła szczerą sympatia. - Co zas do tej mlodej osoby - usmiechnal sie krzepiaco, jakby to ona potrzebowała teraz pociechy - jestem przekonany, ze postapila wlasciwie... - Zwrócił sie do Munoz, który dotad nie otworzył ust. - Nie sady pan?

Szachista siedzial wcisniety w fotel, z nogami wyciagnietymi przed siebie, palce splótl pod broda. Doslyszawszy pytanie, przekrzywil glowe i zamrugal oczami, jakby wyrwano go z glebokiej zadumy.

- Bez watpienia - odparl.

- Nadal sady pan, że każda tajemnica można rozwiązać za pomocą reguł matematycznych?

- Nadal.

Ta krótka wymiana zdań coś Julii przypomniała.

- Dzisiaj nie gra Bach.

- Po historii pani przyjaciółki i zaginięciu obrazu nie czas na muzykę - Belmonte zadumał się przez chwilę i nagle na jego ustach zakwitł tajemniczy uśmiech. - Poza tym cisza gra również ważną rolę, co zorganizowane dźwięki... Nie mam racji, panie Muñoz?

Szachista wreszcie przychylił się do jego zdania.

- Nie ulega kwestii. - Patrzył na rozmówcę z nowym zainteresowaniem. - Podejrzewam, że chodzi o coś podobnego do negatywu fotograficznego. Tło, które pozornie nie odbiło się na blonie, w rzeczywistości także zawiera informacje... Czy to samo zachodzi u Bacha?

- Ależ oczywiście. U Bacha znajdzie pan przestrzenie w negatywie, cisze również wymowne, co nuty, tematy i kontrapunkty ...Czy pańskie systemy logiczne zakładają badanie także pustych przestrzeni?

- Naturalnie. To po prostu kwestia zmiany punktu widzenia. Czasami patrzymy na ogród, który widziany z danego miejsca wydaje się chaotyczny, z innego natomiast ujawnia regularny, geometryczny układ.

- Boję się - Alfonso spoglądał na nich szyderczo - że to trochę za naukowe jak dla mnie. - Podniósł się i podszedł do barku. - Można komuś czegoś naleć?

Nikt mu nie odpowiedział, więc sam sobie przygotował whisky z lodem, oparł się o kredensik i gestem skierowanym ku Julii wznosił toast.

- Z tym ogrodem to całkiem do rzeczy - powiedział.

Muñoz nie słuchał, przyglądał się Loli Belmonte. Zastygł niby zaczajony myśliwy, w nieruchomym ciele żywe były tylko oczy, zamysłone i przenikliwe. Julia dobrze знаła już te jedyny u pozornie obojętnego Muñoz oznaki, że jego umysł pracuje i skupia się na wydarzeniach świata zewnętrznego. Teraz ruszy do ataku - pomyślała z zadowoleniem. Poczula, że jest w dobrych rekach i musiała sięgnąć po filiżankę z zimną kawą, żeby ukryć porozumiewawczy uśmiech, jaki cisnął jej się na usta.

- Jak podejrzewam - Muñoz zwrócił się flegmatycznie do bratanicy gospodarza - także dla pani był to spory cios.

- A jakże - Lola Belmonte znowu popatrzyła na stryja z wyrzutem. - Przecież ten obraz jest wart fortunę.

- Nie miałem na myśli wyłącznie strony finansowej. Zdaje się, że rozgrywała pani te partie... Często pani grywa?

- Czasami.

Jej mąż podniósł szklanke z whisky.



- Po prawdzie to całkiem niezłe gra. Nigdy nie udało mi się z nią wygrać. - Pomyślał nad tym, co właśnie powiedział, mrugnął okiem i pociągnął tego lyka. - Co oczywiście o niczym nie świadczy.

Lola Belmonte spoglądała podejrzliwie na Munoza. Na Julii sprawiała wrażenie osoby zarazem zaborczej i dwulicowej, co w jakiś sposób podkreślały jej za długie spódnice, szczupłe, przypominające szpony, kosciste dłonie i baczne spojrzenie, któremu asystowały haczykowany nos i agresywnie wysunięty podbródek. Chyba z trudem się powstrzymywała, by nie wybuchnąć, bo wyraźnie uwydatniły jej się ścięgna w dłoniach. Przypomina niebezpieczną harpię - pomyślała Julia - rozdrażniona i zuchwała. Nietrudno było wyobrazić sobie, jak się delectuje złośliwościami, mszcząc się na innych za własne kompleksy i frustracje. Skrepowana jednostka, ograniczona przez okoliczności. Atak na króla jako sprzeciw wobec każdej władzy, która nie jest jej własna, okrucieństwo i wyrachowanie, chęć odegrania się na każdym... Na stryju, na mezu... Może i na całym świecie. Obraz to obsesja jej chorego, nietolerancyjnego umysłu. Te szczupłe, nerwowe dłonie posiadały siłę, żeby zadać śmiertelny cios w kark, udusić jedwabną chustką... Bez trudu wyobraziła ją sobie w czarnych okularach i płaszczu przeciwdeszczowym. Nie potrafiła jednak ustalić żadnego powiązania między nią a Maxem. To już zakrawało na absurd.

- Nieczęsto - odezwał się Munoz - spotyka się kobiety grające w szachy.

- Owszem, gram. - Lola Belmonte wyraźnie się spłoszyła, wietrząc niebezpieczeństwo. - Przeszkadza to panu?

- Wreć przeciwnie. Bardzo mi miło... Na szachownicy można zrealizować zamysły, które w praktyce, to znaczy w rzeczywistym życiu, zdają się niewykonalne... Co pani na to?

Zrobiła jakas nieokreślona minę, jakby nigdy nie przyszło jej do głowy to, o czym mówił.

- Może. Dla mnie to tylko kolejna gra. Hobby.

- Ale ma pani chyba po temu zdolności. Podkreślam, nieczęsto spotyka się kobiety dobrze grające w szachy...

- Kobiety potrafią różne rzeczy. Inna sprawa, że nie każdy nam pozwala rozwinąć skrzydła.

W kątku ust Munoza pojawił się wyzywający uśmiešek.

- Lubi pani grać czarnymi? Zazwyczaj są zmuszane do gry obronnej... Inicjatywę mają białe.

- To bzdury. Nie rozumiem, dlaczego czarne miałyby tylko czekać na cios. Zupełnie jak kobieta w domu.

- Zerknęła z pogardą na meza. - Wszyscy uważają, że to oczywiście mężczyzna nosi spodnie.

- A tak nie jest...? - dociekał Munoz z lekkim uśmieszkiem. - ...Na przykład w partii z obrazu. Pozycja wyjściowa daje przewagę białym. Czarny król jest w opresji. A czarny hetman, przynajmniej z początku, niewiele może zdziałać.

- W tej partii czarny król nie odgrywa żadnej roli. Cała odpowiedzialność spada na czarną królową. Na nią i na pionki. Te partie wygrywa się królową i pionkami.

Munoz wyjął z kieszeni kartkę.

- Grała pani kiedyś ten wariant?

Lola Belmonte patrzyła wyraźnie skonsternowana na rozmówcę, a następnie na podaną jej kartkę. Munoz niby to bladził wzrokiem po pokoju, by wreszcie spojrzeć na Julie. Niezłe rozegrane - mógł odczytać w jej oczach, sam jednak nie dał po sobie niczego poznać.

- Chyba tak - odrzekła Lola Belmonte po chwili.

- Białe grają pionkami po kolei albo królowa w pobliżu króla, szykują się do szacha w następnym ruchu... - popatrzyła z zadowoleniem na Munozę. - Białe, chyba słusznie, postanowiły zagrać królową.

Munoz skinął głową.

- Zgadza się. Ale mnie bardziej interesuje następne posunięcie czarnych. Co by pani zrobiła?

Lola Belmonte zmrużyła podejrzliwie oczy. Usiłowała dopatrzeć się w pytaniu jakichś podtekstów. Wreszcie oddała kartkę Munozowi.

- Już od dawna nie rozgrywam tej partii, ale przypominam sobie co najmniej cztery warianty: czarna wieża bije konika, który wiezie białe do banalnego zwycięstwa na bazie królowej i pionków... Inna możliwość: chyba to konik bije pionka. Czarna królowa może też zbić wieżę, goniec może zbić pionka... Możliwości są nieskończone. - Spojrzała na Julie i znów na Munozę. - Ale nie bardzo wiem, co to ma wspólnego z...

- Co by pani zrobiła - zapytał niewzruszony Munoz, puszczać jej uwagę mimo uszu - żeby czarne wygrały...? Miedzy nami, szachistami, chciałbym wiedzieć, w którym momencie zdobyłaby pani przewagę.

Lola Belmonte popatrzyła na niego wyniosle.

- Możemy zagrać, kiedy pan zechce. Wtedy się pan dowie.

- Z rozkoszą, i trzymam pana za słowo. Ale jest jeden wariant, o którym pani nie wspomniała, może dlatego, że go pani nie pamięta. Wariant przewidujący wymianę hetmanów. - Machnął lekko ręką, jak gdyby zmiatał bierki z niewidzialnej szachownicy. - Wie pani, o czym mówię?

- Oczywiście, że tak. Kiedy czarna królowa bije pionka na d5, wymiana jest rozstrzygająca - to powiedziaławszy, Lola Belmonte uśmiechnęła się z okrutnym triumfem. - I czarne wygrywają. - Jej jastrzębie oczy znów popatrzyły z pogardą na meza, a następnie na Julie. - ...Szkoda, że pani nie gra w szachy.

- I co pan sądzi? - zapytała Julia, gdy tylko wyszli na ulicę.

Munoz lekko przechylił głowę. Szedł zewnętrzną stroną chodnika, po jej prawej stronie, i beznamiętnie zawieszał wzrok na mijanych twarzach. Podejrzewała, że wolałby uniknąć odpowiedzi.

- Z technicznego punktu widzenia - odezwał się niechętnie - to może być ona. Zna wszystkie warianty

partii, poza tym gra dobrze. Powiedziałbym wręcz, że całkiem dobrze.

- Ale nie jest pan przekonany...

- Pewne szczegóły nie pasują.

- Jest bardzo bliska naszemu wyobrażeniu o tamtym. Zna partie na wylot. Jest na tyle sprawna, żeby zabić kobietę czy mężczyznę, i ma w sobie coś niepokojącego, co sprawia na innych nieprzyjemne wrażenie. - Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, jak uzupełnić charakterystykę. - Jest chyba złym człowiekiem. Poza tym darzy mnie niewytłumaczalną antypatią... A przecież jestem taka, jaka powinna być kobieta według jej własnych słów: niezależna, nie skrepowana rodzina, raczej pewna siebie... Nowoczesna, jak by to określił don Manuel.

- I może właśnie dlatego pani nienawidzi. Za to, że pani jest tym, czym jej się nie udało być... Nie mam pamięci do tych historyjek, które pani i Cesar tak lubicie, ale zdaje się, że czarownica w końcu znenawidziła zwierciadło.

Mimo powagi sytuacji Julia wybuchła śmiechem.

- Możliwe... Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

- Widzi pani - Munoz też zdobył się na słaby uśmiech.

- Niech pani unika jabłek w najbliższych dniach.

- Stoja przy mnie moi księżeta. Pan i Cesar. Goniec i konik, prawda?

Munoz już się nie uśmiechał.

- Panno Julio, to już nie jest gra - powiedział po chwili. - Proszę o tym nie zapominać.

- Nie zapominać. - Wziela go pod ramię, na co lekko zeszywniał. Czuł się niezrecznie, ale Julia, nie puszczając go, szła naprzód. Polubiła w końcu tego dziwnego, niezrecznego i gburowatego faceta. Sherlock Munoz i Julia Watson - pomyślała, śmiejąc się w duchu pod wpływem nagłego przypływu optymizmu, który ustąpił dopiero na wspomnienie Menchu.

- O czym pan myśli? - spytała szachista.

- Ciągle o bratanicy Belmontego.

- Ja też. Prawde mówiąc, odpowiada we wszystkich szczegółach obrazowi osoby, której szukamy... Chociaż pan nie jest zdecydowany.

- Nie twierdzą, że ona nie mogła być kobietą w płaszczu. Tyle że nie rozpoznaje w niej tajemniczego szachisty...

- Ale przecież tyle rzeczy się zgadza. Czy to nie dziwne, że kobieta tak interesowna zaledwie w parę godzin po tym, jak skradziono jej obraz, nagle zapomina o oburzeniu i spokojnie gawędzi o szachach...? - Julia pociła ramię Munoz i wbiła w niego wzrok. - Albo jest hipokrytka, albo szachy znaczą dla niej więcej, niż nam się wydaje. A w każdym przypadku zaczyna być podejrzana. Może cały czas udaje. Od momentu, kiedy zadzwonił do niej Montegrifo, miała aż nadto czasu, by wiedzieć, że policja do niej

przyjdzie, przygotować sobie linie obrony, jak pan to nazywa.

Munoz skinal głowa.

- Istotnie, to możliwe. W końcu gra w szachy. A szachista potrafi uciekać się do różnych środków. Zwłaszcza gdy znajdzie się w trudnej sytuacji...

Szedł w milczeniu, wpatrując się w czubki własnych butów. Wreszcie wyprostował się i pokręcił głową.

- Nie wierzę, że to ona - dorzucił. - Od początku byłem pewien, że kiedy stanimy twarzą w twarz, coś poczuje. A nie poczułem.

- A nie przyszło panu na myśl, że za bardzo idealizuje pan przeciwnika...? - spytała Julia po chwili wahania. - ...Może rzeczywistość pana rozczarowała, dlatego zaprzecza pan oczywistym faktom?

Munoz stanął i w spokoju popatrzył na nią zmrużonymi oczami bez wyrazu.

- Owszem, przyszło mi na myśl - mruknął. - I nie wykluczam tej ewentualności.

Coś ukrywa - pomyślała Julia, nie zadowolona z tej lakonicznej odpowiedzi. Z jego milczenia, ze sposobu, w jaki przechylał głowę i patrzył niewidzącym wzrokiem, pograżony w enigmatycznych rozmyślaniach - domyśliła się z absolutną pewnością, że zajmuje go coś innego, co nie ma nic wspólnego z Lola Belmonte.

- Coś jeszcze? - spytała, nie mogąc powstrzymać ciekawości. - ... Odkrył pan coś nowego, o czym mi pan nie mówi?

Munoz nie odpowiedział.

Wpadli do sklepu Cesara, żeby opowiedzieć mu o rozmowie. Antykwariusz wyglądał ich z niecierpliwością i wyszedł im na spotkanie, ledwie usłyszał dzwonek. Miał dla nich nowinę.

- Aresztowali Maxa. Rano na lotnisku. Telefonowali z policji pół godziny temu... Jest w komisariacie Prado. I chce cię zobaczyć, Julio.

- Dlaczego mnie?

Cesar wzruszył ramionami. Znam się na porcelanie chińskiej albo na malarstwie dziewiętnastowiecznym - mówił jego gest. Chwilowo psychologia rajfurów i zbrodniarzy nie należy do jego specjalności. Do czego to doszło.

- A obraz? - zapytał Mimos. - Nie wie pan, czy go odzyskali?

- Mocno wątpię. - W niebieskich oczach antykwariusza zagłębiła się troska. - I zdaje się, tu leży problem.

Nadinspektor Fejjo wcale nie ucieszył się na widok Julii. Przyjął ją w gabinecie, gdzie urzędował pod portretem króla i kalendarzem Sił Bezpieczeństwa Państwa. Był w tak złym humorze, że nie zaprosił jej, żeby usiadła, ale natychmiast przeszedł do rzeczy.

- To troche wbrew przepisom - rzekł oschle. - Mamy do czynienia z podejrzanym o dwa zabójstwa... Upiera się jednak, że nie złoży żadnych zeznań, dopóki z panią nie pogada. A jego adwokat - miał ochotę wypluć z siebie, co naprawdę sądzi o adwokatach - przychylił się do tego.

- Jak go dopadliście?

- Bez trudu. Wczoraj wieczorem rozesłaliśmy wszędzie jego rysopis, także do straży granicznej i na lotniska. Dzisiaj rano zidentyfikowała go obsługa na Barajas, kiedy usiłował odlecieć do Lizbony na fałszywym paszporcie. Nie stawiał oporu.

- Powiedział, gdzie jest obraz?

- Nie powiedział ani słowa. - Feijoo uniósł pulchny palec z płaskim paznokciem. - Przepraszam, jedno zdradził. Że jest niewinny. To zdanie akurat często tu słyszymy. Naturalna część procedury. Ale kiedy zapoznał się z zeznaniami taksówkarza i odzwiernego, spotulniał. Zaczął się domagać adwokata... I zazała rozmowy z panią.

Wyprowadził ją z gabinetu, korytarzem aż do drzwi, których pilnował umundurowany policjant.

- Będzie tu na wypadek, gdybym był pani potrzebny. Upierał się, że chce z panią rozmawiać na osobności.

Zamknęli za nią drzwi na klucz. Max siedział na jednym z dwóch krzeseł stojących po obydwu stronach drewnianego stolika, pośrodku pustego pokoju bez okien, o ścianach obitych brudną tapetą.

- Cześć, Max.

Podniósł oczy i długo na nią patrzył. Widac było, że niewiele spał, miał niepewną, zmęczoną minę. Jak po bardzo długim, daremnym wysiłku.

- Wreszcie jakaś przyjazna twarz - powiedział z ironią i znudzeniem, gestem dłoni wskazując na drugie krzesło.

Julia poczęstowała go papierosem - chciwie zapalił, przysuwając twarz do zapalniczki, która trzymała w dłoni.

- Po co chciales mnie widziec?

Przypatrywał jej się przez chwilę, nim odpowiedział. Lekko dyszał. Już nie przypominał pięknej bestii, ale królika osaczonego w zaroślach, nasłuchującego zbliżających się przesładowców. Julie zastanowiło, czy policjanci go bili, aczkolwiek nie było widac żadnych śladów. Już nie biją ludzi - pomyślała. - Już nie.

- Chce cie ostrzec.

- Ostrzec?

Nie wyjaśnił od razu. Palil, trzymając papierosa tuż przed twarzą, dłońmi zakutymi w kajdanki.

- Już była martwa, Julio - powiedział cicho. - Ja tego nie zrobiłem. Kiedy przyszedłem do twojego domu, już nie żyła.

- To jak wszedles? Ona ci otworzyła?

- Mówie ci, że nie żyła... za drugim razem.

- Za drugim? Czyli że był pierwszy? Max, oparty łokciami o stół, strzepnął popiół na blat. Nieogolony podbródek położył na kciukach.

- Poczekaj - westchnął z niebywałym znużeniem.

- Chyba opowiem ci od początku... - Znowu włożył papierosa do ust, mrużąc oczy od dymu. - Wiesz, jak Montegrifo załatwił Menchu. Łaziła po całym domu jak dzikie zwierze, bluzgała obelgami i grozbami... Wykrzykiwała co chwila: "Okradł mnie". Usiłowałem ją uspokoić, nakłoniłem do rozmowy. Na pomysł wpadłem ja.

- Na pomysł?

- Mam znajomości. Ludzi, którzy potrafią wywieźć z kraju każdą rzecz. Poradziłem Menchu, żebyśmy ukradli van Huysa. Najpierw wpadła w obłęd, szcyciła mnie, powołując się na waszą przyjaźń i w ogóle. Dopiero po chwili dotarło do niej, że tobie krzywdy nie wyrządza. Była kryta, bo ubezpieczyła obraz, a co do twoich zysków ze sprzedaży... No, później mieliśmy ci to jakos wynagrodzić.

- Zawsze wiedziałam, Max, że kawał skurwysyna z ciebie.

- Tak. Pewnie tak. Ale co to ma do rzeczy...? W każdym razie Menchu zgodziła się na mój plan. Miała cię tylko namówić, żebyś zabrała ją do siebie. Pijana, naszprycowana, wiesz... Prawdę mówiąc nigdy bym się nie spodziewał, że tak dobrze to odegra... Potem rano, kiedy wyjdiesz, miałem zadzwonić, żeby sprawdzić, czy wszystko gra. Tak zrobiłem, po czym poszedłem do twojego mieszkania. Zawinelismy obraz, wziąłem klucze, które mi dała Menchu... Zszedłem zaparkować jej samochód pod bramę, żeby potem wejść i wziąć van Huysa. Według planu w czasie kiedy byłem na dole, Menchu miała wzniecić pożar.

- Jaki pożar?!

- Twojego mieszkania - Max zaśmiał się cierpko. - To też należało do planu. Przykro mi.

- Przykro? - Julia walnęła dłoń w stół z pełnym gniewu zdumieniem. - Boże święty, jemu jest przykro...! - rozejrzała się po ścianach i znów popatrzyła na Maxa. - Taki plan mogli ułożyć tylko szalency.

- Działaliśmy w bardzo przemyślany sposób, wszystko było przewidziane. Menchu miała sfigowac jakiś wypadek, na przykład niedopalek. A że u ciebie pełno jest rozpuszczalników i farb... Złożyliśmy, że wytrzyma tam do ostatniej chwili, po czym wyjdzie, dusząc się od dymu, cała w panice i hysterii, i będzie wołać o ratunek. Choćby strażacy pedzili na złamanie karku, i tak pół mieszkania zdążyłoby spłonąć. - Jego mina rozczarowanego drania wyrażała żal, że sprawy nie potoczyły się tak, jak się spodziewał. - I nikt by nie kwestionował tego, że van Huys spalil się z innymi rzeczami. A reszta możesz sobie dopiewać... Ja miałem sprzedać obraz w Portugalii jednemu kolekcjonerowi, z którym już się dogadaliśmy... Tego dnia, kiedy widziałas mnie na Rastro, Menchu i ja właśnie byliśmy po spotkaniu z pośrednikiem... Odpowiedzialność za szkody w twoim mieszkaniu miała wziąć na siebie Menchu, ale że byliście przyjaciółkami i w grę wchodził wypadek, więc nie istniała obawa jakichś ciężkich oskarżeń. Może skarga majątkowa. I tyle. Z drugiej strony natomiast mówiła, że najbardziej ostrzy sobie żeby na myśl o minie, jaka zrobi Paco Montegrifo.

Julia z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Menchu nie była zdolna do takich rzeczy.

- Menchu była zdolna do wszystkiego, jak każdy.

- Swinia jesteś, Max.

- W tej chwili nie ma wielkiego znaczenia, kim jestem - Max znów wyglądał jak zbity pies. - W każdym razie pół godziny zabrakło mi przyprowadzenia samochodu i zaparkowanie. Pamiętam, że była gęsta mgła nie mogłem znaleźć miejsca, co chwila patrzyłem na zegarek, bo bałem się, że się na ciebie natknę... Pietnascie po dwunastej znowu wszedłem na górę. Nie dzwoniłem, tylko od razu otworzyłem kluczkami. Menchu leżała w przedpokoju, twarzą do góry i z otwartymi oczami. Najpierw myślałem, że po prostu straciła przytomność z nerwów. Ale kiedy się schyliłem, zobaczyłem, że ma siniac na szyi. Leżała martwa, Julio. Martwa i jeszcze ciepła. Wtedy oszalałem ze strachu. Zrozumiałem, że jak wezwę policję, będę się musiał gęsto tłumaczyć... Dlatego rzuciłem klucze na podłogę, zatrasnałem drzwi i zleciałem na dół, skaczac chyba po cztery stopnie. Nie potrafiłem zebrać myśli. Przenocowałem w jakimś pensjonacie, cały przerażony, roztrzesiony, oka nie zmrużyłem. Rano na lotnisku... A reszta znasz.

- Obraz był w domu, kiedy znalazłeś Menchu?

- Tak. To była jedyna rzecz, oprócz jej ciała, na jaką spojrzałem... Leżał na sofie, zawinięty w gazety pozlepiane i tasma klejaca. Sam go tak zapakowałem - uśmiechnął się gorzko. - Ale już nie miałem odwagi, żeby go zabrać. Uznałem, że dosyć mi się na lebę zwałilo.

- Mówisz, że Menchu leżała w przedpokoju, a przecież znalazłam ją w sypialni... Nie widziałeś u niej chustki na szyi?

- Nie miała żadnej chustki. Tylko goła, uderzona szyją. Zabili ją ciosem w gardło, prosto w grdykę.

- A butelka?

Max popatrzył na nią wściekle.

- Jeszcze ty z tą cholerną butelką... Policjanci w kółko mnie pytają, dlaczego wsadziłem Menchu butelkę w cipe. Przysięgam ci, że nie wiem, o czym mówią. - Podniósł papierosa do ust i zaciągnął się głęboko, patrząc podejrzliwie na Julię. - Menchu leżała nieżywa, koniec, kropka. Zabita jednym ciosem i tyle. Nie ruszałem jej. Nie przebywałem u ciebie dłużej jak przez minutę... To musiał zrobić ktoś inny, potem.

- Potem? Kiedy? Według tego, co mówisz, morderca już zdążył pójść.

- Nie wiem - był wyraźnie zakłopotany. - Może wrócił po moim odejściu. - Nagle zbladł, jakby zdał sobie z czegoś sprawę. - A może... - widziała, jak trzęsa mu się ręce w kajdankach - może ciągle się tam chował. I czekał na ciebie.

Postanowili podzielić się pracą. W czasie, kiedy Julia rozmawiała z Maxem i zdawała później relacje nadinspektorowi, który potraktował jego wersję nad wyraz sceptycznie, Cesar i Muñoz spędzili resztę dnia, rozpytując wśród sąsiadów. O zmierzchu spotkali się we trójkę w kawiarni przy ulicy Prado.

Siedząc wokół marmurowego stolika, nad przepelnioną popielniczką i opróżnionymi filizankami, przeanalizowali dogłębnie opowieść Maxa. Nachyleni ku sobie, pograzeni w cichej rozmowie wśród dymu i gwaru, wyglądali jak spiskowcy.

- Wierze Maxowi - orzekł Cesar. - Jego historia nie jest od rzeczy. Na dobrą sprawę pasuje do niego pomysł z kradzieżą obrazu. Ale nie bardzo mieści mi się w głowie, żeby był zdolny do tej reszty... Butelka z dzinem, kochani, to już zwyrodnienie. Nawet jak na niego. Ponadto wiemy, że kobieta w płaszczu też krążyła wokół twojego domu. Lola Belmonte, Nemezis czy diabli wiedzą kto.

- A może Beatrycze Ostenburska? - spytała Julia.

Antykwariusz zgromił ją wzrokiem.

- Twoje dowcipy są absolutnie nie na miejscu - poprawił się niespokojnie na krzeselku, spojrzał na siedzącego nieruchomo Munoz i pół zartem, pół serio odegnął widma machnięciem dłoni. - Kobieta koło twojego domu była człowiekiem z krwi i kości... Tak mniemam przynajmniej.

Cesar dyskretnie wypytał wcześniej dozorcę domu naprzeciwko, którego znalazł z widzenia. W ten sposób dowiedział się paru przydatnych szczegółów. Na przykład tego, że odzwierny, w czasie kiedy zamykał brame, czyli między dwunastą a pół do pierwszej, widział, jak wysoki, młody człowiek z włosami w kitkę wyszedł z domu Julii i ruszył ku samochodowi, zaparkowanemu przy krawężniku. Ale niedługo potem - antykwariusz kontynuował wyraźnie podniecony, jakby powtarzał jakąś plotkę z wyższych sfer - powiedzmy, z kwadrans później, kiedy ów człowiek wyrzucił śmieci, ujrzał jeszcze jakąś blondynkę w ciemnych okularach i w płaszczu... To powiedziawszy, Cesar rozejrzał się wokół z obawą, jakby fatalna kobieta mogła siedzieć przy którymś z sąsiednich stolików. Dozorca - relacjonował - nie przyjrzał jej się dobrze, bo odeszła ulica w tym samym kierunku, co tamten... Nie był też w stanie potwierdzić, czy wychodziła z domu Julii. Po prostu kiedy odwrócił się z kubłem w reku, to ją zobaczył. Nie, policji nic o niej nie mówił, bo go o nią nie pytali. I drapiąc się w skron, dodał, że teraz też by pewnie nie przyszło mu do głowy, gdyby sam Cesar nie zadał mu konkretnego pytania. Nie, nie zwrócił uwagi, czy miała jakiś duży pakunek. Zobaczył tylko blondynkę na ulicy. Nic poza tym.

- Na ulicy - odezwał się Munoz - pełno jest blondynek.

- W płaszczu od deszczu i okularach przeciwsłonecznych? - odparła Julia. - To mogła być Lola Belmonte. W tym czasie odwiedziłam don Manuela. I ona, i jej mąż byli poza domem.

- Nie - przerwał jej Munoz. - W południe zdarzyła już pani zajść do mnie, do klubu. Spacerowaliśmy z godzinę i przyszlismy do pani koło pierwszej. - Zerknął na Cesara, w którego oczach, jak zauważyła Julia, błysnął podziw dla intelektu szachisty. - ...Jeśli morderca czekał na panią, zapewne zmienił plan, widząc, że pani nie nadchodzi. Zabrał więc obraz i uciekł. Może to ocaliło pani życie.

- A dlaczego zabił Menchu?

- Na przykład nie spodziewał się jej tam znaleźć, wobec czego usunął niewygodnego świadka. Może wcale nie planował zbiecia wieży hetmanem... Wszystko to byłoby więc, powiedzmy, błyskotliwa improwizacja.

Cesar uniósł brew z odrazą.

- Przesadził pan, przyjacielu, z tą "błyskotliwą".



- Mniejsza o określenie. Zmienić planowany ruch w marszu, stosując wariant, który pasuje do sytuacji, do tego położyć przy trupie karteczkę z odpowiednim zapisem... - szachista zamyslił się na chwilę. - Zdążył jeszcze pokombinować. Nawet bilecik napisał, jak twierdzi Feijoo, na maszynie Olivetti panny Julii. Nie zostawiając śladów. Ten ktoś działał z ogromnym spokojem, ale szybko i sprawnie. Jak w zegarku.

Julii przypomniało się, jak poprzedniego dnia Munoz oczekiwał przyjazdu policji, klecząc obok ciała Menchu - niczego nie dotykał, nie odzywał się, tylko patrzył na bilecik od mordercy, z zimną krwią, jakby siedział w klubie Capablanca.

- Dalej nie rozumiem, dlaczego Menchu otworzyła mu drzwi...

- Myślała, że to Max - podsunał Cesar.

- Nie - powiedział Munoz. - A klucze, te same, które znaleźliśmy na podłodze? Ona wiedziała, że to nie Max.

Cesar okrecił sobie topaz wokół palca i westchnął.

- Wcale się nie dziwię, że policja uchwyciła się kurczowo Maxa - rzekł zbulwersowany. - Już zaczyna brakować podejrzanych. A niedługo również zabraknie ofiar... I jeśli pan Munoz będzie za wszelką cenę stosował swoje metody dedukcji, to się okaże... Macie pojęcie? Zostanie pan sam, otoczony trupami jak w ostatnim akcie Hamleta, i dojdzie do nieuchronnego wniosku: "Przeżyłem tylko ja, zatem zgodnie z zasadami ścisłej logiki, po wykluczeniu wariantów niemożliwych, czyli zabitych, morderca musi być ja"... I odda się pan w ręce policji.

- To nie takie oczywiste - odparł Munoz.

Cesar spojrzał nań z wyrzutem.

- Ze pan jest morderca...? Proszę wybaczyć, drogi przyjacielu, ale nasza rozmowa niebezpiecznie przeistacza się w dialog prowadzony w domu wariatów. Nawet na chwilę nie przyszłoby mi do głowy...

- Nie o tym mówię. - Szachista przyglądał się swoim dłoniom, opartym o blat po obydwu stronach pustej filiżanki. - Chodzi mi o to, co przed chwilą powiedzieliście: że już nie ma podejrzanych.

- Jak to? - wymamrotała Julia z niedowierzaniem. - Ma pan jakąś nową koncepcję?

Munoz podniósł oczy i z rozwagą popatrzył na dziewczynę. Po chwili cmoknął językiem i przechylił głowę.

- Możliwe.

Julia domagała się wyjaśnień, ale ani jej, ani Cesarowi nie udało się wydobyć z niego słowa. Szachista nieobecny wzrokiem spoglądał na stół między dłońmi, jak gdyby w marmurowym desenie odgadywał ruchy tajemniczych figur. I tylko przez jego usta raz po raz przebiegał, niczym ulotny cień, ten błady uśmiešek, za którym krył się zawsze, kiedy chciał odizolować się od świata.

### XIII. Siódma Pieczęć

I w tej plomiennej chwili ujrzał coś, co  
napelniło go trudnym do zniesienia lekiem:  
koszmar przepastnych glebin szachownicy.

Vladimir Nabokov, Zaszczita Luzyna

- Rzecz jasna - powiedział Paco Montegrifo - ta okropna historia w niczym nie zmienia naszej umowy.

- Jestem panu wdzięczna.

- Nie ma za co. Wiemy, że stało się to nie z pani winy. Dyrektor Claymore'a odwiedził Julie w pracowni w Prado, przy okazji - jak oświadczył, pojawiwszy się bez zapowiedzi - spotkania z dyrektorem muzeum w związku z planowanym zakupem jakiegoś rekomendowanego jego firmie Zurbarana. Został ja przy pracy, kiedy wstrzykiwała mieszankę kleju i miodu do drobnego otworu w tryptyku przypisywanym Ducciowi di Buoninsegna. Nie mogąc odłożyć przedmiotów, trzymany w ręku, pozdrowiła Montegrifa szybkim skinieniem głowy i wcisnęła tłok strzykawki, która nakładała przygotowaną substancję. Dyrektor domu aukcyjnego był zachwycony, że przyłapał ją in flagranti - jak wyraził się, posyłając jej swój najbardziej promienny uśmiech - usiadł więc na jednym ze stołów i przyglądał się, paląc papierosa.

Julia czuła się niezrecznie, więc skończyła pracę tak szybko, jak tylko mogła. Na fragment, który poddawała renowacji, położyła dla ochrony woskowany papier i starannie przycisnęła woreczkiem z piaskiem. Potem wytarła dłonie w pstrokato poplamiony fartuch i sięgnęła po napoczętego papierosa, który dymił w popielniczkę.

- Coś cudownego - Montegrifo wskazał obraz. - Koło tysiąc trzechsetnego, prawda? Mistrz Buoninsegna, o ile się nie myle.

- Tak. Muzeum kupiło go parę miesięcy temu. - Julia przyglądała się krytycznym okiem rezultatom własnej pracy. - Miałam trochę kłopotu ze złotymi platkami na lamówce szaty Matki Bożej. W paru miejscach podpadały.

Montegrifo z uwagą profesjonalisty pochylił się nad tryptykiem.

- W każdym razie wspaniała robota - ocenił. - Jak wszystko, co wychodzi spod pani rąk.

- Dziękuję.

Dyrektor popatrzył na Julie z życzliwym smutkiem.

- Aczkolwiek, rzecz jasna, nie ma porównania z naszym kochanym arcydziełem flamandzkim...

- Pewnie, że nie. Nie ujmując niczego Ducciowi.

Uśmiechneli się obydwójce. Montegrifo poprawił nieskazitelne mankiety koszuli, żeby wystawiały dokładnie trzy centymetry spod rękawów granatowej marynarki w pepitkę, dzięki czemu można było podziwiać złote spinki z jego inicjałami. Miał na sobie idealnie wyprasowane szare spodnie i czarne włoskie buty, lśniące mimo deszczu.

- Wiadomo, co z van Huyssem? - spytała dziewczyna.

Dyrektor domu aukcyjnego spoglądał z wykwintną melancholią.

- Niestety nie. - Wprawdzie po podłodze wałowały się trociny, papierki i resztki farby, on jednak strzegł papierosa do popielniczki. - Ale jesteśmy w stałym kontakcie z policją... Mam wszelkie pełnomocnictwa ze strony rodziny Belmonte. - Tym razem mina wyrażała pochwałę dla takiej roztropności i jednocześnie żal, że właściciele nie uczynili tego wcześniej. - Paradoksalnie, Julio, jeśli "Partia szachów" się odnajdzie, ten ciąg przykrych wydarzeń z pewnością nieprawdopodobnie wpłynie na jej cenę...

- Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Ale sam pan mówi: jeśli się odnajdzie.

- Widzę, że nie jest pani optymistką.

- Po tym, co ostatnio przeszłam, raczej nie mam po temu powodów.

- Rozumiem panią. Wierzę jednakże w skuteczność działań policji... Albo w szczęście. Jeżeli zdołamy odzyskać obraz i wystawić go na aukcję, to zapewniam panią, że będzie to wydarzenie. - Uśmiechnął się, jak gdyby chował w kieszeni cudowny podarek. - Czytała pani ostatnie "Arte y Antigüedades"? Dali na te historie pięć kolorowych stron. Ciągłe wydzwaniania dziennikarzy z branży. W przyszłym tygodniu będzie reportaż w "Financial Times" ... Oczywiście paru dziennikarzy chciało nawiązać kontakt także z panią.

- Nie chce żadnych wywiadów.

- Jeśli mogę wyrazić swoją opinię, to wielka szkoda. W pani pracy prestiż to fundamentalna sprawa. Reklama podnosi pani pozycję zawodową...

- Ale nie taka reklama. Przecież obraz skradziono z mojego domu.

- Ten szczegół staramy się przemilczać. To nie była pani wina, o czym dobitnie świadczy raport policyjny. Według dostępnych danych, narzeczony pani przyjaciółki dostarczył obraz nieznanemu pośrednikowi; śledztwo toczy się w tym kierunku. Jestem przekonany, że się odnajdzie. Bardzo trudno nielegalnie wywieźć dzieło równie sławne, jak van Huys. Zaczniemy od tego.

- Gratuluje dobrego samopoczucia. Trzeba przyznać, że umie pan przegrywać. Można by powiedzieć, wzorowy sportowiec. A miałam wrażenie, że kradzież była koszmarem dla pana firmy...

Montegrifo przybrał cierpienny wyraz twarzy. Wątpiąc obraza mnie pani - można było wyczytać w jego oczach.

- Istotnie, ma pani racje - odparł patrząc na Julię, jakby oceniała go niesprawiedliwie. - Prawde mówiąc, musiałem się gesto tłumaczyć naszej londyńskiej centrali. Ale cóż poradzić, taki biznes... Nawiasem mówiąc, nie ma tego złego... Nasza filia w Nowym Jorku przy okazji odkryła innego van Huysa: "Wekslarza z Leuven".

- "Odkryła" to trochę za dużo powiedziane. To znany obraz, figuruje w katalogach. Należy do prywatnego kolekcjonera.

- Jak widzę, jest pani świetnie poinformowana. Chodziło mi o to, że jesteśmy w trakcie negocjacji z właścicielem. Chyba wyczuł, że może teraz na nim dobrze zarobić. Tym razem moi nowojorscy koledzy uprzedzili konkurencję.

- Winszuję.

- Pomyślałem, że moglibyśmy to uczcić. - Zerknął na swojego rolexa. - Dochodzi siódma, więc zapraszam panią na kolację. Musimy omówić nasze przyszłe wspólne przedsięwzięcia... Mam rzeźbę w drewnie, polichromowaną. Siedemnastowieczna szkoła z Indii Portugalskich. Chciałbym, żeby rzuciła pani na to okiem.

- Bardzo panu dziękuję, ale nie jestem w nastroju. Śmierć przyjaciółki, ta cała afera z obrazem... Nie byłabym dziś wymarzona towarzyszką.

- Szkoda. - Montegrifo przyjął jej odmowę z galanterią, nie przestając się uśmiechać. - Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, zadzwonie na początku przyszłego tygodnia... Może w poniedziałek?

- Zgoda. - Julia wyciągnęła dłoń, którą dyrektor uściśnął delikatnie. - I dziękuję za odwiedziny.

- Spotkanie z panią to zawsze wielka przyjemność, Julio. Jeśli będzie pani czegokolwiek potrzebować - spojrzał jej głęboko w oczy z intencją nielatwą do odczytania - podkreślam, czegokolwiek, wszystko jedno. Proszę się nie wahać, tylko dzwonić.

Poszedł, posyłając jej od progu ostatni ośniewający uśmiech. Julia została sama. Jeszcze pół godziny popracowała nad Buoninsegna i też zaczęła się zbierać. Munoz i Cesar przekonywali ją, żeby przez pare dni nie pokazywała się w domu, antykwariusz zaoferował jej gościny. Julia jednakże twardo obstawała przy swoim, zmieniła tylko zamek w drzwiach. Uparta i niezłomna, jak z wyrzutem w głosie określił jej postawę Cesar, dzwonił raz po raz, żeby się dowiedzieć, czy wszystko w porządku. Co zaś się tyczyło Munozy, Julia wiedziała (antykwariusz nie zdołał utrzymać tajemnicy), że noc po zamordowaniu Menchu obydwaj spędzili na strażnicy w pobliżu jej domu, ogrzewając skostniałe ciała kawą z termosu i piersiówką koniaku, którą Cesar przewidująco zabrał ze sobą. Sterczeli tam ładnych parę godzin, otuleni w płaszcze i szaliki, i zacięśniali przedziwną przyjaźń, która wskutek dramatycznego obrotu spraw te dwie jakże różne postacie zdołały przy Julii zawiązać. Dowiedziawszy się o wszystkim, Julia zabroniła im powtarzania podobnych wybryków. W zamian obiecała, że nikomu nie będzie otwierać i że będzie sypiać z derringerem pod poduszką.

Spojrzała na pistolet, kiedy pakowała rzeczy do torebki, i musnęła czubkami palców chłodny metal lufy. Mijał czwarty dzień od śmierci Menchu. Nie pojawiły się nowe karteczki, nie było głuchych telefonów. Może - pomyślała bez przekonania - koszmar się skończył.

Nakryła Buoninsegne płótnem, powiesiła fartuch do szafy i narzuciła na siebie płaszcz. Tarcza zegarka, polyskująca po wewnętrznej stronie lewego przegubu, pokazywała za piętnaście ósma. Właśnie miała zgasić światło, kiedy zadzwonił telefon.

Odłożyła słuchawkę i znieruchomiała, wstrzymując oddech i hamując się przed gwałtowną ucieczką. Dreszcz przebiegł ją po plecach niczym lodowaty podmuch, tak nagły, że aż się cała zatrzęsła. Musiała się oprzeć o stół, żeby odzyskać jakiś spokój. Nie była w stanie oderwać przerażonych oczu od aparatu. Głos, który usłyszała, był nie do rozpoznania, bezpłciowy, taki, jakiego bruchomówcy używają swoim niesamowitym lalkom. Skrzeczący głos, od którego przeszła ją gęsia skórka, a sercem zawiadł ślepy strach.

"Sala dwunasta, Julio..." Cisza i stłumiony oddech: być może ten ktoś zasłonił mikrofon chustką. "... Sala dwunasta" - powtórzył. "Bruegel starszy" - dodał po chwili milczenia. Potem rozległ się krótki suchy, złowrogi śmiech i trzask odkładanej słuchawki.

Usiłowała zebrać rozdygotane myśli i nie dać się opętać obezwładniającej panice. Podczas nagonki - powiedział jej kiedyś Cesar - pierwsze kaczki, które padają na widok strzelby myśliwego, to te przerażone... Cesar. Chwyła telefon, żeby wykrecić numer antykwariatu, potem jego domu - na próżno. Munozą też nie zastała. Przez jakiś czas, którego długość napawała ją niepokojem, będzie musiała dawać sobie radę sama.

Wyjęła i odbezpieczyła derringera. Przynajmniej teraz jest w stanie być równie groźna, jak tamci. I znów przypomniała sobie słowa Cesara. Kiedy była mała, zwierzyła mu się ze swoich dziecinnych leków, a on, udzielając jej kolejnej lekcji, powiedział: "W ciemności rzeczy nie zmieniają kształtu ani miejsca, po prostu tylko ich nie widzimy".

Wyszła na korytarz z pistoletem w dłoni. O tej porze w budynku byli tylko strażnicy. Robili właśnie obchód, ale trudno było się zorientować, gdzie akurat mogła na nich trafić. W końcu korytarza były schody, a tam, gdzie zakrecały pod kątem prostym, znajdowały się szerokie podesty. Światła alarmowe tworzyły wokół niebieski półmrok, w którym można było dostrzec zarysy ciemnych swa patyna obrazów, marmurowa balustradę schodów i popiersia rzymskich patrycjuszów, pełniących warte w swoich niszach.

Zdjęła buty i wsadziła je do torebki. Chłód podłogi przeniknął ją poprzez ponczochoy. W najlepszym przypadku cała dzisiejsza przygoda skończy się gigantycznym przeziebieniem. Zeszła po schodach, przechylając się co i raz przez barierkę, ale niczego podejrzanego nie zauważyła. Wreszcie dotarła na sam dół i tu musiała dokonać wyboru. Jedna droga, wiodąca przez ciąg sal przeznaczonych do renowacji dzieł sztuki, prowadziła aż do wyjścia ewakuacyjnego, przez które dzięki karcie elektronicznej Julia mogła wydostać się na ulicę. Idąc drugą drogą, przez waziutki korytarzyk, docierało się do drzwi wychodzących na część wystawowa muzeum. Wprawdzie z reguły były zamknięte, ale klucz tkwił w zamku do dziesiątej wieczorem, kiedy strażnicy robili ostatni obchód aneksu, w którym się teraz znajdowała.

Stojąc u stóp schodów na bosaka, z pistoletem w ręku, zastanawiała się nad obydwiema możliwościami. Od dołu ciągnęło zimnem, w żyłach krew łomotała nieznosnie i strasznie szybko. Za dużo pale - przyszła jej do głowy kretynska myśl. Cała skupiła się teraz na dłoni sciskającej derringera. Uciec stąd w te pędy, czy sprawdzić, co się kryje w sali dwunastej... Druga ewentualność oznaczała niemila perspektywę sześciu, siedmiu minut spaceru przez opustoszałe gmachy. Gdyby tylko miała szczęście dopaść po drodze strażnika tego skrzydła... Był to młody mężczyzna, który za każdym razem, kiedy spotykał Julię podczas pracy w warsztacie konserwatorskim, zapraszał ją na kawę z automatu i przekomarzał się, mówiąc, że najpiękniejszym eksponatem całego muzeum są jej nogi.

Niech to diabli - pomyślała po chwili zastanowienia. Przecież zabijała już w życiu piratów. Jeżeli zabójca jest tam w środku, to nadarzy się świetna okazja, może jedyna, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. W końcu to on się porusza, a ona, czujna i ostrożna kaczka, katem oka obserwuje teren, sciskając w dłoni pięćset gramów chromowanego metalu, masy perłowej i ołowiu, które po uruchomieniu z odpowiedniej odległości mogą radykalnie zmienić układ sił w tym specyficznym polowaniu.

Julia nie wypadła sroce spod ogona, na dodatek była tego świadoma. Rozchyliła nozdrza, jakby chciała zwietrzyc, z której strony nadciąga niebezpieczeństwo, zacisnęła zęby i przypominała sobie wściekłość, jaka budziła w niej wspomnienia Alvara i Menchu. Postanowiła, że nie będzie wystraszoną marionetką na szachownicy, ale figurą zdolną do odwetu przy pierwszej okazji. Oko za oko, zab za zab. Ktokolwiek to jest, wyjdzie mu na spotkanie. Czy to w sali dwunastej, czy choćby w piekle. Na rany Chrystusa, tak robi.

Popchnęła drzwi wewnętrzne, które, jak się spodziewała, stały otworem. Stróż nocny był chyba daleko, bo wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Minęła nawę, z której spoglądały na nią puste, nieruchome oczy marmurowych posągów, rzucających groźne cienie. Dalej była sala ze średniowiecznymi retablami, na których w mroku dojrzała tylko słabe refleksy złotych i aureoli. Na drugim końcu nawy, po lewej, widziała już zarys schodków, wiodących do sal z wczesnym malarstwem flamandzkim. Wśród nich była też sala dwunasta.

Zawahała się, stanawszy na pierwszym stopniu, i wbiła czujny wzrok w ciemności. W tej części strop był dużo niższy, więc światła alarmowe pozwalały dostrzec więcej szczegółów. W niebieskawym półmroku kolory obrazów sprowadzały się do czystego światłocienia. Ledwie rozpoznała "Zdjęcie z krzyża" van der Weydena, wyolbrzymione złowrogo i nierealnie przez ciemność, w której dawało się rozróżnić jedynie najjasniejsze plamy: sylwetka Chrystusa i oblicze Jego zmartwiałej Matki z ręką leżącą obok bezwładnego ramienia Syna.

Oprócz postaci z obrazów nie było tu nikogo, a i one, niewidoczne z braku światła, wydawały się pograzone w długim śnie. Spokój tego miejsca musiał być tylko pozorny, więc Julia, natchniona przez śledzące ją ze ścian obrazy stworzone rękami ludzi zmarłych setki lat temu, podeszła do progu sali dwunastej. Daremnie usiłowała przelknąć ślinę, w ustach miała kompletnie sucho. Obejrzawszy się za siebie jeszcze raz i nie dostrzegłszy niczego podejrzanego, czując, jak mięśnie twarzy tężeją jej od napięcia, zaczęła powstrzymać powietrze i weszła do sali tak, jak widziała na filmach: palec na spuście pistoletu, kolba scisnięta obydwoma dłońmi, lufa wycelowana w mrok.

Tu też nikogo nie było i na Julię spłynęła nieskonczona, upojna ulga. Najpierw zobaczyła w mroku zarys genialnego koszmaru "Ogrodu rozkoszy", zajmującego większą część jednej ze ścian. Sama oparła się o ścianę przeciwną, macając oddechem przezręczystą szybę okrywającą "Autoportret" Durer'a. Wierchem dłoni otarła pot ściekający po czole i ruszyła w kierunku trzeciej ściany, tej w głębi. W miarę jak się zbliżała, kontury, a potem i kolory obrazu Bruegla z wolna wylaniały się przed jej oczami. Ciemność skrywała szczegóły, ale potrafiła je rozpoznać bez trudu, bo dzieło zawsze wywierało na niej niezwykle wrażenie. Od lat szczególnie mocno działał na jej wyobraźnię tragizm oddany najdrobniejszym ruchem pedzla, wyraziste, niezliczone postacie ogarnięte nieubłaganym tchnieniem śmierci, mnóstwo scen złączonych w makabryczną całość. W słabym błękitnym dobiegającym z sufitu można było rozróżnić szkielety wylewające się tłumnie z wnętrza ziemi na podobieństwo mściwego, niszczącego wichru, czarne sylwetki ruin odcinające się na tle odległej pozogi, obracające się daleko koła młynów, obok szkieletów wznoszących miecz nad głową skazanca, który modli się na klęczkach z zawiązanymi oczyma... A na pierwszym planie króla zaskoczonego w środku festynu, objętych kochanków, nieswiadomych nadejścia ostatniej godziny, rozesmiana czaszka walcząca w kotły Sadu Ostatecznego, zdjętego przerażeniem rycerza, który jednak wciąż ma na tyle odwagi, że w gęscie buntu wyciąga miecz z pochwy, by drogo sprzedać swą skórę w tej beznadziejnej, końcowej walce...

Karteczka tkwiła wcisnięta na dole między obraz a rame. Tuż nad pozłacaną winietką, na której Julia raczej odgadła niż zobaczyła dwa straszliwe słowa, będące tytułem dzieła: "Triumf śmierci".

Na zewnątrz lalo jak z cebra. Izabelinskie latarnie oświetlały smugi wody, spadające wściekła, ciemna zasłona na bruk. Z kaluz rozpryskiwały się niezliczone, grube strugi, w których chaotycznie odbijał się korowód świateł miasta.

Julia podniosła głowę pozwalając, by deszcz obmył jej włosy i policzki. Do twarzy, stęzałej z zimna, przykleiły się mokre kosmyki. Zapięła wysoki kołnierz płaszcza i ruszyła między zywopłotami i kamiennymi lawkami, nie bacząc na deszcz i na coraz bardziej wilgotne buty. Obraz Bruegla ciągle stał jej powidokiem w oczach, oslepionych przez samochody jadące pobliską aleją i wykrawające światłami stozki jasnego deszczu. Chwilami sylwetka dziewczyny wylaniała się z mroku - długi cień pelzał po połyskujących plamach wilgoci na chodniku. W jej wyobraźni, rozświetlona lampami miasta i aut, rozgrywała się teraz na nowo przejmująca tragedia średniowieczna. Wyraźnie widziała, jak kobiety i mężczyźni, pograzeni w lawinie wychodzących z ziemi szkieletów zagłady, niosą na ramionach postacie z innego obrazu: Rogera d'Arras, Ferdynanda Altenhoffena, Beatrycze z Burgundii... A nawet, na drugim planie, spuszczone głowę i zmęczona twarz starego Pietera van Huysa. W tej straszliwej, fatalnej scenerii wszystko się łączyło, tam ostatecznie zmierzały piękno i brzydota, miłość i nienawiść, dobro i zło, wysiłek i rezygnacja, bez względu, jaka wartość pokaże ostatnia kostka, tocząca się wciąż po powierzchni ziemi. I sama Julia też rozpoznała siebie w zwierciadle, w którym z nieublaganą oczywistością widac było przelamanie Siódmej Pieczęci Apokalipsy. To ona jest owa dziewczyna, odwrócona plecami do całej sceny, pograżona w marzeniach, oczarowana dźwiękami lutni, na której przygrywa usmiechnięty kosciołotrup. W tym mrocznym krajobrazie nie było już miejsca na piratów ani ukryte skarby, wszystkie Wendy toczyły beznadziejną walkę z legionem szkieletów, Kopciuszek i Królowna Śnieżka z przerażeniem w wybaluszonych oczach wietrzyły zapach siarki, a olwiany żołnierz, czyli święty Jerzy, co porzucił smoka - albo może Roger d'Arras z mieczem na polu wyciągniętym z pochwy - już nie mógł nic dla nich zrobić. Powodowany raptem poczuciem honoru, daremnie usiłował zadać skuteczne pchnięcie w próżnię. Niebawem i on, jak cała reszta, splecie ręce z chudymi kośćmi Śmierci, która powiedzie ich wszystkich w swój ostatni taniec.

Światła jakiegoś auta padły na budkę telefoniczną. Julia weszła jak w malignie, wyszukała monety w torebce i mechanicznymi ruchami wybrała numery najpierw Cesara, potem Munoz. Nie odpowiadali. Odwiesiła słuchawkę, mokra od wody sciekającej jej z włosów, oparła głowę o szybę kabiny i wsunęła w scisnięte, zziębnięte usta mokrego papierosa. Spowil ją dym. Kiedy, nie otwierając oczu, poczuła, że zar pali jej wargi, upuściła niedopalek na ziemię. Deszcz dzwonił monotonna o dach budki, ale nawet tutaj Julia nie czuła się bezpiecznie. Miała gorzka, potwornie znuzona świadomość, że to tylko niepewne zawieszenie broni i że wcale nie ocali jej przed zimnem, światłami i cieniami, które były coraz bliżej.

Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła w budce. W pewnej chwili znów wrzuciła monety do aparatu i wybrała tym razem numer Munoz. Usłyszawszy głos szachisty, z wolną wróciła do siebie, jakby zakończyła właśnie długą podróż, co w pewnym sensie było prawdą. Podróż przez czas i czelustkę własnej duszy. Ze spokojem, który umacniał się z każdym wypowiedzianym słowem, zrelacjonowała mu, co zaszło. Munoz zapytał o tresc bileciku, na co odparła: G: P, goniec bije piona. Na drugim końcu kabla zapadła cisza, po której Munoz, dziwnym, nieznanym jej dotąd tonem, spytał, gdzie się znajduje. Usłyszawszy odpowiedź, poprosił, by nie ruszała się stamtąd, on przyjedzie tak szybko, jak to będzie możliwe.

Kwadrans później koło budki zatrzymała się taksówka i Munoz otworzył drzwiczki, żeby mogła wsiąść. Julia popędziła w strugach deszczu w stronę samochodu. Kiedy taksówka ruszyła, szachista pomógł jej zdjąć przemoczony płaszcz i narzucił na nią własny.

- Co się dzieje? - zapytała dziewczyna, szcękając zębami.

- Zaraz się pani przekona.

- Co oznacza bicie piona przez gonca?

Mijane światła rzucały błyski na posępna twarz szachisty.

- Ze czarny hetman - odparł - zaraz zbije następną bierkę.

Zaskoczona Julia zamrugła oczami. W zniebitych rece ujęła dłoń Munoz i spojrzała na niego z niepokojem.

- Trzeba ostrzec Cezara.

- Mamy czas - odrzekł.

- A dokąd jedziemy?

- Do Pendzabu. Przez dwa H.

Kiedy dotarli do klubu szachowego, deszcz padał z taką samą siłą. Munoz, nie puuszczając ręki Julii, otworzył drzwiczki.

- Proszę iść ze mną.

Posłusznie poszła. Wspięli się po schodach do holu. Przy stolikach jeszcze siedziało paru graczy, ale Cifuentesa już nigdzie nie było widać. Munoz skierował się prosto do biblioteki, gdzie pomiędzy dyplomami i pucharami, na oszklonych regałach, stało kilkaset książek. Szachista puczył wreszcie dłoń Julii i otworzył jedną z szaf. Wzjął do ręki opasły tom oprawny w sukno, na którego okładce zbity z tropu Julia przeczytała tytuł wypisany złotymi literami, pociemniałymi ze starości:

Tygodnik Szachowy. Trzeci kwartał.

Rok był nieczytelny.

Munoz położył księgę na stole i przerzucił kilka pozólkłych kartek z kiepskiego papieru. Zadania szachowe, analizy partii, informacje o turniejach, wyblakłe zdjęcia usmiechniętych triumfatorów w niedzisiejszych garniturach, białych koszulach, krawatach i fryzurach. Zatrzymał się na rozkładówce zapelnionej fotografiami.

- Niech się pani uważnie przypatrzy - powiedział. Pochyliła się nad zdjęciami. Były lichej jakości, na wszystkich widniały grupki szachistów pozujących do obiektywu. Niektórzy trzymali puchary albo dyplomy. Przeczytała nagłówek rozkładówki: II TURNIEJ KRAJOWY IM. JOSE RAULA



CAPABLANKI. Zdezorientowana spojrzala na Munoz.

- Nie rozumiem - wymamrotala.

Szachista palcem wskazal jedno ze zdjec. Tu tez uwieczniono grupke chlopcow, dwuch dzierzyla w dloniach niewielkie puchary. Pozostala czworaka wpatrywala sie uroczyscie w obiektyw. Podpis brzmial: FINALISCI ROZGRYWEK MLODZIEZOWYCH.

- Rozpoznaje pani kogos? - spytal Munoz.

Julia przyjrzała sie uwaznie kazdej twarzy. Tylko u jednego, stojacego najbardziej z prawej, odnalazla jakies znajome rysy. Chlopak mial z pietnascie, szesnascie lat, wlosy zaczesane do tylu, marynarke, krawat i opaske zalobna na lewym ramieniu. Spogladal przed siebie spokojnym, inteligentnym wzrokiem, który mial w sobie nawet cos wyzywajacego. I wtedy go poznala. Drzaca reka pokazala jego twarz, a kiedy podniosla wzrok, zobaczyla, ze szachista kiwa potakujaco glowa.

- Tak - rzekl Munoz. - To nasz niewidzialny gracz.

#### XIV. Rozmowy w salonie

- I znalazlem ja, bo jej szukalem.

- Co? Pan jej szukal?

- Wydawalo mi sie, ze powinna tu byc.

Arthur Conan Doyle, Srebrna gwiazda

(przel, Jerzy Dzialek)

Swiatlo na schodach bylo zepsute, wiec musieli wspinac sie po ciemku. Munoz szedl pierwszy, prowadzac ja przy balustradzie. Kiedy dotarli do pietra, staneli i nasluchiwali w ciszy. Zza drzwi nie dobiegaly zadne dzwieki, ale przy dolnej krawedzi, na progu, widac bylo waziotki pasek swiatla. Julia nie dostrzegala w ciemnosci twarzy swojego towarzysza, ale odgadla, ze sie w nia wpatruje.

- Juz nie mozemy sie cofnac - odparla na pytanie, ktorego jej nie zadal, i w odpowiedzi uslyszala jego spokojny oddech. Po omacku odszukala dzwonek i nacisnela go raz. Jego dzwiek odplynal w glab mieszkania dalekim echem.

Po chwili dosłyszeli zbliżające się kroki. Odgłos ustal na moment, po czym z wolna znów dal się słyszeć, dużo bliżej, by wreszcie ucichnąć na dobre. Po nieuchronnym przekreceniu zamka drzwi otworzyły się wreszcie, zalewając ich światłem, od którego przez chwilę mrużyli oczy.

Julia popatrzyła na te tak dobrze znana postać, rysująca się na tle jasnego prostokata, i pomyślała, że wcale nie zależało jej na takim zwycięstwie.

Odsunął się, żeby ich przepuścić. Nie było widać, żeby nieoczekiwana wizyta wprowadziła go w zakłopotanie. Ograniczył się do eleganckiego zdziwienia, czego jedyną oznaką był niepewny uśmiech, który spostrzegła, gdy odwracał się, żeby zamknąć za nimi. Na wieszaku, ciężkim meblu edwardiańskim z orzecha i brzoza, wisiały płaszcz, kapelusz i parasol, z których ściekały krople wody.

Zaprowadził ich do salonu długim korytarzem o misternie rzezbionym suficie. Ściany zdobiła mała kolekcja dziewiętnastowiecznych pejzazy sewilskich. Siedział przodem, co chwila odwracając się z miną uprzejmego gospodarza, i w tych momentach Julia na próżno usiłowała odnaleźć cokolwiek, co zdradziłoby tę drugą osobowość, która gdzieś w nim przecież siedziała, ukryta jak krzące widmo. Cokolwiek miało się wydarzyć, już nigdy nie zdoła o nim zapomnieć. A przecież, choć rozum wydobywał na światło ostatnie zakamarki jej wątpliwego umysłu, choć fakty pasowały teraz jak elementy dobrze wykrojonej układanki, rzucając na "Partie szachów" blaski i cienie innej (innych?) tragedii i przytłaczając symbole przedstawione przez flamandzkiego mistrza... Mimo wszystko, mimo swidrującego bólu, który zastąpił początkowe oszłobienie, Julia wciąż nie była w stanie znienawidzić człowieka, który siedział przed nią, galanterijnie na w pół odwrócony ku niej, elegancki nawet w pieleszach domowych, w jedwabnym niebieskim szlafroku, dobrze skrojonych spodniach, w chustce zawiązanej pod rozpiętym kołnierzem koszuli. Włosy falowały mu lekko na karku i skroniach. Miał uniesione brwi jak urazony, podstarzały dandy, co łagodził dobrze jej znany, czuły, smutny uśmiech, czający się w kącikach wąskich, poblądłych ust antykwariusza.

Bez słowa dotarli do salonu, obszernego pokoju o suficie pokrytym pięknie wymalowanymi scenami klasycznymi - do tego dnia ulubionym fragmentem Julii było pożegnanie Hektora w złocym hełmie z Andromacha i synem. Tu, wśród gobelinów i obrazów wiszących na ścianach, antykwariusz zgromadził swoje najcenniejsze skarby, które przez całe życie zbierał wyłącznie dla siebie, odmawiając wystawienia ich na sprzedaż niezależnie od oferowanej ceny. Julia znalazła je jak własne, lepiej niż przedmioty z domu rodzinnego czy nawet z jej obecnego mieszkania: oto obita jedwabiem sofa w stylu empire, na której Muñoz, pomimo zachęcających gestów Cesara, nie zdecydował się usiąść, tylko stał obok z rękami w kieszeniach płaszcza i kamienna powaga na twarzy; oto sygnowany przez Steinera posazek fechtmistrza z brzoza, w wyprostowanej postawie i z uniesionym dumnie podbródkiem, spoglądającego władczo na pokój z wyżyn piedestału postawionego na biurku holenderskim z końca osiemnastego wieku, gdzie, jak Julia sięgała pamięcią, Cesar zawsze przeglądał pocztę; oto narożna gablota z epoki Jerzego IV, wypełniona wspaniałym zbiorem grawerowanych sreber, które antykwariusz osobiście polerował co miesiąc; oto wielkie obrazy, natchnione przez Boga, najbliższe sercu - "Młoda dama" przypisywana Lorenzowi Lotto, przepiękne "Zwiastowanie" Juana de Soredy, niezłomny "Mars" Luki Giordana, melancholijny "Zmierzch" Thomasa Gainsborough... I jeszcze kolekcja angielskiej porcelany, i kołnierze, i kolejne gobeliny, i wachlarze, przedmioty, których dzieje Cesar zglebił szczegółowo, na wylot znając ich styl, pochodzenie, rodowód. Tworzyły jedyne w swoim rodzaju muzeum, tak pieczołowicie dobrane do jego własnego gustu estetycznego i sposobu bycia, że on sam mógł uchodzić za esencję całego zbioru i każdego eksponatu z osobna. Brakowało tu jedynie malego tria z porcelanowej commedii dell'arte: Lucyndy, Oktawia i Scaramuccia, dzieł Bustallego, które stały w szklanej szafce na parterze antykwariatu.

Munoz stal w milczeniu, okazujac na zewnatrz calkowity spokój, aczkolwiek cos - moze sposób, w jaki stawial stopy na dywanie, moze sterczace na boki lokcie - wskazywalo, ze jest czujny, gotów stawic czolo wszelkim niespodziankom. Cesar z kolei przygladal mu sie z chlodnym, uprzejmym zainteresowaniem i tylko chwilami zwracal oczy ku Julii, jakby byla u siebie, a tylko Munoz, ostatecznie gosc w tym domu, musial sie wytlumaczyc z tak późnej wizyty. Julia pomyslala, ze zna Cesara jak siebie sama - tu natychmiast sie poprawila: znala go jak siebie sama - i antykwariusz z pewnoscia domyslil sie, ledwie otworzyl im drzwi, ze nie wpadli ot, tak, do trzeciego z paczki kumpli, ze cel odwiedzin jest znacznie powazniejszy. Pod plaszczykiem przyjaznej poblazliwosci, w jego usmiechu, a bardziej nawet w niewinnym spojrzeniu jasnoniebieskich oczu, dziewczyna dostrzegla czujne wyczekiwanie, nie wolne od ciekawosci i pewnego rozbawienia. Z takim samym wyrazem twarzy przed laty, gdy siedziala mu na kolanach, czekal, az Julia wypowie magiczne slowa, odpowiedzi na dzieciace zagadki, które zadawal dziewczynce ku jej wielkiej radosci: "Zlotem sie wydaje, srebrem nie jest...". Albo: "Wpierw idzie na czterech lapach, potem na dwóch, wreszcie na trzech...". I najpiękniejsza ze wszystkich: "Dostojny kochanek zna imie damy i kolor jej sukni...".

Cesar wciaz patrzyl na Munoz. W te dziwna noc, w przycmionym swietle angielskiej lampy z pergaminowym abazurem, stojacej obok sztancy do ksiazek rzucajacej wokół ukosne swiatlo i cienie, oczy antykwariusza nie baczily na obecność Julii. Cesar nie unikal jej wzroku, bo kiedy tylko ich spojrzenia sie skrzyzowaly, patrzyl na nia szczerze i otwarcie, choc krótko, jakby nie mieli przed soba zadnych tajemnic. Mozna bylo odniesc wrazenie, ze kiedy Munoz juz powie, co ma do powiedzenia, i sobie pójdzie, na wszystko, cokolwiek zaistnialoby miedzy Cesarem a Julia, znalazlaby sie konkretna, przekonujaca, logiczna i ostateczna odpowiedz. Moze nawet wielka odpowiedz na wszystkie pytania, jakie w zyciu zadawala. Ale juz bylo za późno i Julia pierwszy raz nie miala ochoty niczego wysluchiwac. Jej ciekawosc zaspokoilo Bruegel Starszy swoim Triumfem smierci. Juz nikt nie byl jej potrzebny, nawet on. Wszystko to stalo sie jeszcze, zanim Munoz otworzyl stary rocznik szachowy i pokazal jej pewne zdjecie, i nie mialo zadnego związku z obecna nocna wizyta u Cesara. Przepelniala ja teraz ciekawosc czysto formalna, estetyczna, jak powiedzialby sam Cesar. Nie mogla przegapic spektaklu, w którym byla jednoczesnie bohaterka i chórem, aktorka i publicznicoscia, w tej najbardziej fascynujacej tragedii klasycznej (wszyscy tu byli: Edyp, Orestes, Medea i jeszcze paru starych znajomych), jaka kiedykolwiek rozegrala sie przed jej oczami. W koncu w tym przedstawieniu chodzilo o jej czesc.

Wszystko to bylo tak nierzeczywiste, ze Julia opadla na sofe z zapalonym papierosem, skrzyzowala nogi, a lokcie polozyla na tylnym oparciu. Stalo przed nia dwóch mezczyzn, usytuowanych podobnie jak w scenie na zaginionym obrazie. Munoz po lewej, na wzorzystym, bardzo starym pakistanskim kobiercu, wyblakłym ze starosci, na którym zachowaly sie tylko piekne czerwienie i ochry. Szachista - teraz nie jest juz jedynym graczem, jak pomyslala z dziwna satysfakcja - ciagle w plaszczu, spogladal na antykwariusza, z lekko przekrzywiona glowa i tym holmesowskim wyrazem twarzy, który dodawal mu godnosc, podkreślonej jeszcze spojrzeniem zmeczonych oczu, pochlonietych obserwacja przeciwnika. Ale Munoz, nie patrzyl na Cesara jak zadowolony zwyciezca. W jego wzroku nie bylo tez wrogosci ani tak zrozumialych w zaistnialej sytuacji podejrzen. Bylo natomiast naprezenie, widoczne takze w napietych miesniach koscistej szczeki, co zdaniem Julii wynikalo z faktu, ze szachista wreszcie mógł przyjrzec sie rzeczywistej postaci wroga po tylu dniach walki z jego postacia idealna. Bez watpienia analizowal poprzednie bledy, odtwarzal posuniecie, przyporzadkowywal im zamiary. Wygladal jak uparty, oglupialy gracz, który rozegrawszy blyskotliwa partie, jest w stanie myslec tylko o jednym: jakim cudem przeciwnik zdolal sprzatnac mu piona na jakims zapadlym, niewaznym polu.

Cesar stal po prawej, a dzieki siwiznie i jedwabnemu szlafrokowi przypominal elegancka postac z komedii z poczatków stulecia: spokojny, dystyngowany, pewny siebie, swiadom, ze dywan, po którym stapa jego rozmówca, ma dwiescie lat i jest jego własnoscia. Julia zobaczyla, jak wsuwa dlon do kieszeni, wyjmuje paczke papierosów ze zloconym filtrem i wkłada jednego w fifke z kosci sloniowej. Zbyt niezwykla byla to scena, zeby nie miala zapisac sie w jej pamieci: dekoracja z ciemnych, slabo

oświetlonych antyków, sufit pokryty smukłymi postaciami mitologicznymi, starzejący się, elegancki, dziwny dandy i chudy, zaniedbany facet w pomietym płaszczu, zwróceniu do siebie twarzami, mierzący się wzrokiem w milczeniu, jakby w oczekiwaniu, że ktoś, na przykład sufler, schowany w którymś z zabytkowych mebli, nagle da sygnał do rozpoczęcia ostatniego aktu. Już w momencie, kiedy odkryła znajome rysy na twarzy młodzieńca patrzącego w obiektyw z całą powagą swoich piętnastu czy szesnastu lat, Julia przewidziała, że kluczowa scena tak mniej więcej będzie wyglądać. Przeżywała coś na kształt déjà vu. Znała to zakończenie, brakowało tylko ochmistrza w pasiastej liberii - który by wszedł i oznajmił, że wieczerza gotowa - aby wszystko przybrało wymiar groteski. Popatrzyła na swoich ulubionych bohaterów i włożyła do ust papierosa. Usiłowała sobie coś przypomnieć. Wygodna ta sofa Cesara - przemknęła jej mimochodem przez myśl, gdy tak siedziała rozleniwiona. W żadnym amfiteatrze nie zapewniono by jej bardziej stosownych warunków. Tak. Wspomnienie odżyło bez trudu i okazało się, że jest to wspomnienie całkiem świeże. Ten scenariusz też miała już przed oczami, zaledwie kilka godzin temu, w sali dwunastej muzeum Prado. Obraz Bruegla, loskot kotłów jako tło niszczącego wichru, nieubłaganie zmiatającego z powierzchni ziemi trawę co do dzębła, wszystko opętane jakimś jednym wielkim, końcowym piruetem przy dźwiękach rechotu pijanego boga, który rozkoszuje się tym olimpijskim kataklizmem zza poczerniałych wzgórz, dymiących ruin i blasku pozogi. Pieter van Huys, inny Flamand, stary nadworny mistrz z Ostenburga, również przekazał te wizje, po swojemu, może delikatniej, subtelniej, w sposób bardziej hermetyczny i zawily niż ten brutalny Bruegel. Ale zamiar był identyczny. Ostatecznie wszystkie obrazy są obrazami jednego obrazu, wszystkie lustra są odbiciami jednego lustra, wszystkie śmierci są śmierciami jednej Śmierci:

Wszystko jest szachownica nocy i dnia, na której Los gra ludźmi niczym figurami.

Powtórzyła ten cytat bezgłośnie, patrząc na Cesara i Munozę. Wszystko było w porządku, więc można zaczynać. Uwaga, uwaga, uwaga. Obydwaj bohaterowie stali w żółtawym stozku światła, padającym z angielskiej lampy. Antykwaryusz pochylił trochę głowę i zapalił papierosa, Julia wciąż trzymała swojego w ustach. Jak gdyby to właśnie był sygnał do rozpoczęcia dialogu, Munoz powoli skinął głową, choć nikt nie wypowiedział dotąd żadnego słowa, po czym rzekł:

- Mam nadzieję. Cesarze, że ma pan pod ręką jakąś szachownicę.

Dziewczyna musiała przyznać, że początek nie był ani rewelacyjny, ani nawet stosowny. Niewidzialny scenarzysta mógł bez wątpliwości włożyć w usta Munozę coś lepszego. Ale - pomyślała z rezygnacją - autor tej tragikomedii jest w końcu tak samo nikczemny jak świat, który powołał do życia. Trudno się spodziewać, że farsa przerosnie talent, głupotę czy przewrotność własnego autora.

- Nie uważam, żeby szachownica była potrzebna - odpowiedział Cesar, znacznie podnosząc poziom dialogu. Nie słowami, które też nie były nadzwyczajne, ale jakimś odpowiednim tonem, wzbogaconym o ów szczególny odcień niechęci, który antykwaryusz zawsze umiał wszyć w zdanie, odcień bardzo dlań typowy, jak gdyby Cesar przyglądał się całej scenie, rzecz by można, z daleka, zasiadając na żelaznym krześle ogrodowym, pomalowanym oczywiście na biało, z bardzo wytrawnym martini w szklance. Cesar miał szalenie dekadentkę pozy, wyrafinowaną jak jego homoseksualizm i jego perwersje. Także za to Julia kochała go bardzo i doceniła teraz owo wysmakowane do perfekcji zachowanie. Rozkoszując się widokiem, aż położyła się na sofie, z podziwem obserwując antykwaryusza poprzez spirale dymu. Najbardziej fascynowało ją to, że ów mężczyzna oszukiwał ją już od dwudziestu lat. A mimo to ostateczną winę za oszustwo ponosił nie on, lecz ona sama. W Cesarze nic nie uległo zmianie: czy Julia by go przejrzała, czy nie, pozostawał (bo przecież musiał pozostać) sobą. Stoi tu, z zimną krwią pali

papierosa i - była świecie o tym przekonana - nie odczuwa najmniejszych wyrzutów sumienia czy niepokojów w związku z własnymi uczynkami. Wyglądał - starał się wyglądać - na człowieka absolutnie nienagannego, jakiego Julia pamiętała, gdy opowiadał jej przepiękne historie o miłości i o wojnie. W każdej chwili mógł teraz wspomnieć Długiego Johna Silvera, Wendy, Lagardere'a albo sir Kennetha od Lamparta, a Julii zupełnie by to nie zdziwiło. A przecież to on wpełchnął Alvara do wanny, on wbił Menchu butelkę dzinu między nogi... Julia powoli zaciągnęła się dymem i przymknęła powieki, smakując własną gorzkość. Jeżeli to on - pomyślała - a wszystko wskazuje, że on, w takim razie to ja się zmieniałam. Dlatego patrzę na niego dzisiaj innymi oczami i widzę w nim innego człowieka: lajdaka, komedianta i mordercę. A przy tym nadal tu siedzę, pełna fascynacji, i znów wyczekuje, co powie. Za parę sekund, zamiast jakiejś karaibskiej historyjki, opowie mi, że wszystko to zrobił dla mnie albo coś w tym rodzaju. A ja jak zawsze będę go słuchać, bo to będzie jego najbardziej niezwykłą opowieść. Najbardziej pomyślowa i najbardziej przerażająca.

Zdjęła ramię z oparcia sofy i pochyliła się do przodu, uważnie patrząc z rozchyłonymi ustami, żeby nie uронić najdrobniejszego momentu rozgrywającej się przed nią sceny. Tym ruchem dała pewnie sygnał, by bohaterowie wznowili dialog. Munoz spoglądał na Cesara, z rękami w kieszeniach płaszcza i lekko przekrzywiona głowa.

- Niech mi pan wyjaśni jedną wątpliwość - powiedział. - Po zabicu białego piona na a6 przez czarnego gonia, białe postanawiają przesunąć króla z d4 na e5, odsłaniając tym samym białego hetmana, który daje szacha czarnemu królowi... Jak powinny zagrać czarne?

W oczach antykwariusza zatoczyły iskierki rozbawienia. Były jedyną oznaką uśmiechu w tej poza tym niewzruszonej twarzy.

- Nie wiem - odparł po chwili. - To pan jest tu mistrzem, mój drogi. Pan powinien to wiedzieć.

Munoz przybrał jedną z tych swoich nieokreślonych min, jak gdyby zrzucił z siebie tytuł mistrzowski, którym Cesar pierwszy raz go obdarzył.

- A jednak - nalegał, cedząc słowa - chciałbym poznać pana opinię.

Na ustach antykwariusza wykwitł uśmiech, dotąd zastrzeżony wyłącznie dla oczu.

- W takim razie osłoniłbym króla, stawiając gonia na c4... - Spojrzał na szachistę z uprzejmą troską. - Czy to właściwy ruch?

- Zbijam tego gonia - odezwał się Munoz prawie grubiańsko. - Białym goniem z d3. A pan daje mi szacha skoczkiem na d7.

- Ja panu niczego nie daję, przyjacielu - antykwariusz spoglądał na niego ze spokojem. - Nie wiem, o czym pan mówi. Zresztą nie pora teraz na zagadki.

Munoz z uporem pocierał czoło.

- Pan mi daje szacha na d7 - powtórzył. - Niech pan skończy te dyrdymały i zajmij się szachownicą.

- Ale to niby dlaczego?

- Bo niewiele zostało panu dróg wyjścia... Uciekam przed tym szachem i przesuwam białego króla na d6.

Slyszac to, Cesar westchnal, a jego niebieskie oczy, które z braku dostatecznego swiatla teraz wydawaly sie bardzo jasne, niemal bezbarwne - spoczely na Julii. W koncu wsunal fifke w zeby i z wyrazem lekkiego znuzenia skinal dwukrotnie glowa.

- W takim ukladzie z prawdziwym zalem - naprawde wygladal na zniecierpliwionego - bylby zmuszony do zbitcia drugiego bialego skoczka, tego z b1 - popatrzył na rozmówce ze skrucha. - Nie sadzi pan, ze to przykre?

- Tak. Szczególnie z punktu widzenia skoczka... - Munoz przygryzl w skupieniu dolna warge. - A zbilby pan wieza czy hetmanem?

- Oczywiscie, ze hetmanem - obruszył sie Cesar. - Sa pewne zasady... - zawiesil zdanie w powietrzu, unoszac prawa dlon. Dlon blada i smukla, z przeswitujacymi niebieskawymi zytkami. Dlon calkowicie zdolna, z czego Julia wreszcie zdala sobie sprawe, do zadania smiertelnego ciosu tym samym, naturalnym, eleganckim ruchem, który teraz antykwariusz kreslil w pustce.

I wtedy, pierwszy raz od przyjscia do domu Cesara, na ustach Munoz'a pojawil sie wreszcie ów nic nie znaczący usmieszek, slaby i nieobecny, znak raczej matematycznych rozwazan niz reakcji na otaczajaca rzeczywistosc.

- Ja na pana miejscu zagralbym hetmanem na c1, ale to nie ma juz znaczenia... - powiedzial cicho. - Chcialbym tylko wiedziec, jak mial mnie pan zamiar zabic.

- Proszę nie wygadywac niestosownych bzdur - odrzekl antykwariusz z autentycznym oburzeniem i, chcąc może zaapelowac do dobrych obyczajów szachisty, wskazal dlonia sofe, na której siedziala Julia, choc nie patrzyl w jej strone. - Ta mloda dama...

- Sprawy zaszly tak daleko - wtracil Munoz, a usmieszek blakal mu sie w kaciku ust - ze mloda dama jest chyba równie zaciekawiona, jak ja. Ale nie odpowiedzial mi pan na pytanie... Zamierzal pan uciec sie do swojego typowego ciosu w gardlo albo w kark czy rezerwowal pan dla mnie jakies rozwiazanie klasyczne? Moze trucizne, sztylet czy cos w tym stylu... Jak by pan to nazwal? - zerknal na sufit, szukajac tam odpowiedniego okreslenia. - Ach, tak. Cos w stylu weneckim.

- Ja bym uzyl raczej slowa "floreneckim" - poprawil go Cesar, scisly do konca, choc nie kryl swoistego podziwu.

- Ale nie wiedzialem, ze potrafi pan sobie dworowac z tak powaznych kwestii.

- Nie potrafie - odpowiedzial szachista. - Zupelnie nie potrafie - spojrzal na Julie, po czym wycelowal palec w antykwariusza. - ...Widzi go pani: to goniec, zauszniak króla i królowej. By sprawe bardziej udramatyzowac, nazwijmy go z angielska bishop, biskupem spiskowcem. Wielkim Wezyrem zdrajca, który knuje w ciemnosci, bo tak naprawde jest Czarna Królowa w przebraniu...

- Cóż za cudowny romans przygodowy - zakpil Cesar, skladajac dlone w niemym podziwieniu. - Ale nie zdradzil mi pan, co zrobia biale po stracie konika... Jesli mam byc szczery, drogi przyjacielu, to wprost umieram z ciekawosci.

- Goniec na d3, szach. I czarne przegrywaja partie.

- Tak po prostu? Niepokoi mnie pan, mój drogi.

- Tak po prostu.

Cesar zamyslił się nad nowym obrotem sprawy. Po chwili wyjął resztkę papierosa z fiki i wrzucił do popielniczki, strzepnawszy starannie popiół.

- Interesujące - powiedział i unióśł fike niczym palec, domagając się chwili na zastanowienie, po czym z wolna, żeby nie wystraszyć Munoz, przeszedł w stronę angielskiego stolika do gier, stojącego obok sofy, po prawej stronie Julii. Przekreślił srebrny kluczyk w szufladzie, fornirowanej drewnem goździkowca, i wyjął pozółtkle i ciemne szachy z kosci słoniowej, które Julia widziała pierwszy raz w życiu.

- Interesujące - powtórzył, ustawiając na szachownicy bierki smukłymi dłońmi o wypielegnowanych paznokciach.

- Zatem sytuacja wygląda następująco.

- Dokładnie tak - potwierdził Munoz, spoglądając na szachownice z daleka. - Biały goniec wycofując się z c4 na d3, umożliwi podwójnego szacha: biały hetman czarnemu królowi, a sam goniec czarnemu hetmanowi. Król może już tylko uciec z a4 na b3 i pozostawić swojego hetmana własnemu losowi... Biały hetman da kolejnego szacha na c4, spychając króla przeciwnika jeszcze bardziej w dół, nim biały goniec wykończy czarnego hetmana.

- Tego gonia zbije czarna wieza.

- Owszem. Ale to już nie ma znaczenia. Bez hetmana czarne są przegrane. Poza tym po odejściu tej figury cała partia przestaje mieć racje bytu.

- Załóżmy, że ma pan racje.

- Mam. Partie, czy to, co z niej zostaje, rozstrzyga teraz biały pion z d5, który po zabicu czarnego piona na c6 bez przeszkód dotrze do końca i skorzysta z promocji na hetmana... Dojdzie do tego po sześciu, najwyżej dziewięciu ruchach. - Munoz wyjął z kieszeni zapisaną kartkę i ołówek. - Na przykład takich:

d5 : c6/Sd7 - f6

Hc4 - e6/a5 - a4

He6 : Sf6/a4 - a3

c3 - c4+/Kb2 - c1

Hf6 - c3+/Kc1 - d1

Hc3 : a3/Wb1 - c1

Ha3 - b3+/Kd1 : d2

c6 - c7/b6 - b4

c7 - c8.../(czarne poddają się)

Antykwariusz wziął kartkę z notatkami i ze spokojem przyjrzał się szachownicy, gryząc pustką fiškę. Uśmiechał się jak ktoś, kto widzi, że jego klęska zapisana była w gwiazdach. Po kolei przesuwiał bierki aż do pozycji finałowej.

- Przyznaje, że nie ma wyjścia - rzekł w końcu. - Czarne przegrywają.

Oczy Munoz'a powędrowały z szachownicy na Cesara.

- Bicie drugiego skoczka - mruknął beznamiętnie - było błędem.

Antykwariusz, ciągle z uśmiechem, wzruszył ramionami.

- Od pewnego momentu czarne nie miały już wyboru... Powiedzmy, że one też były więźniami swego własnego impetu, swej naturalnej dynamiki. Ten skoczek decydował o grze - Julia przez chwilę dostrzegła w oczach Cesara iskrę dumy. - W gruncie rzeczy otarł się o perfekcję.

- Ale nie w szachach - odparł oschle Munoz.

- W szachach...? Przyjacielu drogi - antykwariusz machnął pogardliwie dłonią w stronę bierki na planszy. - Mam na myśli coś więcej niż zwykłą szachownicę. - Błękit oczu Cesara nabrał głębi, jakby otworzył się w nich cały ukryty świat. - Mam na myśli samo życie, zupełnie inne szesćdziesiąt cztery pola czarnych nocy i białych dni, o których pisał poeta... A nawet być może na odwrót: białych nocy i czarnych dni. Zależy, z której strony stanimy do tej partii... Czyli, by rzecz ująć w kategoriach symbolicznych, z której strony umiścimy lustro.

Julia wpatrywała się w Cesara, który wprawdzie nie spoglądał w jej stronę, ale zdawał się cały czas do niej mówić, choć pozornie zwracał się do Munoz'a.

- Skąd pan wiedział, że to on? - spytała szachistka. W tym momencie antykwariusz pierwszy raz się przestraszył, coś w jego zachowaniu uległo raptownej zmianie, jakby Julia, poswiadczywszy na głos oskarżenie Munoz'a, złamała jakiś pakt milczenia. Ale ta początkowa niepewność natychmiast się rozwiązała, a drwiący uśmiech ustąpił miejsca grymasowi gorczy.

- Tak - zwrócił się do szachisty. To była pierwsza formalna kapitulacja z jego strony. - Proszę jej powiedzieć, skąd pan wiedział, że to ja.

Munoz przechylił nieco głowę ku Julii.

- Pani przyjaciel popełnił parę błędów... - Zreflektował się i popatrzył na antykwariusza z leciutko przeproszającą miną. - Chociaż nazywanie ich "błędami" byłoby niewłaściwe, bo przez cały czas pan wiedział, co robi i co ryzykuje... Paradoksalnie to pani go zdemaskowała.

- Ja? Przecież nie miałam o tym najmniejszego pojęcia do czasu, aż...

Cesar pokręcił głową. Prawie że słodyczy - pomyślała Julia przerażona tym, co czuje.



- Nasz przyjaciel Munoz mówi w przenosni, ksiezniczko.

- Nie nazywaj mnie ksiezniczka, blagam cie - Julia nie rozpoznała własnego głosu. Zabrzmiiał niespodziewanie twardo nawet w jej własnych uszach. - Przynajmniej dziś.

Antykwariusz obserwował ja parę chwil i wreszcie skinął głową.

- Zgoda - rzekł i z wyraźnym trudem powrócił do zasadniczego wątku. - Munoz usiłuje ci wyjaśnić, że twoja obecność w tej grze stanowiła dlań tło, na którym wyraźnie mógł analizować zamiary przeciwnika. Nasz przyjaciel jest świetnym szachistą, ale okazał się też znacznie lepszym detektywem, niż sądziłem... Nie takim, jak ten beczwał Feijoo, który widząc niedopalek w popielniczce, dojdzie najwyżej do wniosku, że ktoś palił. - Spojrzał na Munozę. - Zatem uczuliło pana zabicie pionka na d5 goncem zamiast hetmanem, czyż nie?

- Tak. W każdym razie była to jedna ze wskazówek, które wzbudziły moje podejrzenia. Wcześniej, w czwartym posunięciu, czarne zrezygnowały już ze zabicia białego hetmana, choć ten ruch rozstrzygnąłby partię na ich korzyść... Z początku myślałem, że to taka zabawa w kotka i myszkę albo że Julia jest niezbędna w tej grze i chwilowo nie powinna być zbita czy zabita. Ale kiedy nasz wróg, czyli pan, zdecydował się bic pionka na d5 goncem zamiast hetmanem, co musiało doprowadzić do wymiany hetmanów, zrozumiałem, że tajemniczy gracz wcale nie ma zamiaru bicia białego hetmana. Ze wręcz, gdyby miało dojść do takiej ewentualności, woli poddać partię. A związek tego posunięcia ze sprayem na Rastro, z chępliwym komunikatem "mogę zabić, ale tego nie robię", był tak oczywisty, że przestałem mieć jakiegokolwiek wątpliwości: groźby pod adresem białego hetmana były zasłona dymna. - Spojrzał na Julię. - Bo pani w tej całej historii absolutnie nic nie groziło.

Cesar kiwał głową, jakby tematem rozważań nie były jego własne uczynki, ale jakieś innej osoby, która ani go parzyła, ani ziębiła.

- Zrozumiał pan też - powiedział - że przeciwnikiem jest nie czarny król, a królowa...

Munoz poruszył ramionami, nie wyjmując dłoni z kieszeni płaszcza.

- To akurat nie było trudne. Tutaj ewidentny był trop prawdziwych morderstw: odpowiadały im tylko figury zbite przez czarnego hetmana. Przeanalizowałem wówczas ruchy właśnie tej figury i wyciągnąłem interesujące wnioski. Chociażby na temat jej roli ochronnej, bardziej widocznej niż zazwyczaj w szachach, niż w wypadku jej głównego przeciwnika, białego hetmana, którego zresztą szanowała jak świętego... Zwróciłem też uwagę, że czarny hetman ciągle pozostawał blisko białego skoczka, na sąsiednich polach, prawie jak sojusznik, a swoje zatrute ostrze miał w niego wbici dopiero później, kiedy nie będzie już alternatywy... - Patrzył na Cesara matowym wzrokiem. - Mogę się tylko pocieszać, że zabiłby mnie pan bez nienawiści, a nawet z gracją i sympatią współnika. Z prośbą o wybaczenie i zrozumienie na ustach. Padłbym ofiarą regul czysto szachowych.

Cesar machnął ręką z osiemnastowieczną, manieryczną galanterią i schylił czoło z wdzięczności za tak trafne odgadnięcie jego intencji.

- Ma pan absolutną rację - zaznaczył. - Ale proszę mi zdradzić... Jak pan się zorientował, że jest skoczkiem, a nie goncem?

- Dzięki całej serii wskazówek, wyraźnych i drobnych. Decydująca okazała się symboliczna rola gonia jako powiernika króla i królowej, o której wspomniałem wcześniej. Pan, panie Cesarze, zagrał tu postać niezwykłą: białego gonia przebranego za czarnego hetmana, działał pan z obydwu stron szachownicy...

Ta podwójna osobowość doprowadziła do pana klęski, choć, co ciekawe, rozpoczął pan grę dokładnie w tym celu: żeby ją zakończyć na przegranej pozycji. A śmiertelny cios zadaje pan sobie sam: biały goniec zbija czarnego hetmana, antykwariusz, przyjaciel Julii, własna gra zdradza, kim jest niewidoczny gracz, skorpion zabija się własnym kolcem... Zapewniam pana, że pierwszy raz w życiu jestem świadkiem tak doskonałego samobójstwa na szachownicy.

- Znakomicie - odezwał się Cesar i Julia nie była pewna, czy mówi o analizie Munoz, czy o własnej grze. - Ale proszę mi powiedzieć... Czym należy tłumaczyć, pana zdaniem, moje utożsamienie się z czarną królową i białym goncem?

- Obawiam się, że moja odpowiedź zabrałaby nam całą noc, a dyskusja na ten temat parę tygodni... Teraz mogę tylko mówić o tym, co zobaczyłem na szachownicy. Dojrzałem tam podwójną osobowość: zło, panie Cesarze, mroczne i czarne... Pana kobieca kondycja, przypomina pan sobie...? Sam kiedyś prosił mnie pan o analizę: osobowość osaczona, skrepowana przez otoczenie, rzucająca wyzwania narzuconym normom, kombinacje wrogich odruchów i skłonności homoseksualnych... Wszystko to ukrył pan pod czarną szatą Beatrycze Burgundzkiej, czyli królowej planszy... A po drugiej stronie, jak światło dnia, paska miłość do Julii... To paska druga kondycja, będąca dla pana takim samym źródłem cierpienia: męskość i jej wszystkie implikacje, estetyzm etosu rycerskiego. Wszystko, czym pan chciał być, ale nadaremno. Roger d'Arras wcielony nie w skoczka, czyli rycerza, a w eleganckiego, białego gonca... Co pan na to?

Cesar stał błydy, nieporuszony, i pierwszy raz w życiu Julia widziała, że zdumienie go sparaliżowało. Wreszcie po paru chwilach, które wydawały się wiecznością, wypełnionych i odmierzanych jedynie tykaniem ściennego zegara, zdobył się znów na słaby uśmiech, który zamajaczył w kącikach jego śmiertelnie białych ust. Tym razem jednak był to grymas czysto machinalny, próba stawienia czoła bezlitosnej wiwisekcji, która Munoz rzucił mu pod nogi jak rekawiczkę.

- Proszę mi opowiedzieć o tym goncu - wychrypiał.

- Opowiem, skoro pan mnie o to prosi - teraz w oczach Munoz zagóścił gorączkowy blask, jak w chwilach decydującego posunięcia. Był to jego zawodowy rewanz za zwatpienia i chwile niepewności, jakie stały się jego udziałem przy szachownicy. Julia zdała sobie sprawę, że szachista w którymś momencie partii był już bliski uwierzenia we własną przegraną. - Goniec. Figura najbardziej porównywalna z homoseksualistą, poruszająca się w głąb i po przekątnej... Tak. Pan przypisał tu sobie wspaniałą rolę obrońcy bezradnej białej królowej, który, zgodnie z przyjętym na samym początku przemyślnym planem, zada śmiertelny cios własnej ciemnej stronie, udzielając przy tym swojej ukochanej królowej mistrzowskiej, przerażającej lekcji... Wszystko to odkrywałem stopniowo, zbierając rozproszone obserwacje. Ale pan nie gra w szachy. Początkowo ten fakt nie pozwolił mi na jakiegokolwiek podejrzenia. Później, kiedy nabrałem pewności, wprawiał mnie w prawdziwe zakłopotanie. Plan tej partii był zbyt doskonały jak na zwykłego gracza i nie do pomyslenia u amatora... Po prawdzie ciągle tego nie pojmuję.

- Wszystko ma swoje wytłumaczenie - odparł Cesar. - Ale nie chce panu przerywać, mój drogi. Proszę mówić.

- Niewiele mi zostało do powiedzenia. Przynajmniej tu i teraz. Alvara Ortege zabił kogoś, kogo ofiara może znała, ale nie byłem dostatecznie wprowadzony. Natomiast Menchu Roch nigdy nie otworzyłaby drzwi nieznanemu, w każdym razie w okolicznościach, które znamy z ust Maxa. Noca w kawiarni powiedział pan, że już prawie nie ma podejrzanych, i miał pan rację. Postanowiłem przebadać rzecz, posługując się analizą wariantową. Lola Belmonte nie była moim przeciwnikiem, wiedziałem to, gdy stanąłem z nią twarzą w twarz. Jej mazał tym bardziej. Z kolei sporo do myślenia dały mi ciekawe

paradoksy muzyczne don Manuela Belmontego... Ale jak na podejrzanego miał niedostateczne kwalifikacje. Jego szachowe wcielenie, że tak powiem, nie dorastało do reszty. Poza tym jest inwalida, a to wykluczało go jako człowieka odpowiedzialnego za bezpośrednio zadane ciosy... Ewentualna kombinacja stryj-bratanica, tłumaczka udział kobiety w płaszczu, też nie wytrzymała próby analitycznej: po co mieliby krążyć coś, co i tak należało do nich...? Natomiast w sprawie tego Montegrifa przeprowadziłem małe dochodzenie i wiem, że nie ma najmniejszych związków z szachami. Poza tym Menchu Roch w życiu nie wpuszczałaby go do domu tamtego ranka.

- Czyli pozostawiałem tylko ją.

- Wie pan, że po wykluczeniu wariantów niemożliwych to, co zostaje, siłą rzeczy musi być prawda, choćby nieprawdopodobna.

- Pamiętam, mój drogi, i wiesz. Cieszę się, że nie pomyliłem się co do pana.

- Po to mnie pan wybrał, prawda...? Wiedział pan, że wygram partię? Pan chciał zostać pokonany.

Cesar wyrozumiałym wyrazem twarzy dał do zrozumienia, że to już nie jest ważne.

- Istotnie, spodziewałem się tego. Liczyłem na pańskie umiejętności, ponieważ Julia potrzebowała przewodnika podczas drogi do piekieł... Ja w tym przypadku musiałem ograniczyć się do jak najlepszego odegrania roli Diabła. "Zec przewodnikiem będę"\* [przykład: Dante Alighieri, Boska komedia, przeł. Edward Porebowicz.]. Otóż i zesłałem jej przewodnika.

Słyszac te słowa, Julia spojrzała na niego gniewnie. Jej głos zadzwieczał metalicznie:

- Nie odgrywałeś Diabła, ale samego Boga. Dysponowałeś złem i dobrem, życiem i śmiercią.

- To twoja gra, Julio.

- Kłamiesz. Twoja gra i tyle. A ja byłem tylko pretekstem.

Antykwariusz skrzywił się z wyrzutem.

- Niczego nie rozumiesz, kochanie. Ale to już nie ma specjalnie znaczenia... Przejrzyj się w dowolnym lustrze i może przyznasz mi rację.

- Cesar, wsadź sobie swoje lustro, gdzie chcesz. Popatrzył na nią z prawdziwym bólem, jak pies, albo dziecko niesprawiedliwie ukarane. Stopniowo niema wymówka, przepelniona absurdalną wiernością, ulatniała się z jego blekitnych oczu, ustępując w końcu miejsca zagubionemu w pustce, dziwnie wilgotnemu spojrzeniu. Antykwariusz powoli zwrócił głowę z powrotem ku Mimosowi.

- Ciagle - odezwał się i było słychać, że z trudem odzyskuje poprzedni ton głosu - nie powiedział mi pan, w jaki sposób powiązał swoje teorie indukcyjne z faktami... Na przykład dlaczego przyszedł pan do mnie z Julią dzisiaj, a nie wczoraj?

- Bo wczoraj jeszcze nie wiedziałem, że drugi raz zrezygnował pan z bicia białego hetmana... Poza tym dopiero dziś wieczorem znalazłem to, czego szukałem: oprawiony rocznik pisma szachowego z trzeciego kwartału tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Jest tam zdjęcie finalistów turnieju młodzieżowego. Pan, panie Cesarze, figuruje na tym zdjęciu. A pana imię i nazwisko na następnej stronie. Zdziwiał mnie, że nie został pan zwycięzcą... Zdumiewające też, że od tamtej chwili znika

szachowy ślad w pńskiej biografii. Nigdy nie rozegrał pan publicznie żadnej partii.

- Jednego nie rozumiem - wtraciła się Julia. - A właściwie jest jeszcze jedna rzecz pośród tego całego szalenstwa, której nie rozumiem... Jesteś obecny w moim życiu, Cesar, od kiedy sięgam pamięcią. Wychowałam się przy tobie, wydawało mi się, że znam najdrobniejsze zakamarki twojego życia. Ale nigdy nie mówiłeś o szachach. Ani razu. Dlaczego?

- To długa historia.

- Mamy czas - rzekł Munoz.

Była to ostatnia partia turnieju. Finał goncami i pionami, na szachownicy zostało już niewiele bierek. Naprzeciwko podium, na którym potykali się finaliści, ich ruchy śledziło paru widzów. Jeden z sędziów zaznaczał zmiany sytuacji na tablicy wiszącej na ścianie pomiędzy portretem caudilla\* [przyp.: Caudillo (hiszp.) - wódz: tytuł przysługujący ówczesnemu szefowi państwa hiszpańskiego, generałowi Franciscowi Franco.], a kalendarzem z datą 12 października 1945, stojącym na stole obok połyskującego pucharu dla zwycięzcy.

Młodzieniec w szarej marynarce odruchowo dotknął węzła krawata i popatrzył na swoje czarne bierki z rozpaczą. Bezlitosna, metodyczna gra przeciwnik od paru posunięć osaczał go, nie dając żadnej nadziei. Białe nie grały błyskotliwie, raczej dokonywały powolnego postępu na solidnie przygotowanej bazie - grano obronę królewsko-indyjską - i zyskiwały przewagę dzięki cierpliwemu wykorzystywaniu błędów rywala. Grały bez wyobrazni, niweczając jednak skutecznie wszelkie próby ataku na króla ze strony czarnych, zdziesiątkowanych i rozproszonych, pozbawionych możliwości schronienia, niezdolnych przeszkodzić białym pionom w ich nieustępliwym dążeniu do promocji na hetmana.

Oczy młodzieńca w szarej marynarce zaszyły mgłą ze zmęczenia i wstydu. Przekonanie, że mógł zwyciężyć, że grał lepiej, odwazniej i błyskotliwiej od przeciwnika, nie zdołało pocieszyć go w obliczu nieuchronnej klęski. Jego niepohamowana, zarliwa wyobraznia piętnastolatka, niezwykła wrażliwość, jasność myśli, a nawet niemal fizyczna rozkosz, jaką odczuwał, gdy dotykał bierki z lakierowanego drewna i przesuwając je wytwornymi ruchami po szachownicy, snując na białych i czarnych polach delikatną intrygę o prawie idealnej harmonii i pięknie - wszystko to nagle okazało się jalone, splamione dziką satysfakcją i pogardą, malującą się na twarzy zwycięskiego przeciwnika, ponurego gburą o małych oczkach i prostackich rysach, którego jedynym tytułem do chwały było ostrożne wyczekiwanie. Jak pajak pośrodku sieci, jak niewypowiedziany tchórz.

A więc szachy mogły być i takie - pomyślał młodzieniec grający czarnymi. Ostatecznym upokorzeniem, niezasłużoną klęską, nagrodą dla tego, kto niczym nie ryzykuje. Tak to odczuwał w owym momencie, siedząc przed szachownicą, na której widac było nie tyle porostawiane głupie bierki, ale namacalne odbicie ludzkiego losu, życia i śmierci, bohaterstwa i ofiary. Przypomnieli mu się dumni rycerze francuscy pod Crecy, rozbici w pełnej glorii przez luczników walijskich króla Anglii. Podobnie i jego śmiały, głębokie ataki skoczkami i goncami, piękne ruchy, zuchwale jak ciosy szpada, nadciągające niczym heroiczne, daremne fale, napotykały druzgocący opór flegmatycznego, nieruchawego przeciwnika. Biały król, zniechęcona postać, stał za nieprzebytą barykadą plebejskich pionków i z dala, z pogardą identyczna jak ta na twarzy jego gracza, obserwował niepokój i bezsilność osamotnionego czarnego króla, który nie mógł już liczyć na pomoc rozproszonych, wiernych pionów, pierzchających w popłochu wobec beznadziejnej sytuacji.

Na tym zimnym biało-czarnym polu okrutnej walki nie było już nawet jak ocalić honoru. Katastrofa

kompletnie go zrujnowala, razem z nim niszczac takze jego wyobraznie, jego marzenia, jego czesc. Młodzieniec w szarej marynarce oparł łokiec na stole, czoło położył na dłoni, zamknął na chwile oczy i słuchał słabnącego z wolna szczeru broni w pograżonej w ciemności dolinie. Nigdy więcej - powiedział sobie w duchu. Gallowie pokonani przez Rzym odmówili wypowiedziania nazwy miejsca własnej przegranej, i on też do końca życia nie będzie wspominał tego, co w owej chwili objawiła mu jądowa chwala. Nigdy już nie usiadzie do szachów. I oby mógł także pogrzebac to w pamięci, jak faraonów, których po śmierci składano do grobowców razem z ich imionami.

Przeciwnik, sędzia i widzowie oczekiwali kolejnego posunięcia ze zle skrywana niechęcia, final bowiem za bardzo już się przedłużał. Młodzieniec ostatni raz popatrzył na swego osaczonego króla i z uczuciem wspólnie poniesionej klęski uznał, że pozostaje tylko jedno wyjście: własna reka zadać mu cios łaski, dać prawo do godnej śmierci, nie czekając, aż skoczy zaszczytany niczym kundel, zapędzony w kozły róg szachownicy. Wyciągnął więc palce ku samotnej figurze i z niebywałą czułością przewrócił pokonanego króla, pełnym uwielbienia gestem kładąc go na pustych kwadratach.

## XV. Koncówka hetmana

Grajac w nie popelnilem niejedyn grzech: namietnosci,  
klótnie, niepotrzebne (albo i klamliwe) slowa  
nie ominely ani mnie, ani mojego przeciwnika  
- a czasem nas obydwu naraz. Przez szachy  
zaniedbalem tyle powinnosci tak wobec Boga, jak i ludzi...

## E. Harley, The Harleyan Miscellany

Kiedy Cesar skonczyl swa opowiesc - a mowil cicho, wpatrzony w nieokreslony punkt pokoju - usmiechnal sie do siebie i odwrócił z wolna ku szachom z koscí sloniowej, lezacy na stole. Wreszcie wzruszył ramionami, chcąc może dać tym gestem do zrozumienia, że nikt nie wybiera własnej przeszłości.

- Nigdy mi o tym nie opowiadales - odezwała się Julia. Miała wrażenie, że jej głos zabrzmiał jakos absurdalnie nie na miejscu.

Nie od razu odpowiedział. Pergaminowy abazur sprawiał, że połowa jego twarzy pozostawała w cieniu. Skąpe światło wyraźnie akcentowało zmarszczki wokół oczu, arystokratyczny profil, wąski nos i podbródek, wszystko jak z misternie rytego starego medalu.

- A jakże mógłbym opowiadać ci o czymś, czego nie było? - szepnął miękko i pierwszy raz po długiej przerwie jego wzrok, a może tylko przycmiony blask oczu, spoczął na Julii. - Przez ponad czterdzieści lat czyniłem wysiłki, by wierzyć, że tak właśnie jest - w jego uśmiechu pojawił się drwiący grymas, którego adresatem był bez wątpienia sam antykwariusz. - Nie zagrałem więcej w szachy, nawet samemu. Nigdy.

Dziewczyna pokręciła w zdumieniu głową. Ledwie była w stanie w to wszystko uwierzyć.

- Ty jesteś chory.

Odpowiedział jej krótki, oschły śmiech. Światło odbijało się w oczach Cesara jak w kryształkach lodu.

- Rozczarowujesz mnie, księżniczko. Przynajmniej po tobie oczekiwałem, że nie będziesz iść po linii najmniejszego oporu - popatrzył w zadumie na firkę. - Zapewniam cię, że jestem w pełni władz umysłowych. Czy mógłbym tak precyzyjnie dopracować szczegóły tej pięknej historii, gdyby było inaczej?

- Pięknej? - wpatrywała się w niego zaskoczona. - Mówisz o Alvarze, o Menchu...? I nazywałeś to "piękna historia"? - wzdrygnęła się z przerażeniem i pogarda. - Na miłość boską! Co ty, do cholery, wygadujesz?!

Antykwariusz spokojnie wytrzymał jej spojrzenie, po czym zwrócił się w stronę Munoz, jakby szukał pomocy.

- Są pewne aspekty... estetyczne - powiedział. - Czynniki nader oryginalne, których nie powinniśmy sprowadzać do tak powierzchownego poziomu. Szachownica nie składa się wyłącznie z bieli i czerni. Na fakty można spojrzeć z wyższych perspektyw. Z perspektyw obiektywnych - popatrzył na nią z nagłym smutkiem, który musiał być autentyczny. - Ufałem, że zdajecie sobie z tego sprawę.

- Wiem, o czym pan mówi - odezwał się Munoz ku zdumieniu Julii. Ciągle stał nieruchomo w środku salonu, z rękami w kieszeniach pomietego płaszcza. W kącie jego ust znów pojawił się ten słaby grymas, ledwie widoczny uśmiešek, nieokreślony, nieobecny.

- Pan wie? - krzyknęła Julia. - Co pan pieprzy? Co pan może wiedzieć?!

Zacisnęła pięści z oburzenia. Dyszała jak zwierzę po długim biegu. Na Munozie jednak nie zrobiło to wrażenia i Julia dostrzegła wdzięczność w spokojnym spojrzeniu, jakie Cesar posłał szachistę.

- Dokonałem trafnego wyboru - rzekł antykwariusz. - I bardzo mnie to raduje.

Munoz nie odpowiadał, patrzył tylko na obrazy, meble i przedmioty zapełniające pokój i kiwał powoli głową, jakby wyciągał z tego sekretne wnioski. Wreszcie po jakimś czasie pokazał na dziewczynie ruchem podbródka.

- Chyba panna Julia ma prawo poznać całą historię.

- Pan też, mój drogi.

- Ja też. Choć ja pełnię tu tylko rolę świadka.

W jego głosie nie było slychac nagany czy grozby. Szachista o dziwo sprawiał wrażenie, jakby przyjął

neutralna postawę. Neutralna do czasu - pomyślała Julia - bo prędzej czy później przyjdzie moment, kiedy wyczerpia się słowa i trzeba będzie podjąć decyzję. Tyle że ten moment jest jeszcze bardzo daleko, jak stwierdziła, oszłamiona nieustającym odczuciem, że cała scena jest zupełnie nierealna.

- No to zaczynamy - rzekła, i z nieoczekiwana ulga poznała po własnym głosie, że odzyskuje spokój. Spojrzała twardo na Cesara. - Powiedz nam o Alvarze.

Antykwariusz skinął głową.

- O Alvarze - powtórzył cicho. - Ale najpierw muszę zająć się obrazem... - tu na jego twarzy pojawił się żal, jakby antykwariusz zdał sobie sprawę, że zapomniał o elementarnej gościnności. - To niewybaczalne, do tej pory niczego nie zaproponowałem. Napijcie się czegoś?

Nikt nie odpowiedział. Cesar podszedł do starego, debowego kufra, którego używał jako barku.

- Pierwszy raz zobaczyłem ten obraz, kiedy byłem u ciebie, Julio. Pamiętasz...? Przywiezli go parę godzin wcześniej, cieszyłaś się jak mała dziewczynka. Przez prawie godzinę przypatrywałem ci się, jak badasz każdy szczegół i tłumaczysz mi, jakimi technikami się posłużysz, żeby, cytując dosłownie, uczynić z niego najpiękniejsze osiągnięcie w twojej karierze - mówiąc to, Cesar wybrał wąską szklanke z drogiego, rzućtego kryształu, i napełnił ją lodem, dżinem i sokiem z cytryny. - Byłem urzeczony twoim szczęściem, a prawdę mówiąc, księżniczko, ja też byłem szczęśliwy. - Odwrócił się do nich ze szklanką w dłoni, zadowolony z proporcji koktajlu. - Ale nie powiedziałem ci wtedy... Cóż. Rzecz w tym, że i dzisiaj nie znajduje odpowiednich słów... Wpadłaś w zachwyt na widok urody obrazu, doskonałości jego kompozycji, kolorów i światła. Ja też, ale z innych powodów. Ta szachownica, pochyleni nad nią gracze i dama, która czyta przy oknie, obudzili we mnie echo dawno uspionej pasji, o której wydawało mi się, że już zapomniałem. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy - trach! - powróciła jak armatnia kula, a mnie i zachwyt zdjął, i strach. Poczulem jakby tchnienie szalenstwa.

Antykwariusz zamilkł na chwilę i oświetlona częścią ust uśmiechnął się do siebie podstępnie, jakby to wspomnienie napawało go szczególną błogością.

- Rzecz nie dotyczyła wyłącznie szachów - podjął po chwili - ale owego zawodowego poczucia, że ta gra stanowi parabolę życia i śmierci, łączy rzeczywistość z marzeniami... I kiedy ty, Julio, mówiłaś o barwnikach i werniksach, ja ledwie ci słuchałem, zaskoczony dreszczem rozkoszy i niezwykłego smutku, jaki przesuwał mi ciało, tylko siedziałem koło ciebie na sofie i wpatrywałem się nie w to, co Pieter van Huys namalował na trzech deskach, ale w to, co ów genialny mistrz miał w głowie podczas malowania.

- I postanowiłaś, że obraz musi należeć do ciebie...

Cesar spojrzał na dziewczynę z ironią i nagana.

- Upraszczaś, księżniczko. - Upił łyk drinka. Jego słaby uśmiech wyrażał prośbę o wyrozumiałość. - Postanowiłem raczej, że bezwzględnie muszę do końca spełnić dług wobec młodszej pasji. Takiego długiego życia, jak moje, nie należy przeżywać na darmo. Bez wątpienia właśnie dlatego natychmiast dotarł do mnie nie komunikat wprawdzie, który okazał się tu kluczem, ale niezbity fakt, że w obrazie zawarta jest fascynująca, straszliwa zagadka. Może ta zagadka, pomyśl przez chwilę, dawała mi wreszcie rację bytu.

- Rację bytu?

- Tak. Świat nie jest tak prosty, jak niektórzy chcieliby nam wmówić. Kontury są niewyraźne, licza się odcienie. Nic nie jest czarne albo białe. Zło może skrywać dobro albo piękno i na odwrót, a żadne z tych pojęć nie wyklucza drugiego. Istota ludzka potrafi kochać i zdradzić ukochaną osobę, co w niczym nie zaprzecza autentyczności jej uczuć. Można być zarazem ojcem, bratem, synem i kochankiem, ofiarą i katem... Weź pierwszy z brzegu przykład. Życie to niebezpieczna przygoda w zamglonym pejzażu o ruchomej powierzchni i sztucznie wyznaczonych granicach. Tu wszystko może w każdej chwili skończyć się i zacząć na nowo względnie urwać nagle, jak ucięte, na zawsze. Tu jedynym rzeczywistym absolutem, spójnym, niepodważalnym i ostatecznym jest śmierć. A my jesteśmy małymi błyskami między dwiema wiecznymi nocami i mamy, księżniczko, bardzo mało czasu.

- Ale to się nie wiąże ze śmiercią Alvara.

- Wszystko się wiąże ze wszystkim - Cesar gestem dłoni poprosił o cierpliwość. - Poza tym życie jest ciągiem wypadków, które wynikają z siebie nawzajem, często bez udziału woli... - Spojrzał pod światło na szklanke, jakby tam pływała dalsza część jego rozumowania. - I wtedy, to znaczy w dniu, kiedy byłem u ciebie, postanowiłem wyświetlić prawdę na temat tego obrazu. Podobnie jak tobie, pierwszą osobą, jaka przyszła mi na myśl, był Alvaro... Nigdy go nie lubiłem, ani kiedy byliście ze sobą, ani potem. Jedną istotną różnicą: absolutnie mu nie wybaczyłem, że przez niego cierpiałas.

Julia wyjmowała właśnie drugiego papierosa, ale na dźwięk tych słów zastygła i popatrzyła na Cesara zaskoczona.

- To była moja sprawa, nie twoja.

- Mylisz się. To była moja sprawa. Alvaro zajął miejsce, którego ja nigdy zająć nie byłem w stanie. W jakimś sensie - antykwariusz zawahał się z gorzkim uśmiechem - był moim rywalem. Jedynym mężczyzną, który mógł mnie od ciebie oddzielić.

- Między nim a mną wszystko się skończyło... Jak można łączyć te dwie sprawy?

- Owszem, można. Ale zostawmy te kwestie. Nienawidziłem go, koniec kropka. Naturalnie to jeszcze nie powód, żeby kogoś zabijać. A i tak zapewniam cię, że na konkretny powód nie musiałem długo czekać... Świadek specjalistów od sztuki i antyków jest bardzo mały. Alvaro i ja mieliśmy nieco zawodowych kontaktów, trudno było ich uniknąć. Nie można oczywiście powiedzieć, żeby to były ciepłe stosunki. Ale czasami dzięki pieniądзом i wspólnemu interesowi najdziwniejsze pary trafiają do wspólnego łóżka. Dowodem fakt, że i ty, kiedy pojawiła się zagadka van Huysa, zwróciłaś się do niego... Otóż ja poszedłem do Alvara z prośbą o informacje na temat obrazu. Wcale nie z miłości do sztuki. Zaoferowałem znaczną sumę. Twój były, Panie, świec nad jego duszą, zawsze był drogi. Bajansko drogi.

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałas?

- Z paru powodów. Po pierwsze dlatego, że nie chciałem, by wasze stosunki się odnowiły, choćby na gruncie zawodowym. Nigdy nie mamy pewności, czy w popielisku nie tli się żar... Ale w grę wchodziło coś jeszcze. Obraz łączył się z najbardziej skrytymi wspomnieniami - pokazał palcem szachy z kości słoniowej rozstawione na stoliku.

- Z tą częścią mnie, która zdawało mi się, że pogrzebałem na zawsze. Z zakamarkiem, do którego nikogo, nawet ciebie, księżniczko, w życiu bym nie wpuścił. Bo to oznaczałoby sprowokowanie pytań, których nie miałbym odwagi z tobą roztrząsać. - Popatrzył na Munoza, który trzymał się na uboczu i milczał. - Spodziewam się, że nasz przyjaciel potrafiłby ci to zagadnienie niezłe zobrazować. Nie mylę



sie? Szachy jako projekcja ego, kleska jako cios zadany libido i tym podobne, wybornie swinskie rzeczy... Te glebokie, dlugie ruchy gonców po przekatnej szachownicy - przesunął jezykiem po skraju szklanki i wzdygnął sie niezauwazalnie. - No tak. Stary Sigismund mógłby wiele na ten temat powiedziec.

Westchnął nad upiorami własnej przeszłości, wznosił szklankę w toaście skierowanym do Munoz, siadł w fotelu i skrzyżował niedbale nogi.

- Nie rozumiem - nalegała dziewczyna - co to ma wspólnego z Alvarem.

- Z początku miało niewiele - przyznał antykwariusz.

- Ja tylko chciałem zdobyć zwykłą informację historyczną. Coś, za co, jak ci wspomniałem, byłem gotów dobrze zapłacić. Ale wszystko się skomplikowało, kiedy i ty się do niego zwróciłaś... Zrazu sprawa nie wyglądała poważnie. Ale Alvaro, który szczycił się pochwałą godnym instynktem zawodowym, nie pisał ci ani słówka o moich indagacjach, ponieważ wymogłem na nim absolutną dyskrecję...

- A nie był zdziwiony, że dopytujesz się o ten obraz za moimi plecami?

- Zupełnie nie. A jeśli tak, to niczego nie powiedział. Może uznał, że chce ci zrobić niespodziankę, przynosząc nowe fakty... Albo pomyślał, że szykuje ci jakiś kawał - Cesar zamyslił się z powagą. - Gdy teraz do tego wracam, sędzę, że już choćby tym zasłużył na śmierć.

- Próbował mnie ostrzec. Powiedział, że van Huys robi się ostatnio modny.

- Nikczemnik do ostatka - orzekł Cesar. - Tym łatwym wybiegiem zapewniał sobie alibi wobec ciebie, nie łamał umowy ze mną. Zadowolal nas wszystkich, inkasował pieniądze i na dodatek otwierał sobie furtkę do tego, by czule scenki z przeszłości powróciły... - zasmiał się, unosząc brew. - Ale opowiadałem ci o tym, co zaszło między Alvarem a mną - zajrzał do szklanki. - Dwa dni po naszym spotkaniu ty przysłałaś mi powiedziec, że obraz zawiera ukryty napis. Staralem się opanować ze wszystkich sił, ale poczułem, jakby mnie prad przeszedł: to potwierdzało moje podejrzenia, że mamy do czynienia z jakąś tajemnicą. Z miejsca pojąłem: to oznacza dużo pieniędzy, bo wycena na aukcji będzie kilkakrotnie wyższa, i o ile pamiętam, zakomunikowałem ci to. Powiązanie twojego odkrycia z historią obrazu i jego postaci otworzyło przede mną iście cudowne perspektywy: obydwoje będziemy prowadzić dochodzenie, dotrzemy do rozwiązania pięćsetletniej zagadki. Jak w dawnych czasach, dasz wiare? Jakbysmy szukali skarbu, tyle że wreszcie prawdziwego. Ty, Julio, zyskałabys sławę. Twoje nazwisko pojawiłoby się w publikacjach naukowych, w książkach o sztuce. A ja... Powiedzmy, że to już mi wystarczyło, ale wchodząc w te gre, podejmowałem trudne wyzwanie osobiste. I przysięgam ci, że ambicja nie odgrywała tu żadnej roli. Wierzysz mi?

- Wierze.

- Miło to słyszeć. Bo tylko w ten sposób zdołasz pojąć wszystko, co się potem zdarzyło. - Cesar rozkolywał drinka w szklance i wydawało się, że dzwieczenie kostek lodu pomaga mu uporządkować myśli. - Kiedy już poszłaś, zadzwoniłem do Alvara i umówiliśmy się, że wpadnie do niego w południe. Bez żadnych złych zamiarów. Przyznaje, że cały drzałem z podniecenia. Alvaro zdał mi sprawę z tego, co zdołał stwierdzić. Z zadowoleniem przekonałem się, że nie ma pojęcia o ukrytym napisie, i sam strzegłem się, żeby niczego mu nie palnąć. Wszystko szło jak z płatka, dopóki nie zaczął mówić o tobie. Wtedy to, kieszniczko, sceneria zmieniła się diametralnie.

- W jakim sensie?

- W każdym.

- Chodzi mi o to, co powiedział o mnie.

Cesar poprawił się w fotelu. Wyraznie niezadowolony zwlekał z odpowiedzią.

- Twoja wizyta zrobiła na nim kolosalne wrażenie... Przynajmniej dał mi to do zrozumienia. Pojałem, że niebezpiecznie roznieciłaś w nim dawne uczucia i że Alvarowi nie byłoby na rękę, gdyby sprawy wróciły do dawnego stanu. - Przerwał na chwilę i zmarszczył czoło. - Wyznaje, Julio, że to mnie wściekło w stopniu dla ciebie niewyobrażalnym. Alvaro, który zniszczył ci dwa lata życia, oto siedział przede mną i bezczelnie snuł plany, jak wszczać na nowo ów proceder... Bez ogródek powiedziałem mu, żeby zostawił cię w spokoju. Popatrzył na mnie jak na stare, wścibskie pedaliszkie i zaczęliśmy się klócić. Oszczędzę ci szczegółów, ale wyglądało to bardzo nieprzyjemnie. Zarzucił mi, że miesza się w cudze sprawy.

- I słusznie.

- Nie. Ty jesteś moja sprawa, Julio. Najważniejsza na świecie.

- Opowiadasz bzdury. Nigdy w życiu nie wróciłabym do Alvara.

- Nie jestem wcale pewien. Pamiętam, ile ten lajdak dla ciebie znaczył... - Uśmiechnął się kpiąco w przestrzeń, jakby widmo Alvara, już niegroźne, pojawiło się w pokoju. - Podczas kłótni poczułem, że narasta we mnie dawna nienawiść. Uderzyła mi do głowy jak ta twoja wódka na gorąco. Była to, kochanie, nienawiść, jakiej nigdy w życiu nie odczuwałem. Porządna, silna nienawiść, cudownie śródziemnomorska. Wtedy wstałem, chyba straciłem nieco panowanie nad sobą, i obrzuciłem go zaprawde bazarowym stekiem inwektyw, które zachowuje na szczególne okazje... Z początku mój wybuch go zaskoczył. Potem ten dran zapalił fajkę i zaśmiał mi się w twarz. Powiedział, że rozpadowi jego związku z tobą winien jestem ja. Podobno przeze mnie nie dorosłaś. Moja obecność w twoim życiu, chora i obsesyjna, jak ją nazwał, przeszkodziła ci w zasmakowaniu swobody. "A najgorsze ze wszystkiego - dodał ze złośliwym uśmiechem - że w głębi duszy Julia zawsze była zakochana w tobie, bo jesteś dla niej ojcem, którego ledwie znalazła... I z tym jej dobrze". Po tych słowach Alvaro wsadził rękę do kieszeni spodni, pyknął parę razy z fajki, popatrzył na mnie poprzez dym i dodał: "Jestecie w związku kazirodczym nie skonsumowanym. Całe szczęście, że jesteś gejem".

Zawiesił ostatnie zdanie w powietrzu i zamilkł. Julia zamknęła oczy. Zawstydzona i wzburzona, nie śmiała zmazać tej ciszy. Kiedy wreszcie zebrała się na odwagę, by znów spojrzeć na antykwariusza, ten wzruszył wymijająco ramionami, jakby nie przyjmował odpowiedzialności za wydarzenia, które miał dalej zrelacjonować.

- Tymimi słowami, księżniczko, Alvaro podpisał swój wyrok śmierci... Palil sobie spokojnie przede mną, ale już był martwy. Nie z powodu tego, co powiedział, bo była to opinia równie dobra jak każda inna, ale z powodu tego, co jego osad objawił mi samemu. Czulem, jakby opadła jakaś zasłona, która przez lata odgradzała mnie od rzeczywistości. Może po prostu potwierdził domysły, ukryte w najdalszym, mrocznym zakamarku mojej głowy, gdzie nie dopuszczałem dotąd światła rozumu i logiki...

Przerwał, jak gdyby stracił watek, i popatrzył niepewnie najpierw na Julię, potem na Munozę. Na koniec uśmiechnął się zagadkowo, niesmiało i przewrotnie zarazem, podniósł szklanke do ust i pociągnął niewielki łyk.

- Wówczas spłynęło na mnie nagle natchnienie. - Julia spostrzegła, że pijak, stał z ust dziwny uśmiezek.  
- ...Oto, dziw nad dziwy, przed oczami stanął mi cały plan, jak w opowieściach o czarownicach. Wszystkie bładzące dotąd bezładnie elementy naraz znalazły swoje miejsce i właściwy odcień. Alvaro, ty, ja i obraz... Odezwiała się też moja ciemna strona, dalekie echo zapomnianych emocji, uspijonych pasji... Wszystko w ciągu paru sekund ułożyło się w olbrzymia szachownice, gdzie każda osoba, każde pojęcie, każda sytuacja znalazły swoje odpowiedniki w bierkach, swoje konkretne punkty w czasie i przestrzeni... To miała być partia przez duże P, wielka gra mojego życia. I twojego. Wszystko tam było, księżniczko: szachy, przygoda, miłość, życie i śmierć. A na koncu zostawałaś ty, wolna od wszystkiego i od wszystkich, piękna i doskonała, odbita w najczystszy z zwierciadła dojrzałości. Musiałaś zagrać w szachy, Julio. Nie mogłaś tego uniknąć. Musiałaś zabić nas wszystkich, żeby wreszcie poczuć się wolna.

- Boże święty...

Antykwariusz pokręcił głową.

- Bóg nie ma tu nic do gadania... Zapewniam cię, że kiedy podszedłem do Alvara i uderzyłem go w kark popielniczka z obsydianu, która stała na stole, już nie czułem don nienawiści. Była to tylko zwykła nieprzyjemna formalność. Dokuczliwa, ale konieczna.

Przyjrzał się swojej prawej dłoni z badawczym zaciekawieniem. Może oceniał śmiertelny potencjał skryty w tych smukłych białych palcach zakończonych wypielegnowanymi paznokciami, które teraz z niedbalego elegancją obejmowały szklanke z dżinem.

- Zwalil się jak wór - powiedział chłodno, zakończywszy oględziny. - Padł bez jęku, plaf, nie wypuściwszy nawet fajki z ust. Potem na podłodze... Cóż, kolejnym, lepiej wymierzonym ciosem dopilnowałem, żeby umarł na pewno. W końcu jak coś robić, to robić to dobrze... Reszta znasz: wanna i pozostałe elementy należały do artystycznego wykonczenia. *Brouillez les pistes\** [przyp.: *Brouillez les pistes* (fr.) - zatrzyście ślady.], jak mawiał Arsene Lupin... Aczkolwiek Menchu, Panie, świec nad jej duszą, z pewnością przypisałaby te słowa Coco Chanel. Biedaczka. - Upił łyk ku pamięci Menchu i znów zapatrzył się w przestrzeń. - Otóż ja zatarłem ślady chustką i na wszelki wypadek zabrałem popielniczkę. Wyrzuciłem ją do śmieci daleko od tego miejsca... Nieladnie, że ja to mówię, księżniczko, ale w moim umyśle pojawiły się arcybrodnicze kalkulacje, zdumiewające jak na debiutanta. Nim wyszedłem, wzięłem raport o van Huysie, który Alvaro zamierzał dostarczyć ci osobiście, i wsadziłem do koperty, napisawszy na maszynie twój adres.

- Zabrales też pakiet jego fiszek.

- Nie. Był to znakomity szczegół, lecz wpadłem na niego za późno. Nie było czasu, żeby się po niego fatygować, więc kupiłem takie same w sklepie papierniczym. Ale to kilka dni potem. Najpierw trzeba było zaplanować rozgrywkę. Każde posunięcie musiało być perfekcyjne. Natomiast owszem, jako że byliśmy umówieni na wieczór nazajutrz, musiałem dopilnować, żebyś dostała jego raport. Nie mogłaś nie znać wszystkich szczegółów związanych z obrazem.

- Tak to stałaś się kobieta w płaszczu...

- Zgadza się. I tu muszę ci coś wyznać. Nie zajmuje się przebiegami, transwestytyzm za cholere mnie nie bawi... Kiedyś, w młodości, przebiegałem się dla czystej rozrywki. Jakby chodziło o karnawał czy coś w tym stylu. Zawsze w samotności i przed lustrem... - Tu Cesar uśmiechnął się przewrotnie i poblazliwie zarazem do własnych wspomnień. - Ale w momencie, gdy przyszło do wysłania koperty, nie odmówiłem sobie powtórki z dawnych doświadczeń. Coś w rodzaju zapomnianego kaprysu, rozumiesz?

Albo, ujmując to w kategoriach... bohaterskich, coś w rodzaju wyzwania. Chciałem sprawdzić, czy potrafię oszukać ludzi, bawiąc się, że tak powiem, w mówienie im częściowej prawdy... Wybrałem się zatem na zakupy. Dystyngowany mężczyzna, kupujący płaszcz przeciwdeszczowy, torebkę, buty na płaskim obcasie, peruki blond, ponczochoy i sukienkę, nie wzbudza podejrzeń, jeśli zachowuje się przy tym odpowiednio. Trzeba to robić w dużym domu towarowym, gdzie jest pełno ludzi, z miną, jakby się kupowało coś dla żony. Reszty doskonale poradziło sobie golenie i makijaż. Wyznaje to już bez rumieńców, mam po temu trochę akcesoriów w domu. Żadnego szarżowania, znasz mnie przecież, tylko dyskretny retusz. W agencji kurierskiej nie mieli najmniejszych podejrzeń. Przyznaje, że było to doświadczenie zabawne... i pouczające.

Westchnął głęboko z wystudiowaną melancholią. Zaraz jednak spochmurniał.

- W sumie - dodał znacznie mniej frywolnym tonem - była to ludyczna część całej historii... - Popatrzył na Julię z zadumą i powagą, jakby dobierał słowa przed doborowym niewidzialnym towarzystwem, wobec którego musiał wypaść jak najlepiej. - Teraz zbliżało się naprawdę trudne zadanie. Musiałem właściwie toba pokierować, zarówno w stronę rozwiązania zagadki, co było pierwszą fazą gry, jak i ku tej drugiej części, dużo bardziej niebezpiecznej i skomplikowanej... Problem polegał na tym, że oficjalnie nie byłem szachistą. Musieliśmy razem szukać wyjaśnienia tajemnicy, ale ja nie mogłem ci pomóc, bo miałem związane ręce. Okropność. Nie mogłem też grać przeciwko samemu sobie, potrzebowałem przeciwnika. Kogoś, kto mi dorówna. Co więc pozostało innego, niż znaleźć ci Wergiliusza, który poprowadzi cię przez całą przygodę? To była ostatnia figura, jakiej brakowało na mojej szachownicy.

Dopił drinka i odstawił szklanke na stół. Następnie z rekawa szlafroka wyciągnął jedwabną chusteczkę i starannie osuszył nią usta. Na koniec popatrzył przyjaźnie na Munozę.

- I wtedy właśnie, po uprzedniej konsultacji z moim sąsiadem, kierownikiem klubu Capablanca, zdecydowałem się na pana, przyjacielu.

Munoz kiwnął głową raz, z góry na dół. Jeżeli nawet uważał, że to wątpliwy zaszczyt, to powstrzymał się od komentarza. Patrzył tylko z zaciekawieniem na antykwariusza, a jego oczy na skutek niedostatecznego światła w pomieszczeniu zdawały się tkwić jeszcze głębiej w oczodołach.

- Pan ani razu nie powatpiewał, że ja wygram - rzekł cicho.

Cesar z ironią uchylił przed nim nieistniejącego kapelusza.

- Rzeczywiście, nigdy - przyznał. - Ma pan szachowy talent, który rzucił się w oczy w momencie, gdy zobaczyłem, jak patrzy pan na van Huysa. Ale oprócz tego, drogi mój, byłem gotów dostarczyć istotnych wskazówek, które, odpowiednio zinterpretowane, pozwoliłyby panu odsłonić także drugą tajemnicę: niewidzialnego gracza - młaskał z zadowoleniem językiem, jakby smakował wyborne danie. - I nie powiem, zaimponował mi pan. I nadal imponuje. Ma pan swoisty sposób analizowania wszystkich ruchów i każdego z osobna, stosuje metodę wariantową, wykluczając po kolei wszystkie nieprawdopodobne hipotezy... Znac mistrza.

- Pan mnie peszy - odrzekł Munoz beznamiętnie. Julia nie była w stanie ocenić, czy powiedział to szczerze, czy z ironią. Cesar odrzucił głowę do tyłu i wydal z siebie cichy teatralny śmiech.

- Muszę panu oznajmić - rzekł z zagadkową, nieco kokieteryjną miną - że widząc, jak mnie pan z wolna osacza, odczuwałem nieklamane podniecenie, proszę mi wierzyć. Było to doznanie... prawie fizyczne, jeśli mogę tak to określić. Aczkolwiek pan nie jest raczej w moim typie - zadumał się na chwilę, jak gdyby usiłował zaliczyć Munozę do konkretnej kategorii, ale zarzucił tę próbę.

- Juz przy kilku ostatnich ruchach zrozumialem, ze staje sie jedynym mozliwym podejrzanym. Pan zas wiedzial, ze ja to wiem... Chyba nie rozmine sie z prawda, jesli powiem, ze wlasnie od tego momentu zblizyliśmy sie do siebie, prawda...? Tej nocy, która spędziliśmy, czuwając na ławce przed domem Julii, przy piersiówce koniaku, stoczyliśmy dluga rozmowe na temat cech psychologicznych mordercy. Pan byl juz niemal pewien, ze to ja jestem jego przeciwnikiem. Sluchalem z najwyzsza uwaga, jak w odpowiedzi na zadane przeze mnie pytanie rozwinal pan wszelkie znane teorie patologii zwiazanych z szachami... Oprócz tej jednej wlasciwej. Której nie wspomnial pan nawet do dzisiaj, a która znal doskonale. Wie pan, co mam na mysli.

Munoz na potwierdzenie znowu skinal powoli glowa. Cesar pokazal na Julie.

- Pan i ja wiemy, ale ona nie. A w kazdym razie nie do konca. Trzeba by jej wytlumaczyc.

Dziewczyna popatrzyła na szachiste.

- Tak - rzekla. Byla zmezczone i wsciekla, takze na Munoz. - Moze wyjasnilby mi pan, o czym tu mowa, bo mam troszke dosyc, sluchajac, jak sie spoufalacie.

Szachista nie spuszczal wzroku z Cesara.

- Matematyczna natura szachów - odparl niewzruszony irytacja Julii - obdarza te gre szczególnym charakterem. Specjalisci nazywaja to zwiazkiem sadystyczno-analnym... Domysla sie pani: szachy to walka w zwarciu dwóch mezczyzn, pojawiaja sie tu slowa-klucze w rodzaju "agresja", "narcyzm", "masturbacja"... Charakter homoseksualny. Zwyciezyc to pokonac dominujacego ojca albo matke, usytuowac sie ponad nimi. A przegrac to doznac kleski, poddac sie.

Cesar uniósł znacząco palec.

- Z tym ze zwyciestwo - uzupelnil uprzejmie - oznacza dokladnie to samo.

- Tak - zgodzil sie Munoz. - Zwyciestwo okazuje sie, paradoksalnie, demonstracja wlasnej porazki - zerknal na Julie. - Koniec konców, Belmonte mial racje. Partia podobnie jak obraz oskarzala sama siebie.

Antykwariusz poslal mu usmiech pelen podziwu, moze nawet szczescia.

- Brawo. Uniesmiertelnic sie poprzez wlasna kleske, cos w tym stylu, prawda...? Jak stary Sokrates, kiedy wypijal cykute. - Tu zwrócił sie z triumfem do Julii:

- Nasz przyjaciel Munoz wiedzial o tym wszystkim od kilku dni, ksiezniczko, ale jednak nie puscil pary z geby nikomu, ani tobie, ani mnie. A ja z cala skromnoscia zrozumialem, ze mój przeciwnik jest na dobrej drodze, gdy swiadomie pominal w dyskusji mój przypadek. Kiedy spotkal sie z mlodymi Belmonte i ostatecznie wykluczyl ich jako podejrzaných, nie mial juz zadnych watpliwosci co do tego, kim jest zabójca. Czy sie myle?

- Nie myli sie pan.

- Czy moze zadac pytanie natury troche osobistej?

- Prosze bardzo, chociaz moze nie odpowiedziec.

- Co pan poczul, kiedy wykonal prawidlowy ruch...? W chwili kiedy juz pan wiedzial, ze to ja?

Munoz zastanawial sie przez moment.

- Ulge - odrzekl. - Gdyby to byl kto inny, poczulbym zawód.

- Zawód, ze nie odgadl pan tozsamosci tajemniczego gracza...? Nie chce tu wyolbrzymiac moich zaslug, ale wcale nie byla ona taka oczywista, drogi przyjacielu. Nawet dla pana nie bylo to latwe zadanie. O wielu postaciach tej historii nawet pan nie slyszal, a znamy sie dopiero pare tygodni. Mial pan do dyspozycji jedynie szachownice.

- Nie rozumiemy sie - odparl Munoz. - Ja pragnalem, zeby to byl pan. To mi odpowiadalo.

Julia patrzyla na nich, nie kryjac niedowierzania.

- Winszujecie wam, zescie sie tak dobrali - rzucila z sarkazmem. - Potem, jak macie ochote, mozemy gdzieś wpasc na kielicha, bedziemy sie poklepywac po ramionach i zasmiewac z calej tej afery. - Potrzasnela glową, usilujac odzyskac poczucie rzeczywistosci. - Niebywale, ale mam wrazenie, ze jestem tu zbedna.

Cesar popatrzył na nią z czulym smutkiem.

- Sa rzeczy, których nie pojmysz, ksiezniczko.

- Nie nazywaj mnie ksiezniczka...! I mylisz sie calkowicie! Wszystko doskonale rozumiem. A teraz to ja ci zadam pytanie: co bys zrobil wtedy rano na Rastro, gdybym wsiadla do samochodu, wlaczyła silnik, nie zauwazajac sprayu i bilecika, i ruszyła z bomba w oponie?

- To smieszne - Cesar poczul sie urazony. - Nigdy bym nie pozwolil, zebys...

- Nawet pod grozba przyznania sie do wszystkiego?

- Dobrze wiesz, ze tak. Munoz niedawno sam przyznal: tobie nic nie grozilo... Wszystko przewidzialem: gotowe przebranie w klitce z dwoma wyjsciami, która wynajmuje na magazyn, umówione spotkanie z dostawca, co zalatwilem w pare minut... Wystroilem sie w mgnieniu oka, poszedlem do zaulka, pomajstrowalem przy oponie i zostawilem pojemnik i bilecik. Potem stanalem przed sprzedawczynia obrazków, zeby mnie sobie zapamietala, wróciłem do magazynu, hop, zmienilem strój i makijaz, stawilem sie na spotkanie z toba w kawiarni... Zgodzisz sie, ze plan byl nieskazitelny.

- Obrzydliwie nieskazitelny, to prawda.

Na twarzy antykwariusza malowal sie wyrzut.

- Nie badz ordynarna, ksiezniczko - patrzyl na nią prostodusznie. - Te okropne przymiotniki do nikad nas nie prowadza.

- Po co tyle zachodu, zeby mnie przerazic?

- Chodzilo o przygode, czyz nie...? Zagrozenie jest konieczne. Wyobrazasz sobie przygode bez cienia strachu...? Juz nie moglem cie zabawiac tymi historyjkami, którymi fascynowalas sie w dzieciństwie.

Wymysliłem więc najlepszą, jaką potrafiłem. Przygodę, której nie zapomnisz do końca życia.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości.

- Zatem misja wypełniona. Walka rozumu przeciwko tajemnicy, przegnanie upiorów, które cie zniewolili... Jeszcze ci mało? Do tego dodaj więc odkrycie, że Dobro i Zło nie są od siebie oddzielone na podobieństwo białych i czarnych pól na szachownicy. - Zerknął na Munoza i uśmiechnął się ukradkiem, jakby mówił o ich wspólnym sekrecie. - Wszystkie pola są szare, córeczko, co wynika z uświadomienia sobie, że Zło jest pochodną doświadczenia. I że to, co nazywamy Dobrem, jest często jalone, beczynne i niesprawiedliwe. Przypominasz sobie mojego ukochanego Settembriniego z Czarodziejskiej góry...? On powiadał, że złośliwość to najskuteczniejsza broń rozumu przeciwko mocom mroków i brzydoty.\* [przyp.: Tomasz Mann, "Czarodziejska góra", przeł. Józef Kramsztyk.]

Julia z uwagą wpatrywała się w częściowo oświetloną twarz antykwariusza. Chwilami miała wrażenie, że mówi tylko połowa, ta jasna bądź ta mroczna, a druga pełni rolę świadka. Zapytywała sama siebie, która z tych połówek jest bardziej realna.

- Wtedy jak napadliśmy na niebieskiego forda, kochałam cie, Cesar.

Podświadomie zwracała się do oświetlonej połowy, ale odpowiedź przyszła ze strony pograżonej w cieniu.

- Wiem. I to mi wystarczy za całe usprawiedliwienie... Nie wiedziałem, co tam robi ten samochód, jego pojawienie się intrygowało mnie tak samo jak ciebie. A nawet bardziej, z powodów oczywistych: ktoś zapaliłby im świeczkę na grobie? Wybacz ten beznadziejny dowcip, Kochanie - pokreślił z rozkoszą głową. - Muszę przyznać, że te parę metrów, ty z pistoletem, ja z tym dramatycznym pogrzebaczem, napasać na dwóch kretynów, którzy okazali się zbirami nadinspektora Feijoo... - Zamachał dłońmi, jakby brakowało mu słów. - To było autentyczne чудо. Patrzałem, jak zmierzasz prosto na linie nieprzyjaciela, nastroszona, żeby zacisnąć, dzielna i przerażająca jak jakaś mściwa furia, i przysięgam ci, czulem oprócz własnego podniecenia także ogromną dumę. "Oto kobieta, co się zowie" - pomyślałem z podziwem... Gdybyś była inna, niezrównowazona albo słaba, nigdy nie poddałbym cię takiej próbie. Ale byłem świadkiem twoich narodzin i znam cię na wylot. Miałem pewność, że to doświadczenie wyjdzie ci na zdrowie, że cię wzmocni i uodporni.

- Trochę dużo ludzi za to zapłaciło, nie sądzisz? Alvaro, Menchu... Ty sam.

- Ach, tak, Menchu. - Antykwariusz zamyslił się, jakby z trudem kojarzył, o kim Julia mówi. - Biedna Menchu, wciągnięta w grę dla niej za trudną... - Potarł czoło, przypominając sobie. - W pewnym sensie była to błyskotliwa improwizacja, wybaczcie brak skromności. Zadzwoń do ciebie z rana, żeby się zorientować, jak sprawy stoją. Odebrała Menchu i powiedziała, że cię nie ma. Miałem wrażenie, że jest w strasznym pośpiechu, dzisiaj wiemy dlaczego. Czekala na Maxa, żeby dokonać bezsensownej kradzieży obrazu. Ja o tym, rzecz jasna, nie miałem pojęcia. Ale ledwie odłożyłem słuchawkę, ujrzałem mój kolejny ruch: Menchu, obraz, twoje mieszkanie... Pół godziny później naciskałem dzwonek, przebrany za kobietę w płaszczu.

Tu na twarzy Cesara pojawił się wyraz rozbawienia - być może antykwariusz chciał namówić Julię, żeby dostrzegła również humorystyczną stronę całej historii.

- Zawsze ci powtarzałem, księżniczko - uniósł brew, jak gdyby opowiedział kiepski dowcip ku mizernej reakcji otoczenia - że powinnas była zamontować w drzwiach judasza, bo nie wiadomo, kto za nimi stoi. Może Menchu nie otworzyłaby blondynce w ciemnych okularach. Ale usłyszała tylko głos Cesara, który

mówił, że przynosi ważną wiadomość od ciebie. Raczej trudno się było spodziewać, że nie otworzy - odwrócił do góry dlonie w geście, którym prosił o posmiertne wybaczenie pomyłki popełnionej przez Menchu. - Pewnie podejrzewała, że jej operacja z Maxem bierze w łeb, ale gdy na progu ujrzała nieznaną kobietę, te podejrzania musiały ustąpić ogromnemu zdumieniu. Zdążyłem je dojrzec w otwartych szeroko oczach, nim wymierzylem pięścią mocny cios w tchawicę. Jestem pewien, że umarła nieswiadoma, kto ją zabił... Zamknąłem drzwi, ale ledwie zabrałem się do roboty, nastąpiło coś, czego naprawdę się nie spodziewałem: usłyszałem szczęk klucza w zamku.

- To był Max - dodała niepotrzebnie Julia.

- Oczywiście. Ten urodziwy streczyciel. Wchodził właśnie drugi raz, czego dowiedziałem się później, kiedy powiedział ci w komisariacie, że miał zabrać obraz i podpalić mieszkanie. Był to, podkreślam, istotnie nad wyraz niepoważny plan twojej Menchu i tego głupka.

- A przecież to ja mogłam otwierać drzwi. Nie przyszło ci do głowy?

- Przyznaję, że wówczas nie pomyślałem o Maksie, tylko o tobie.

- I co byś zrobił? Też byś mnie trzasnął w tchawicę?

Znow popatrzył na nią cierpiennym wzrokiem, jakby niesłusznie go osadzała.

- To pytanie - rzekł, zastanawiając się nad odpowiedzią - muszę uznać za niestosowne i bezlitosne.

- Co ty powiesz?

- To, co słyszysz. Nie mam pojęcia, jaka dokładnie byłaby moja reakcja, ale przysięgam, przez moment byłem w kropce, myślałem tylko o jednym: jak się schować... Pobiegłem do łazienki, wstrzymałem oddech i rozpaczliwie zastanawiałem się nad szansą ucieczki. Ale tobie nic by się nie stało. Partia zakończyłaby się przed terminem, w połowie. Ot, co.

Julia z niedowierzaniem wydelą dolną wargę. Czowała, jak słowa pala ją w ustach.

- Nie potrafię ci uwierzyć, Cesar. Już nie.

- Czy mi wierzysz, czy nie, niewiele zmienia - odparł ze znudzeniem, jakby rozmowa zaczynała go męczyc. - Zresztą czy to ważne...? Ważne, że to nie byłeś ty, ale Max. Usłyszałem go przez drzwi łazienki, jak mówi "Menchu, Menchu". Był przerażony, ale nie miał nikczemnik odwagi krzyknąć. Ja w każdym razie zdolałem odzyskać równowagę. Miałem ze sobą sztylet, który znasz, ten Celliniego. Jeżeli Max zacząłby weszyc po mieszkaniu i próbował otworzyć drzwi do łazienki, nadziałby się na niego jak dziecko, prosto w serce, ciach, za jednym zamachem, nawet nie zdążyłby wrzasnąć. Na szczęście dla niego i dla mnie stchórzył, nie śmiał buszować, wołał pierzchać schodami w dół. To ci zuch.

Przerwał i westchnął skromnie.

- Oto czemu ten kretyńca zawdzięcza życie - dodał i wstał z fotela. Można było przysiąc, że jest mu przykro z powodu dobrego stanu, w jakim znajduje się Max. Wyprostował się, spojrzał na Julię i na Munoza, którzy obserwowali go w milczeniu, i zaczął się przechadzać po salonie. Dywany tłumili odgłosy jego kroków.

- Powiniennem być zrobić to samo, co Max: wziąć nogi za pas, bo skąd mogłem wiedzieć, czy policja



zaraz sie nie zjawi? Ale góre wziął we mnie, że tak powiem, honor artysty, więc zaciągnąłem Menchu do sypialni i... No, wiesz: uzupełniłem trochę scenografie, będąc przekonany, że rachunek za to wystawia Maxowi. Zabrało mi to raptem pięć minut.

- Jakże to potrzeba skłoniła cie do... tej butelki? To nie było konieczne. Za to potworne i przerażające.

Antykwariusz cmoknął językiem. Zatrzymał się przed wiszącym na ścianie Marsem Luki Giordana i przyglądał mu się przez chwilę, jak gdyby oczekiwał, że to opieki anachroniczna chityna średniowiecznej zbroi bóg udzieli odpowiedzi.

- Butelka - mruknął, nie odwracając się do gości - była szczególnie uzupełniającym... Natchnieniem ostatniej chwili.

- Które nie miało nic wspólnego z szachami - rzuciła Julia tonem ostrym jak brzytwa. - Postanowiles raczej wyrównać w ten sposób rachunki. Z nami, kobietami.

Antykwariusz nic nie odrzekł, dalej wpatrywał się w obraz.

- Nie dosłyszałam odpowiedzi, Cesar. A zawsze miałeś odpowiedź na wszystko.

Powoli odwrócił się do niej. Tym razem w jego spojrzeniu nie było widać błagania o wyrozumiałość ani ironii. Patrzył wzrokiem nieobecny, nieokreślony.

- Potem - odezwał się w końcu nieprzytomnie, jakby nie słyszał Julii - wystukałem na twojej maszynie kolejny ruch, zawinięty przez Maxa obraz wsadziłem pod pachę i wyszedłem. To wszystko.

Mówił bezbarwnym głosem, pozbawionym intonacji. Być może rozmowa już go przestała zajmować. Julia jednak nie uznała sprawy za zamkniętą.

- Po co było zabijać Menchu...? Miałaś swobodny wstęp do tego domu. I tysiące sposobów, żeby ukraszyć obraz.

W oczach antykwarusza znów rozbłysły iskiereczki ożywienia.

- Widzę, księżniczko, że przypisujesz kradzieży van Huysa niewspółmierne znaczenie... A przecież był to tylko kolejny szczegół tej historii, gdzie pewne elementy uzupełniają się z innymi. Można powiedzieć, że się zapętlała. - Przez chwilę szukał odpowiedniego argumentu. - Menchu musiała umrzeć z paru powodów: o części z nich warto teraz mówić, o pozostałych nie. Niektóre są natury, powiedzmy, czysto estetycznej, i tu nasz przyjaciel Munoz odkrył zdumiewający związek nazwiska Menchu ze zbitą wieżą, inne z kolei mają znacznie głębsze podłoże... Wszystko to zorganizowałem po to, żeby uwolnić cie od zgubnych powiązań i wpływów, żeby odciąć cie raz na zawsze od przeszłości. Na swoje nieszczęście Menchu, beznadziejnie głupia i wyuzdana Menchu, była jednym z takich związków, podobnie jak Alvaro.

- A kto ci przyznał prawo dysponowania życiem i śmiercią według uznania?

Na twarzy Cesara pojawił się mefistofeliczny uśmiech.

- Sam je sobie przyznałem, na własną odpowiedzialność. Wybacz, jeśli zabrzmiało to zuchwale... - nagle chyba przypomniał sobie o obecności szachisty. - Miałem mało czasu na końcówkę partii... Munoz deptał mi po piętach niczym zawodowy detektyw. Jeszcze kilka ruchów i wskazałby mi palcem. Byłem

wszakże przekonany, że nasz przyjaciel nie uczyni kroku, dopóki nie będzie go absolutnie pewien. Ponadto on już wiedział, że tobie nic nie grozi... To też artysta, na swój sposób. Dlatego pozwalał mi działać, a sam tymczasem szukał dowodów, które by potwierdziły wnioski z przeprowadzonej analizy... Dobrze rozumuje, przyjacielu Munoz?

W odpowiedzi szachista powoli skinął głową. Cesar zbliżył się do stolika z szachami. Przez chwilę przyglądał się bierkom, by w końcu delikatnie, jakby chodziło o kruchy kryształ, wziąć do ręki białego hetmana i obserwować go dłuższy czas.

- Wczoraj wieczorem - ciągnął - kiedy pracowałam w Prado, przyszedłem do muzeum dziesięć minut przed zamknięciem. Powalęsałem się nieco po salach na parterze i wsunąłem bilecik za tabliczkę przy obrazie Bruegla. Potem poszedłem na kawę, odczekałem i zadzwoniłem. Nic więcej. Jednego nie mogłem przewidzieć: że Munoz odkurzy to stare czasopismo szachowe w bibliotece klubowej. Sam zapomniałem o jego istnieniu.

- Ale coś mi tu nie pasuje - rzekł nagle Munoz. Julia popatrzyła na niego zupełnie zaskoczona. Szachista wpatrywał się bacznie w Cesara z głową przechyloną w bok. W oczach skrzyły mu się badawcze iskierki, jak w chwilach gdy zastanawiał się nad posunięciem, które nie do końca go przekonuje. - Jest pan błyskotliwym graczem, zgoda. Scisłej mówiąc, ma pan zadatki. Ale nie jest w stanie rozegrać tej partii w taki sposób... Panskie kombinacje były zbyt doskonałe, zupełnie nie do pomyslenia u kogoś, kto nie siedział nad szachownicą od czterdziestu paru lat. W szachach liczy się doświadczenie, praktyka. Jestem pewien, że nas pan okłamał. Albo przez te lata dużo pan grywał w samotności, albo ktoś panu pomógł. Przykro mi, że ranie panska próżność, panie Cesarze, ale pan ma współnika.

Cisza, jaka po tych słowach zapadła w salonie, nie miała sobie równej. Julia spoglądała na nich skołowana i nie wiedziała, czy ma wierzyć Munozowi. Już, już miała otworzyć usta i krzyknąć, że to jakaś kosmiczna bzdura, kiedy ujrzała, jak Cesar unosi ironicznie brew, choć sama twarz przypominała teraz nieprzeniknioną maskę. Zaraz jednak na jego ustach pojawił się uśmiech pełen uznania i podziwu. Antykwariusz skrzyżował ramiona, westchnął głęboko i kiwnął twierdząco głową.

- Przyjacielu... - cedził słowa - zasługuje pan na coś więcej niż weekendowa gra w ciemnym kacie dzielnicowego klubu. - Wyciągnął w bok prawą dłoń, jakby wskazywał kogoś, kto przez cały czas siedział tam z nimi w jakimś zakamarku, niewidoczny dla oczu. - W rzeczy samej, mam współnika. Przyznaje, że mam, choć akurat w tym przypadku on może czuć się bezpieczny, nieuchwytny dla wymiaru sprawiedliwości. Chce pan poznać jego imię?

- Spodziewam się, że pan mi je zdradzi.

- Oczywiście, że je zdradzę, bo moje zeznanie nie jest mu w stanie specjalnie zaszkodzić. - Uśmiechnął się znowu, tym razem szerzej. - Mam nadzieję, mój czcigodny przyjacielu, że wybaczy mi pan te małe satysfakcje, jakiej sobie nie odmówiłem. Proszę mi wierzyć, to naprawdę wielka rozkosz przekonać się, że nie udało się panu odkryć wszystkiego... Nie domyśla się pan, o kogo chodzi?

- Muszę przyznać, że nie. Ale jestem pewien, że to nikt, kogo bym znalazł.

- Trafna uwaga. Nazywa się Alfa PC-1212 i jest komputerem osobistym, wyposażonym w zaawansowany program szachowy o dwudziestu poziomach umiejętności... Kupiłem go nazajutrz po zabiciu Alvara.

Pierwszy raz, od kiedy się poznali, Julia zobaczyła na twarzy Munoz'a zdziwienie. Oczy mu zmatowiały, a usta zastygły wpółotwarte w tępy grymasie.

- I nic pan nie powie? - spytał antykwariusz, przyglądając mu się z rozbawieniem i ciekawością.

Munoz patrzył na niego w milczeniu. W końcu przechylił głowę w stronę Julii.

- Niech mi pani da papierosa - powiedział przybity.

Podala mu paczkę, która ten obracał parę razy w palcach, nim wyciągnął papierosa i wsunął w usta. Julia podeszła z zapaloną zapalką. Po chwili już zaciągał się powoli i głęboko. Odnosiła wrażenie, że szachista jest myślami tysiące kilometrów stąd.

- Przykre, prawda? - Cesar śmiał się łagodnie. - Przez cały ten czas grał pan przeciwko zwykłemu komputerowi, przeciwko wyzbytej wszelkich uczuć maszynie... Zgodzi się pan, że to wyborny paradoks, właściwa alegoria czasów, w jakich przyszło nam żyć. Cudowny Gracz Maelzela u Edgara Allana Poe skrywał wewnątrz człowieka... Pamięta pan? Ale zmiany są nieublagane, przyjacielu. Tym razem to w człowieku kryje się automat. - Uniósł białego hetmana z pozłokłej kości słoniowej i przyjrzał mu się z drwiącym uśmiechem. - Cały panski talent, panska wyobraźnia i niezwykła zdolność do analizy matematycznej, drogi panie Munoz, mają swój odpowiednik, swoje karykaturalne odbicie w krzywym zwierciadle. A tym odpowiednikiem jest ni mniej, ni więcej, tylko plastikowa dyskietka, mieszcząca się w dłoni... Obawiam się, że po tym wszystkim, podobnie jak Julia, nie będzie już pan tym samym człowiekiem. Aczkolwiek wątpię - dodał z zadumą - czy pan akurat na tym zyska.

Munoz nie odpowiadał. Stał nieruchomo, dłoń znowu wsadził w kieszenie płaszcza, z ust zwiślał mu papieros, a on tylko patrzył oczami bez wyrazu, spowitym dymem. Wyglądał jak autoparodia niechlujnego detektywa z czarno-białego filmu.

- Współczuje - powiedział Cesar ze szczerością w głosie. Odstawił hetmana na szachownicę z miną człowieka, któremu udało się wieczór, i popatrzył na Julię.

- Na koniec coś wam pokażę.

Podszedł do mahoniowego kabinetu, otworzył jedną z szuflad i wyjął grubą kopertę oraz trzy porcelanowe figurynki Bustellego.

- Nagrodę odbierasz ty, księżniczko - uśmiechnął się ze złośliwym błyskiem. - Znowu udało ci się wykopać skarb. Możesz teraz z nim zrobić, co zechcesz.

Julia patrzyła podejrzliwie na lalki i na kopertę.

- Nie rozumiem.

- Zaraz zrozumiesz. Przez te parę tygodni zdążyłem też zająć się twoimi interesami... W tym momencie "Partia szachów" znajduje się w miejscu stosownym: w sejfie pewnego banku szwajcarskiego, wynajętym przez anonimową firmę, z siedzibą w Panamie, która istnieje tylko na papierze... Szwajcarscy prawnicy i bankierzy to dość nudne plemię, ale solidne, nie zadają pytań, o ile szanujesz prawo ich kraju i wypłacasz im należne honorarium. - Położył kopertę na stole koło Julii. - Dzięki tej firmie, której dane znajdziesz wewnątrz, będziesz czerpać siedemdziesiąt pięć procent wpływów z akcji. Wszelkimi formalnościami zajął się mój stary przyjaciel, szwajcarski adwokat nazwiskiem Demetrius Ziegler, kiedyś ci o nim wspominałem. I nikt oprócz nas i jeszcze jednej osoby, o której za chwilę, nie wie, że w tamtym sejfie przez jakiś czas będzie sobie leżał zapakowany obraz Pietera van Huysa... A tymczasem historia "Partii szachów" stanie się największym od lat wydarzeniem artystycznym. Wszyscy, media i pisma

branzowe, beda roztrzasac ten skandal do znudzenia. Wedlug wstepnych szacunków mozemy zalozyc, ze na rynku miedzynarodowym dzieło osiagnie wielomilionowa cene... Oczywiscie w dolarach.

Julia popatrzyła z zakłopotaniem i niedowierzaniem na koperte, a potem na Cesara.

- Wszystko jedno, na ile go wycenia... - mamrotala, z trudem wymawiajac slowa. - Nie da sie sprzedac kradzionego obrazu. Nawet za granica.

- Zalezy jak i komu - odparł antykwariusz. - Kiedy sytuacja dojrzeje, powiedzmy za pare miesiecy, obraz wychynie z ukrycia, ale nie na aukcji publicznej, a na czarnym rynku dzieł sztuki... I w koncu potajemnie zawisnie w luksusowej posiadlosci któregoś z arcybogatych kolekcjonerów brazylijskich, greckich czy japonskich, co to jak rekiny rzucaja sie na wartosciowe obrazy, zeby je potem dalej prehandlowac albo tylko zaspokoic prywatne potrzeby, zwiazane z dostatkiem, wladza albo pieknem. Na dluzsza mete to takze dobra inwestycja, bo w niektórych krajach kradziej dzieł sztuki ulega przedawnieniu po dwudziestu latach... A ty jestes wciaz tak cudownie mloda. Czy to nie wspaniale? W kazdym razie ta sprawa juz nie jest na twojej glowie. Liczy sie to, ze w ciagu najblizszych miesiecy, podczas tajemnej wędrowki van Huysa, na koncie bankowym twojej swiezo upieczonej panamskiej firmy, otwartym przedwczoraj w innym szacownym banku w Zurychu, przybedzie ladnych kilka milionów dolarów... Ty sie nie musisz niczym martwic, bo ktos dokona za ciebie wszelkich delikatnych transakcji. Tu nie mam zadnych watpliwosci, ksiezniczko. Szczególnie co do niezbednej w tym wypadku lojalnosci tej osoby. Nawiasem mówiac, jest to lojalnosc najemnika, co wcale jej nie dyskwalifikuje, moze nawet przez to jest bardziej godna zaufania. Nie dowierzam ludziom lojalnym bezinteresownie.

- Kto to? Twój szwajcarski przyjaciel?

- Nie. Ziegler to skrupulatny i skuteczny prawnik, ale nie dorasta do spraw tej rangi. Dlatego zwróciłem sie do osoby posiadajacej odpowiednie kontakty, wybornie pozbawionej skrupulów i doswiadczonej na tyle, by mogła swobodnie poruszac sie po trudnym terenie podziemnego handlu dziełami sztuki: do Paca Montegrifa.

- Zartujesz.

- W kwestiach finansowych nigdy nie zartuje. Montegrifo to dosc szczególny typek, nawiasem mówiac, podkochuje sie w tobie, ale to ze sprawa nie ma nic wspólnego. Wazne, ze ten facet, absolutny bezwstydnik i zarazem czlowiek nadzwyczaj zreczny, w zadnym razie nie wyrzadzi ci krzywdy.

- A to niby dlaczego? Ma obraz, czyli czesc piesni. Montegrifo wlasna matke by sprzedal za mala akwarelke.

- Owszem. Ale ciebie nie sprzedal. Po pierwsze dlatego, ze z Demetriusem Zieglerem podsunelismy mu do podpisania stosik dokumentów, które nie maja mocy prawnej, o ile wyjdzie na jaw, bo cala ta historia ma mocno kryminalny posmak, ale które wszelako oczyszczaja cie z jakichkolwiek podejrzen o wspólnictwo. Poza tym sam sie ubaży, jesli tylko pusci pare z geby albo spróbuje grac nieczysto, i bedzie musial do konca zycia siedziec jak mysz pod miotla, z calym miedzynarodowym aparatem scigania na karku... Na dodatek jestem w posiadaniu pewnych sekretów, których ujawnienie mogloby bardzo nadszarpnac jego reputacje i narazic na powazny konflikt z prawem. Zeby nie byc goloslovnym: o ile wiem, Montegrifo jest odpowiedzialny za co najmniej dwukrotne wywiezienie i nielegalna sprzedaz za granica przedmiotów nalezacych do Dziedzictwa Narodowego. Dzieła te trafily w moje rece, a ja przekazalem je jemu jako posrednikowi: pietnastowieczne retabulum przypisywane Pere Ollerowi, skradzione w Santa Maria de Cascalls w tysiac dziewiecset siedemdziesiatym ósmym, oraz slawetny Jan z Flandrii, który zniknal cztery lata temu ze zbiorów Olivares, przypominasz sobie?

- Tak. Ale nigdy bym nie sadziła, że to ty...

Cesar skrzywił się beznamiętnie.

- Takie jest życie, księżniczko. W moim fachu, i nie tylko w moim, niepokalana uczciwość to stu procentowa gwarancja śmierci głodowej... Ale mówiliśmy nie o mnie, a o Montegrifie. Rzecz jasna, będzie próbował skubnąć dla siebie, ile się da, tego nie unikniemy. Ale z pewnością nie posunie się tak daleko, żeby uszczuplić minimalny gwarantowany zysk twojej panamskiej firmy. A Ziegler będzie strzegł jej interesów niczym doberman. Kiedy transakcja zostanie ostatecznie przeprowadzona, Ziegler automatycznie przeleje pieniądze z konta panamskiego na inne konto prywatne, którego numer opiewa na twoje nazwisko, zlikwiduje to pierwsze konto, żeby zatrzeć ślady, wreszcie zniszczy wszelką dokumentację oprócz tych kwitów, które trzymają w szachu Montegrifa. W ten sposób zapewni nam lojalność naszego przyjaciela, szefa Claymore'a. Aczkolwiek podejrzewam, że w tym momencie takie środki ostrożności są zbyt bezpieczne... A, prawda: Ziegler ma wyraźne wskazówki, żeby jedna trzecia twoich dochodów przeznaczyć na niezawodne i opłacalne inwestycje, które pozwolą wypruć pieniądze i przy okazji zapewnią ci dostatek na resztę życia nawet w przypadku, gdybyś usiłowała wszystko radośnie roztrwonąć. Zaufaj mi bezwzględnie, Ziegler to dobry człowiek, znam go od ponad dwudziestu lat. Jest uczciwy, jest kalwinem i jest homoseksualista. Natomiast oczywiście odliczy sobie skrupulatnie należną mu prowizję i koszty manipulacyjne.

Julia stała jak rżona gromem. Dreszcz ją przeszedł: wszystko pasowało jak fragmenty jakiejś niewiarygodnej lamigłówni. Cesar nie wypuścił z rąk żadnej nitki. Popatrzyła na niego bacznie, po czym zaczęła przechadzać się po pokoju. Usiłowała ogarnąć to wszystko. Za dużo jak na jedną noc - pomyślała, stając przed Munozem. Szachista spoglądał na nią obojętnie, wciąż trzymając w ustach niemal do cna wypalony papierosa. Może wreszcie za dużo jak na jedno życie.

- Widzę - znowu zwróciła się do Cesara - że wszystko przewidziałeś... Albo prawie wszystko. Pomyślałaś też o don Manuelu Belmonte? Może to dla ciebie szczególnie bez znaczenia, ale on jest właścicielem obrazu.

- Pomyślałem i o tym. Naturalnie mogą cię dopaść chwalebne wyrzuty sumienia i oświadczysz mi, że nie przyjmujesz planu. W takim przypadku zawiadom tylko Zieglera, a obraz wypłynie w odpowiednim miejscu. Postawi to Montegrifa przed małym problemem, ale jakos będzie się musiał z nim uporać. Przecież wszystko zostanie po staremu: cena wysrubowana na skutek afery, Claymore zachowa prawa do aukcji... Natomiast gdybyś jednak skłoniła się ku opcji pragmatycznej, również możesz spać spokojnie: Belmonte zrzeka się obrazu za odszkodowaniem. Traci emocjonalnie, ale zyskuje finansowo, a to dzięki ubezpieczeniu. Poza tym nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś anonimowo przesłała mu dogodną rekompensatę w wysokości, jaką uznasz za stosowną. Będzie ci na to staro. Co zaś do Munoz...

- No właśnie - odezwał się szachista. - Prawde mówiąc, bardzo jestem ciekaw, co stanie się ze mną.

Cesar popatrzył nań z ukosa.

- Pan, drogi przyjacielu, wykupił szczęśliwy los na loterii.

- Co pan powie...

- To, co pan słyszy. Przewidując, że drugi biały konik przeżyje partię, pozwoliłem sobie włączyć pana w poczet udziałowców spółki, z prawem do dwudziestu pięciu procent akcji. Pozwoli to panu między innymi na kupno czystych kosztów i na grę w szachy, dajmy na to, na Bahamach, o ile przyjdzie panu

ochota.

Munoz podniósł dłoń do ust i wyjął wygasły niedopalek. Przyjrzał mu się przez chwilę, a następnie upuścił na dywan.

- To bardzo szlachetne z pana strony - rzekł.

Cesar spojrział najpierw na niedopalek, potem na szachiste.

- To naprawdę niewiele. Jakos musiałem kupic paskie milczenie, a zreszta zasłużył pan sobie z nawiązką... Powiedzmy, że w ten sposób chce panu zrekompenzować dowcip z komputerem.

- A czy zakładał pan, że mogę odmówić udziału w tym numerze?

- Jak najbardziej, proszę sobie wyobrazić. Gdy się dobrze zastanowić, jest pan dziwnym człowiekiem. Ale to już nie moja sprawa. Pan i Julia jesteście teraz współnikami, więc załatwajcie to między sobą. Ja mam inne sprawy na głowie.

- Pozostajesz ty, Cesar.

- Ja? - antykwariusz uśmiechnął się. Z bólem, jak zauważyła Julia. - Moja kochana księżniczko, mam wiele grzechów do odkupienia, a czasu mało - pokazał zalakowaną kopertę leżącą na stole. - Tam znajdziesz także szczegółową spowiedź, zawierającą całą historię od początku do końca, wyjąwszy oczywiście wątek szwajcarski. Ty, Munoz i chwilowo także Montegrifo pozostajecie czysti jak dziewica. Co się tyczy obrazu, opisałem dokładnie sposób jego zniszczenia z powodów osobistych i ściśle emocjonalnych. Jestem pewien, że po analizie tej spowiedzi psychiatrzy policyjni stwierdzą u mnie niebezpieczny przypadek schizofrenii.

- Zamierzasz uciec za granicę?

- Mowy nie ma. Jedyne motyw, dla którego warto dokądś pojechać, to sama podróż. Ale ja jestem już za stary. A perspektywa więzienia albo domu wariatów też nie brzmi kusząco. To musi być okropne, ci wszyscy otyli, piękni pielęgniarze, co robią ci zimny prysznic i tak dalej. Obawiam się, że nie, kochanie. Mam już grubo po pięćdziesiątce i takie rzeczy mnie nie podniecają. Poza tym jest jeszcze jeden drobiazg.

Julia spojrzała na niego ponuro.

- Jaki drobiazg?

- Słyszałaś może - Cesar skrzywił się z ironią - o czymś, co się nazywa Syndrom Nabytego Czegos tam? To się stało ostatnio groteskowo modne... Otóż mój przypadek określają jako końcówkę.

- Kłamiesz.

- Absolutnie nie. Przysięgam, że tak to nazwali: końcówka, jak jakaś ponura resztko. Koniec trasy.

Julia zamknęła oczy. Naraz wszystko wokół jakby znikło, pozostał tylko głuchy stłumiony odgłos kamienia wpadającego do stawu. Kiedy znów je otworzyła, były pełne łez.

- Kłamiesz, Cesar. Nie ty. Powiedz, że kłamiesz.

- Chciałbym, księżniczko. Zapewniam cię, że rozkosza bym ci teraz powiedział, że wszystko było zartem na kiepskim poziomie. Ale życie, jak nic innego, potrafi ludziom płatać podobne figle.

- Od kiedy o tym wiesz?

Antykwarium wzgardliwie leniwym gestem dłoni dał do zrozumienia, że czas przestał go obchodzić.

- Z grubsza od dwóch miesięcy. Zaczęło się od drobnego guza w odbycie. Bardzo nieprzyjemna rzecz.

- Nic mi nie mówiles.

- A dlaczego miałem mówić...? Wybacz, że wyrażam się może mało delikatnie, ale mój odbyt to moja sprawa.

- Ile czasu ci zostało?

- Nie za wiele. Chyba za sześć, siedem miesięcy. Podobno potwornie się chudnie.

- No to posła cię do szpitala. Nie pójdziesz do więzienia. Ani nawet do domu wariatów, którego tak się boisz.

Cesar pokręcił głową z łagodnym uśmiechem.

- Nie trafie do żadnego z tych trzech miejsc, moja droga. Masz pojęcie, co to za szkaradna śmierć...? O, nie. Nie ma mowy. Odmawiam. Ostatnio wszyscy na to umierają, wobec czego zachowam przynajmniej prawo do potraktowania samego siebie w sposób szczególny... Trzęsę się na myśl, że ostatnim obrazem z tego świata mogłaby być butelka gazu fizjologicznego zawieszona nad głową... Okropni odwiedzający, którzy przydeptują cię aparaturę tlenową i tak dalej... - omiół wzrokiem meble, gobeliny i obrazy. - Wolał finał florencki, wśród ukochanych przedmiotów. Takie rozwiązanie, dyskretne i łagodne, bardziej pasuje do moich upodobań i mojego charakteru.

- Kiedy?

- Niebawem. Kiedy będziecie tak dobrzy i zostawicie mnie już samego.

Munoz czekał na ulicy, oparty o ścianę, z postawionym wysoko kolnierzem płaszcza, do tego stopnia pogrążony w rozmyśleniach, że kiedy Julia pojawiła się na progu, podniósł na nią oczy dopiero po dłuższej chwili.

- Jak chce to zrobić? - spytał.

- Kwas pruski. Od lat trzyma schowaną ampulkę - uśmiechnęła się z gorczyca. - Twierdzi, że strzał z pistoletu jest bardziej heroiczny, ale pozostawiłby mu na twarzy nieprzyjemny wyraz nagłego zaskoczenia. Woli zachować dobry wygląd.

- Ach, tak.

Julia zapaliła papierosa. Powoli, z rozmyślnym ociąganiem.

- Tu za rogiem jest budka telefoniczna... - patrzyła na Munozą nieobecny wzrokiem. - Prosił, żebyśmy dali mu dziesięć minut, zanim zawiadomimy policję.

Ruszyli chodnikiem w żółtawym blasku latarni. U kresu pustej ulicy światła zmieniły się z zielonych na pomarańczowe i wreszcie na czerwone. To ostatnie wydobyło z twarzy Julii nierzeczywiste głębokie cienie.

- Co pani teraz zrobi? - zainteresował się Munoz. Mówiąc, nie patrzył na nią, wbił spojrzenie w chodnik przed sobą. Wzruszyła ramionami.

- Zależy od pana.

I wtedy pierwszy raz usłyszała, jak Munoz się śmieje. Śmiechem niskim i delikatnym, nieco nosowym, dobiegającym jak gdyby z samego wnętrza. Przez ułamek sekundy Julia miała wrażenie, że to śmieje się ktoś z postaci obrazu, a nie idący obok szachista.

- Pani przyjaciel ma rację - powiedział. - Przydałyby mi się czyste koszule.

Julia pogładziła palcami trzy figurki z porcelany - Oktawia, Lucynde i Scaramuccia - które spoczywały w kieszeni płaszcza obok zalakowanej koperty. Z zimna usta jej zdrewniały, a łzy na policzkach niemal zamarły.

- Powiedział coś jeszcze, zanim został sam? - spytał Munoz.

Znowu wzruszyła ramionami. "Nec sum adeo informis... I wcale nie jestem brzydki: niedawno przechylił się z brzegu, gdy wiatr nad morzem ucichł i wygładziły się fale"... \* [przyp.: P. Vergilius Naso, Ekloga II, przeł. Zygmunt Kubiak] Kogóż innego mógł cytować Cesar, jeśli nie Wergiliusza? Od progu odwróciła się ostatni raz, żeby ogarnąć spojrzeniem spowity półmrokiem salon, ciemne prostokąty starych obrazów na ścianach, przytłumiona przez pergaminowy abazur wata poswiate na meblach, pozółkła kosc słoniowa, złocenia na grzbietach książek. Pośrodku pokoju wznosiła się czarna sylwetka antykwariusza, którego rysów nie sposób już było rozróżnić: smukły kontur, wyraźny jak na dawnym medalu czy kamei, i cień, zalewający czerwienią i ochrą arabeski na dywanie, sięgający niemal stóp Julii. Zegar wybił kuranty akurat w chwili kiedy zamykała drzwi, mając wrażenie, że zatrząskuje grób - jakby wszystko było wcześniej zaplanowane, jakby każdy sumiennie odegrał przeznaczoną mu rolę według scenariusza rozpisanego na szachownicy, o wyznaczonej porze, pięćset lat od rozpoczęcia pierwszego aktu. Po ostatnim matematycznie precyzyjnym ruchu czarnego hetmana zapadnie kurtyna.

- Nie - odparła cicho, czując, jak obraz powoli się oddala, tonie w czeluściach pamięci. - Właściwie nic nie powiedział.

Munoz uniósł głowę jak chudy niezgrabny pies, który usiłuje coś wywieszyć na ciemnym niebie, i uśmiechnął się z niezdarną czułością.

- Szkoda. Byłby z niego świetny szachista.

"Echo jej kroków rozlega się po bezludnym kruzganku, płynie pod sklepieniami, w których już czają się cienie. Ostatnie promienie zachodzącego słońca padają niemal poziomo, ledwie widoczne poprzez kamienne arkady, rozpalając na czerwono mury klasztorne, puste nisze, żółknące liście jesiennego



bluszczu oplatającego kapitele - potwory, rycerzy, świętych, mitologiczne zwierzęta - i gotyckie luki, otaczające zapuszczony ogród. Wiatr wiejący z północy, zwiastun zimy, wyje gdzieś na zewnątrz, spada po zboczu, gniew galezie drzew, gra w stuletnich kamiennych gargulcach i okapach, opływa dzwony z brązu w klasztornej dzwonnicy, zwieńczonej skrzypiącym porzewiałym kurkiem, uparcie pokazującym dalekie i niedostępne południe, zapewne pełne światła.

Kobieta w zalobie zatrzymuje się przy fresku zniszczonym przez czas i wilgoć. Po jego pierwotnych kolorach pozostało zaledwie wspomnienie: błękit tuniki, ochra jakiegoś szczegółu. Ucieta przy nadgarstku, ręka wskazuje nieistniejące niebo i Chrystusa o obliczu z trudem dającym się odróżnić od pokruszonego tynku; promień słońca, a może Światła Bożego, pozbawionego już źródła i punktu przeznaczenia, zawieszony między niebem a ziemią, szczątek złotej jasności, absurdalnie zastygły w czasie i przestrzeni, gasnie z wolna tlamszony przez upływające lata i nieprzyjemną pogodę, aż wreszcie kiedyś zniknie, jakby nigdy nie istniał. I anioł pozbawiony ust, o zmarszczonym czole niczym u siedziwego czy kata, z ledwie widocznymi poplamionymi wapnem skrzydłami, kawałkiem tuniki i nieostrym mieczem.

Kobieta w zalobie odchyła czarny welon skrywający górna część twarzy i dłuższą chwilę wpatruje się w oczy anioła. Od osiemnastu lat zatrzymuje się tu codziennie o tej samej porze i obserwuje spustoszenie, jakie czas czyni z malowidłem. Widzi, jak z wolna zacierają się kształty, zżerane nieubłaganym czasem, jak kontury anioła rozplývają się w brudnym gipsie ściany, jak plamy wilgoci wchłaniają kolory, smagają i niszcza postacie. Tu, gdzie mieszka, nie ma luster: reguła zakonu, wedle której ślubowała (a może kazano ślubować, w jej pamięci pojawia się coraz więcej białych plam, jak na tym fresku), wyraźnie ich zakazuje. Już od osiemnastu lat nie widziała swojej twarzy, więc ten anioł, niegdyś bez wątpliwości pełen urody, jest jedynym zewnętrznym świadectwem tego, że się starzeje: odpryski farby to zmarszczki, wyblakłe rysy to przywiedla skóry. Chwilami, kiedy jasność spływa na umysł niczym fala omywająca piasek plaży, chwilami, których uczepia się kurczowo, próbując rozpaczliwie opleść na nich swoją udrecona upiorami pamięć - wydaje jej się, że ma pięćdziesiąt cztery lata.

Z kaplicy dobiega wyduszony przez grube mury odgłos chórów wyspiewujących chwałę Pańską na chwilę przed udaniem się do refektarza. Kobieta w zalobie ma dyspensę od niektórych nabożeństw i o tej porze woli spacerować po pustych kruzgankach jak czarny milczący cień. Z kibici zwisa jej różaniec z poczerńiałego drewna, którego dawno już nie odmawia. Daleki śpiew modlitewny stapia się w jedno z wyciem wiatru.

Gdy ponownie rusza w drogę i dochodzi do okna, gasnące słońce jest już tylko czerwona plama na horyzoncie, co pierzcha przed olowianymi chmurami nadciągającymi z północy. U stóp wzgórza widac szerokie szare jezioro polyskujące stalowymi falami. Kobieta opiera suche, kosciste dłonie na kamiennym parapecie - okno zwieńczone jest ostrym lukiem, wspomnienia powracają bez zmiłowania - i czuje, jak chłód przepływa z muru wzdłuż jej ramion i zbliża się powoli, niebezpiecznie ku umęczonemu sercu. Nagły kaszel wstrząsa jej kruchym ciałem, zniszczonym przez wilgotne zimy, zmaltretowanym wskutek zamknięcia, samotności i kapryśnej pamięci. Już nie słucha śpiewu z kaplicy ani wycia wichru. Oto z odmetów czasu dobiega ją monotonna i smutna muzyka mandoliny, oto wrogi jesienny krajobraz rozwiewa się w powietrzu, a przed jej oczami rysuje się, jak na obrazie, inny pejzaż: lekko pofalowana równina, z której w oddali wyrasta smukła jak za pociągnięciem cieniutkiego pedzelka sylwetka dzwonnicy. Wtem wydaje jej się, że słyszy gwar męskich głosów przy stole, echo czyjegoes śmiechu. I przychodzi jej do głowy, że jeśli się obejrzy, zobaczy sama siebie, siedzącą na taborecie z książką na podolku, a gdy podniesie wzrok, dostrzeże błysk stalowego naszyjnika przyłbicy i Złotego Runa. A brodaty siwy starzec z pedzlem w dłoni usmiechnie się do niej, oszczędnie i sprawnie kresląc na debowej desce całą scenę, by utrwalić ją na wieki.

Na chwilę wichur rozdziera zasłone chmur i spóźniony refleks światła, odbity od fal jeziora, rozjasnia pomarszczoną twarz kobiety, ożywia jej jasne, zimne, prawie zgaszone oczy. Trwa to moment, po czym

wiatr znów wyje jakby jeszcze silniej, czarny welon lopocze na podobienstwo kruczych skrzydel. A ona jeszcze raz czuje ten dojmujacy ból, co zdera jej cialo i podchodzi do serca. Ból paralizujacy, na który nie ma lekarstwa. Który skuwa lodem jej czlonki i jej oddech.

Jeziro jest juz tylko metna plama posród cieni. A kobieta w zalobie, która gdzies tam w swiecie nazywala sie Beatrycze Burgundzka, wie, ze z północy nadciaga juz ostatnia zima. I zastanawia sie, czy w mrocznym miejscu, do którego zmierza, znajdzie na tyle milosierdzia, by wymazac ostatnie skrawki pamieci."

## Spis tresci

Rozdzial I - Tajemnice mistrza van Huysa

Rozdzial II - Lucynda, Octavio, Scaramuccio

Rozdzial III - Zadanie szachowe

Rozdzial IV - Trzeci gracz

Rozdzial V - Tajemnica czarnej damy

Rozdzial VI - O szachownicach i lustrach

Rozdzial VII - Kto zabil rycerza

Rozdzial VIII - Czwarty gracz

Rozdzial IX - Fosa przy wrotach wschodnich

Rozdzial X - Niebieski samochód

Rozdzial XI - Warianty analityczne

Rozdzial XII - Hetman, skoczek, goniec

Rozdzial XIII - Siódma pieczec

Rozdzial XIV - Rozmowy w salonie

Rozdzial XV - Koncówka hetmana